

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

ROMANS

ROMANS

NORA ROBERTS
Droga do szczęścia

NORA
ROBERTS

*Droga
do szczęścia*



NORA ROBERTS

PRZERWANA GRA

SŁOWNICZEK

AS - piłka serwisowa, która nie została odebrana przez przeciwnika.

PRZEWAGA - punkt uzyskany po wyniku 40:40. Dwie przewagi pod rząd oznaczają wygraną.

LINIA KOŃCOWA - równoległa do siatki linia oznaczająca koniec kortu.

POLE SERWISOWE - jedno z czterech pól w bezpośrednim sąsiedztwie siatki. Po obu stronach są dwa: lewe i prawe. Piłka serwisowa musi odbić się na jednym z pól serwisowych przeciwnika, po przekątnej.

RÓWNOWAGA - wynik osiągany po przewadze, gdy przeciwnik zdobędzie punkt.

PODWÓJNY BŁĄD SERWISOWY - ma miejsce, gdy piłka dwa razy pod rząd nie trafi w pole serwisowe. Konsekwencją takiego błędu jest utrata punktu na korzyść przeciwnika.

BŁĄD - serwis, w którym piłka nie przeszła przez siatkę lub odbiła się poza polem serwisowym.

GEM - cztery punkty. Pojedyncza rozgrywka punktowana jest od zera do czterdziestu, ewentualnie dalej, do podwójnej przewagi.

MIXT - gra w mieszanym składzie. NET - ma miejsce, gdy piłka otarła się o siatkę, ale przeszła dalej.

LOB - piłka, która przeleciała nad głową zawodnika, gdy ten był blisko siatki.

RETURN - odbiór serwisu.

WYMIANA - płynna gra.

SERWIS/SERW - wprowadza piłkę do gry: zawodnik podrzuca piłkę i uderzają tak, by trafiła w pole serwisowe przeciwnika. Jeśli nie trafi - jest aut.

SET - jednostka punktacji składająca się z sześciu gemów zwycięskich.

MECZ - składa się z trzech zwycięskich setów w przypadku mężczyzn, a z dwóch w przypadku kobiet.

SMECZ - inaczej „ścina”. Szybka, trudna do odebrania piłka.

WOLEJ - podanie, które przyjmuje się prosto na raketę. Piłka nie odbija się od podłoża po minięciu siatki.

ROZDZIAŁ 1

Starbuck, przewaga.

Zawsze to samo, pomyślała Asher. Na ułamek sekundy ogromną halę wypełnił charakterystyczny szmer. W powietrzu unosił się zapach potu i prażonych orzeszków. Silne światło reflektorów przyjemnie rozgrzewało, a stłoczone w rzędach siedzeń ciała narzucały swoiste poczucie wspólnoty. Niezadowolone dziecko rozplakało się, lecz szybko zostało uciszone.

Asher Wolfe siedziała w jednym ze środkowych rzędów, na wysokości połowy kortu, i patrzyła, jak gra Taj Starbuck. Cygańska dusza, mistrz rakiety, maniak plaż i słońca. Jej były kochanek. Zmienił się, choć nie potrafiła jeszcze określić natury tej zmiany. Minęły trzy lata od chwili, gdy widziała go po raz ostatni. Nie postarzał się od tamtej pory, nie przytył ani nie stracił werwy.

Przez te lata Asher unikała jak ognia transmisji z meczów tenisowych. Nie miała ochoty oglądać znajomych twarzy, a już zwłaszcza Taja. Jeśli przez przypadek natrafiła na jego zdjęcie w gazecie, natychmiast ją odkładała. Starbuck należał do przeszłości, bo tak sobie kiedyś postanowiła. Asher Wolfe była z gatunku ludzi konsekwentnych. Decyzję, by przyjechać do USA na Halowe Mistrzostwa Tenisa Asher poddała głębokiej analizie. Logika zwyciężyła. Wracala na korty, wiedząc, że w czasie turnieju spotkanie z Tajem będzie nieuniknione, i oto patrzyła na niego, sama pozwalając do woli oglądać się mediom, znajomym i fanom.

Starbuck stanął na linii końcowej i złożył się do serwu. Zauważyła, że nie zmienił postawy ani sposobu koncentracji. Podrzucił piłkę i wyginając ciało, posłał potężny serwis* lewą ręką. Asher usłyszała krótki, świszczący wydech z głębi płuc, który nadał uderzeniu moc. Taj słynął z tego atomowego serwisu, który stał się wręcz synonimem jego nazwiska. Mimo woli wstrzymała oddech. Rakietę przeciętnego gracza nawet nie musnęłaby takiej piłki, lecz return Francuza Grimaliera był równie szybki jak serwis Starbucka. Odpowiedział siłą na siłę i rozgrywka rozpoczęła się na dobre.

Trybuny grzmiały, gdy piłka z wyrazistym, donośnym odgłosem odbijała się od raket i kortu. Raz po raz z tłumy wrywały się okrzyki podziwu i dopingu dla obu graczy. Taj nie stracił nic z dawnej popularności. Kibice kochali go lub nienawidzili, ale nikt nie ośmielał się go lekceważyć. Asher również nie mogła pozostać wobec niego obojętna, choć nie była

* patrz: słowniczek terminów tenisowych - (przypr. tłum.).

pewna, czy ma się zaliczać do kategorii jego fanów, czy wrogów. Znała każdy mięsień tego sprężystego ciała, gest, każdy grymas twarzy. Uczucia, jakie wywoływał w niej ten człowiek, stanowiły osobliwą mieszanię podziwu, szacunku i czysto fizycznego pożądania, które jątrzyło starą ranę. Znowu zdołał ją zauroczyć. Taj Starbuck nie pozwalał się nie zauważyć, przy czym niewiele go obchodziło, czy jest lubiany, czy nie.

Przeciwnicy uwijali się po korcie, mając wzrok zogniskowany na mknącej, białej kuli. Bekhend, forhend, wolej. Krople potu perliły się na czołach. Wymagała tego zarówno gra, jak i publiczność. Wielbiciele tenisa zjawili się tutaj, aby usłyszeć okrzyki, westchnienia i głośne oddechy, poczuć zapach zmęczenia i potu. Asher, choć obiecała sobie, że zachowa chłodny dystans, dała się ponieść gorącej atmosferze i obserwowała Taja z podziwem, którego nigdy nie zdołała się wyzbyć.

Grał z nonszalancką skutecznością. Te pojęcia, choć sprzeczne, doskonale oddawały rzeczywistość. Siła, zręczność, znakomita forma - to były zawsze jego najmocniejsze atuty. Taj miał smukłą i gibką sylwetkę, która, ilekroć napiął mięśnie, zamieniała się w sprężynę. Wysoki wzrost dawał mu dodatkową przewagę. Odbierał niektóre piłki, prawie nie ruszając się z miejsca. Porównywany bywał do fechtmistrza, choć Asher kojarzył się raczej z awanturnikiem spod znaku płaszcza i szpady. Zamachy, wykroki, returny - wszystko to wykonywał płynnie i brawurowo, z demonicznym błyskiem w szarych oczach. Taj miał twarz poszukiwacza przygód - szczupłą, inteligentną i arogancką, o mocnych kościach policzkowych i łagodnie zarysowanych ustach. Włosy, jak zawsze zbyt długie, spływały czarną, bezładną falą na plecy, kontrastując z białą opaską na czole.

Miał znaczną przewagę, a mimo to grał, jakby jego życie zależało od jednego punktu. Nic się nie zmieniło, pomyślała Asher i serce mocniej zabiło jej w piersi. Ode - zwała się w niej profesjonalistka. Rozgrywka pochłonęła ją tak, jakby to ona sama trzymała raketę, jakby po jej czole spływał gorący pot. Dłonie miała mokre, a ciało napięte. Tenisa zawsze angażował swoich widzów, a Starbuck, jak nikt, potrafił wprowadzić ich w trans. To również Asher zapamiętała z dawnych czasów.

Taj posłał szybką piłkę po skosie. Odbiła się i umknęła w bok, nim Francuz zdążył ją zatrzymać. Prędkość uderzenia i celność były tak fenomenalne, że Asher osłupiała z zachwyty.

- Aut - ogłosił sędzia liniowy beznamiętnym głosem.

Publiczność wydała zawiedziony pomruk. Asher zamarła, wpatrzona w Taja, oczekując zwykłego w takich przypadkach wybuchu złości. Po chwili ogłoszono równowagę i widzowie ponownie dali wyraz niezadowoleniu. Taj, nie spuszczać wzroku z sędziego,

przetarł mokre czoło. Twarz miał nieprzeniknioną i tylko płonące oczy zdradzały, co naprawdę myśli o jego decyzji. Widownia ucichła. Asher przygryzła wargi - tymczasem Starbuck bez słowa wrócił na miejsce.

Oto pierwsza zmiana, zauważyła zaskoczona. Samokontrola. Asher wolno wypuściła powietrze z płuc, stopniowo opadło z niej napięcie. Dawny Taj miotałby przekleństwa, ciskał rakieta o ziemię, podburzał trybuny lub mieszał je z błotem. Teraz szedł niespiesznie przez kort, milczący i skupiony, choć widać było, że miota nim furia. Jednak potrafił utrzymać emocje na wodzy. To było naprawdę coś nowego.

Francuski zawodnik zajął pozycję i po chwili puścił asa tak silnego, że trybuny zawyły z radości. Taj spokojnie poczekał na ogłoszenie wyniku. Odzyskał przewagę. Asher, znając Starbucka i innych graczy tej klasy wiedziała, że myśli już tylko o następnym posunięciu. As stał się dla niego tylko odległym wspomnieniem, do którego z przyjemnością powróci, gdy nadarzy się okazja. Teraz liczy się dalsza gra.

Francuz odebrał serw błyskawicznym forhendem. Uderzenie było pełne werwy i pasji. Typowo męskie zagranie, oceniła Asher. Rywale byli jak piraci na morzu, odpalający w swoim kierunku coraz bardziej zabójcze pociski. Odgłos piłki uderzającej w sam środek rakiety, pisk gumowych podeszew na drewnianym podłożu, stęknienia przeciwników, walczących ze sobą zaciekle - wszystko zagłuszył zgiełk, narastający na trybunach. Nikt już nie siedział, wszyscy śledzili rozgrywkę na stojąco, zaciskając pięści i wstrzymując oddechy. Asher również podniosła się z miejsca, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Obydwaj gracze bronili swojej pozycji.

Francuz z najwyższym trudem odebrał loba, który zawiódł go na skraj kortu. Piłka wylądowała daleko na prawym polu. Taj odesłał ją wytężonym, niskim bekhendem, który zakończył dwuipółgodzinny mecz wynikiem trzy do jednego.

Starbuck został mistrzem Tenisa Halowego w Stanach Zjednoczonych i bożyszczem tłumów.

Asher dała upust szalonej radości, gdy Taj podszedł do siatki, aby wedle zwyczaju uścisnąć dłoń przeciwnika. Mecz zaabsorbował ją w większym stopniu, niż się spodziewała, uznała to jednak za zawodową słabość. Zastanawiała się teraz, jak Taj zareaguje na jej widok. Czy go zraniła? Złamała mu serce? Uraziła jego męską dumę? Najpewniej to ostatnie, uznała. O złamanym sercu można by dyskutować. Spodziewała się, że będzie zły, kiedy ją zobaczy. Za to ona pozostanie opanowana. Asher umiała zachować pozory spokoju niemal tak dobrze, jak posłać loba nie do odebrania. Obu rzeczy nauczyła się w dzieciństwie. Szybko ostudzi jego złość. Przygotowywała się do tego spotkania równie pieczołowicie jak do powrotu na kort.

Zamierzała poradzić sobie i z jednym, i z drugim. Kiedy Taj upora się z prasą i odświeży się pod prysznicem, odszuka go, aby mu pogratulować. Uznała, że będzie lepiej, jeśli to ona zrobi pierwszy krok. Uspokojona i pewna siebie, obserwowała Starbucka i Grimaliera rozmawiających przy siatce.

Taj powoli obrócił głowę i spojrzał na trybunę, dokładnie w kierunku Asher. Bez pudła wyłowił ją z tłumu. Natężenie jego spojrzenia zbiło ją z tropu, tak że mimo woli wstrzymała oddech. Taj ani myślał odwrócić od niej świdrujących oczu. Po chwili tak długiej, że zaschło jej w gardle, uśmiechnął się szeroko. To już było jawne wyzwanie. Asher podjęła rękawicę, bardziej pod wpływem emocji niż rozsądnej kalkulacji. W hali nazwisko Starbuck rozbrzmiewało jak grzmot, odbijało się echem od ścian i cichło pod sklepieniem. Minęło dziesięć sekund, potem piętnaście, a on nie poruszył się ani nie mrugnął. Jak na sportowca miał niesłychaną wprost zdolność do utrzymywania ciała w bezruchu. Przeszywał ją wzrokiem na wylot, aż straciła poczucie dzielącej ich odległości. Uśmiechał się. Gdy dłonie Asher zaczęły wilgotnieć, Taj odwrócił się niespodziewanie i wykonał pełny obrót z rakieta nad głową, niczym rycerz z lancą. Tłum zawył z zachwytem. Wiedział! Asher zachnęła się, kipiąc ze złości. Od samego początku wiedział, że tu jestem. Wściekłość, która ją rozsadzała, nie była normalną reakcją osoby wystrychniętej na dudka, lecz irracjonalną furią. W ciągu kilku sekund, bez użycia słów, Taj Starbuck dał jej do zrozumienia, że gra jeszcze się nie skończyła i że zamierzają wygrać.

Nie tym razem, prychnęła. Ja również się zmieniałam. Myśli wirowały jak w kalejdoskopie, przywołując coraz to nowe wspomnienia i uczucia, a ona tkwiła w miejscu, gapiąc się na pustoszejący kort. Podekscytowani ludzie, pochłonięci komentowaniem rozgrywki, tłoczyli się wokół niej.

Asher była wysoka i szczupła. Jasne włosy o popielatym odcieniu nosiła obcięte krótko i modnie. Ubierała się kobieco i zarazem sportowo. W ciągu trzech lat zawodowej bezczynności nic się w tej kwestii nie zmieniło. Twarz Asher bardziej pasowała do atrakcyjnych okładek magazynów mody, niż do znoonej harówki na korcie. Sądząc po pięknie wysklepionych kościach policzkowych i klasycznym owalu twarzy, można by ją wziąć za arystokratyczną amatorkę. Prosty, zgrabny nosek harmonizował z ładnie wykrojonymi ustami, które rzadko podkreślała szminką. Makijaż na korcie Asher uznawała za stratę czasu, bo i tak cały tusz spływał razem z potem. Oczy miała duże, okrągłe i niebieskie, o głębokim, fiołkowym odcieniu. Jedyнным gestem kobiecej próżności, na jaki sobie pozwalała, było przyciemnianie długich, lecz zbyt jasnych rzęs.

Asher nigdy nie przyszło do głowy, by pójść w ślady koleżanek po fachu i dodawać sobie uroku wstążkami czy biżuterią. Poza kortem jej styl był równie prosty i stonowany.

Gdy miała osiemnaście lat, pewien reporter nazwał ją Bużką i tak już zostało. Mając dwadzieścia trzy lata, zrezygnowała z gry, lecz piękna i powściągliwa twarz utalentowanej zawodniczki nie została zapomniana. Powściągliwość i opanowanie były największymi sojusznikami Asher. Na korcie myśli i zamiary tenisistki pozostawały nieodgadniona. Podobnie działo się w życiu osobistym.

Asher zajmowała się tenisem tak długo, że granica między kobietą a sportowcem w jej życiu dawno już się zatarła. Surowa, nienaruszalna zasada, ustanowiona przez ojca, by w każdej sytuacji bronić dostępu do swoich prawdziwych uczuć, stopniowo wrosła w jej światopogląd. Asher pozwoliła ją naruszyć tylko raz i tylko jednej osobie, i więcej nie zamierzała powtarzać tego błędu.

Stała teraz samotnie na trybunie, spokojna i wyniosła, a na jej twarzy nie było nic, co sugerowałoby złość, wzburzenie czy ból - uczucia, z którymi niespodziewanie przyszło jej walczyć. Była tak pogrążona w myślach, że dopiero za drugim razem zareagowała na swoje imię. Odwróciła się i zobaczyła radosną grupę fanów, zbliżającą się ku niej. Rozpoznali ją. Choć spodziewała się tego, poczuła radosne podniecenie, gdy wielbiciele zaczęli na wyścigi podsuwać jej programy i bilety do podpisania.

Asher odpowiadała ze swobodą i poczuciem humoru na pytania, zwłaszcza dotyczące jej związku z Tajem. Szeroki uśmiech i dowcipne riposty zachwycały wielbicieli. Nie miała jednak złudzeń, że równie łatwo pójdzie jej z dziennikarzami. Mogła mieć tylko nadzieję, że dopadną ją dopiero jutro.

Podpisała już wszystkie zdjęcia i bilety i miała zamiar skierować się do wyjścia, kiedy zauważyła z dala grupkę starych znajomych - dawnego rywala, byłego partnera do debla i inne dobrze jej znane twarze. Wzrok Asher napotkał spojrzenie Chucka Prince'a. Najlepszy przyjaciel Taja był sympatycznym tenisistą o żelaznym nadgarstku i kroku opanowanym do perfekcji. Zanim dopadł ją następny fan, zdążyła dostrzec zaskoczenie w przyjaznych oczach Chucka.

Wieść się niesie, pomyślała niemal ponuro, uśmiechając się odruchowo do nastoletniej wielbicielki. Asher Wolfe wraca na kort! Niedługo padną pytania, czy wróci również do Taja Starbucka.

- Asher! - Chuck zbliżał się do niej tym samym sprężystym krokiem, z którego słychać na kortach. Zamknął ją w niedźwiedzim uścisku i wycisnął jej głośnego buziaka na policzku. - Cześć, kocico, świetnie wyglądasz!

Wysunęła się z jego objęć, roześmiana i trochę zaskoczona.

- Ty też, staruszkule - odwzajemniła komplement. Nie musiała kłamać. Chuck był pod każdym względem średni. Wzrost, budowa ciała, karnacja - wszystko było u niego przeciętne, ani atrakcyjne, ani brzydkie. A mimo to miał w sobie coś intrygującego, jakiś wewnętrzny żar, który dodawał mu pikanterii. Chuck nie wahał się wykorzystywać tego daru - oczywiście, w dobrej wierze, co stale podkreślał, dokonując coraz to nowych podbojów.

- Nie zdradziłaś nikomu, że tu będziesz - powiedział Chuck z lekką pretensją, eskortując Asher przez tłum, pracy do wyjścia. - Nie wiedziałem, że jesteś, dopóty... - urwał, lecz odgadła, iż ma na myśli jej kilkusekundową wymianę spojrzeń z Tajem - ..dopóki mecz się nie skończył. - Lekko ścisnął Asher za ramię. - Czemu się do nikogo nie odezwałaś?

- Bo do ostatniej chwili nie byłam pewna, czy przyjadę. - Asher pozwoliła, aby zaprowadził ją w spokojne miejsce na końcu korytarza. - Potem pomyślałam, że wmieszam się w tłum - ciągnęła. - Nie chciałam zakłócać meczu swoim nagłym powrotem.

- To dopiero był mecz! - Chuck uśmiechnął się szeroko na wspomnienie finałowej walki. - Nie wiem, czy Taj kiedykolwiek zagrał lepiej. Trzy asy w ostatnim secie!

- Zawsze miał śmiertelne uderzenie - mruknęła Asher.

- Widziałaś się z nim?

Gdyby podobne pytanie zadał ktoś inny, w odpowiedzi otrzymałby tylko chłodne, nieprzyjemne spojrzenie. Jednak Chuck zasługiwał na coś więcej.

- Jeszcze nie. - Gorzki grymas wykrzywił ładną twarz Asher. - Czekałam na koniec meczu. - Splotła palce, co było u niej objawem niepokoju. - Nie sądziłam, że zauważy mnie wcześniej.

I tak nie zdołałam go zdekoncentrować, uśmiechnęła się w duchu. Kiedy Taj miał raketę w ręku, nic nie mogło odwrócić jego uwagi od kortu.

- Szalał, kiedy odeszłaś.

Słowa Chucka przywróciły ją do rzeczywistości. Nerwowo rozplotła palce.

- Jestem pewna, że szybko mu przeszło. - Odpowiedź zabrzmiała zbyt szorstko i Asher, aby zatrzeć jej ton, odezwała się dużo łagodniej. - Powiedz lepiej, co się z tobą działo przez ten czas? Widziałam reklamę, w której zachwalasz nowe buty do tenisa. - Jak wypadłem? - zapytał z ożywieniem.

- Szczerze? - uśmiechnęła się przewrotnie. - O mało ich nie kupiłam.

Chuck parsknął śmiechem.

- Pozowałem na macho.

Napięcie, jakie czuła podczas meczu, opadło całkowicie. Teraz było jej nawet wesoło.

- Z taką twarzyczką? - Uszczypnęła go pieszczotliwie w policzek. - Od razu widać, że nie skrzywdziłbyś nawet muchy.

- Ciii... - Chuck rozejrzał się znacząco. - Nie tak głośno. Wystawiasz na szwank moją reputację. Tęskniliśmy za tobą, Asher. - Czule poklepał jej szczupłe, silne ramię.

Radość rozjaśniła jej oczy.

- A mnie brakowało was i tenisa. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie obejrzałam dzisiejszego meczu. To już trzy lata - szepnęła.

- Ale wróciłaś do nas.

Spojrzała na Chucka, z trudem odrywając się od wspomnień.

- Wróciłam - przytaknęła. - Za parę tygodni znów pojawię się na korcie.

- Na Foro Italico.

Asher uśmiechnęła się. Uśmiech zdradzał determinację i wiarę w siebie.

- Tym razem zamierzam wygrać - powiedziała.

- Trudno, żeby było inaczej.

Głos, który dobiegł zza pleców Asher, sprawił, że wszystkie mięśnie jej ciała napięły się jak przed atakiem. Stojący naprzeciw niej Chuck nie dostrzegł jednak w oczach przyjaciółki niczego, poza błyskiem nieodgadnionej emocji. Kiedy odwróciła się do Taja, stwierdził z zachwytem, że wiernie zachował w pamięci wspomnienie jej urody. I tak jak dawniej, znakomicie panowała nad sobą.

- Zawsze mi to powtarzałeś przed turniejami - powiedziała spokojnie. Paradoksalnie, niespodziewana wymiana spojrzeń na trybunie ułatwiała jej teraz rozmowę. Pozostał tylko niepokój, boleśnie ściskający żołądek. - Wspaniale grałeś, Taj. Zwłaszcza po pierwszym secie.

Odległość, która dzieliła ich w tej chwili, wydawała się śmiesznie małą. Przez moment taksowali się wzrokiem, lecz żadne nie odnalazło w drugim większych zmian. Asher uświadomiła sobie nagle, że dwadzieścia lat znaczyłoby równie mało. Serce w jej piersi nadal biłoby w swoim rytmie, krew nadal płynęłaby w żyłach. Dla niego, zawsze dla niego...

Czym prędzej odpędziła zdradzieckie myśli. Jeśli ma zachować spokój pod naporem jego spojrzenia, nie może sobie pozwolić na sentymenty.

Dziennikarze czyhający na okazję, aby zarzucić Starbucka pytaniami, po chwili spostrzegli także Asher. Oboje zostali otoczeni kordonem mikrofonów, kamer i fleszy. Taj, zniecierpliwiony tym naporem, chwycił ją za ramię i bez słowa pociągnął w stronę najbliższych drzwi. Pomieszczenie okazało się damską szatnią co bynajmniej nie zbiło Taja z

tropu. Zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz w zamku i stanął zwrócony twarzą ku Asher, niedbale oparty o framugę. Tkwiła przed nim, spięta i nieruchoma.

Podobnie jak pół godziny wcześniej, powoli chłonał wzrokiem jej postać. Spojrzenie miał jak zwykle niespokojne, lecz tym razem nie można było odgadnąć jego wyrazu. W swobodnej z pozoru pozie kryło się napięcie. Asher godnie wytrzymała tę lustrację. Zaimponowała mu tym. Jej niezwykła zdolność do zachowania spokoju w każdej sytuacji zawsze imponowała Tajowi. Czasami miał ochotę ją za to udusić.

- Nic się nie zmieniłaś, Asher.

- Mylisz się.

Stopniowo traciła kontrolę nad oddechem. Serce biło jej mocniej niż na korcie.

- Czyżby? - Uniósł brwi, aż zniknęły na chwilę pod gęstwiną włosów. - Zobaczymy.

Taj mówił, gestykulując, słuchał, dotykając. Asher przypomniawszy sobie dotyk jego ręki na ramieniu, włosach, dłoni. Właśnie owa niezwykła bezpośredniość najbardziej pociągała ją w Taj. Ona również stała się przyczyną rozstania. Była zdziwiona, że teraz, gdy stoją tak blisko siebie, Starbuck nie dotyka jej, a po prostu stoi i się gapi.

- Za to ja zauważyłam zmianę - odparła - Nie kłóciłeś się z sędzią ani nie robiłeś scen.

- Uśmiechnęła się lekko.

- Żadnego grymaszenia, to doprawdy dziwne.

Taj posłał jej zagadkowy uśmiech.

- Pracowałem nad sobą.

- Tak? - Asher czuła się coraz bardziej nieswojo. Zamaskowała niepewność obojętnym wzruszeniem ramion.

- Nie śledziłam twoich poczynań.

- Całkowite odcięcie się od przeszłości, co? - spytał cierpko. - Owszem. - Miała ochotę obrócić się na pięcie i odejść, ale za nią była goła ściana. Rząd luster po lewej odbijał ich sylwetki. Rozzłoszczona, odwróciła się plecami do podwójnego odbicia. - Owszem - powtórzyła. - To najlepszy sposób.

- Co zamierzasz teraz?

- Wracam do gry - rzuciła krótko.

Czuła zapach Taja - znajomą, oszalamiającą woń męskiego potu, zwycięstwa i seksu. Dawniej spędzali ze sobą całe noce, popołudnia i deszczowe poranki. Pokazał jej, co kobieta i mężczyzna mogą wspólnie osiągnąć i przeżyć. Otworzył przed nią drzwi, których istnienia nawet nie podejrzewała. Pokonał wszystkie bariery, aż odnalazł jej prawdziwe „ja”.

Dobry Boże, myślała Asher, splatając palce, nie pozwól, by mnie teraz dotknął.

Choć Taj patrzył jej prosto w twarz, kątem oka dostrzegł ten gest. Niestety, wiedział, co oznacza. Poznała to po triumfalnym uśmiechu.

- Zaczyniesz od Rzymu?

Asher z trudem powstrzymała się od nerwowego przełknięcia śliny.

- Tak, jako nierozstawiona* zawodniczka. Minęły trzy lata - dodała tonem usprawiedliwienia.

- Jak tam twój bekhend?

- W porządku. - Uniosła dumnie głowę. - Lepiej niż kiedykolwiek.

Taj powolnym gestem zacisnął dłoń na ramieniu Asher. Jej splecione palce zwilgotniały od potu.

- Nigdy nie mogłem pojąć - rzekł - jakim cudem w tej delikatnej rączce mieści się tyle siły. Nadal trenujesz w siłowni?

- Oczywiście.

Dłoń Taja zsunęła się niżej po ramieniu Asher. Z gorzką satysfakcją zauważył, że jej puls ma zawrotne tempo.

- Zatem - mruknął - lady Wickerton ponownie zaszczyci kort swą obecnością.

- Raczej pani Wolfe - sprostowała sucho. - Wróciłam do panińskiego nazwiska.

Taj rzucił okiem na puste miejsce po obrączce.

- Rozwodzisz się?

- Zrobiłam to trzy miesiące temu.

- Szkoda. - W jego tonie wyczuła ironię i żal. - Do twarzy ci z tytułami. Pasujesz do posiadłości w Anglii. Stuletnie trawniki, dzwonek na lokaja przy łóżku... - Wpatrzył się raz jeszcze w jej twarz, jakby uczył się jej na pamięć.

- Reporterzy czekają na ciebie. - Asher wykonała ruch, aby go wyminąć. Palce na jej ramieniu zacisnęły się mocniej.

- Dlaczego, Asher? - Tylekroć obiecywał sobie, że jeśli kiedykolwiek ją jeszcze zobaczy, nie zada tego pytania. To była kwestia dumy. Jednak wrodzony temperament wziął górę i pytanie samo wymknęło mu się z ust, porażając ich oboje. - Czemu odeszłaś w ten sposób? Dlaczego nagle zniknęłaś i bez słowa wyjaśnienia poślubiłaś tego angielskiego wymoczek? Nie dała po sobie poznać, że jego chwyt sprawił jej ból. Nie próbowała się uwolnić.

- To moja sprawa - powiedziała cicho i spokojnie.

* w eliminacjach ustala się poziom gracza w celu dobrania mu przeciwnika, aby mecz był wyrównany - (przyp. tłum.).

- Twoja? - Taj chwycił ją za ramiona. - Twoja? - powtórzył wściekle. - Byliśmy razem od miesięcy, a ty nagle zwiłaś z angielskim lordem. - Potrząsnął nią gwałtownie. - Musiałem wszystko wyciągać od twojej siostry. Nie miałaś dość godności, żeby powiedzieć mi prosto w oczy, że odchodzisz?

- Godności? - zachnęła się. - Co ty wiesz o godności?

- Asher nie zdołała powstrzymać się od oskarżeń, choć obiecała sobie, że nigdy ich nie wypowie. - Podjęłam decyzję - oznajmiła wyniośle. - Nie muszę ci się z niej tłumaczyć.

- Byliśmy kochankami - przypomniał. - Mieszkaliśmy ze sobą przez sześć miesięcy.

- Nie byłam pierwszą kobietą w twoim łóżku.

- Wiedziałas o tym od początku.

- Owszem, wiedziałam. - Walczyła z atakiem bezsilnej złości. - A teraz puść mnie, proszę.

Opanowanie Asher irytowało Taja do granic możliwości i fascynowało zarazem. Znał ją lepiej niż ktokolwiek inny, nie wyłączając jej własnego ojca. A już na pewno lepiej niż były mąż. Domyślał się, że wyniosłość i pogarda maskują wewnętrzne rozchwianie. W istocie Asher trzęsie się jak galareta. Zaprzagnął sprowokować ją, aby dała to po sobie poznać. Jeszcze bardziej pragnął zamknąć ją w ramionach, wymazać te trzy lata długim, namiętym pocałunkiem. Pożądanie i wściekłość mąciły mu myśli. Wiedział, że jeżeli podda się im, nic go nie powstrzyma. Rana jeszcze się nie zabiłiła. - Nie skończyłem z tobą, Asher - rzucił ostro, ale zwolnił uścisk. - Jesteś mi coś winna.

- Nic podobnego. - Wyrwała się mu, wzburzona. - Nic ci nie jestem winna.

- Całe trzy lata - stwierdził i uśmiechnął się szeroko. Ten uśmiech, podobnie jak poprzedni, niósł w sobie wyzwanie. - Jesteś mi winna trzy lata i Bóg mi świadkiem, że spłacisz ten dług.

Przekręcił klucz w drzwiach i otworzył je, wypuszczając Asher na żer oczekujących pod drzwiami reporterów.

- Jak się czujesz, będąc znowu w Stanach?

- Cieszę się, że nareszcie jestem w domu.

- Jak skomentujesz plotki, że zamierzasz wrócić do gry?

- To prawda. Zaczynam od Pucharu Europy w Rzymie. Nowe pytania, kolejne odpowiedzi. Błyski fleszy, od których bolą oczy. Media zawsze przerażały Asher, ale zasady wpajane przez ojca weszły jej w krew: nigdy nie mów nic ponad to, co jest absolutnie konieczne. Nie daj po sobie poznać, co czujesz. Nie daj się podejść.

Odpowiadała na pytania z pozorną swobodą, wypowiadając słowa cicho i dobitnie. Palce znów miała splecione. Nieznacznie zerknęła w kierunku holu, oceniając możliwość wycofania się w bezpieczne miejsce. Taj najspokojniej w świecie podpierał ścianę i ani myślał przyjść jej z pomocą.

- Czy ojciec będzie ci towarzyszył w Rzymie?

- Tak sądzę. - Ból i smutek perfekcyjnie ukryte pod maską uśmiechu.

- Czy powrót na kort ma związek z twoim rozwodem? - Te rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego. - Półprawda, starannie zamaskowana irytacja.

- Czy masz tremę przed spotkaniem z młodymi talentami jak Kingston i dawnymi przeciwniczkami, na przykład z Martinelli?

- Jednych i drugich oczekuję z niecierpliwością. - Przerazenie i same wątpliwości, oczywiście zatajone.

- Czy wrócisz do duetu ze Starbuckiem? - Wściekłość, niezbyt dobrze ukryta.

- Starbuck nie gra debla - odparła bez namysłu.

- Miejcie oczy otwarte, chłopaki. - Taj z właściwą sobie nonszalancją objął zeszytniałe z napięcia ramiona Asher. - Trudno przewidzieć, co się wydarzy, prawda, Asher?

W odpowiedzi posłała mu lodowaty uśmiech.

- To ty zawsze byłeś nieprzewidywalny, nie ja. Zrewanżował się pięknym za nadobne.

- Czyżby?

Pochylił się do jej ust. Flesze błyskały jak opętane. Gdy spotkały się ich oczy, jedna para ciskała błyskawice, druga płonęła radością. Taj wyprostował się i powiódł spojrzeniem po gromadzie dziennikarzy.

- Buźka i ja mamy wiele do nadrobienia - powiedział konfidenyjnym tonem.

- W Rzymie? - wyrwał się któryś z paparazzich. Starbuck błysnął zębami w uśmiechu i przyciągnął Asher do siebie.

- Tam przecież wszystko się zaczęło, prawda?

ROZDZIAŁ 2

Rzym. Koloseum. Fontanna di Trevi. Watykan. Starożytność, jej triumfy i porażki. Gladiatorzy i współzawodnictwo. Na Foro Italico żar włoskiego słońca oblewa twarze dzisiejszych zawodników tak samo jak za czasów Imperium Romanum. Gra na tej arenie, gdzie króluje przestrzeń i słońce, jest doświadczeniem zgoła teatralnym. Bujne magnolie i potężne rzeźby wnoszą forum ponad inne zabytki w okolicy. W pewnej odległości od stadionu, nad Tybrem, wznoszą się zalesione wzgórza. Wokół kortów miejsce dla dziesięciu tysięcy widzów, zawsze rozśpiewanych, rozkrzyczanych i pogwizdujących, bo włoscy fani to żywiołowa i niezwykle patriotycznie nastawiona publiczność. Asher musiała o tym pamiętać.

Pamiętała również, że Foro Italico było tłem najważniejszych wydarzeń jej życia. Tu poznała swoje dwie największe miłości: tenis i T a j a Starbucka.

Miała siedem lat, gdy jej ojciec wygrał Mistrzostwa Włoch na osławionym *campo central*. Nie pierwszy raz widziała wtedy tatę w akcji. Obraz wysokiego i opalonego mężczyzny w oślepiającym bielą stroju do gry był jej najwcześniejszym wspomnieniem. Jim Wolfe zdobył mistrzostwo na długo przed narodzinami córki i jeszcze przez wiele lat liczył się w tenisowym świecie.

Asher zaczęła lekcje w wieku trzech lat. Skróconą raketką odbijała piłki z największymi nazwiskami z pokolenia ojca. Uroda i zrównoważony charakter szybko uczyniły z niej ulubienicę sportowców. Przyzwyczała się do widywania swoich zdjęć w gazetach, ukazujących, jak niefrasobliwie wdrapuje się na kolana mistrzów Pucharu Davisa. Tenis i podróże wypełniły jej mały świat. Sypiała na pluszowych siedzeniach limuzyn, przechadzała się po miękkiej murawie Wimbledonu. Przymilała się do polityków, prezydenci szczypali ją w pulchne policzki. Zanim poszła do szkoły, przekroczyła ocean co najmniej tuzin razy.

Dopiero w Rzymie, rok po śmierci matki, Asher odnalazła swoje powołanie i miłość swojego życia.

Ojciec nie ochłonął jeszcze po meczu. Szedł z twarzą błyszczącą od potu i rozpromienioną zwycięstwem, w spodenkach pokrytych czerwonym pyłem z nawierzchni, gdy córka oznajmiła mu, że któregoś dnia zagra na *campo central* i wygra.

Nie wiadomo, czy stało się to jego ojcowską ambicją, czy może owego dnia dostrzegł w oczach siedmioletniej córki determinację i pewność siebie. Dość, że od tamtej chwili Asher wstąpiła na nową drogę, a tata został jej nauczycielem i przewodnikiem.

Trzydzieści lat później, poniosłszy klęskę w półfinałach, obserwowała zwycięstwo Starbucka. Styl nowego mistrza był całkowicie odmienny od stylu jej ojca. Gra Jima Wolfe'a opierała się na rozwadze i precyzji, podczas gdy Starbuck ciskał błyskawice, a w jego uderzeniach zawierał się ładunek emocji i siły. Asher często zastanawiała się, jak wyglądałby mecz, gdyby spotkali się po przeciwnej stronie siatki. Ojciec wzbudzał w niej dumę, a Taj - ekscytował. Obserwując go, zaczynała rozumieć kibiców korridy.

Taj Starbuck chodził za nią dobre parę miesięcy, lecz Asher konsekwentnie dawała mu kosza. Kiepska reputacja, trudne usposobienie, demonstracyjny luz i bezkompromisowość zniechęcały do niego dziewczynę, a jednocześnie coraz bardziej pociągały. Mimo że Asher się zakochała, usiłowała kierować się rozsądkiem. Aż do pewnego majowego dnia.

Tego dnia Taj był niczym mitologiczny bóg, piękny i potężny. Nawet kibicująca swoim bóstwom włoska publiczność nie potrafiła mu się oprzeć. Jedni go wielbili, inni potępiali, ale wszyscy przychodzili go oglądać. Dawał im to, czego chcieli - wielkie widowisko.

Starbuck zdobył wtedy mistrzostwo w siedmiu szalonych setach. Tamtej nocy Asher oddała mu siebie i swoją miłość. Po raz pierwszy w życiu poszła za głosem serca. Jak pączek trzymany w szklarni, otworzyła się na burzę i słońce. Ich wspólne dni były pełne wrażeń i namiętności, noce burzliwe i czułe. Wreszcie sezon dobiegł końca.

Teraz Asher trenowała w ciszy wczesnego poranka na korcie numer pięć. Nieubłagane powracały do niej wspomnienia, na przemian słodkie i cierpkie jak wino. Szybkie przejażdżki po bocznych drogach, gorące plaże, zacienione pokoje w hotelach, śmiechy i żarty, szalone noce. I zdrada. - Jeśli będziesz śnić na jawie, Kingston zrobi z ciebie miazgę i nie przejdiesz nawet ćwierćfinałów.

- Przepraszam - burknęła Asher.

- Powinnaś. W końcu starsza pani musiała się zerwać z łóżka przed szóstą, żeby poodbijać z tobą piłkę.

Asher parsknęła śmiechem. Madge Haverbeck mimo swoich trzydziestu trzech lat była wciąż groźną przeciwniczką. Niewysoka i postawna, z potarganą grzywą gęstych, brązowych loków, o pełnych, kobiecych kształtach, wyglądała jak żywa reklama domowych wypieków. W istocie była światowej klasy sportowcem z dwoma mistrzostwami Wimbledonu na koncie i dysponowała opętańczym forhendem. Przez dwa lata były z Asher partnerkami deblowymi, ku obopólnej satysfakcji i korzyści. Mąż Madge był profesorem socjologii na Uniwersytecie Yale. Madge pieśczośliwie mówiła o nim Dziekan.

- Może zrobimy przerwę na herbatę? - zaproponowała Asher, puszczając oko do przeciwniczki. - To męcząca gra dla matrony w średnim wieku.

Madge mruknęła coś pod nosem i bez ostrzeżenia wystrzeliła bombę zza siatki. Asher lekko i zwinnie złożyła się do uderzenia. Wzmogła koncentrację. Napięła mięśnie. Piłka odbiła się głucho od wilgotnego jeszcze podłoża i uderzyła w naciąg rakiety. Madge uczciwie przykladała się do treningu. Wszędzie było jej pełno. Wabiła Asher do samej siatki, by po chwili wysłać ją z powrotem na linię końcową. Asher próbowała tymczasem dostosować tempo do rozmiękczonej, śliskiej nawierzchni.

Dla szybkiego, agresywnego tenisisty takie podłoże było fatalne. Wymagało raczej siły i wytrzymałości niż prędkości. Między uderzeniami Asher dziękowała sobie za niekończące się treningi z ciężarkami. Mięśnie pracowały znakomicie.

Siedząc piłkę, która właśnie świsnęła obok, Madge podrzuciła raketę.

- Jak na trzyletnią przerwę, jesteś ostra, Buźka. Asher nabrała w płuca rześkiego powietrza.

- Dbałam o formę.

Madge umierała z ciekawości, czemu Asher zdecydowała się na małżeństwo i odejście z zawodu. Jednak знаła swoją byłą partnerkę na tyle dobrze, by zrezygnować z zadawania pytań. I tak nie otrzymałaby odpowiedzi.

- Kingston nie znosi grać przy siatce. To jej pięta achillesowa.

- Wiem o tym. - Asher włożyła piłkę do kieszeni. - Przyglądałam się jej. Dziś zagra po mojemu.

- Jest lepsza na twardej nawierzchni niż na trawie. Uwagi te w delikatny sposób miały jej przypomnieć o własnych słabościach. Asher obdarowała Madge szczerym uśmiechem, jaki rzadko gościł na jej ustach.

- To nie ma znaczenia. W przyszłym tygodniu będę grała krótkimi piłkami - powiedziała butnie.

Madge zachichotała, nakładając kurtkę.

- Nic się nie zmieniłaś, co?

- Tylko trochę. - Asher otarła pot z czoła. - Jak zamierzasz poradzić sobie z Fortini?

- Spokojnie. - Madge zdmuchnęła z policzka kosmyk włosów. - Jestem od niej silniejsza.

Teraz z kolei Asher parsknęła śmiechem. - Ty też się nie zmieniłaś.

- Gdybyś mnie uprzedziła, że wracasz, zagrałybyśmy debła. Fisher jest dobra, lubię ją, ale...

- Chciałam się upewnić, że nie zrobię z siebie idiotki - powiedziała Asher, zginając powoli prawą rękę. - To jednak trzy lata, Madge. Potrzebuję treningu - westchnęła.

- Nigdy wcześniej tak się nie czułam...

- Pobiegamy jeszcze po korcie, jeśli chcesz.

Asher z nagłą troską w oczach odwróciła głowę ku przyjaciółce.

- Co z twoim kolanem?

- Polepszyło się po operacji w zeszłym roku. - Madge wzruszyła ramionami. - Ale mogę spokojnie przepowiadać deszcz. Ten sezon zapowiada się słonecznie.

- Przepraszam, że nie było mnie wtedy przy tobie. Madge wzięła Asher pod ramię.

- Jasne, kochana, nigdy ci nie wybaczę, że nie przejechałaś dziesięciu tysięcy kilometrów, żeby potrzymać mnie za rączkę.

- Zrobiłabym to, gdyby... - Asher zamilkła, przypominając sobie, co działo się z jej małżeństwem w chwili operacji przyjaciółki.

Madge, wzruszona tak szczerym poczuciem winy, dała Asher przyjaznego kuksańca w bok.

- Prasa wszystko wyolbrzymiła, nie było tak źle. Oczywiście - dodała po chwili - nie broniłam się przed współczuciem. Dziekan przynosił mi śniadanie do łóżka przez dwa miesiące. Ten chłop ma złote serce.

- Kiedy wróciłaś, od razu zmiotłaś Rayską w Nowym Jorku. - Taa... - Madge zaśmiała się z satysfakcją. - Miałam przy tym niezły ubaw.

Asher rzuciła okiem na oblaną słońcem arenę i zamknęła za sobą furtkę.

- Muszę wygrać, Madge. Potrzebuję tego. Tak wiele chciałabym tym udowodnić.

- Komu?

- Przede wszystkim sobie. - Asher przełożyła torbę na drugie ramię. - I paru innym osobom.

- Starbuckowi? Okay, nie musisz odpowiadać. - Madge kątem oka dostrzegła wyraz twarzy przyjaciółki. - Tak mi się tylko wymknęło.

- Wszystko, co łączyło mnie z Tajem, skończyło się trzy lata temu - oznajmiła Asher, próbując się rozluźnić.

- Szkoda. - Madge bez mrugnięcia okiem wytrzymała spojrzenie przyjaciółki. - Lubię tego wariata.

- Za co?

Madge zatrzymała się. Patrzyła teraz Asher prosto w oczy.

- Za to, że jest najbardziej żywiołowym człowiekiem, jakiego znam. Odkąd nauczył się kontrolować swój temperament, wnosi mnóstwo emocji do gry. To jest zbawienne. Nie ma mowy o nudnym turnieju, kiedy Starbuck jest na korcie. Podobnie zachowuje się w przyjaźni.

- Aha - mruknęła Asher.

- Nie mówiłam, że jest łatwy - kontynuowała Madge. - Powiedziałam tylko, że go lubię. Jest, jaki jest. Nie trzeba głęboko drążyć, aby do niego dotrzeć. - Wystawiła twarz do słońca, mrużąc oczy w ostrych promieniach. - W tym samym roku staliśmy się profesjonalistami, pierwszy sezon przeszliśmy razem. Widziałam, jak z buńczucznego nastolatka o niewyparzonej gębie wyrastał na buńczuczny mężczyznę, który potrafi trzymać język za zębami.

- Podoba ci się jego usposobienie?

- Częściowo. - Tenistka uśmiechnęła się łagodnie. - Wobec niego nie można pozostawać obojętnym. Albo jesteś z nim, albo przeciw niemu.

W tym stwierdzeniu zostało zawarte zamaskowane pytanie. Asher pominęła je milczeniem. Wolnym krokiem ruszyła przed siebie. Taj budził w niej przeróżne uczucia, ale nigdy obojętność.

Przyglądał się im, wracając z ćwiczeń. A właściwie przyglądał się Asher. Niezauważony, bezkarnie chłonał każdy szczegół - słońce lśniące we włosach, miękki ruch ramion, pewny, wdzięczny krok. Cieszył się, że może popatrzeć na nią z dystansu, bez emocji.

Kiedy ujrzał Asher na trybunach dwa tygodnie temu, poczuł się, jakby piłka trafiła go w żołądek. Doznał szoku. Owładnęły nim złość i ból. Stracił pierwszego seta.

W drugim nie tylko opanował destrukcyjne uczucia, lecz skierował je przeciwko zawodnikowi po drugiej stronie siatki. Francuz nie miał szans w obliczu umiejętności Taja, połączonych z ciśnieniem tłumionej przez trzy lata złości, która gwałtownie domagała się ujścia. Taj zawsze grał najlepiej w stresie i pod presją. Stres mobilizował go i dodawał sił. Z Asher na trybunie wynik meczu stał się dlań kwestią życia lub śmierci. Gdy odeszła przed trzema laty, zabrała ze sobą jakiś kawałek jego duszy. Zwycięstwo pomogło mu odzyskać część tego, co stracił. Asher wciąż na niego działała, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Taj spochmurniał. Wystarczyło, że raz na nią spojrział, aby przebudziło się dawne pożądanie.

Zauważył ją, gdy miała siedemnaście lat. Nieoczekiwana namiętność do nastolatki irytowała dwudziestotrzyletniego wówczas Taja. Trzymał się od Asher z daleka przez cały sezon, lecz nie przestał się nią interesować. Robił, co mógł, aby zniszczyć niechcianą pasję,

umawiał się z kobietami, które jego zdaniem bardziej do niego pasowały. Błyskotliwymi, pewnymi siebie, niefrasobliwymi.

Kiedy jednak Asher skończyła dwadzieścia lat, Taj stracił rozum i rozpoczął polowanie. Im bardziej go unikała, im mocniej się opierała, tym silniej jej pożądał. Nawet smak zwycięstwa w Rzymie nie ostudził żaru jego uczuć.

Proste życie Taja Starbucka, w którym do tej pory istniał tylko jeden cel, zniknęło nagle. Z jednej strony był tenis, z drugiej Asher. Tenis był jego życiem. Bez Asher po prostu nie mógł żyć.

Nie mógł, ale musiał. Asher odeszła do innego mężczyzny i przyjęła jego nazwisko wraz z tytułem i arystokratycznym łóżem, jak czasami myślał z goryczą. Teraz, gdy wróciła, zamierzał zmusić ją, by zapłaciła za ból, który mu sprawiła.

Taj przyspieszył kroku i odbił w lewo. Po chwili dogonił obie kobiety.

- Cześć, Madge. - Obdarzył brunetkę promiennym uśmiechem i pogładził po ramieniu, po czym poświęcił całą uwagę Asher.

- Cześć, Starbuck. - Madge spojrzała na niego, potem na przyjaciółkę i stwierdziła, że nie jest im potrzebna. - Wybaczcie, jestem już spóźniona - powiedziała i pośpiesznie ruszyła do wyjścia.

Z pobliskich drzew dochodził czysty, wysoki trzask ptaka. Bliżej, od strony areny, dochodziły głuche uderzenia piłek. Na korcie numer trzy ktoś podtrzymywał płynną wymianę piłek. Asher była jednak świadoma jedynie bliskości Taja.

- Jak za dawnych czasów - odezwał się z niewyraźnym uśmiechem. - Ty i Madge - dodał.

Asher obojętnie wzruszyła ramionami. Z tym miejscem wiązało się zbyt wiele wspomnień.

- Wpadła do mnie dziś rano. Mam nadzieję, że nie będziemy ze sobą walczyły na turnieju.

- Grasz dzisiaj z Kingston - powiedział.

- Tak.

Taj zbliżył się o krok. Za sobą miała równo przystrzyżoną murawę. Taj blokował jedyne przejście, uniemożliwiając odwrót. Asher, zaprawiona w rozgrywkach na korcie, nie obawiała się bezpośrednich konfrontacji. Złączyła palce, by po chwili rozpleść je z rozdrażnieniem.

- A ty grasz z Devoroux - wzruszyła ramionami. Taj skinął głową.

- Twój ojciec przyjedzie?

- Nie - odparła krótko.

- Czemu? - Taj nie był zbyt biegły w odgadywaniu ukrytych podtekstów.

- Ma ważne sprawy. - Chciała go ominąć, lecz zmniejszyła tylko dzielącą ich odległość. Manewrowanie było jedną z najmocniejszych stron gry Taja.

- Nigdy nie opuszczał twoich meczów. - Taj nie mógł się powstrzymać, aby starym zwyczajem nie musnąć jej włosów. Asher nie opierała się. - Byłaś dla niego najważniejsza.

- Ludzie się zmieniają - odparła sztywno.

- Na to wygląda. - Na jego twarzy zagościł cierpki uśmiech. - A mąż się pojawi?

- Były mąż. - Asher potrząsnęła głową, odpychając dłoń Taja. - Nie, nie pojawi się.

- Zabawne. O ile pamiętam, lubił tenisa. - Taj rzucił torbę na ziemię. - To również się zmieniło?

- Muszę iść pod prysznic. - Prawie mu się wymknęła, lecz zatrzymał ją i poufale zsunął dłoń z ramienia na talię Asher.

- Co powiesz na szybkiego seta? - zagadnął zniecierpliwiona.

W oczach Taja dostrzegła niepokój. Nigdy nie mogła się zdecydować, czy ich kolor był związany z nocą, czy z dniem. Zawsze, gdy się złościł, ciemniały mu tęczęwki. Asher czuła dotyk szerokiej dłoni o długich palcach. Mogłaby spokojnie należeć do pianisty, gdyby nie skóra, stwardniała od trzymania rakiety. Drzemiąca w niej siła godna była zawodowego pięściarza.

- Nie mam czasu. - Asher postąpiła krok naprzód i napotkała opór twardego przedramienia. Cofnęła się jak oparzona.

- Boisz się? - W głosie Starbucka brzmiało jawne szyderstwo.

- Nigdy się ciebie nie bałam. - Nie kłamała, była nim przede wszystkim zafascynowana.

- Nie? - Taj przyciągnął ją do siebie. - Słyszałem, że strach jest najczęstszym powodem ucieczek. - Nie uciekłam - odparła. - Ja tylko odeszłam. - Zanim ty to zrobiłeś, dokończyła w myślach. Jeden jedyny raz udało się jej przechytryć Taja Starbucka.

- Chciałbym usłyszeć odpowiedź na kilka pytań. - Objął ją ramieniem, nim zdołała zaprotestować. - Od dawna na to czekam.

- To poczekaś dłużej.

- Na niektóre, owszem - przytaknął uprzejmie. - Ale jedną odpowiedź zamierzam poznać teraz.

Czuła, że do tego dojdzie, i nie zrobiła nic, aby powstrzymać konfrontację. Po fakcie zgani się za bierną postawę. Kiedy jednak Taj pochylił się nad nią i ich usta zbliżyły się, nie protestowała. Czas znów stanął w miejscu.

Całował ją tak jak za pierwszym razem, powoli, głęboko i czule. Pozostawało jedną z niezgłębionych tajemnic Taja, jakim sposobem mężczyzna o takiej sile potrafił całować niczym najsubtelniejszy z cherubinów. Być może została uwiedziona jego subtelnością już podczas ich pierwszego pocałunku. Przyciągnął ją do siebie stanowczym gestem, co nie ujęło mu nic z rozkosznej delikatności.

Taj był dobrym kochankiem. Pod skórą nonszalanckiego twardziela krył się głęboki szacunek dla kobiecości. Lubił smak i powab kobiecego ciała i starał się dostarczyć mu rozkosz. Był z natury samotnikiem, lecz w kochance upatrywał zawsze partnera, nie obiekt pożądania. Asher wyczuła to natychmiast. Teraz poddawała się pocałunkowi z jedną tylko myślą.

Tak długo...

Ramię, które powinno było odepchnąć mężczyznę, spoczęło na jego barku. Palce zacisnęły się kurczowo. Asher przylgnęła do ciała dawnego kochanka. Taj był jedynym mężczyzną, który potrafił uwolnić w niej tłumioną namiętność. Był jedynym, któremu udało się dotrzeć do jej duszy i osiągnąć prawdziwą intymność - jedność myśli i ciała. Spragniona bliskości, odszukała jego usta. Wszystkie obawy i obietnice prysnęły.

Pragnęła znowu być kochana, prawdziwie i namiętnie. Chciała skończyć z pustką, która wyjałowiła jej życie. Marzyła, aby darować siebie i być obdarowywaną, żeby na nowo poznać radość przywiązania. Myśli wirowały jej w głowie jak dawne marzenia, nagle przywołane z głębi pamięci. Mocniej wtuliła się w Taja.

Celem pocałunku miała być zemsta, lecz Taj zapomniał o tym. Żar, bijący od tej opanowanej zazwyczaj i powściągliwej kobiety, całkowicie go oszołomił. Wciąż jej potrzebował i świadomość ta doprowadzała go do furii. Gdyby byli sami, posiadłby ją, a potem stawiał czoło konsekwencjom. Cóż, nie potrafił jeszcze w pełni kontrolować emocji, choć na korcie uczynił znaczne postępy. Poza tym nie byli sami. Jakaś drobna część jego świadomości pozostała w świecie rzeczywistym, mimo że ciało drżało z pożądania. Asher była uległa i chętna. Tego się nie spodziewał. Czuł się jak wybranek szczęścia, który otrzymał nagle wszystko, o czym marzył; wszystko, co niegdyś zostało mu odebrane. Odkrył też nagle, że uzyskał więcej odpowiedzi, niż się spodziewał.

Odsunął Asher na odległość ramion, aby się jej dokładnie przyjrzeć. Któż zdołałby się oprzeć niszczycielskiej sile huraganu czy grzmiącym wybuchom wulkanu? Asher również patrzyła na niego, rozdarta między uczuciem a rozsądkiem.

Zaróżowiona twarz, bystre oczy, usta lekko rozchylone. Taką ją pamiętał. Długie noce w jej łóżku, pośpieszne popołudnia i leniwe poranki. Zawsze wyglądała tak, kiedy miała ochotę się kochać. Pożądał Asher na nowo, a zarazem tak samo silnie jak kiedyś. Taj cofnął się. Nie dotykali się już.

- Niektóre rzeczy się zmieniają - powiedział. - A niektóre nie - dodał tajemniczo, po czym odwrócił się i odszedł.

Asher miała dość czasu, aby ochłonać, zanim złożyła się do pierwszego serwu. Serce waliło jej jak młotem - wcale nie z powodu tysiąca oczu wpatrzonych w nią z wysokości trybun. Przyczyną była gibka postać stojąca po drugiej stronie siatki. Staci Kingston, lat dwadzieścia, najniebezpieczniejsza nowicjuszka, jaka pojawiła się w ciągu dwóch ostatnich lat. Miała energię, siłę i refleks, nie wspominając o piekielnej determinacji. W młodych, bystrych oczach widać było te cechy aż nadto wyraźnie.

Asher oddychała głęboko i powoli, chcąc uspokoić nerwy i odpędzić czarne myśli. Wiedziała, że walka będzie zacięta. Jeżeli wygra - tu, gdzie nie udało się jej to trzy lata temu, kiedy po raz ostatni wzięła raketę do ręki, przejdzie próbę pomyślnie. Jak widać, Rzym już zawsze będzie punktem zwrotnym w jej życiu.

Porzuciła rozmyślenia i skoncentrowała się na grze. Wzięła oddech, podrzuciła piłkę i uderzyła. Powietrze ze świstem uszło z jej płuc. Kingston grała ofensywnie, uderzała z dużą siłą. Precyzja i dokładność należały do mocnych stron jej stylu. Umiejętnie wykorzystując właściwości nawierzchni, spychała starszą przeciwniczkę w głąb kortu. Czerwony pył, którego było tam najwięcej, spowalniał ruchy Asher i rozpraszał jej uwagę. Musiała przejść do defensywy, lecz nie czuła w sobie wystarczającej mobilizacji i pogrążała się jeszcze bardziej. Próbowwała zwiększyć tempo, lecz piłka ją zwodziła, odbijając się wysoko ponad głową w chwili, gdy Asher zrywała się ku siatce, lub opadając leniwie w połowie kortu, gdy oczekiwała jej na linii końcowej. Wreszcie, rozkojarzona, popełniła podwójny błąd serwisowy i straciła punkt. Kingston wygrała pierwszego gema.

Publiczność była hałaśliwa, a słońce bezlitosne. Powietrze przesyciła duszna wilgoć. Zza żywopłotu dobiegały dziecięce krzyki i śmiech. Asher miała ochotę rzucić raketę i zejść z kortu. To był błąd, błąd, błąd, powtarzała w myślach. Czemu wróciła, narażając się na taki wysiłek, ból i upokorzenie?

Twarz Asher w najmniejszym stopniu nie zdradzała zamętu, jaki panował w jej głowie. Zaciśnęła dłoń na rękojeści rakiety i postanowiła zwalczyć słabość. Zagrała źle, ponieważ pozwoliła Kingston dyktować tempo. Nic dziwnego, że w ciągu sześciu minut od pierwszego serwu poniosła klęskę. Nawet nie zdążyła się spociec! Nie zjawiała się tutaj po to, żeby poddać się po pierwszym gemie i dać się upokorzyć. Tłum milczał wyczekująco. Mogła liczyć tylko na siebie.

Otrzeprawszy krótką spódniczkę, wróciła na pozycję. Pochylona, gotowa do akcji, czujnie przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Złość została stłumiona, strach pokonany. Jasny umysł był największą bronią Asher, której nie użyła w pierwszym gemie. Teraz będzie inaczej. Tym razem gra potoczy się pod jej dyktando.

Odebrała piłkę serwisową przeciwniczki lekkim, precyzyjnym uderzeniem tuż nad siatką. Zagranie zdezorientowało Kingston. Z trybun dobiegł pomruk zadowolenia. Chłopiec przebiegł pod siatką, zabierając nieodebraną piłkę.

Piętnaście do zera. Asher powtórzyła w myślach wynik z ponurą satysfakcją. Strach kosztował ją straconego gema. Teraz poleje się krew, pomyślała z zimną precyzją. Kingston przestała być przeciwniczką z krwi i ciała. Stała się symbolem przeciwnika.

Asher trzymała rywalkę przy siatce, posyłając same woleje, których perfekcja porwała widzów na równe nogi. Nie docierały do niej rozentuzjasmowane krzyki i nawoływania we wszystkich językach, dobiegające z trybun. Widziała tylko piłkę, słyszała wyłącznie szmer własnego oddechu. Zakończyła gem znakomitym wolejem, umieszczając piłkę idealnie na linii końcowej.

Była w euforii. Czuła gorący, musujący smak nadchodzącego zwycięstwa. Rozkoszowała się nim jeszcze, wracając na kort. Tym razem twarz miała zroszoną potem. Otarta czoło zapiętą na przegubie opaską i sięgnęła po piłkę. Pilnuj początku, nakazała sobie w duchu, w każdej grze najważniejszy jest początek.

Pod koniec pierwszego seta powierzchnię kortu pokrywała gęsta sieć smug i śladów. Kredowy pył osiadał na śnieżnobiałych spódniczkach i butach zawodniczek.

Po trzydziestu dwóch minutach zacieklej walki pot lal się strumieniami. Asher wygrała seta sześć do trzech. Adrenalina buzowała jej w żyłach, lecz na zewnątrz nie sprawiała wrażenia bardziej zdenerwowanej niż hostessa przed przyjęciem. Żyłka współzawodnictwa ujawniła się wreszcie z dawną siłą. Asher czuła na sobie wzrok Starbucka, ale i to nie zrobiło na niej wrażenia. Gdyby Taj pojawił się teraz za siatką, przegnałaby go, gdzie pieprz rośnie. Kingston odebrała serwis, posyłając piłkę daleko w głąb kortu. Asher

odpowiedziała podkreśnionym bekhemem, który musnął wierzch siatki. Ze wzrokiem utkwionym w piłce zareagowała na następne podanie potężnym lobem.

Dziennikarze komentowali później, że zwycięstwo Asher zostało przesądzone w chwili, gdy obie kobiety wymieniły spojrzenia. Wymiana myśli nastąpiła w ułamku sekundy i od tej pory Asher przejęła prowadzenie, zmuszając Kingston do obrony. Narzuciła zabójcze tempo. Straciwszy punkt, odzyskiwała dwa. Bojowy duch wrócił. Zimnokrwista bogini wojny, którą dziennikarze pamiętali z dawnych czasów, nie zawiodła.

Podczas gdy Taj był ogniem i siłą, Asher cechował chłód i kontrolowana zajadłość. Nie zdarzyło się nigdy, by w czasie gry straciła głowę. Reporterzy zakładali się między sobą, typując, kiedy owa chwila nadejdzie.

Dwa razy w ciągu tego meczu Asher o mały włos nie dała im powodu do satysfakcji. Raz z powodu złej opinii sędziego i drugi, kiedy źle oceniła podanie. W obydwu przypadkach wpatrywała się w ziemię u swoich stóp dotąd, aż chęć tupania i miotania przekleństw nie minęła całkowicie. Gdy ponownie zajmowała pozycję, w jej oczach była jedynie determinacja. Mecz skończył się po godzinie i czterdziestu dziewięciu minutach wynikiem sześć - jeden, sześć - dwa. W dwóch gemach Asher ograła Kingston do zera. Trzy razy zaserwowała asa, co nie udało się jej przeciwniczce. Asher Wolfe przeszła do półfinałów. To był *come back* w wielkim stylu.

Madge zarzuciła ręcznik na ramiona Asher, która ciężko opadła na krzesło.

- Rany, byłaś świetna! Rozniosłaś ją! - Nie posiadała się z radości.

Asher milczała, zanurzwszy twarz w miękki materiał frotte'.

- Niech mnie diabli, jesteś lepsza niż dawniej. - Madge położyła przyjaciółce ręce na ramionach.

- Ona też chciała wygrać. - Asher odchyliła głowę i ręcznik zsunął się jej z twarzy. - Nie mogłam do tego dopuścić.

- To było widać - przyznała Madge, rozcierając barki Asher. - Nikt by nie uwierzył, że nie grałaś zawodowo od trzech lat. Ja sama z trudem daję temu wiarę.

Asher zmęczonym ruchem przechyliła głowę ku partnerce.

- Nie jestem jeszcze w formie - powiedziała, z trudem przekrzykując wiwatujący tłum.

- Chwyć mnie skurcz w obu łydkach. Nie wiem, czy wstanę.

Madge obrzuciła Asher krytycznym spojrzeniem, gdyż na jej twarzy nie dostrzegła ani śladu bólu. Schyliła się po kurtkę i otuliła nią przyjaciółkę.

- Zaprowadzę cię pod prysznic. Mam jeszcze pół godziny. Kilka minut u masażysty postawi cię na nogi.

Asher, wykończona i obolała, już miała się zgodzić, lecz nagle spostrzegła Taja Jego szeroki uśmiech mógł wyrażać życzliwą radość z jej zwycięstwa, ale równie dobrze mógł być drwiną. Przecież dobrze mnie zna, zastanowiła się, lepiej niż ktokolwiek inny.

- Nie trzeba, jakoś sobie poradzę. - Z wysiłkiem podniosła się z miejsca i zapięła pokrowiec rakiety. - Spotkamy się, kiedy pokonasz Fortini.

- Asher...

- Naprawdę nic mi nie jest.

Z podniesioną głową i rozdzierającym bólem w nogach, Asher pomaszerowała do szatni. Tam, w dusznych oparach pryszniców, naga i samotna, rozplakała się gorzko z powodu, którego wolałaby nie precyzować.

ROZDZIAŁ 3

Po zwycięstwie w półfinałach Asher zdecydowała się wreszcie na spotkanie z Tajem. Do tej pory jej dni wypełniały treningi, ćwiczenia, spotkania z prasą i towarzyskie rozgrywki. Celowo pozostawiała sobie niewiele czasu na odpoczynek.

Treningi przemieniły się w swoisty rytuał. Poranki Asher spędzała na ocienionym drzewami korcie, szlifując technikę oraz ćwicząc refleks. Pompki i podnoszenie ciężarów, rozciąganie i rozbudowa mięśni należały do codziennych obowiązków. Przychylność prasy okazała się wymarzonym balsamem dla zranionej duszy. Sympatia dziennikarzy była równie istotna dla przebiegu gry jak umiejętności zawodnika. Poza tym prasa kochała zwycięzców.

Gra jest dla tenisisty istotą życia. Sportowiec, podobnie jak tancerz, kocha to, co robi. W ciągu pierwszych dni po powrocie na korty Asher odkryła tę miłość na nowo.

Podczas przelotnego spotkania z Tajem obudziła się w niej namiętność. Jedyne silna determinacja uchroniła ją przed oddaniem się uczuciu, które nigdy nie wygasło. Rzym był miastem zakochanych i Asher już raz uległa jego urokowi. Teraz wiedziała, że musi je potraktować jak jedno z wielu miejsc, gdzie odbywają się zawody tenisowe. Zamierzała odzyskać dawną pozycję. Lady Wickerton była kobietą zupełnie jej obcą. Omal nie straciła własnego „ja”, próbując dopasować się do cudzych wyobrażeń. Jeśli teraz, dla odmiany, zostanie panią Starbuck, nigdy nie odzyska swojej tożsamości.

Asher usiadła na zatłoczonej ławie niewielkiego klubu przy Via Sistina. Muzyka była głośna, ludzie zachłannie wyciągali ręce po kieliszki. Alkohol rozlewał się po stołach, czemu towarzyszyły rozbawione utyskiwania. W drugim, ostatnim, tygodniu Italian Open napięcie sięgało szczytu, choć liczba rozgrywek powoli malała.

W Rzymie był hałas, stragany z owocami, tłoczne uliczki, kafejki - ale również spokój, zabytki i starożytne ruiny. Sportowcom Rzym jawił się przede wszystkim jako symbol rywalizacji. Noce upływały tutaj w gorącej atmosferze radości albo współczucia. Nadchodzący mecz w równym stopniu niepokoił myśli zwycięzców i przegranych. Przy akompaniamencie muzyki analizowali wspólnie każdy serw, smecz czy jakikolwiek błąd, nie oszczędzając sędziego. W Rzymie takie historie były na porządku dziennym.

- Aut! - zaciętrzewił się śniady, patykowaty Australijczyk, schylony nad kieliszkiem wina. - Piłka spadła pół metra od linii!

- Przecież wygrałeś ten mecz, Michael - zauważyła trzeźwo Madge. - Poza tym w drugim gemie piątego seta sędzia przeoczył twój aut.

Na te słowa Australijczyk wyduł usta i wzruszył ramionami.

- To był malutki aucik, taki. - Zbliżył kciuk do palca wskazującego. - A co z nią? - Wskazał palcem Asher, unosząc kieliszek w toaście. - Pokonała Włoszkę na Foro Italico, a włoska publiczność i tak ją uwielbia.

- Publiczność docenia dobrą szkołę - odparła Asher z łagodnym uśmiechem.

Michael aż się zachłysnął z oburzenia.

- Pochlebiasz tym makaroniarzom, moja droga. Co oni wiedzą o dobrej grze? - Aby podkreślić wagę swych słów, Australijczyk trzasnął dłonią o stół i zacisnął pięść.

Asher uśmiechnęła się na wspomnienie minionego triumfu.

- W każdym razie udało się.

Upiła łyk chłodnego, wytrawnego wina. Mecz był dłuższy i cięższy niż ten z Kingston. Na szczęście jej ciało lepiej już znosiło wysiłek. Dla Asher było to podwójne zwycięstwo.

- Nie ciesz się tak, bo Tia Conway skoczy ci od razu do gardła - zawyrokował Michael z nieskrywaną satysfakcją, po czym krzyknął do swojej rodaczki: - Hej, Tia, nakopiesz tej wrednej Amerykance?

Opalona, drobna kobieta o czarnych oczach odwróciła się do nich. Przeciwniczki przez chwilę taksowały się wzrokiem, aż wreszcie Tia wzniosła toast. Asher odwzajemniła gest i grupa znów pograżyła się we wspólnej rozmowie, przekrzykując głośną muzykę.

- Tia to przemiła babka - podjął na nowo Michael - ale poza kortem. Z rakieta w rękę staje się niebezpieczna. Kiedy ją odkłada, zajmuje się hodowlą petunii i rozmarynu. Jej mąż handluje basenami.

Madge zachichotała. - Mówisz, jakby dopuszczali się przestępstwa.

- Kupiłem jeden. - Australijczyk zrobił żalowaną minę, po czym zerknął na Asher, która z trudem usiłowała wyłapać opinie na temat meczu, padające ze wszystkich stron stołu. - Gdybym grał miksta, na partnerkę wziąłbym Bużkę - oświadczył. Asher skrzywiła się ironicznie. - Tia jest diabłem wcielonym, ale ty masz lepsze wyczucie kortu. I... - dodał, biorąc z tacy pełne kieliszki wina - ..masz lepsze nogi.

Madge natychmiast wymierzyła mu szturchańca w bok.

- A ja?

- Ty masz najlepsze wyczucie kortu ze wszystkich babskich profesjonalistek - stwierdził po namyśle. - Ale... - ciągnął, gdy Madge przyjęła komplement królewskim skinieniem głowy - ..masz giry jak drwał.

Ku oburzeniu Madge towarzystwo gruchnęło gromkim śmiechem. Asher aż odchyliła się na krześle. Madge tymczasem kazała Michaelowi pokazać własne nogi dla porównania. Wzrok Asher, błądzący swobodnie po klubie, niespodziewanie napotkał spojrzenie Taja. Uśmiech zamarł jej na ustach, na szczęście towarzysze niczego nie zauważyli, pochłonięci konkursem na najzgrabniejsze łydki.

Zjawił się w klubie późno i bez towarzystwa. Miał potargane włosy, jakby właśnie wrócił z przejażdżki szybkim kabrioletem. Nawet w dzinsach, z rękami w kieszeniach, wydawał się roztaczać wokół siebie jakiś nieokreśloną, ekscytującą aurę. W przytłumionym świetle baru jego rysy, rzeźbione światłocieniem, stały się tak samo mroczne, jak przenikliwe spojrzenie. Żadna kobieta nie mogłaby mu się w tej chwili oprzeć. Ekskochance pozostało jedynie wspominać, jakie cuda potrafią zdziałać usta tego mężczyzny.

Znieruchomiała i pobladła Asher przypominała posąg z białego marmuru, porzucony w hałaśliwym i dusznym barze. Trudno było zatrzeć wspomnienia, a co dopiero zdławić tęsknotę. Mogła tylko odtrącić te uczucia, podobnie jak zrobiła to trzy lata temu.

Taj, nie spuszczać Asher z oczu, ruszył ku niej, torując sobie drogę między zatłoczonymi stolikami. Zbliżył się i ująwszy ją pod ramię, poderwał z miejsca.

- Zatańczmy.

Był to rozkaz, choć wypowiedziany niewinnym tonem. Podobnie jak na korcie, musiała podjąć błyskawiczną decyzję. Odmowa spowodowałaby plotki. Zgoda oznaczałaby, że przyjmuje wyzwanie.

- Z przyjemnością - powiedziała chłodno i poszła z Tajem.

Muzycy grali rzewną balladę. Wokalista miał marny głos i próbował nadrobić ten brak przesadnym nagłośnieniem. Ktoś z trzaskiem stłukł kieliszek. Po sali rozszedł się ostry zapach mocnego wina. W kącie murarz spierał się z mistrzem tenisa z Meksyku o najlepszy sposób odebrania podkręconego loba. Nieopodal ktoś pykał fajkę napełnioną słodkim, wiśniowym tytoniem. Parkiet był wydeptany i nierówny. Taj objął Asher, jakby nigdy się nie rozstali.

- Ostatnim razem, gdy tu byliśmy, siedzieliśmy w tamtym rogu i piliśmy valpolicelle.

- Pamiętam.

- Używałaś wtedy tych samych perfum, co dzisiaj. Przyciągnął ją do siebie, dotykając ustami jej skroni. Czowała się, jakby miała nogi z waty.

- Zapach rozgrzanych słońcem płatków. - Asher drżała. - Pamiętasz, co robiliśmy później?

- Spacerowaliśmy.

Odpowiedź zabrzmiała szorstko i ochryple, ale Taja przeszło mrowie. Wspomnienia zalały go falą. Nie mógł się powstrzymać, aby nie smakować ustami twarzy Asher.

- Aż do świtu - szepnął jej do ucha. - Miasto zaczęło się budzić, całe złociste, a ja pragnąłem cię tak strasznie, że omal nie eksplodowałem, ale nie pozwoliłaś mi się dotknąć.

- Nie chcę do tego wracać.

Próbowała go odepchnąć, lecz silne ramiona trzymały ją w żelaznym uścisku. Ciało Taja idealnie dopasowało się do ciała Asher.

- Czemu? Bo było nam ze sobą dobrze? - rzucił zaczepnie.

- Daj spokój. - Asher odchyliła głowę. To był błąd. Taj natychmiast wykorzystał sytuację i ich usta się spotkały.

- Znow będziemy razem, kochana - powiedział cicho. Słowa zdawały się przenikać przez wrażliwą skórę jej warg. - Nawet jeśli to będzie tylko jeden, jedyny raz... na pamiątkę starych czasów.

- Wszystko już dawno skończone, Taj - szepnęła, lecz w głosie nie było stanowczości.

- Czyżby? - Jego oczy pociemniały i przycisnął ją do siebie mocno, tak że omal nie jęknęła z bólu. - Pamiętaj, Asher, że znam cię na wylot. Czy twój były mąż w ogóle chciał wiedzieć, jaka jesteś? Czy potrafił cię rozweselić? Potrafił - dodał, zniżając głos - cię zaspokoić?

Asher znieruchomiała. Muzyka wirowała wokół nich, tym razem szybka, z głośnym, basowym rytmem. Taj trzymał ją w ramionach, kołysząc się lekko dla zachowania pozorów.

- Nie zamierzam rozmawiać z tobą o swoim małżeństwie - stwierdziła cierpko.

- Wcale mnie ono nie interesuje. - Żachnął się, jakby uważał związek małżeński za rzecz karygodną i nieprzyzwoitą. Opanowała go złość, ale poprzysiągł sobie, że nie okaże wzburzenia. Wciąż na nią działał i nie mogła temu zaprzeczyć. Niestety, mniej niż ona na niego. - Dlaczego wróciłaś? - Jego głos był drżący i natarczywy. - Po co, do cholery, to zrobiłaś?

- Żeby grać w tenisa. - Zacisnęła dłonie na ramionach Taja - Żeby wygrywać. - Złość narastała, również i w niej. Taj był jedyną osobą, przy której Asher była zdolna zapomnieć się na tyle, żeby stracić kontrolę nad sobą. - Mam prawo tu być i robić to, czego mnie nauczono. Nie muszę ci się z tego tłumaczyć.

- Owszem, musisz. - Gniew, jaki dostrzegł w jej oczach, sprawił mu ponurą satysfakcję. Postanowił przeciągać strunę dopóty, dopóki ta złość nie wybuchnie. - Zapłacisz mi za te trzy lata udawania wielkiej pani na włościach.

- Nie masz o niczym pojęcia. - Oddech Asher stał się krótki i szybki. Oczy przybrały odcień kobaltu. - Już za to zapłaciłam, Starbuck. I to więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić. To koniec, rozumiesz? - Ku zaskoczeniu Taja głos Asher nagle się załamał. Potrząsnęła głową i zamrugła powiekami, powstrzymując łzy. - Zapłaciłam już za swoje błędy.

- Za jakie błędy? - Spojrzał jej prosto w oczy. Milczała. Chwycił ją za ramiona. - Jakie błędy, Asher?

- Za ciebie. - Wzięła głęboki drżący oddech, jakby nagle znalazła się nad przepaścią. - Za ciebie, Taj.

Wyrwała mu się i zaczęła się przedzierać przez tańczące pary. Dogonił ją i zatrzymał dopiero na ulicy.

- Puść mnie! - Asher próbowała się wyrwać, lecz Taj mocno chwycił ją za nadgarstek.

- Nie pozwolę ci znowu odejść. - Powiedział to głosem niskim i groźnym. - Już nigdy.

- Czyżbym uraziła twoją dumę? - Nie potrafiła dłużej powstrzymać emocji. - Zraniło cię, że kobieta odwróciła się do ciebie plecami i wybrała innego?

- Nie mam w sobie takiej dumy jak ty, Asher. - Przyciągnął ją do siebie, chcąc udowodnić, że ma nad nią władzę, nawet jeśli objawiała się ona wyłącznie przewagą fizyczną. - Dumy, za którą się chowasz, by ukryć prawdziwe uczucia. Uciekłaś, bo za dobrze cię znałem? Bo w łóżku ze mną zapominałaś się i byłaś sobą?

- Odeszłam, bo cię nie chciałam! - wrzasnęła, do reszty tracąc kontrolę nad sobą. Wolną ręką biła go w pierś. - Nie chciałam...

Przerwał jej namiętym, gorącym pocałunkiem. W jednej chwili złość zamieniła się w pasję. Nie mogli dłużej się opierać. Gdy byli razem, żadne z nich nie miało wyboru. Tak było od początku ich znajomości i upływ czasu niczego nie zmienił. Asher mogła opierać się Tajowi i samej sobie tylko przez krótką chwilę, szybko jednak zmysły brały górę. Przywarła do Taja całym ciałem. Był burzą i przystanią, spokojem i gwałtownością. Gęste, miękkie pasma włosów Taja przelewały się przez jej drżące palce. Twarde, umięśnione ciało ocierało się o nią namiętnie. Taj pachniał jak niegdyś, mieszaniną ostrych i ożywczych nut, które zawsze przyprawiały ją o zawrót głowy.

Pierwszy pocałunek nigdy jej nie wystarczał, całowała więc Taja, wkładając w to całą duszę, tak jak on ją nauczył. Szyby w oknach zadrżały od gwałtownego łomotu bębnow, lecz Asher słyszała jedynie westchnienia Taja Stali wtuleni w siebie, zawieszeni pomiędzy cieniami nocy a blaskiem księżyca. Ogarniało ich coraz większe pożądanie. Dawne potrzeby mieszały się z nowymi pragnieniami.

Asher drżała, gdy usta Taja podjęły czułą wędrówkę po jej twarzy. Jego dłonie powoli przesuwały się w górę, zadając Asher słodką torturę. To była taktyka Taja, jedna z najbardziej obehwładniających. Asher wyszeptała jego imię tonem, który stanowił jednocześnie prośbę i przyzwolenie. W odpowiedzi jego usta znów przyłgnęły do jej warg. Wabił ją w głąb siebie, jego palce delikatnie gładziły aksamitne policzki. Im bardziej żywiołowo ją całował, tym delikatniej dotykał. Asher czekała z niecierpliwością, aż silne ramiona zamkną ją w uścisku.

Pełne koło, myślała roztargniona, zatoczyła pełne koło.

- Proszę cię, Taj. - Odwróciła głowę i oparła ją na ramieniu mężczyzny. - Nie rób tego.

- Nie robię tego sam. Powoli uniosła głowę.

- Wiem - przyznała. Taj miał ochotę znowu poczuć jej smak, powstrzymało go jednak bezbronne spojrzenie. Owa bezbronność sprawiła, że nie wziął tego, co ofiarowała mu wiele lat wcześniej. Wolał poczekać, aż sama do niego przyjdzie. Zrozumiał, że tak samo będzie i tym razem. Klnąc w myślach siarczyście, wypuścił ją z ramion.

- Zawsze wiedziałas, jak mnie powstrzymać, przyznaj się - powiedział gniewnie.

Odetchnęła głęboko, wyczuwając, że niebezpieczeństwo minęło.

- To tylko samoobrona - odrzekła niewinnie.

Taj niespodziewanie wybuchnął śmiechem i nonszalanckim gestem wbił ręce w kieszenie.

- Ułatwiłabyś mi sprawę, gdybyś w ciągu tych trzech lat przytyła i zbrzydła. Miałem nadzieję, że tak się stanie.

Na twarzy Asher pojawił się zaledwie cień uśmiechu. Zauważyła, że nastroje Taja zmieniają się równie szybko jak dawniej.

- Czy powinnam przeprosić, że odstaję od twoich wyobrażeń? - spytała cierpko.

- Nic by to nie dało. - Spojrzał jej w oczy, a potem objął badawczym wzrokiem całą twarz. - Wystarczy, że na ciebie popatrzę, i już zapiera mi dech w piersiach. - Dłonie Taja rwały się, by dotknąć jej skóry. - Zacisnął je w pięści. - Nie zmieniłaś nawet fryzury.

Tym razem Asher uśmiechnęła się szeroko.

- Ani ty. Nadal wyglądasz jak strach na wróble. Roześmiał się, nieco odprężony.

- Zawsze byłaś konserwatywna.

- A ty niekonwencjonalny. - Zmięknął - zawyrokował. - Dawniej mówiłaś „radyczny”.

- To raczej ty zdiadziałeś - oświadczyła, nie pozwalając zbić się z pantafyku. - Kiedyś „radyczny” pasowało idealnie.

Taj wzruszył ramionami i zapatrzył się w ciemną ulicę.

- Kiedyś miałem dwadzieścia lat.

- Starzejemy się, Starbuck? - Asher wyczuła napięcie i odruchowo starała się je złagodzić.

- Niewątpliwie - mruknął. - To zabawa dla młodych.

- Oczekujesz już pierwszych siwych włosów? - Zaśmiała się i zapominając o rozwadze, sięgnęła do jego policzka. Choć czym prędzej cofnęła dłoń, oczy Taja pociemniały.

- Ja... - w myślach szukała słów, które zatuszowałyby ów gest. - Nie miałeś problemów z Bigelowem w półfinałach. Ile on może mieć lat? Dwadzieścia cztery?

- Zagraliśmy siedem setów. - Ręka Taja opuściła kieszeń i powędrowała ku szyi Asher. Zupełnie niewinnie gładził wierzchem dłoni jej gładką skórę.

- Tak jak lubisz najbardziej - pokiwała głową. Dostrzegł, że nerwowo przełknęła ślinę, choć jej spojrzenie pozostało spokojne i jasne.

- Wróc do mnie, Asher - szepnął. - Wróc...

Ile kosztowała go ta prośba, wiedział tylko on sam.

- Nie mogę.

- Nie chcesz!

Z głębi ulicy dobiegł wysoki głos rozgorączkowanego Włocha, przerywany tubalnym śmiechem innego. W klubie orkiestra katowała jakiś amerykański szlagier. Ponad nimi, z okiennej skrzynki, kaskadą wylewało się kwitnące geranium. Asher czuła jego duszny, słodki zapach. Wdychając go, przypomniała sobie słodycz miłości, którą mogłaby odzyskać, gdyby tylko przekroczyła pewną granicę.

- Taj... - powiedziała niepewnie, sięgając do szyi, aby zdjąć z niej rękę mężczyzny. - Proszę o rozejm. Dla obopólnej korzyści - dodała, kiedy palce Taja pożądliwie oplótły jej dłoń. - Oboje przeszliśmy do finału, więc nie stwarzajmy teraz napięć.

- Chcesz odłożyć to na później? - Podniósł jej rękę do ust i opuścił z wolna, patrząc na nią uporczywie. - Dobrze, w takim razie wrócimy do tej rozmowy w Paryżu.

- Nie powiedziałam, że...

- Załatwimy to teraz albo później, ale załatwimy na pewno - uciął, uśmiechając się władczo, podekscytowany nowym wyzwaniem i nadzieją zwycięstwa. - Prędzej czy później dojdziemy do porozumienia.

- Jesteś tak samo nieznośny jak przedtem.

- Owszem - przytaknął radośnie. - Dzięki temu wciąż jestem na topie.

Asher nie potrafiła dłużej trwać w złości. Parsknęła śmiechem i rozluźniła dłoń, wcześniej stawiającą opór.

- A zatem rozejm? - ponowiła pytanie. Zawahał się chwilę, gładząc wierzch jej dłoni.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem - zaznaczył. Wiedział, że Asher natychmiast zaprotestuje, dokończył więc pospiesznie: - Odpowiesz mi na jedno pytanie.

Asher na próżno próbowała mu się wyrwać.

- Jakie pytanie? - spytała wreszcie, zła i zrezygnowana. - Czy byłaś szczęśliwa?

Znieruchomiała, podczas gdy nieskładne wspomnienia z przeszłości przemykały jej przed oczami.

- Taj, nie masz prawa...

- Mylisz się, mam absolutne prawo. - Nie pozwolił jej dokończyć. - Lepiej mów, bo i tak się dowiem, Asher.

Popatrzyła na niego nienawistnie. Chciała zmierzyć się z nim w pojedynku woli, lecz zorientowała się, że jest na to za słaba.

- Nie - powiedziała sucho. - Nie byłam szczęśliwa. Zamiast spodziewanego triumfu, sam poczuł się nieszczęśliwy. Puścił Asher i podszedł do krawężnika.

- Zawołam taksówkę.

- Nie trzeba. Przejdę się. Chcę pospacerować. - Obróciła się napięcie i odeszła.

Taj patrzył za nią, gdy powoli rozplątywała się w mroku, aż wreszcie zniknęła mu z oczu.

Ulice wcale nie były o tej porze puste. Miasto żyło w szalonym tempie. Skrzyżowania roiły się od szybko mknących samochodów i taksówek. Ludzie mimo późnej pory wciąż się dokądś spieszyli, nocne bary tętniły muzyką. A jednak Taj miał wrażenie, że słyszy echo własnych kroków.

Ludzie przemierzali ulice i uliczki Rzymu od wieków. Może to echo ich kroków dudniło mu w głowie? Nigdy nie przywiązywał zbytnej wagi do tradycji ani do historii. Ta druga interesowała go tylko wtedy, gdy chodziło o tenisa. Gonzales, Gibson, Perry - te nazwiska znaczyły dla niego o wiele więcej niż Cezar, Cyceron czy Kaligula. Sam nieczęsto powracał do własnej przeszłości, a co dopiero do przeszłości całej cywilizacji. Należał do ludzi, którzy żyją z dnia na dzień, a przynajmniej tak było, dopóki Asher ponownie nie zjawiała się w jego życiu.

Był ulicznym cwaniaczkim. Sprytny chudzielec potrafił wybrnąć z każdego kłopotu. Umiał przegadać każdego, a jak się nie udało, spuszczał przeciwnikowi lanie. Dorastał na południu Chicago, gdzie życie nie było łatwe. Bardzo wcześnie poznał jego gorszą stronę. Pierwsze piwo wypił, gdy był jeszcze w podstawówce. Przed dołączeniem do ulicznego gangu uchroniła go wyłącznie niechęć do stadnego życia. Idea gangu czy wspólnoty w ogóle

do niego nie przemawiała. Nie miał ochoty przewodzić ani dawać sobą kierować. W gangu czy nie, skończyłby marnie, gdyby nie wielka miłość, jaką darzył rodzinę.

Kochał matkę, cichą, lecz pełną determinacji kobietę, sprząającą nocami biurowce. Siostra, młodsza o cztery lata, była jego dumą. Z własnej woli przejął odpowiedzialność nad nią zastępując jej ojca. Ojca, którego wspomnienie szybko zatarto się w dziecięcej pamięci. Taj zawsze uważał siebie za głowę rodziny, ze wszystkimi przywilejami i obowiązkami, jakie się z tą pozycją wiązały. Nikt się temu nie sprzeciwiał. Dla rodziny uczył się i starał nie zadzierać z prawem, co nie zawsze mu wychodziło. Ze względu na dwie kobiety swojego życia przysiągł sobie, że dojdzie do czegoś w życiu, choć był za mały, aby zrozumieć doniosłość tego kroku. Marzył, że nadejdzie dzień, gdy kupi im ładny dom w porządnej dzielnicy i dźwignie umęczoną matkę z kolan. Nie wiedział, jak tego dokona, ale nie wątpił, że tak się stanie. Odpowiedzią okazała się niewielka piłeczka i tenisowa rakietka. Ada Starbuck na dziesiąte urodziny podarowała synowi tanią raketkę tenisową z nylonowym naciągiem. Chciała choć raz dać chłopcu coś innego niż skarpety czy bieliznę. Rakietka, tania i kiepska, była wyrazem nadziei. Ada widziała, jak synowie sąsiadek, jeden po drugim, lądują w więzieniach i poprawczakach. Wiedziała, że Taj jest inny. Miał naturę samotnika i liczyła, że dzięki rakiecie będzie mógł się trochę rozerwać. Baseball i piłka nożna wymagały udziału innych osób. Mając raketkę, można było samemu odbijać piłkę o ścianę. Tak też robił. W alejce między budynkami uderzał godzinami, celował w murek, pomazany napisami w stylu: „Didi kocha Franka” i innymi, o wiele mniej romantycznymi.

Spodobało mu się dudnienie piłki odbijającej się od podłoża, lubił sprężysty odzew naciągu. Sam ustalał rytm, który mu pasował. Kiedy znudziło mu się samotne odbijanie piłki, zaczął odwiedzać pobliskie korty. Tam roiło się od dzieciaków i dorosłych. Początkowo Taj najął się do podawania piłek. Niebawem zauważył, że radzi sobie o wiele lepiej niż większość bywalców. Udało mu się namówić na grę starszego chłopca.

Pierwsze doświadczenie na korcie było dla Taja objawieniem. Przeciwnik zmuszał go do wysiłku, posyłał piłki ponad głowę lub prosto w twarz z siłą, której nie mogła dorównać żadna ściana. Swój pierwszy mecz Taj przegrał z kretesem, lecz odkrył urok rywalizacji. I poznał pragnienie zwycięstwa.

Dalej odwiedzał korty, zwracając teraz większą uwagę na detale. Zaczął odróżniać graczy, którzy traktowali ten sport poważnie. Wykorzystując swój urok osobisty, namawiał, by przyjęto go do gry. Gdy ktoś zadawał sobie trud i udzielał wskazówek, słuchał uważnie i przystosowywał technikę do swojego stylu. Bowiem Taj Starbuck od samego początku miał własny styl. Początkowo szorstki i niezbyt precyzyjny, z iskierką, która dopiero zapowiadała

opiewany przez dziennikarzy blask. Serwis miał silny i precyzyjny, choć wiele brakowało mu do perfekcji późniejszego Starbucka. Trochę niezgrabny, jak wszyscy dorastający chłopcy, był jednak zaskakująco szybki. Determinacja i żądza zwycięstwa sprawiały, że czynił błyskawiczne postępy.

Tania rakietka szybko się zniszczyła. Ada zrujnowała się, żeby kupić chłopcu nową. Z czasem przez ręce Taja przewinęły się setki raket, niektóre warte tygodniowych zarobków matki. Nigdy jednak nie zapomniał tej pierwszej. Zachował ją, początkowo z dziecięcego sentymentu, potem jako symbol.

Dzięki sukcesom sportowym wyrobił sobie pozycję w sąsiedztwie. Gdy miał niespełna trzynaście lat, przegrane na korcie należały do rzadkości. Taj poznał tę grę na wylot. Czytał wszystko, co dotyczyło tenisa, jego historii i najsłynniejszych graczy. Gdy jego rówieśnicy pochłonięci byli przygodami White Soxów i Cubsów, Taj na swoim czarno - białym telewizorze śledził z zapartym tchem rozgrywki Wimbledonu. Podjął już decyzję, że pewnego dnia tam zagra. I wygra. Ada po raz kolejny pomogła losowi.

Jedno z biur, które sprzątała, należało do Martina Dericka, prawnika i entuzjasty gry w tenisa, który patronował miejscowemu klubowi country. Był to przemyśły człowiek, który często pracował do późnej nocy. Czasem wymieniali z Adą drobne uwagi, a ona umiejętnie przemyciała wiadomości o swoim synu, tak by zainteresować słuchacza, lecz go nie zanudzić. Taj odziedziczył po matce tę lisią przebiegłość.

Wreszcie któregoś wieczoru Martin wspomniął, że chciałby zobaczyć chłopaka podczas gry. Ada natychmiast zaproponowała, aby wpadł w najbliższą sobotę na nieoficjalne zawody, po czym pośpiesznie zorganizowała cały turniej. Niezależnie od tego, co przywiodło Martina na odrapane korty w South Side, ciekawość czy chęć zysku, rezultat był dokładnie taki, jaki Ada sobie wymarzyła.

Taj wciąż grał amatorsko, lecz agresywnie. Temperament chłopaka dodawał grze ikry, a jego szybkość była wprost niewiarygodna. Pod koniec seta Martin stał, wczepiony w drucianą siatkę ogrodzenia, śledząc z zachwytem wyczyny Taja. Żaden mecz na wygładzonych kortach własnego klubu nie wciągnął go tak jak ten.

Kiedy podszedł do zlanego potem chudzielca, w głowie formowały mu się plany i pomysły.

- Chcesz grać w tenisa?

Taj zerknął spod oka na kosztowny garnitur prawnika i nonszalancko podrzucił rakietę.

- Pobrudzisz się pan - prychnął, spojrzawszy pogardliwie na lśniące, skórzane buty.

Martin nie mógł nie zauważyć bezczelnego uśmiešku, lecz jego uwagę przykuło spojrzenie chłopaka. Instynkt podpowiadał mu, że jest to spojrzenie mistrza urodzonego do walki. Pomysły, krążące Derickowi po głowie, przybrały bardziej realny kształt.

- Pytam, czy chcesz grać za pieniądze? - zapytał spokojnie. Taj nadal bawił się rakieta, jednak pytanie gwałtownie przyspieszyło mu puls.

- Aha... I co z tego?

Martin puścił mimo uszu uszczypliwy ton odpowiedzi i uśmiechnął się. Polubił tego zadziornego dzieciaka, Bóg jeden wie dlaczego.

- Potrzebne ci będą lekcje i porządny kort. - Spojrzał na wysłużoną raketę Taja - I sprzęt. Nie można osiągnąć dużej mocy raketką z plastikowym naciągami.

Na te słowa Taj podrzucił piłkę i ściał ją, celując w pole serwisowe.

- Nieźle - ocenił Martin - ale naciąg z baranich jelit podziałałby skuteczniej.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem - burknął chłopak.

Martin wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował go. Taj odmownie pokręcił głową. Prawnik zapalił więc sam, zaciągając się głęboko.

- Zniszczy pan sobie płuca.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem - odparł Derick. - Dałbyś radę zagrać na trawie?

Taj zrobił znudzoną minę i w odpowiedzi posłał następną piłkę na drugą stronę siatki.

- Jesteś cholernie pewny siebie, mały.

- Będę grał na Wimbledonie - oznajmił Taj, jakby wszystko było już przesądzone. - I wygram.

Tym razem Martin nie uśmiechnął się, lecz sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej plik eleganckich, drukowanych na drogim papierze wizytówek i podał jedną chłopcu.

- Zadzwoń do mnie w poniedziałek - powiedział i odszedł. W ten sposób Taj zdobył opiekuna.

Współpraca nie zawsze się układała. W ciągu siedmiu lat nie obyło się bez kłótni, wybuchów złości i porywów sympatii. Taj ciężko pracował, rozumiejąc, że tylko praca i samodyscyplina pozwolą mu osiągnąć sukces. Kontynuował naukę szkolną tylko dlatego, że Ada z Martinem zjednoczyli się przeciwko niemu. Postawili warunek, że ma ukończyć szkołę z porządnymi ocenami, w przeciwnym razie patron wycofa się z umowy. Taj zgodził się na ten układ tylko dlatego, że nie miał innego wyjścia. Na lekcjach tenisa szlifował warsztat. Dzięki dobremu sprzętowi jego gra nabrała wyrazistości. Poznał specyfikę każdego rodzaju nawierzchni, grając na przystrzyżonej trawie, idealnie równej mączce oraz drewnie.

Każdego ranka, przed pójściem do szkoły, ostro trenował. Również popołudnia i weekendy poświęcał tenisowi. Latem pracował w sklepie sportowym w klubie Martina, po pracy zaś ćwiczył umiejętności na korcie. Kiedy miał szesnaście lat, przegrywał tylko wtedy, gdy miał szczególnie zły dzień.

Trudny charakter Taja został zaakceptowany. Jego mecze były nie lada widowiskiem. Kobietom podobała się nieokrzesana szorstkość chłopaka. Wcześniej poznał więc przyjemności kobiecego ciała i rozwijał swoje talenty w tej dziedzinie równie pracowicie jak w tenisie.

Tylko raz zdarzyła mu się dłuższa przerwa w grze. Zranił się w rękę, stając w obronie siostry. Uznał, że warto poczekać dwa tygodnie, dopóki rana się nie zagoi, zwłaszcza że jego przeciwnik miał złamany nos.

Na pierwsze zawody jechał jako zawodnik nieznany i nierozstawiony. W długim i wyczerpującym meczu, zapowiadany jedynie w specjalistycznej prasie, Taj Starbuck odniósł pierwsze zwycięstwo jako zawodowiec. Gdy zdarzyło mu się przegrać, zachowywał się arogancko i nieuprzejmie. Jeśli wygrał, robił to samo. Prasa nie zniszczyła go tylko dlatego, że był młody, przystojny i zwracał na siebie uwagę. Ponadto był szanowany w środowisku ze względu na swoją przeszłość. Tenisiści zazwyczaj wychowywali się w dostatku i zacisznej atmosferze country dubów i potrafili docenić kogoś, kto awansował ze społecznych dołów.

Przed swoimi dziewiętnastymi urodzinami Taj wpłacił zaliczkę na dom na przedmieściach Chicago. Wkrótce wyprowadził się z matką i siostrą ze starego mieszkania. W wieku dwudziestu lat po raz pierwszy wygrał na kortach Wimbledonu. Marzenie się spełniło, ale czar gry nie prysnął.

Teraz, spacerując rzymskimi uliczkami, Taj myślał o przeszłości. To Asher wprowadziła go w ten wspomnieniowy nastrój zapewne dlatego, że jej korzenie były zupełnie inne. W życiu Asher nie było ulicznych gangów i mrocznych, odludnych zaułków. Dzieciństwo upłynęło jej w spokoju i dostatku. Jako córka Jima Wolfe'a mogła z łatwością rozwijać sportowe zainteresowania.

Gdy miała cztery lata, dostała od taty rakietę wykonaną na zamówienie. Uczyła się nią machać na prywatnych, rodzinnych kortach. Matka Asher miała służbę do sprząwania, matka Taja sama sprzątała, i to nie tylko u siebie.

Taj zastanawiał się, czy właśnie owa ogromna różnica między nimi tak bardzo przyciągała go do Asher. Przypomniawszy sobie moment, w którym wpadła w jego ramiona. Ani

jedno, ani drugie nie myślało o swoim pochodzeniu. Ta dziewczyna miała w sobie rezerwę, która go intrygowała. Namiętność, którą w niej wyczuwał, zawładnęła nim bez reszty.

Wyzwanie, tak, o to chodziło. Taj zmarszczył brwi. Był mężczyzną, który nie umiał oprzeć się wyzwaniom. Coś w wyniosłej i pełnej dystansu postawie Asher zafascynowało go, kiedy była jeszcze podlotkiem. Czekał cierpliwie, aż dorośnie. I zmięknie, przyznał z niesmakiem. Skręcił w jakąś uliczkę, na której znajdowała się jedna z licznych rzymskich fontann. Woda migotała wesoło w świetle latarni. Dałby wiele, aby jego krew była tak chłodna, jak ta srebrzysta ciecz.

Nadal pragnął tej kobiety. Potrzeba ścierała się z dumą, wpędzając go w złość i rozpacz. Gotów był przyjąć ją z powrotem, wiedząc, że była żoną innego mężczyzny i że dzieliła z nim łóżko. Byłoby łatwiej myśleć o niej, gdyby miała kochanków, a nie męża - i to cholernego Angola z tytułami, do którego pobiegła prosto z ich wspólnego gniazdka. Dlaczego? Pytanie uporczywie domagało się odpowiedzi.

Ileż razy w ciągu pierwszych, samotnych miesięcy analizował ich ostatnie wspólne dni, szukając jakiejś wskazówki, jakiegoś klucza. Potem poddał się bólowi i goryczy. Rana zagoiła się wreszcie, blizna zasklepiła. Taj przetrwał, ponieważ był twardy. Poradził sobie z biedą, szkołą i gangami ulicznymi. Zaśmiał się gorzko, przeczesawszy palcami czuprynę. Czy rzeczywiście poradził sobie z Asher?

Zdawał sobie sprawę, że spał z wieloma kobietami, ponieważ miały włosy albo głos podobne do Asher. Były podobne, zawsze tylko podobne. Kiedy wreszcie przekonał samego siebie, że to, co widzi jest złudzeniem, ona wróciła, wolna. Taj zaśmiał się ponownie. Rozwód Asher nie miał dla niego żadnego znaczenia. Gdyby nadal formalnie należała do innego mężczyzny, nie robiłoby mu to najmniejszej różnicy. I tak by jej pragnął.

Tym razem jednak to on będzie dyktował warunki. Stracił cierpliwość. Asher będzie należała do niego dopóty, dopóki sam nie postanowi odejść. Wyzwanie, strategia i działanie - tego wzoru trzymał się przez połowę życia. Sięgnął do kieszeni po monetę i wrzucił ją niedbale do fontanny, chcąc obłaskawić fortunę. Moneta z wolna opadła na dno i osiadła obok setek innych.

Taj rozejrzał się po ulicy. Wreszcie wypatrzył neon baru. Miał ochotę na drinka.

ROZDZIAŁ 4

Asher miała mnóstwo czasu, aby na pokładzie samolotu do Paryża cieszyć się mistrzowskim tytułem, który uwieńczył jej pobyt we Włoszech. Po prawie dwugodzinnym meczu była zbyt zmęczona, by w pełni docenić najnowsze osiągnięcie. Jak przez mgłę pamiętała uściski Madge i owacje z trybun. Przypominała sobie błysk fleszy i setki pytań, na które musiała odpowiadać, zanim osunęła się na stół masażysty. Potem były bankiety i świętowanie, kolory, muzyka, wywiady i szampan. Natłok twarzy, dłonie wyciągane ku niej, zbyt wielu reporterów, nazbyt wielu fanów. Dopiero teraz, kiedy samolot oderwał się od ziemi, miała czas pomyśleć. Tak, odniosła sukces.

Nigdy dotąd nie udało jej się poskromić włoskich kortów. Teraz jej powrót został przypieczętowany zwycięstwem. Każda godzina wysiłku i fizycznego bólu w ciągu ostatnich sześciu miesięcy warta była zachodu. Jeśli miała wątpliwości co do sensu powrotu, wyzbyła się ich całkowicie.

Nie wahała się, czy zostawić Erica, zważywszy na brak uczuć i rozpad małżeństwa. Małżeństwa, które już po paru miesiącach zamieniło się w kurtuazyjną grę pozorów. Jeśli popełniła w życiu niewybaczalny błąd, było nim właśnie małżeństwo z lordem Erikiem Wickertonem.

Niewłaściwe decyzje, od początku do końca, myślała Asher, sadowiąc się wygodnie w fotelu i przymykając oczy. Na czele z pierwszą, fatalną, która związała ją z Erikiem. Wiedział, że go nie kocha, i nie miało to dla niego znaczenia. Oczekiwał jedynie pełnego dopasowania się do idealnego wizerunku angielskiej lady, ona zaś nie miała nic przeciwko temu. Zbyt silna była w niej potrzeba ucieczki. Dała Ericowi to, czego chciał: była zadbaną i atrakcyjną żoną i towarzyszką. Sądziła, że w zamian ofiaruje jej miłość i zrozumienie. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna, prawie tak bolesna, jak to, od czego próbowała uciec. Odkryła, że kłótnie są o wiele trudniejsze między ludźmi, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego. Jeszcze gorzej, gdy jedna ze stron obwinia drugą.

Asher postanowiła nie wracać do przeszłości. Nie myśleć o chwilach, które wniosły do jej życia rozczarowanie i gorycz i pozbawiły ją złudzeń. Zamiast tego będzie cieszyć się zwycięstwem.

Michael miał rację co do Tii. Ta kobieta była niewielką, ruchliwą diabolicą, która grała ostro i nigdy się nie męczyła. Jej gra polegała na odnajdywaniu słabych punktów przeciwniczki i bezlitosnym ich wykorzystywaniu. Na korcie nosiła drobne złote ozdoby - cienki

łańcuszek dookoła szyi, w uszach filigranowe, zwisające kolczyki i grubą spinkę, trzymającą na uwięzi kruczoczarne włosy. Do tego spódniczka w kolorach pastelowych, z infantylną falbanką.

Ale grała jak rozdrażniona tygrysica. Obie kobiety przebiegły całe kilometry podczas tego meczu, który prze - ciągnął się do pięciu setów. Ostatni składał się z dziesięciu wyrównanych gemów. Przewaga zmieniała się co chwilę. Nigdy nie było prawdziwszym zdanie, że gra kończy się wtedy, gdy kończy się mecz.

Obie zawodniczki zeszły z kortu spocone, wyczerpane i obolałe, słaniając się ze zmęczenia. Asher zdobyła tytuł. Nic poza tym się nie liczyło.

Wracając w myślach do tamtej chwili, cieszyła się, że wygrała tak trudny pojedynek po trzyletniej przerwie. Chciała dostarczyć prasie tematu, który nie ucichnie za dwa dni.

Nierozstawieni zawodnicy, wygrywający światowej rangi turnieje, byli dla prasy łakomym kaskiem, nawet biorąc pod uwagę chlubną przeszłość Asher. Jak na razie przeszłość jej pomagała. Potrzebowała jej, by przedłużyć swoje pięć minut na kortach.

Mając Rzym za sobą, szykowała się na Paryż, na pierwszą część Wielkiego Szlema. Wygrała już tam kiedyś, na ziemnych kortach, w tym samym roku, w którym związała się ze Starbuckiem...

I znów Taj, choć próbowała nie dopuszczać do siebie myśli o nim.

„Wrócimy do tego w Paryżu”. Słowa ni to groźby, ni to obietnicy, kołatały Asher w głowie. Znała Taja na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie rzuca słów na wiatr. Nadejdzie pora, kiedy będzie musiała się z nim zmierzyć. Nie była już naiwna ani niewinna jak dawniej. Życie nauczyło ją, że nie istnieją proste odpowiedzi i szczęśliwe zakończenia. Zbyt wiele straciła, aby wierzyć w sakramentalne „żyli długo i szczęśliwie”. A przecież myślała, że taka przyszłość czekają i Taja Pomyliła się. Nie byli już księciem i księżniczką z kortu. Mogła tylko mieć nadzieję, że przez ten czas oboje dorośli i zmądrzeli.

Była pewna, że Starbuck będzie próbował ponownie ją zdobyć, żeby ulżyć swojej urażonej dumie. Z drzeniem wspominała jego niespożytą energię i pasję podczas miłosnych uniesień. Niełatwo będzie mu się oprzeć. Gdyby mogła to zrobić bez ryzyka cierpienia, chętnie dałaby mu to, czego chciał. Przez trzy nudne lata wytrzymała bez namiętności, którą w niej rozbudził. Przez trzy puste lata marzyła, pragnęła i zaprzeczała sama sobie.

Westchnęła. Starła się nigdy nie okłamywać siebie i teraz musiała przyznać, że wciąż kocha Taja, a właściwie ani na chwilę nie przestała go kochać. Dla niej ten romans nigdy się nie skończył. Miłość tkwiła w niej głęboko, a temu uczuciu towarzyszyło poczucie winy.

Co by się stało, gdybym mu powiedziała prawdę? - pomyślała. W jaki sposób miałyby to zrobić? Asher otworzyła oczy i zapatrzyła się w słońce, świecące nad oceanem chmur. Jego blask był równie bezlitosny jak jej myśli. Czy Taj by jej uwierzył? Czy by zrozumiał? Pełna wątpliwości, Asher potrząsnęła przecząco głową. Nie, nigdy się nie dowie, że poślubiła innego mężczyznę, nie wiedząc, że jest w ciąży z Tajem, ani że straciła tę bezcenną pamiątkę ich miłości przez rozpacz i depresję.

Asher boleśnie zacisnęła powieki. Paryż był stanowczo zbyt blisko.

- Taj! Taj!

Taj odwrócił się. W oczach zapaliły mu się radosne ogniki. Rzucił raketę na ławkę i chwycił w ramiona kobietę, która podbiegła do niego pędem. Uniósł ją wysoko w ramionach, zawirował trzy razy w szalonym piruecie, a potem przytulił mocno i serdecznie. Usiłowała złapać oddech, nie przestając się śmiać.

- Zgnieciesz mnie! - krzyknęła, lecz odwzajemniła uścisk.

Taj wyczałował ją w oba policzki, postawił na ziemi i przyjrzał się jej uważnie. Była drobna, dużo niższa od niego, o krągłych kształtach, ale nie pulchna. Szarozielone oczy błyszczały radością, a usta o pełnych wargach uśmiechały się. Jest piękna, pomyślał z czułością, zawsze taka była. Zanurzył rękę we włosach kobiety, równie ciemnych jak jego własne, lecz obciętych tuż ponad ramionami.

- Co tu robisz, Jess?

Zaśmiała się w odpowiedzi i po siostrzanemu uszczypnęła Taja w policzek.

- Słucham wymówek z ust najlepszego tenisisty świata.

Taj objął siostrę ramieniem i dopiero wtedy zauważył stojącego obok mężczyznę.

- Hej, Mac. - Podał mu rękę, nie puszczając Jess.

- Jak się masz?

- Dziękuję, świetnie.

Mac przyjął powitanie z lekkim rozbawieniem. Dobrze wiedział, jaki Taj ma stosunek do swojej małej siostrzyczki, która miała już dwadzieścia siedem lat i była matką. Kiedy dwa lata temu się pobrali, Mac zdał sobie sprawę, że musi uszanować szczególną więź, łączącą to kochające się rodzeństwo. Sam, będąc jedynakiem, po trosze zazdrościł żonie. Dwa lata rodzinnych kontaktów zmniejszyło nieufność Taja wobec mężczyzny, który poślubił jego siostrę, ale jej nie zlikwidowało. Nie łagodził również sytuacji fakt, iż Mac był o piętnaście lat starszy od Jess i że zabrał ją do dalekiej Kalifornii, gdzie prowadził badania i miał własną firmę. Na dodatek wolał szachy od tenisa. Mac nie miałby szans zbliżyć się do Jessiki Starbuck nawet na metr, gdyby nie był siostrzeńcem Martina Dericka.

Drogi wujek Martin, pomyślał, spoglądając na swoją śliczną żonę. Taj zauważył pełne miłości spojrzenie szwagra i zsunął rękę z ramion Jess.

- Gdzie jest Pete? - zwrócił się do Maca. Mac docenił gest i uśmiechnął się.

- Z babcią. Lubią przebywać ze sobą.

Jess roześmiała się swoim nieco rubasznym, zaraźliwym śmiechem. Obaj mężczyźni uwielbiali ten śmiech.

- Ledwo skończył rok, a już pruje jak błyskawica. Mama jest przerażona. Przesyła ci całusy - powiedziała. - Wiesz, że nie lubi długich podróży samolotem.

- Wiem. - Taj pochylił się nad ławką, żeby zapakować raketę do torby. - Rozmawiałem z mamą wczoraj wieczorem. Ani słowem nie wspomniała, że przyjedziecie.

- Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę. - Jess wsunęła rękę pod ramię małżonka. - Mac uznał, że Paryż to idealne miejsce na drugi miesiąc miodowy.

Spojrzała czule na męża i przyłgnęła do niego w mocnym uścisku.

- Chciałem, żeby odpoczęła od malucha przez dwa tygodnie. - Mac mrugnął porozumiewawczo do Taja - Okazałeś się świetną przynętą. - Pochylił się i cmoknął Jess w czubek głowy. - Pete to jej oczko w głowie.

- Och, przesadzasz - oburzyła się, ale w kącikach jej ust igrał dumny, macierzyński uśmiech. - No, może jest w tym trochę racji. Pete jest takim bystrym malcem!

Mac wyjął starą, wysłużoną fajkę.

- Jess najchętniej wysłałaby go do Harvardu jeszcze w pieluchach.

- Dopiero w przyszłym roku - dodała skwapliwie Jess. - Ale mówmy o tobie, mistrzu rakiety. - Spojrzała uważnie na brata. Co znaczą te podkrążone oczy? Jess zastanawiała się nad tym przez chwilę, aż wreszcie uznała, że szuka dziury w całym. W końcu miał za sobą wyczerpujący mecz. - Martin jak zwykle będzie z ciebie dumny.

- Miałem nadzieję, że pojawi się na zawodach. - Taj spojrzał w kierunku pustych trybun. - Przed każdym meczem wypatruję go na widowni.

- Chciałby tu być. Gdyby istniał jakiś sposób, żeby przełożyć datę rozprawy. - Jess zamilkła, ale po chwili uśmiechnęła się lekko. - Razem z Makiem będziemy reprezentować rodzinę.

Taj zarzucił torbę na ramię.

- Poradzicie sobie. Gdzie się zatrzymaliście?

- W... - Słowa ugrzęzły Jess w gardle, gdy spostrzegła smukłą blondynkę idącą na przełaj przez kort. Podniosła dłoń do twarzy, jakby chciała odgarnąć z czoła niesforne kosmyki. - To Asher - wymamrotała, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Taj odwrócił się

gwałtownie. Asher nie zauważyła ich, pochłonięta rozmową z Chuckiem, który, sądząc po gestach, opisywał jej przebieg jakiegoś meczu.

- Tak - powiedział niemal szeptem. - To Asher. - Przypatrywał się liniom jej ciała, subtelnie podkreślonym luźnym dressem. - Nie wiedziałaś, że tu jest?

- Wiedziała, ale...

Jess była kompletnie zbita z tropu. Nie potrafiła opisać wrażenia, jakie zrobił na niej widok Asher Wolfe, znów stojącej na korcie. W ułamku sekundy przemknęły jej przed oczami minione lata. Zobaczyła zimne błękitne oczy, usłyszała stanowczy i opanowany głos. Wówczas nie miała najmniejszych wątpliwości, co jest złe, a co dobre. Tamto wrześnieowe wydarzenie, które pociągnęło za sobą katastrofalną reakcję łańcuchową, ugruntowało tylko jej opinię. Teraz nastąpił rozwód i Asher wróciła Jess poczuła, jak ciepła dłoń męża zaciska się opiekuńczo wokół jej dłoni. Granica między dobrem i złem straciła wyrazistość.

Odwróciła się ku bratu i poczuła się jeszcze gorzej. Taj nie spuszczał oczu z Asher, dosłownie chłonał ją wzrokiem. Czyżby nadal kochał tę kobietę? Jak by zareagował, gdyby powiedziała mu, jaką rolę odegrała ona sama w tym, co zaszło trzy lata temu?

- Taj...

Oczy brata, barometr jego nastrojów, były ciemne i wzburzone. W jakiś sposób ostrzegały siostrę, żeby nie zadawała żadnych pytań. Na pewno wrócą do przeszłości, kiedy przyjdzie odpowiednia pora.

- Nadal piękna, prawda? - rzucił swobodnie. - Gdzie się zatrzymaliście? - Mac wybrał romantyczne miejsce - odparła Jess, wciąż oszołomiona.

- Ponieważ ma osiemnaście lat i gra jak błyskawica w eliminacjach, narzekają na niego tylko po kątach. - Chuck niedbale podrzucił piłkę, a kiedy do niego wróciła, ścisnął ją w dłoni. - Nie miałbym nic przeciwko facetowi, gdyby nie był taką kanalią.

Asher zaśmiała się wyrozumiale, podbierając Chuckowi piłkę, gdy znów ją podrzucił.

- I gdyby nie miał osiemnastu lat - dodała z przekąsem.

- Daj spokój, ten gość chodzi w firmowej bieliźnie.

- Żółtodziób i tyle - podsumowała lekceważąco Asher, puszczając oko do Chucka. - Kiedy go pokonasz w ćwierćfinałach, poczujesz się lepiej. Młodość przeciwko doświadczeniu - dodała beztrzesko, choć powinna ugryźć się w język.

Chuck skrzywił się ironicznie i zauważył.

- A ty grasz z Rayską. Można powiedzieć, że oboje jesteśmy starymi wyjadaczami.

Asher spochmurniała.

- Punkt dla ciebie - przyznała, wzdychając z rezygnacją.

- Ja tam zamierzam pokazać smarkaczowi, gdzie raki zimują - Chuck wypiął pierś i uśmiechnął się szeroko. Podniósł prawą rękę i zgiął ją kilkakrotnie w znanym, nieprzyzwoitym geście. - Jeżeli skubańcowi się poszczęści, zostawię go na żer Tajowi.

Asher nerwowo odbiła piłkę, a gdy ta wróciła, zacisnęła ją w palcach, podobnie jak Chuck. - Skąd wiesz, że Taj przejdzie do finałów? - spytała szybko.

- To pewne jak w banku - stwierdził. - Ten rok należy do niego. Nigdy nie grał lepiej. - Duma z osiągnięć przyjaciela, podszyta odrobiną zazdrości, dodała wypowiedzi mocy. - Będzie zdobywał jeden tytuł za drugim, zobaczysz.

Asher nie odpowiedziała. Nawet nie kiwnęła głową, gdy Chuck próbował udowodnić swoje racje, przytaczając co ciekawsze szczegóły z meczu eliminacyjnego Starbucka. Lekki wiatr przynosił do jej stóp płatki kwiatów. Był wczesny ranek i korty Rolanda Garrosa urzekały sennym spokojem. Echo uderzanych piłek było ledwie słyszalne. Za kilka godzin czternaście tysięcy miejsc wokół pojedynczego kortu wypełni się ludźmi. Zrobi się gwarno, zza trybun zaczną dobiegać odgłosy ruchu na autostradzie, oddzielającej stadion od Lasku Bulońskiego.

Asher przyglądała się, jak wiatr trąca smutne gałęzie wierzby płaczącej, podczas gdy Chuck kontynuował opowieść. W pierwszym tygodniu turnieju gry będą się odbywały przez jedenaście godzin dziennie. W ten sposób nawet najbardziej nieudolni zawodnicy, którzy odpadną w pierwszej rundzie, nagrają się do woli. Większość profesjonalistów z branży uważała ów turniej za najtrudniejszy. Podobnie jak Taj, Asher miała już za sobą zwycięstwo w tym miejscu.

Paryż... Taj... Czy jest jakieś miejsce na świecie, które nie przywodziłoby na myśl wspomnień? W Paryżu siedzieli w kinie, zaaferowani sobą jak nastolatki, bezmyślnie oglądając film Bergmana, wyświetlany na ekranie. W Paryżu rozmasował jej skurcz w łydce. Czułością i groźbami sprawił, że mimo bólu wygrała tamten mecz. W Paryżu kochali się, dopóki starczyło im sił. Wtedy Asher jeszcze wierzyła w szczęśliwe zakończenia.

Zmagając się ze wspomnieniami, rozejrzała się po trybunach, aby wrócić do rzeczywistości. Niespodziewanie napotkała spojrzenie Jess. Żadna z kobiet nie dała po sobie poznać zaskoczenia. Nie wykonały gestu pozdrowienia, ale nie mogły odwrócić od siebie wzroku.

- Hej, to Jess! - Chuck przerwał monolog o meczu Taja, aby obwieścić obecność siostry przyjaciela, siedzącej na trybunie, i pociągnął swoją towarzyszkę za rękę. - Chodź, przywitamy się.

Asher szarpnęła się w odruchu paniki.

- Nieee... Muszę się jeszcze z kimś spotkać... - Nie mogła wymyślić żadnej sensownej wymówki, więc po prostu wyrwała rękę z uścisku Chucka. - Idź ty, zobaczymy się później - rzuciła i nie zważając na protesty kolegi, ruszyła w przeciwnym kierunku.

Zatrzymała się dopiero w Jardin des Plantes. Jednak mieszanina słodkich woni egzotycznych roślin, małe tabliczki z ich dziwnymi nazwami i ławeczki, skryte w zieleni, wydawały się nieodpowiednią scenerią dla zszarganych nerwów. Asher zwolniła kroku i próbowała się uspokoić.

Głupio zrobiła, nie trzeba było uciekać. Nie była jednak gotowa na spotkanie z siostrą Taja, jedyną osobą, która знаła wszystkie motywy jej decyzji. Rozmowa z Jess w chwili, kiedy była na nowo zaabsorbowana Tajem, mogła być tragiczna w skutkach. Po chwili nieco spokojniej pomyślała, że potrzebuje trochę czasu, aby przygotować się na tę konfrontację. Nie ulegało wątpliwości, że Jess również zaskoczył jej widok. Asher była zbyt rozkojarzona, żeby dociekać przyczyn.

Nie chciała myśleć o ostatnim spotkaniu z Jess Starbuck, o tamtym upalnym, letnim popołudniu. Z nieoczekiwaną wyrazistością, wbrew woli, wracały do niej słowa wypowiedziane nieskładnie i pośpiesznie w pokoju hotelowym, który dzieliła z Tajem. Przypominał się ból, pakowane walizki i wreszcie nieodwołalna decyzja, by związać się z innym mężczyzną.

Taj nie mylił się, uciekła, niestety, tylko pozornie. Prawie nic się nie zmieniło w ciągu tych trzech lat, a jednak nic nie było już takie jak dawniej. Dawna miłość nie umarła. Była naiwna, przypuszczając, że może odzyskać to, co wcześniej odtrąciła. Taj Starbuck był jej pierwszym kochankiem i jedynym mężczyzną, którego kochała.

Poczęli dziecko, które umarło, nim przyszło na świat. Nigdy sobie nie wybaczy wypadku, jaki odebrał jej to cenne i wątłe życie. Utrata dziecka przyczyniła się do rozpadu jej małżeństwa bardziej niż brak miłości i zrozumienia ze strony Erica.

A gdyby przeżyło? - dręczyła się. Co wtedy? Czy mogłaby je przed Tajem ukryć? Czy mogłaby być żoną innego mężczyzny, nosząc w sobie dziecko ukochanego? Asher stanowczo potrząsnęła głową. Koniec z gdybaniem. Straciła Taja jego dziecko i wsparcie ojca. Nie mogła zostać srożej ukarana. Od tej chwili weźmie sprawy w swoje ręce.

Z zamyślenia wyrwał Asher dotyk dłoni na ramieniu. Podniosła głowę i zobaczyła przed sobą Taja. Myśli w ułamku sekundy rozbiegły się w nieładzie. Miała wraże - nie, że nagle w całym ogrodzie zapadła grobowa cisza. Doszedł ją zapach słodki i wyrazisty jak pierwszy pocałunek. Taj bez słowa wziął ją za rękę.

- Denerwujesz się przed meczem?

W obawie, że zorientuje się, o czym rozmyślała, rozpaczliwie starała się wziąć w garść.

- Jestem przejęta - uściśliła, zdobywając się na nikły uśmiech. - Rayska jest jedną z czołowych zawodniczek.

- Przecież już raz z nią wygrałaś.

- Ona też raz ze mną wygrała. - Nie przyszło jej do głowy, żeby zabrać dłoń z ręki Taja albo ukryć przed nim wątpliwości. Powoli uspokajała się i wyczuł to momentalnie. Kiedyś już byli tu razem i ten ogród przywodził na myśl słodkie wspomnienia.

- Zagraj z nią tak jak z Conway - poradził. - Ich styl jest bardzo podobny.

Asher roześmiała się głośno i odgarnęła włosy z czoła.

- To ma być pocieszenie?

- Jesteś od niej lepsza - powiedział, otrzymując w odpowiedzi zdumione spojrzenie. Teraz z kolei on roześmiał się w głos. Niedbale pogładził policzek Asher. - Bardziej skoncentrowana - wyjaśnił. - Rayska jest szybsza, ale ty jesteś silniejsza. To ci daje dużą przewagę.

Asher, nieco zbity z tropu, zaryzykowała zdziwienie.

- Cóż...

- Poprawiłaś się - ciągnął, gdy ruszyli przed siebie. - Twój bekhend nie ma jeszcze tej mocy, jaką powinien mieć, ale...

- Wiem, spełnił swoje zadanie - przerwała niecierpliwie. - Mógłby być lepszy - nie dawał za wygraną.

- Jest doskonały - prychnęła Asher rozzłoszczona, zanim zorientowała się, że Taj żartuje. Nie zdołała powstrzymać uśmiechu. - Zawsze musisz mnie zdenerwować. Grasz z Kilroyem - zmieniła temat. - Nigdy o nim nie słyszałam.

- Gra od dwóch lat. W zeszłym roku w Melbourne wszystkich zaskoczył.

Taj objął Asher ramieniem. Gest był tak naturalny i znajomy, że żadne z nich nie zwróciło nań uwagi.

- Co to za kwiat?

Asher spojrzała w dół na tabliczkę.

- Pantofelek Damy.

- Głupiutka nazwa.

- Raczej cyniczna.

Taj wzruszył ramionami.

- Wolę róże - wyznał.

- Tylko dlatego, że to jedyne kwiaty, które rozpoznajesz. - Asher odruchowo oparta głowę na jego ramieniu. - Pamiętam, że kiedyś nie mogłam się wykąpać, bo wypełniłeś wannę różami. Było ich chyba ze sto.

Zapach jej włosów przypominał Tajowi o wiele więcej.

- Uprzątnięcie ich zajęło nam godzinę. Asher westchnęła.

- To było cudowne. Zawsze potrafiłeś mnie zaskoczyć jakimś absurdalnym gestem.

- Absurdem byłaby wanna z pantofelkami - sprostował. - Róże mają klasę.

Przytaknęła, śmiejąc się beztrząsco.

- Powtykaliśmy je we wszystko, co mogło służyć jako wazon. Nie uratowała się nawet butelka po piwie. Czasem, kiedy... - urwała nagle w obawie, że za chwilę powie za dużo.

- Kiedy co? - zapytał gwałtownie, odwracając Asher twarzą ku sobie. W odpowiedzi potrząsnęła tylko głową Taj chwycił ją mocniej.

- Czy budziłaś się w środku nocy, bo nagle wróciło do ciebie jakieś wspomnienie? Czy dręczyło cię coś, o czym nie mogłaś zapomnieć?

Tak było. Asher zeszywniała, a potem w geście obrony próbowała odepchnąć Taja od siebie.

- Proszę cię, przestań.

- Ja budziłem się co noc - potrząsnął nią gwałtownie. - Nigdy nie przestałem cię pragnąć. Nienawidziłem cię, ale nadal pragnąłem. Czy wiesz, jakie to uczucie obudzić się o trzeciej w nocy z tęsknoty za kimś, kto śpi w łóżku innego mężczyzny?

- Nie, nie, błagam. - Wtuliła się w niego, twarzą przylgnęła do jego policzka. - Nie rób tego.

- Czego? - Odsunął ją, by widzieć jej twarz. - Mam przestać cię nienawidzić? Mam cię nie pragnąć? Nie umiem.

Spojrzenie Taja przeszywało ją do głębi. Oczy miał pociemniałe od złości i błyszczące namiętnością. Asher słyszała szybkie, głuche uderzenia jego serca. Nie zważała na dumę ani żadne inne uczucia. Pragnęła tylko jego ust.

Taj był tak zaskoczony, że nie zareagował od razu, kiedy Asher zachłannie przyciągnęła go do siebie. Wstrząsnął nim przeciągły dreszcz budzącego się pożądania. Postanowienia i obietnice zeszyły na dalszy plan. Nie było sensu dłużej się opierać, zresztą wcale tego nie chciał. Asher składała gorące pocałunki na jego twarzy. Czyż nie tego właśnie pragnął? Odzyskać ją, by przekonać się, że może znów ją mieć? Rosnące podniecenie tłumilo myśli. Istniała tylko Asher, jej słodki smak, zapach bardziej oszalamiający niż woń

otaczających ich kwiatów. Nie mógł myśleć, czując przy sobie jej cudowne ciało. Poddał się więc natarczywym ustom, które od dawna nawiedzały go w snach.

Przerwał na chwilę pocałunek i wciągnął Asher pod gęste gałęzie wierzby płaczącej. W zielonym namiocie panował półmrok, światło leniwie sączyło się do środka. Taj szukał ust Asher i znalazł je po chwili, jeszcze bardziej łakome niż poprzednio.

Chciał wiedzieć, czy jej ciało zmieniło się w czasie rozłąki. Dotknął piersi i wydał pełen aprobaty pomruk. Pozostała drobna, jędrna i jakże znajoma. Przez cienką warstwę kurtki poczuł, jak pod wpływem dotyku twardnieje sutek.

Taj niecierpliwie rozpiął suwak i sięgnął pod bluzkę w poszukiwaniu gładkiego ciała, przy którym jego ręce wydawały się szorstkie i niezgrabne. Asher nie cofnęła się, gdy poczuła jego dotyk. Przeciwnie, przytuliła się mocniej, wydając błogie westchnienie.

Drżącymi dłońmi dotykała jego włosów. Taj odnalazł w jej gestach i pocałunkach rosnącą niecierpliwość. Pod dłonią czuł szaleńcze uderzenia serca, chociaż pieścił Asher zaledwie koniuszkami palców.

Drugą ręką niespiesznie wędrował ku biodru, rozpoznając zgrabny, smukły kształt. Zagubił się gdzieś pomiędzy przeszłością a tą upojną chwilą. Ciężka woń wilgotnych kwiatów działała jak afrodyzjak. Gdy oszołomiony schylił się ku szyi Asher, usłyszał cichutkie westchnienie. Czy ona także śniła? Czy i dla niej przeszłość zlała się z terażniejszością? Pytania przemykały mu przez głowę i znikwały, nie doczekawszy się odpowiedzi. Trzymał znów w ramionach kobietę, którą kochał - i to było najważniejsze.

Z dala dobiegł ich czyjś śmiech. Taj ponownie zawładnął ustami Asher. Śmiech przemienił się w trajkotanie po francusku. Taj przyciągnął Asher do siebie jeszcze bliżej, tak że ich ciała niemal stopiły się w jedno. W pobliżu usłyszeli kroki i ciszę znów przerwał chichot. Taj zdał sobie wreszcie sprawę z obecności intruzów, a mimo to zwlekał jeszcze chwilę, chłonąc promieniejącą z Asher namiętność.

Gdy rozluźnił ramiona, była zdyszana i półprzytomna. Wpatrywał się w nią bez słowa oczami pociemniałymi od pożądania. Usta miała rozchylone, obrzmiałe od pocałunków. Taj poddał się pokusie, by poczuć jeszcze raz ich dotyk. Pocałunek był długi, delikatny i powolny. Chciał jak najdokładniej zapamiętać smak Asher. Tym razem to ona zadrżała, jej oddech stał się głośny i szybki, jakby była nurkiem, który właśnie wy dostał się na powierzchnię. Kompletnie zdezorientowana chwyciła Taja za ramiona.

Jak długo to trwało? - zastanawiała się z niepokojem. Może minuty, a może dni. Jednego była pewna - że straciła nad sobą kontrolę. Krew burzyła się w żyłach, serce waliło jak oszalałe. Żyła pełnią życia. I co więcej, nie wiedziała, czy postępuje słusznie.

- Wieczorem - szepnął Taj, podnosząc jej dłoń do ust. Impuls pocałunku przeszył ramię Asher.

- Taj...

Pokręciła przecząco głową, próbując wydostać dłoń z jego dłoni, ale on jeszcze mocniej zacisnął palce.

- Dziś wieczorem - powtórzył spokojnie.

- Nie mogę. - Asher widziała, jak kontrolowany spokój znika z oczu Taja Zamknęła ich złęczone dłonie drugą ręką. - Taj, boję się.

Stwierdzenie to rozbroiło go zupełnie.

- Do diabła, Asher - westchnął ze znużeniem.

Bez słowa objęła go w pól i oparła głowę na jego piersi. Odruchowo zaczął gładzić jej włosy. Przymknął oczy i głęboko wciągnął powietrze.

- Przepraszam - szepnęła. - Wtedy też się bałam. Historia lubi się powtarzać.

Kocham cię, dopowiedziała w myślach. Tak samo jak dawniej. Nawet bardziej. Bardziej, bo po rozłącze.

- Asher. - Taj odsunął ją stanowczo od siebie, ale nadal czuła pulsującą w nim namiętność. - Tym razem nie będę na ciebie czekał. Nie będę miły i cierpliwy. Dużo się zmieniło.

Skinęła głową.

- To prawda, dużo się zmieniło - przyznała. - Chyba byłoby lepiej dla nas obojga, gdybyśmy trzymali się od siebie z daleka.

Taj zaśmiał się krótko.

- To niemożliwe.

- Gdybyśmy się postarali... - zaczęła.

- Nie mam zamiaru.

- Wywierzasz na mnie presję - powiedziała z pretensją. - Owszem - odparł bezczelnie.

Zanim Asher zdecydowała, czy ma się śmiać, czy wpaść w gniew, znów znalazła się w ramionach Taja.

- Myślisz, że ja nie czuję presji?! - powiedział to na tyle gwałtownie, iż zrezygnowała z odpowiedzi. - Za każdym razem, kiedy na ciebie spojrzę, zastanawiam się, dlaczego odeszłaś i dlaczego straciliśmy trzy lata. Masz pojęcie, jak się z tym wszystkim czuję?

Asher położyła dłonie na jego piersi.

- Zrozum, cokolwiek zajdzie między nami, otworzy to nowy rozdział. Nie chcę wracać do przeszłości. Czy to rozumiesz? - Widziała, jak narasta w nim gniew, jednak pozostała spokojna - Nie będę ci nic wyjaśniać - dodała stanowczo.

- Oczekujesz, że się na to zgodzę?

- Niczego nie oczekuję - powiedziała cicho. Jej ton kazał mu szukać odpowiedzi, których mu odmawiała. - I na nic się jeszcze nie zgodziłam.

- Zbyt wiele ode mnie żadasz - zachnął się, wypuszczając ją z objęć. - Zbyt wiele.

Pragnęła do niego wrócić, wtulić się w ramiona i błagać, by zapomniał o przeszłości. Można żyć chwilą, jeżeli komuś bardzo na tym zależy. Asher splótła palce i wpatrzyła się w ziemię.

- Wiem, Taj, i bardzo przepraszam, ale zrozum, że będziemy się tylko ranić.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić - zaprzeczył żarliwie. - Jeśli tak się stało, zrobiłem to nieświadomie.

Asher poczuła ostre ukłucie w sercu. Czyż nie to samo powiedziała jej Jess? „Nigdy by cię nie skrzywdził... Nigdy”. Zupełnie, jakby słyszała to wczoraj. - Żadne z nas nie chciało - powiedziała cicho. - Jednak oboje to zrobiliśmy. Czy warto powtarzać ten błąd?

- Spójrz na mnie. - Żądanie było stanowcze i nieodwołalne. Asher zebrała siły i podniosła głowę, napotykać przeszywające, uważne spojrzenie. Taj uniósł rękę i pogładził jej policzek. Bez wahania odwzajemniła gest. - A teraz - szepnął - zapytaj mnie znowu.

- Byłam pewna, że potrafię tego wszystkiego uniknąć - westchnęła, drżąc na całym ciele. - Że potrafię ci się oprzeć.

- Już nie jesteś?

- Nie. Niczego nie jestem pewna - z rezygnacją pokręciła głową. - O nic teraz nie pytaj. Daj nam obojgu trochę czasu - dodała szybko, zanim Taj zdążył się odezwać.

Już chciał zaprotestować, ale się powstrzymał. Trudno, czekał trzy lata, poczeka i dłużej.

- Dobrze, ale tylko trochę - zgodził się i po chwili opuścił dłoń. Kiedy Asher chciała cofnąć swoją, chwycił ją za nadgarstek. Uścisk wcale nie był delikatny. - Następnym razem nie będę pytał, zapamiętaj to sobie.

ROZDZIAŁ 5

Piąty set. Siódmy gem. Taj balansował na ugiętych nogach na linii końcowej, w każdej chwili gotów skoczyć ku piłce. Powietrze było ciężkie, a niebo zasnuwane deszczowymi chmurami, przez które przedostawało się niewiele światła. Nie zwracał na to uwagi. Nie zauważał ludzi wdrapujących się na ogrodzenie ani tych, którzy okrążali tablicę wyników. Stadion był pełen po brzegi, ale nie docierały do niego krzyki ani pogwizdywanie tysięcznego tłumu. Na nic nie zważał.

Tenis jest grą dla indywidualistów. Właśnie ta cecha najbardziej go pociągała. Tylko siebie mógł winić za przegraną lub chwalić za zwycięstwo. Tenis to gra emocji i ruchu. Taj świetnie radził sobie i z jednym, i z drugim.

Czekał na spotkanie z Michaeliem Kilroyem w półfinałach. Gra Australijczyka był żywa, pełna emocji, teatralnych gestów i złośliwych docinków. Należał do piątki tenisistów, których Taj najbardziej szanował. Widać było, że Australijczyk jest w szczytowej formie. T a j myślał teraz tylko o tym, by przełamać serwis Michaela i wyrównać wynik. Nie mógł się doszukać żadnych niedociągnięć w grze przeciwnika. Czekał na starcie jak bokser na gong.

Wreszcie usłyszał, jak piłka odbiła się od rakiety i popędziła ku niemu, uderzając idealnie w krawędź pola. Taj spiął się i w jednej chwili ruszył, by ją odebrać. Defensywa, ofensywa... Cała strategia musiała być przemyślana w ułamku sekundy. Siła uderzenia powinna być dostosowana do szybkości piłki. Obaj mężczyźni dawali z siebie wszystko, próbując utrzymać wymianę. Ich skupione twarze szybko zrosił pot. Regularny rytm uderzeń zlewał się z okrzykami widzów.

Proporcja uderzeń niskich wynosiła dziesięć do jednego. Taj postanowił zmienić tempo i grać z większą mocą. Posłał Michaelowi smecza prosto w róg, wytrącając przeciwnika z rytmu, a potem wycofał się w głąb kortu, przewidując długi strzał. Odpowiedział nań wolejem. Michael nie zdążył podbiec do piłki. Stan meczu wynosił piętnaście - zero.

Taj odgarnął mokre włosy z twarzy i wrócił na linię. Jakaś kobieta na trybunie krzyknęła coś po francusku. Mogły to być wyrazy uznania albo pikantna propozycja. Nie znał tego pięknego języka na tyle, aby rozszyfrować znaczenie słów. Serwis Michaela wzbiał w powietrze tuman kurzu. Taj odebrał piłkę i zanim przedostała się na drugą stronę kortu, już czekał na nią w połowie pola. Niskie podanie, zaraz potem ostry cios. Chytrze podkrecona piłka, później szybkie ścięcie. Pomysł Michaela, żeby posłać Tajowi loba ponad głowę, nie udał się. Piłka mignęła nad siatką i zniknęła w rogu. Trzydzieści - zero.

Michael obszedł kort dookoła, klnąc na czym świat stoi. Taj czekał, aż ochłonie i wróci na miejsce. Czuwał pochylony, na ugiętych nogach, skoncentrowany do maksimum. Obaj zawodnicy grali niskimi piłkami, zmieniając jedynie kąt i zasięg uderzeń. Podczas przedłużającej się wymiany piłek Taj i Michael czekali na właściwą chwilę, aby zadać ostateczny cios. Można by mniemać, że obaj popisują się przed publicznością, gdyby nie ogromny wysiłek malujący się na ich twarzach.

Fotograf UPI, który śledził grę przez wizjer aparatu, skierował obiektyw na Taja Szerokie ramiona, nogi w rozkroku, zacięty wyraz twarzy - oto jak prezentował się zawodnik. Reporterowi przeszło przez myśl, że nie chciałby mieć z tym Amerykaninem do czynienia w żadnej sytuacji.

Taj tak umiejętnie podkręcił piłkę, że Michael nie zauważył podstępu i piłka zatrzymała się na siatce. Czterdzieści - zero.

Kilroy, wściekły i zdezorientowany, popełnił błąd przy serwisie. Za drugim razem bardziej się postarał. Taj przygotował się do woleja i zbliżył do siatki. Wymiana przybrała zawrotne tempo, zawodnicy poruszali się instynktownie, tłum skandował w najróżniejszych językach. Nadgarstek Taja był jak ze stali. Piłka dudniła, uderzając z obłądną siłą raz w jedną raketę, raz w drugą. Mknęła tak szybko, że mężczyźni już jej właściwie nie widzieli, mogli tylko przewidywać tor jej lotu. W ostatniej chwili przed uderzeniem Starbuck postanowił zmienić taktykę. Pochylił raketę odrobinę do dołu. Strzał był lekki i przeszedł tuż nad siatką. Ryzykowne zagranie, powiedzieliby eksperci. Zagranie z jajami, stwierdziliby wielbiciele. Tajowi było teraz wszystko jedno. Gem i set.

- Mac! - Jess wzięła głęboki oddech. - Już prawie zapomniałam, jak to jest oglądać Taja podczas gry.

- Przecież oglądałaś go kilka tygodni temu - zauważył Mac, ocierając kark wilgotną chusteczką. Tęsknił za klimatyzacją.

- Telewizja to co innego - odparta lekceważąco - Być tu, na miejscu, to zupełnie inne przeżycie. Nie czujesz tej atmosfery? - spytała zdziwiona.

- To przez ten upał. - Puścił do żony oko i Jess na chwilę się rozchmurzyła.

- Stąpasz twardo po ziemi, Mac, i za to cię kocham.

- W takim razie zostanmy - powiedział ulegle i pogładził jej dłoń.

Wyczuł w niej nagłe napięcie. Spojrzał na żonę zaniepokojony. Patrzyła gdzieś w dal ponad jego ramieniem. Zaciekawiony odwrócił się i zobaczył kilka zawodniczek, a wśród nich Asher Wolfe. To w nią tak usilnie wpatrywała się Jess.

- To lady Wickerton, prawda? - spytał zdawkowo. - Jest niesamowita.

- Owszem. - Jess odwróciła wzrok, lecz nadal wydawała się nieswoja. - Owszem - powtórzyła głucho.

- Wygrała dziś rano. Mamy Amerykankę w finałach - ciągnął. Jess nie odpowiedziała. - Miała chyba długą przerwę w grze, prawda? - nie ustępował Mac, chowając zmiętą chusteczkę do kieszeni.

- Tak.

Lakoniczna odpowiedź żony zaintrygowała Maca jeszcze bardziej. Postanowił uparcie drążyć temat.

- Czy coś łączyło ją z twoim bratem?

- Nic poważnego. - Jess z całego serca pragnęła, by tak rzeczywiście było. - Ale to już przeszłość. Asher Wolfe nie jest w typie Taja. Taka chłodna i opanowana kobieta jak ona o wiele bardziej pasowała do Wickertona. Tamto było tylko chwilowym zauroczeniem. - Przygryzła wargi. - Asher nie traktowała Taja poważnie, inaczej nie wyszłaby tak szybko za mąż. Unieszczęśliwiła go.

- Rozumiem. - Mac odezwał się dopiero po chwili. Jess mówiła zbyt szybko i nerwowo. Przyjrzał się uważnie jej profilowi. - Taj jest pewnie zbyt pochłonięty karierą, żeby traktować kobiety poważnie - zaryzykował.

- To prawda. - Jess spojrzała na męża błagalnym wzrokiem. Ta rozmowa ją wykańczała. - Nigdy nie pozwoliłby jej odejść, gdyby mu naprawdę na niej zależało. Jest zbyt zaborczy i dumny. Nie wyobrażam sobie, żeby uganiał się za jakąś kobietą.

Jess poczuła skurcz w żołądku, ale milczała. Spojrzała w kierunku kortu, gdzie Taj właśnie składał się do pierwszego serwisu.

Nagle wróciła przeszłość. Przed oczami stanęły jej trawiaste korty Forest Hills i Taj, który przechylając się przez poręcz, patrzył na kort. Jess przyszło wtedy na myśl, że wygląda jak kapitan statku, wpatrujący się w otwarte morze. Kochała go najbardziej na świecie. Był dla niej bratem, ojcem i opiekunem. Zapewnił jej dom, ubranie i wykształcenie, nie prosząc o nic w zamian. Zrobiłaby dla niego wszystko.

Podeszła do Taja i objęła go, kładąc głowę na jego ramieniu.

- Myślisz o popołudniu? - spytała szeptem. Miał się zmierzyć z Chuckiem Prince'em w finałach US Open.

- Słucham? - Głos siostry wyrwał go z zadumy. - Nie, właściwie nie - odparł roztargniony. - Chyba dziwnie jest rywalizować z najlepszym kumplem.

- Na parę godzin trzeba zapomnieć o przyjaźni - powiedział.

Zauważyła, że brat jest w złym nastroju. Wyglądał na nieszczęśliwego. Jess zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Co się stało, braciszku?

- Och, nic, zwykłe poczucie bezsilności.

- Pokłóciłeś się z Asher?

Taj, dziwnie nieobecny, pogładził siostrę po włosach.

- Nie, nie pokłóciłem się z Asher - odparł z roztargnieniem i znów pogrzyżył się w myślach. Jess podejrzewała, że nie jest z nią szczerzy. Od jakiegoś czasu martwiła się o tych dwoje. Do tej pory Taj unikał długotrwałych związków. Osobiście uważała rezerwę i niezależność Asher za oznakę oziębłości i obojętności. Nie zabiegała o względy Taja, tak jak to robiły inne kobiety. Nie słuchała z zapartym tchem, co ma do powiedzenia. Nie rozpieszczała go.

- Czy czasami wracasz do przeszłości? - zapytał nagle.

- Do p... przeszłości? - zająknęła się.

- Do czasów, kiedy byliśmy dziećmi. - Patrzył na zieloną trawę kortu, ale jej nie widział. - Czasów, kiedy mieszkaliśmy w klatce z papierowymi ścianami. Sąsiedzi za ścianą kłócili się co noc. Klatka schodowa śmierdziała brudem i moczem.

Ton jego głosu zaniepokoił Jess. Szukając pocieszenia dla niego i jednocześnie dla siebie, przytuliła głowę do jego piersi.

- Niezbyt często o tym myślę. Nie pamiętam tamtych czasów tak dobrze jak ty. Nie miałam jeszcze piętnastu lat, kiedy nas stamtąd zabrałeś.

- Zastanawiam się, czy można od tego uciec. Po prostu zapomnieć. - Taj wpatrywał się w coś, czego Jess, mimo starań, nie mogła dostrzec. - Brud i mocz - powtórzył głucho. - Zapytałem kiedyś Asher, jaki zapach z dzieciństwa pamięta najlepiej. Odpowiedziała, że zapach bluszczu, który zwisał nad oknem w jej pokoju.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Taj zaklął cicho.

- Sam siebie nie rozumiem.

- Przecież zostawiłeś to wszystko za sobą - zaczęła nieśmiało.

- Ale nie zapomniałem - odparł oschle. - Wczoraj byliśmy na kolacji. Do stolika podszedł Wickerton i zaczął mówić o francuskich impresjonistach. Po kilku minutach przestałem wiedzieć, o co chodzi.

Jess przygryzła wargi. Ona nie miała takich kompleksów, bo brat posłał ją do college'u. Dał jej możliwość zdobycia wiedzy.

- Trzeba było mu powiedzieć, żeby spadał - powiedziała, wzruszając ramionami.

Taj z rozczuleniem ucałował siostrę w policzek.

- Następnym razem zastosuję się do twoich rad. - Nagle spoważniał. - Zacząłem się im przyglądać i stwierdziłem, że doskonale się rozumieją mówią tym samym językiem. Uświadomiłem sobie, że niektórych barier nie da się przełamać.

- Dałbyś radę, gdybyś tylko zechciał.

- Możliwe. Ale nie chcę. - Westchnął ciężko. - Niewiele mnie obchodzą francuscy impresjoniści. Mam gdzieś znajomych szacownego lorda Wickertona, którzy są spokrewnieni z królową brytyjską albo wygrali w Ascot. - Oczy Taja ciskały błyskawice, lecz panował nad sobą. Wzruszył ramionami. - Nawet gdyby mnie to interesowało, nie pasowałbym do tych ludzi, bo wciąż pamiętam brud i smród z dzieciństwa.

- Asher nie powinna zachęcać tego pajaca - stwierdziła Jess nienawistnie. - Facet wlecze się za nią od Paryża.

Taj zaśmiał się ponuro.

- Nie o to chodzi, ona po prostu bawi się w koktajlowe konwersacje. Maniery! - prychnął. - Jest inna niż my, Jess, wiedziałem o tym od początku.

- Gdyby go stanowczo odprawiła...

- Nie mogłaby tego zrobić. - Taj wszedł siostrze w słowo. - Tak samo jak nie mogłaby rozwinąć nagle skrzydeł i odfrunąć.

- Jest nieczuła.

- Jest po prostu inna. - Odpowiedź Taja była szybka, lecz nieprzekonująca. Ujął twarz siostry w dłonie. - Za to ty i ja jesteśmy tacy sami. Nie kryjemy uczuć. Jeśli chcemy krzyknąć, krzyczymy. Jak musimy czymś rzucić o ścianę, robimy to bez namysłu. Niektórzy tego nie potrafią.

- W takim razie są głupcami. Śmiech Taja tym razem był szczery.

- Kocham cię, Jess.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się ze wszystkich sił.

- Nie zniosę twojego smutku. Dlaczego jej na to pozwalasz?

Taj zmarszczył czoło i położył dłoń na włosach siostry. - Właśnie się nad tym zastanawiałem. Może... Może potrzebuję impulsu, który pchnie mnie we właściwym kierunku.

Jess trwała przytulona do brata, szukając w myślach odpowiedzi.

Siądmy set. Dziesiąty gem. Emocje rosły i widzowie byli nastawieni jeszcze bardziej entuzjastycznie niż na początku meczu. Chuck, Asher i Madge uważnie śledzili rozgrywkę Taja.

- Niełatwa jazda, co, kowboju? - rzuciła żartobliwie Madge. Chuck miał się spotkać ze zwycięzcą tego meczu w finałach.

- To najlepszy mecz, jaki widziałem w ciągu dwóch lat. Piłka mknęła nad siatką z taką prędkością, że chwilami zamieniała się w jasną smugę.

Asher się nie odzywała. Dawno przestała silić się na bezstronność. Była oczarowana grą Starbucka. Wprawdzie obaj zawodnicy mieli niesłychany talent, czego zazdrościli im koledzy po fachu, lecz tylko Taj przykuwał jej uwagę.

Czy gdyby nic nie łączyło jej z Tajem, nadal byłaby tak zaabsorbowana jego grą? Poczula złość, ale jak zwykle w porę ją stłumiła. Jak to możliwe, że kobieta wychowana w kulturalnym, odizolowanym środowisku dała się uwieść mężczyźnie do tego stopnia nieokrzesanemu? Czyżby prawdą było, że przeciwieństwa przyciągają? - zastanawiała się. Nie, takie rozwiązanie byłoby zbyt proste.

Asher poczuła dreszcz pożądania, jakby nie siedziała na zatłoczonej trybunie, lecz naga tuliła się do Taja. Nie czuła wstydu. Nie czuła strachu. To, co się zdarzy, jest naturalne i nieuniknione. Lata złożone z szarych dni należały do przeszłości. Co za marnotrawstwo czasu! Nie, raczej strata, poprawiła się. Wieczorem. Decyzja zapadła nieodwołalnie. Tę noc spędzą razem. Jeżeli poprzestaną na jednej, jeśli tylko tego chce Taj - trudno, będzie musiała się tym zadowolić. Długie oczekiwanie dobiegło końca. Roześmiała się głośno, radośnie. Chuck zerknął na nią z niepokojem.

- Taj wygra - powiedziała, nie przestając się śmiać. Oparła ręce na poręczy i położyła na nich głowę. - Na pewno wygra.

Do końca meczu został tylko punkt. Taj grał równie zawzięcie jak na początku spotkania. Wymiany były długie i nużące. Piłka świszczała, pot kapał na kort. W ostatnich dwudziestu minutach Taj zrezygnował z artyzmu na rzecz precyzji. Podziało.

Grali w niemiłosiernym upale, więc Taj, żeby skrócić mękę, zdecydował się pokonać Australijczyka sposobem. Kazał mu biegać w tę i z powrotem po całym korcie, posyłając piłki w przeciwległe rogi.

Trzykrotnie ogłaszano równowagę. Wreszcie Taj zdobył przewagę, serwując asa. Walczył teraz ze zdwojoną energią i z zimną krwią. Michael posłał piłkę po skosie. Silny backhend Australijczyka okazał się niefortunny. Piłka odbiła się od podłoża i wzniosła na wysokość biodra Taja Kilroy wiedział już, że gra jest skończona.

Gem i set.

Dopiero wtedy Taj poczuł upał i ogromne zmęczenie. O mały włos nie potknął się o własne nogi. Miał ochotę paść tam, gdzie stał. Z trudem dowlókł się do siatki. Zawodnicy uścisnęli sobie ręce i Michael poklepał Taja po ramieniu.

- Niech cię szlag, Starbuck - powiedział, z trudem łapiąc oddech. - Omal nie wyzionąłem ducha.

Taj uśmiechnął się tylko.

- Ja też, stary.

- Musimy się kiedyś wybrać razem na drinka. - Michael spojrzał pytająco na Taja.

- Chętnie.

Odeszli od siatki, zwycięzca i zwyciężony, każdy w swoją stronę. Czekало ich spotkanie z prasą prysznic i długi masaż. Taj zarzucił podany mu ręcznik na głowę, odpowiadając lekkim skinieniem głowy na komentarze i gratulacje pod swoim adresem. Denerwował go hałas i zamieszanie, lecz nie miał siły zareagować. Ktoś zbierał rakiety, słychać było stukanie drewnianych rękojeści. Siła, która przed chwilą tryskała z niego jak z wulkanu, ulotniła się gdzieś. Ręcznik zsunął mu się z twarzy i... spojrzał wprost w oczy Asher.

Niebieskie, tak zimne i głębokie, że można by się w nich utopić. Taj poczuł się tak, jakby ktoś otworzył na oścież okno w dusznym pokoju.

- Gratuluję. - Gdy uśmiechnęła się do niego, zmęczenie ustąpiło jak ręką odjął. W jego miejsce pojawiła się radość, prosta i dziecinna.

- Dzięki. - Wziął od niej torbę. Ich ręce otarły się o siebie.

- Prasa na ciebie czeka. - Asher przysunęła się bliżej.

- Czy mogę cię zaprosić na kolację?

Taj uniósł brew. Była to jedyna oznaka zaskoczenia, jaką dało się dostrzec.

- Pewnie. - Spotkajmy się o siódmej w hotelu.

- Okay.

- Co było twoim zdaniem punktem zwrotnym meczu? - Reporterzy przypuścili atak.

- Jaką strategię obierzesz w finałach?

Taj nie odpowiadał na pytania, nawet ich nie słyszał. Patrzył, jak Asher znika, przeciskając się przez tłum. Jess przyglądała się temu z trybuny. Przypomniała sobie, że już kiedyś widziała podobną scenę.

Taj wszedł pod prysznic w ubraniu. Reporter ze *Świata Sportu* zadawał pytania oparte o ścianę, robiąc notatki. Taj powoli dochodził do siebie. Zrzucone ubranie wylądowało w kącie. Nigdy nie obchodziło go, co o nim piszą, rozmawiał więc z dziennikarzami swobodnie.

Wiedział, że matka wycina artykuły o nim, ale sam nigdy ich nie czytał. Chciał jak najszybciej zmyć z siebie gryzący pot. Namydlił twarz. Ktoś podał mu kartonik soku. Opróżnił go do dna. Słabość i ból stopniowo znikwały. Po chwili, jeszcze mokry, znalazł się w rękach masażysty.

Silne palce masowały mu plecy. Pytania nie ustawały, ale Taj nie miał już ochoty na nie odpowiadać. Zamknął oczy. Przy każdym dotknięciu czuł silny ból, lecz wytrzymywał, wiedząc, że po chwili mięsień się rozluźni. Pierwsze minuty nigdy nie należały do najprzyjemniejszych, ale stopniowo ból stawał się wspomnieniem. Taj myślał teraz tylko o zwycięstwie. I o błękitnych oczach. Zadowolony i rozluźniony, zasnął.

Posadzka w holu wykonana była z białego marmuru przetykanego różowymi żyłkami. Madge oświadczyła ze znanstwem, że w życiu nie dałaby rady utrzymać czegoś takiego w czystości. Mąż wytknął jej, że nie ma pojęcia o sprzątaniu. Asher siedziała obok, zaśmiewając się z ich dialogów. Próbowała się rozluźnić, lecz jej palce pozostały splecione. Dochodziła siódma wieczór.

Uważnie dobrała strój. Włożyła suknię o kroju kimona w kolorze bladej brzoskwini. Zebrała włosy z tyłu, by wyeksponować drobne, zwisające kolczyki z perełek i koralu. Dłonie pozostały bez ozdób.

- Dokąd idziecie? - spytała Madge. Asher z trudem wróciła do rzeczywistości.

- Do małej restauracji na Rive Gauche - odpowiedziała Madge spojrzała w kierunku drzwi wejściowych. Lało jak z cebra.

- Trudno będzie złapać dziś taksówkę. - Poprawiła się w miękkim fotelu. - Widziałas się z Tajem po meczu?

- Nie.

- Chuck wspomniał, że obydwaj z Michaeliem zasnęli jak niemowlaki podczas masażu.

- Madge założyła nogę na nogę. - Jakiś nadgorliwiec z francuskiej gazety pstryknął im kilka fotek.

- Odpoczynek sportowca - wtrącił mąż.

- To obala wizerunek twardziela.

Asher uśmiechnęła się na wspomnienie, jak młodo i niewinnie wygląda Taj, kiedy śpi. Tylko podczas snu jego energia nie szuka ujścia na zewnątrz. Gdyby ich dziecko przeżyło... Pospiesznie oddaliła tę myśl.

- Hej, czy to nie siostra Taja?

Asher odwróciła głowę i zobaczyła Jess z mężem.

- Owszem - mruknęła niechętnie. Spojrzenia obu kobiet się spotkały. Nie było wyjścia, nie mogły uniknąć konfrontacji. Jess uściśnęła dłoń męża i skierowała się ku siedzącym.

- Witaj, Asher.

- Cześć, Jess.

Asher przygryzła wargi, co zdradziło jej niepokój.

- Nie poznałaś jeszcze mojego męża - powiedziała Madge. - Mackenzie Derick, Lady Wickerton.

- Asher Wolfe - poprawiła, podając Macowi rękę. - Jesteś krewnym Martina? - spytała swobodnie.

- To mój wuj - odparł Mac. - Znasz go?

Na twarzy Asher pojawił się ciepły, promienny uśmiech.

- Bardzo dobrze.

Przedstawiła mu pozostałych znajomych w sposób, którym zjednała sobie jego sympatię. Rzeczywiście, bardzo opanowana, pomyślał Mac, wspominając opinię żony, lecz z wewnętrznym ogniem, którego druga kobieta mogła nie zauważyć. Mac zastanawiał się, na ile trafnie Jess oceniła uczucia Taja.

- Czy ty też pasjonujesz się tenisem, Mackenzie? - Asher zwróciła się do niego z zainteresowaniem.

- Oglądam mecze tylko dlatego, że mamy zawodnika w rodzinie. Sam nie gram, ku zgorszeniu wuja.

Asher wyczuła w nim specyficzne poczucie humoru. Silny mężczyzna, pomyślała. Pan samego siebie. Nie zadowolił się drugim po Taję miejscem w życiu Jess.

- Martin wyszkolił już jednego mistrza.

- Jak się czuje twoja mama? - Asher zwróciła się do Jess, siedzącej sztywno obok Madge. - Dziękuję, dobrze. - Wytrzymała spojrzenie chłodnych oczu, choć nieświadomie schowała palce w fałdach spódnicy. - Została z Pete'em.

- Z kim?

- Pete to nasz synek.

Asher zaniemówiła. Mac ze zdziwieniem zauważył, że zacisnęła rękę na poręczy fotela.

- Nie wiedziałam, że macie dziecko. Ada musi być w siódmym niebie - zauważyła po dłuższej chwili. Zdobyła się jednak na grzecznościowy uśmiech. - Chyba jest jeszcze mały? - spytała zdawkowo.

- Ma czternaście miesięcy. - Jess, już odprężona, była w swoim żywiole. Sięgnęła do portfela, by pochwalić się zdjęciem. - Ominął etap chodzenia i od razu zaczął biegać. Mama mówi, że jest podobny do Taja. Ma jego rysy.

Asher nie wypadało nie spojrzeć na fotografię.

Mały był podobny do ojca, miał ten sam owal twarzy, ale geny matki również były silne. Dziecko miało ciemną, gęstą czuprynę i szare oczy. Asher zastanawiała się, czy rzeczywiście czuje energię bijącą z małej postaci, czy zasugerowała się słowami Jess. Miała wrażenie, że widziała tę twarz setki razy.

- Jest śliczny - usłyszała własny głos. - Musicie być z niego bardzo dumni. - Zwróciła zdjęcie matce, modląc się, żeby ręka jej nie zadrżała.

- Jess uważa, że jak skończy dwanaście lat, powinien kandydować na prezydenta.

Asher uśmiechnęła się uprzejmie, ale tym razem Mac na próżno szukał w jej oczach ciepła i sympatii.

- Czy wujek Taj kupił mu już raketę? - Bardzo dobrze go znasz - zauważył Mac.

- Owszem. - Asher wymownie spojrzała Jess w oczy.

- Rodzina i tenis zawsze były dla niego najważniejsze.

- Pamiętam Jess - wtrąciła Madge - gdy była jeszcze smarkulą i obgryzała paznokcie na każdym meczu brata. No, proszę, a teraz już jest matką.

Jess zachichotała i uradowana wyciągnęła przed siebie dłonie.

- I nadal obgryzam paznokcie.

Asher zauważyła go pierwsza. Właśnie wychodził z windy. Miał na sobie wąskie czarne spodnie i szarą koszulkę. Wcale nie nałożył jej dlatego, że pasowała do koloru jego oczu. Asher dałaby głowę, że wziął to, co wpadło mu w ręce. Należał do ludzi, którzy nie przywiązują najmniejszej wagi do stroju, a mimo to wyglądają świetnie. Sprzyjały temu harmonijnie zbudowana sylwetka i wrodzony wdzięk. Włosy, choć niewątpliwie uczesane, spływały w beładzie na kark. Rozglądał się chwilę po holu, po czym ruszył przed siebie. Asher poczuła przyspieszone bicie serca.

- Och, Taj! - Jess wybiegła mu na spotkanie. - Nie zdążyłam ci jeszcze pogratulować, braciszku. Byłeś wspaniały!

Taj objął siostrę, lecz jego spojrzenie przemknęło ponad jej głową. Jess od razu się domyśliła, na kim się zatrzymało. Asher milczała.

- Spisałeś się, Starbuck - rzuciła wesoło Madge. - Wybieramy się z Dziekanem do Lido, pocieszyć Michaela.

- Powiedźcie, że przez niego schudłem półtora kilo - odparł, nie odwracając oczu od Asher. - Na pewno poprawi mu to humor - odparowała Jess z przekąsem. Dała mężowi dyskretnego szturchańca i zaczęła się zbierać. - Idziemy polować na taksówkę. Kto chce się z nami zabrać?

- Właściwie - Mac błyskawicznie podchwycił pomysł - na nas też już czas.

- Podwieźć cię, Taj?

Obcas Madge boleśnie zagłębił się w stopie męża. Już chciał fuknąć, że nie umie chodzić, lecz zamilkł, gdy posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

Nawet ktoś mało obeznany bez trudu zorientowałby się, że dla Taja i Asher cała grupa jakby rozplynęła się w powietrzu. Dziekan długo przyglądał się wpatrzonyj w siebie parze.

- Pewnie wolicie zostać sami - zauważył.

- Jakiś ty bystry, kochanie. - Madge zaczęła popychać towarzystwo ku wyjściu. - Ciekawe, czy jakakolwiek taksówka zatrzyma się w takim deszczu.

Asher wstała, ociągając się. Za sobą słyszała dzwonek w recepcji i szum ulicy, wdzierający się przez otwarte drzwi. Tajowi przyszło do głowy, że wygląda jak klejnot, który powinien być trzymany za szkłem, zbyt delikatny i cenny, by go dotykać. Podała mu dłoń i w milczeniu skierowali się ku windzie.

ROZDZIAŁ 6

Rozumieli się bez słów. Weszli do windy, trzymając się za ręce. Taj wcisnął guzik swojego piętra i stara kabina ospale ruszyła w górę. Dłoń Asher drżała, co wprawiało go w tym większe podniecenie. Gdy winda zatrzymała się, wyszli do wyłożonego puszystym dywanem holu. Asher słyszała brzęk monet w kieszeni, kiedy Taj wyjmował klucz. Zanim puścił jej rękę, usłyszała jeszcze szmer otwieranego zamka i skrzypnięcie zawiasów. Mogła się jeszcze wycofać, ale nie skorzystała z szansy. Przecież pragnęła Taja. Drzwi uchyliły się i weszli do ciemnego pomieszczenia.

Pachniało mężczyzną, pachniało Tajem. Zapach był ostry i orzeźwiający. Nigdy go nie zapomniła. Nagle ogarnął ją strach. Rozejrzała się po pokoju w nadziei, że pojawi się jakiś pretekst do przerwania nieznośnego milczenia. Dookoła panował bałagan. Elementy garderoby leżały porozrzucane to tu, to tam. Wiedziała, że w szafie Taj trzyma rakiety. Starannie ułożone, stanowią jedyny przejaw porządku w panującym dookoła chaosie. Podeszła do okna. Wciąż padał deszcz i woda spływała po szybie długimi strużkami.

- Będzie tak lało całą noc - odezwała się. Błyskawica przecięła niebo, jakby dla potwierdzenia złowieszczej wróżby. Asher zdążyła policzyć do pięciu, nim usłyszała potężny grzmot. Daleko w dole migotały światła, oznaka zgiełkliwego życia. Wpatrywała się w ponury, deszczowy krajobraz, czekając, aż Taj się odezwie.

Cisza. Krople deszczu uderzały o szybę. Odgłosy miasta wydawały się stłumione i odległe. Znów piorun. Asher nie mogła tego dłużej znieść. Odwróciła się od okna.

Przyglądał się jej. Mała nocna lampka oświetlała tylko skrawek pokoju. Taj wydawał się spokojny, choć nie był rozluźniony. Asher wiedziała, co to znaczy. Dał jej wybór, zanim się tu znaleźli. Teraz nie pozwoli jej odejść. Z ulgą przystała na fakt, że decyzja już zapadła. Niezgrabnymi, drżącymi palcami poluzowała cienki pasek sukienki.

Taj zbliżył się i położył dłoń na jej rękach. Spłoszona, podniosła na niego oczy. Milcząc, ujął w dłonie jej głowę i bez skrępowania studiował każdy szczegół twarzy. Taką chciałby ją zapamiętać, w półmroku, z szalejącą burzą za plecami. Oczy Asher były pociemniałe z obawy i niewypowiedzianego pragnienia. Ręce, przed chwilą szarpiące pasek, osunęły się bezwładnie wzdłuż bioder. Czyżby zapomniła, że Tajowi wcale nie zależało na uległości?

Przyglądał się, jak Asher powoli zamyka oczy i rozchyła usta. Pochylił się i składał czułe pocałunki na obu skroniach, a potem na koniuszkach brwi. Przymknął oczy. Odkrywał

na nowo tę twarz. Wiedział, że usta oczekują go niecierpliwie, lecz ominął je i powędrował ku szyi, smakując dołeczek policzka i podbródek.

Usta Taja składały pocałunki na wytęsknionej twarzy, dłonie pieściły wargi. Pamiętał każde zagłębienie skóry. Asher oddychała coraz szybciej i głośniejsze. Przesunął ustami po jej wargach, lecz wycofał się, gdy przywarła do niego, prosząc o więcej. Kusił ją. Czekał, aż sama go zdobędzie. Asher chwyciła go za ramiona i przyciągnęła do siebie. Właśnie tego pragnął. Gdy szykował się do pocałunku, władczo oplotła go ramionami. Naraz w obojgu eksplodowała namiętność. Przywarli do siebie najbliżej jak można, zachłannie.

- Rozbierz mnie - szepnęła, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła. - Rozbierz, proszę.

Taj rozpiął powoli suwak sukienki, gładząc nagą skórę. Była bardziej jedwabista niż materia ubrania. Sukienka opadła na podłogę. Asher zaczęła niecierpliwie rozpinać guziki męskiej koszuli. Widziała zarys mięśni jego piersi, czuła szorstkość włosów. Jęknęła, spragniona bliskości.

Nie zadowolili się samą koszulą. Chciała czuć dotyk jego ciała, być blisko, jeszcze bliżej. Sięgnęła, by rozpiąć pasek, lecz Taj ją powstrzymał.

- Nie śpiesz się - powiedział i dotknął wargami jej ust. Pocałunek był długi, namiętny. - Chodźmy do łóżka.

Pozwoliła się zaprowadzić do sypialni, oszołomiona i uległa. Materac ugiął się pod ciężarem jej ciała, a potem ciała Taja Asher drżała na myśl o rozkoszy, która ją czeka.

- Światło - szepnęła ledwie słyszalnym głosem. Taj spojrzął jej w oczy, czule gładząc szyję.

- Chcę cię widzieć. Pochylił się nad nią.

Zawsze, kiedy Asher się niecierpliwiła, Taj zwalniał tempo. Całował ją teraz, dotykając ospale i leniwie jej ciała. Wydawałoby się, że pocałunki zupełnie mu wy - starczą. Asher przyłgnęła do niego mocno, kusząc i prowokując. Jej niecierpliwłość podniecała go, ale na razie chciał tylko smakować. Odnajdywał znany kształt bioder, talii, piersi. Twarde sutki były wyraźnie widoczne pod bielizną.

Usta Taja powędrowały ku górze. Chwycił zębami ramiączko i ciągnął je w dół, póki nie ukazało się nagie ciało. Kremowobiała pierś kontrastowała z opalonymi ramionami.

- Jakaś ty piękna - szepnął, zsuwając drugie ramiączka.

Asher była półnaga. Taj całował ją niespiesznie, schodząc coraz niżej. Rozchylonymi ustami objął jej sutek. Wygięła się i przycisnęła do siebie jego głowę. Gdy pieścizota stała się natarczywa, niezwykle pobudzająca, nie mogła dłużej pozostać bierna. Owładnęło ją dzikie

pożądanie. W głowie została tylko jedna myśl. Ona jest kobietą on mężczyzną. Wsunęła się pod niego, pozwalając dłoniom błędzić po silnym ciele.

Taj stał się bardziej zdecydowany, widząc, że Asher wcale nie potrzebuje delikatności. Nieokielznana pasja tej kobiety doprowadzała go do szaleństwa. Nie miała oporów ani wstydu. Pobudzona, stawała się ognistą kulą jak błyskawice na niebie. Nie zauważył nawet, że traci nad sobą kontrolę. Męskie dłonie nie były już powolne. Krótkie, zadbane paznokcie Asher wbiły się w umięśnione ramiona.

Zdarł z niej resztki ubrania i po chwili zrewanżowała się tym samym. Nie dała mu jednak czasu, by nacieszył się jej nagością. Potoczyli się po łóżku, wśród pomiętej pościeli. Nie mieli chwili do stracenia.

Wszedł w nią tak gwałtownie, że przeszył go ból, który płynnie przeszedł w przyjemność. Tajowi wydawało się, że Asher krzyknęła, jak podczas ich pierwszej nocy, kiedy oddała mu swoją niewinność. Oplotła go ramionami, nogami, całą sobą. Odnalazła jego usta. Piorun uderzył tuż nad ich głowami.

Trzymał dłoń na jej piersi. Asher westchnęła. Czy zaznała kiedyś podobnego zadowolenia? Nie, nigdy. Nawet dawniej, z Tajem. Kiedyś nie znała przecież życia bez niego. Przytuliła się do kochanka.

- Zimno ci? - Opiekuńczo objął ją ramieniem.

- Trochę.

Jak cudownie jest być wolnymi zakochanym, pomyślała Asher. Oparła się brodą o pierś Taja i spojrzała mu w oczy. Teraz są wyjątkowo spokojne, zauważyła. Taj uśmiechał się lekko, oddychał równo i wolno, dostosowywał się do jej rytmu. Było dla niej oczywiste, że są dwiema połówkami tego samego jabłka.

- Tęskniłam za tobą, wiesz? - Miała poczucie, że jałowa, męcząca do znudzenia przeszłość została unicestwiona w ciągu tej wspólnej godziny.

- Asher...

- Żadnych pytań - ucięła, obsypując go pocałunkami. - Po prostu bądź ze mną. Śmiejmy się i cieszymy jak dawniej.

Powstrzymał ten wybuch zapалу, biorąc głowę Asher w dłonie. W jej oczach zobaczył błaganie i desperację. Nie był przygotowany na ten widok. Zrezygnował z pytań i uśmiechnął się.

- Miałaś mi postawić kolację, pamiętasz? Asher odetchnęła z ulgą.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Znów wrócił jej dobry humor.

- Zaprosiłaś mnie na randkę. Zdmuchnęła kosmyki z twarzy i uniosła brwi.

- Ja ciebie? Chyba za długo przebywałeś na słońcu.

- Kolacja - powtórzył z naciskiem i nagle znalazł się tuż nad nią. Pochylił się i delikatnie ukąsił ją w szyję. Asher próbowała się wyrwać, ale nie miała szans. - Bardzo dobre - wymamrotał niskim głosem. - Zjem wszystko.

W samą porę przypomniała sobie o słabości Taja i połaskotała go w żebra. Chichocząc, zgiął się w pół i ofiara mu się wymknęła. Łaskotała go dalej z okrucieństwem psotnej dziewczynki, aż ukrocił tę torturę, unieruchamiając ją w żelaznym uścisku.

- Ha, ha - zaśmiała się - już widzę ten nagłówek: „Starbuck ma łaskotki w łóżku”. Prasa oddałaby majątek za taką informację.

- Prasa zainteresowałaby się znamieniem w kształcie serca na zgrabnym tyłeczku Asher Wolfe - odciął się natychmiast.

Asher zastanawiała się przez chwilę.

- Remis - zawyrokowała. - Może jednak nie chcesz kolacji? - Uśmiechnęła się kusząco.

Spojrzał na nią i ogarnęło go wzruszenie. Światło padało skośnie na jej twarz, lśniło na skórze i w ciemnych oczach. Pioruny oddaliły się, lecz Taj nadal słyszał ich odległe echo.

- Możemy zamówić kolację do pokoju - mruknął, zbliżając się do jej ust. Odwrócił Asher na plecy i zaczął delikatnie całować jej twarz. Zapusił się w kotlinkę u nasady ucha, gdzie językiem rozniecał w Asher płomień.

- Taj - jęknęła, wierząc się pod nim. - Kochaj się ze mną.

Zachichotał z nieskrywaną satysfakcją.

- Przecież od godziny nie robię nic innego. Tym razem nie będziemy się śpieszyć. Mamy czas, kochanie. - Zawędrował językiem w głąb jej ucha, wywołując nieznośny dreszcz. - Mamy dużo czasu.

Gdy sięgnął po słuchawkę, Asher spojrzała na niego zdezorientowana, po czym się roześmiała.

- Zapomniałam, że żołądek zawsze jest u ciebie na pierwszym miejscu.

Taj ścisnął pierś Asher.

- Niekoniecznie.

Sutek był od dawna twardy i wyczekujący. Musnął go palcem.

- Taj... - szepnęła bez tchu. Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Proszę, szampana - odezwał się do słuchawki, jednocześnie doprowadzając Asher do szaleństwa niedbałymi pieścizotami. - Dom Perignon. Kawior. - Spojrzał pytająco na swoją towarzyszkę, ale nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. - I białę. - Musnął ustami jej

policzek, a dłonią pogładził brzuch. Odwróciła się ku niemu ruchem leniwej kotki. Leżeli ze splecionymi nogami. - Krewetki na zimno, dwie porcje - zakończył, odłożył słuchawkę i łakomie rzucił się do ust Asher. Miał ochotę wziąć ją natychmiast, lecz starał się opanować pożądanie. Spokojnie pieścił ciepłe uda Asher. - Pragnę cię. - Jej głos był ochrypły, ręce splecione w silnym uścisku. - Teraz.

- Ciii... Odręż się. Chcę ci się przyjrzeć. - Odsunął się od niej. - Chcę cię widzieć.

Leżała naga pod jego spojrzeniem, rozpalona nim do białości. Obserwowała go. Gdy oczy mu pociemniały, zaczęła szybciej oddychać. Wyciągnęła rękę do Taja, a on zbliżył ją do ust.

- Jesteś piękniejsza niż dawniej - powiedział, nie odrywając od niej oczu. - To niemożliwe. Wydajesz się taka delikatna, że czasem boję się, iż niechcący coś ci zrobię.

- Musisz mnie dotykać. - Przyciągnęła go do siebie. - Twój dotyk daje mi życie.

Taj westchnął i ułożył głowę między jej piersiami. Gładziła go po włosach. Pożądanie powoli zamieniało się w błogie zadowolenie.

- Pragnęłam cię, kiedy grałeś z Michaeliem. Wśród tych tłumów nie mogłam myśleć o niczym innym. - Zachichotała. - Szalona myśl, cudownie szalona.

- Zatem zaproszenie na kolację nie było bezinteresowne?

- Wiedziałam, że będziesz osłabiony po meczu i uległy. Bałam się tylko, że najpierw będę musiała cię upić.

- A gdybym odmówił?

- Wymyśliłabym coś innego.

Taj z zaciekawieniem podniósł głowę.

- A co?

Asher wzruszyła ramionami.

- Czekałabym tu na ciebie i bym cię uwiodła, zanim byś się obejrzał. - Żałuję, że zgodziłem się na kolację.

- Za późno. Już cię mam.

- Mogę się stać oziębły. Uśmiechnęła się chytrze.

- Znam twoje słabości - szepnęła, koniuszkiem palca dotykając karku Taja, aż wstrząsnął nim erotyczny dreszcz. Ujęła głowę kochanka w obie dłonie i dotknęła ustami jego warg. Po chwili dotyk zmienił się w krótki, namiętny pocałunek, który obezwładnił Taja.

- Asher. - Przywarł do niej, prawie ją zgniatając. Szukał jej ust gwałtownie i pożądliwie. Nie usłyszał pukania do drzwi. Nie rozumiał nawet, co Asher do niego mówi.

- Drzwi - usłyszał wreszcie. - Obsługa hotelowa.

- Co mówisz? - spytał otępiały.

- Drzwi - powtórzyła cierpliwie.

- Pośpieszyli się.

Zaklął pod nosem. Zorientował się nagle, że drży. Jak mógł zapomnieć, że Asher tak na niego działa? Wziął głęboki wdech i wstał. Asher okryła się po samą szyję i obserwowała go z łóżka.

Niesamowite ciało, myślała dumna i zauroczona. Wysoki i szczupły, umięśniony. Przyglądała się, jak Taj szpera w szafie, szukając szlafroka. Szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi. Oto ciało sportowca lub tancerza. Stworzone do rywalizacji.

Taj zarzucił szlafrok, niedbale zawiązując pasek, i odwrócił się do Asher z uśmiechem, jakby czuł, że go obserwuje.

- Jesteś piękny, Taj - powiedziała. Spojrzał na nią, zdziwiony. Komplement uradował go i jednocześnie wprowadził w zakłopotanie.

- Mój Boże - wymamrotał pod nosem i podreptał do drzwi.

Asher stłumiła wybuch śmiechu. Podciągnęła kolana pod brodę. W Taj u tkwił jeszcze chłopiec. Uważał na przykład, że słowo „piękny” odnosi się do kobiet, ewentualnie do serwisowego asa. W innych okolicznościach poczułby się dotknięty, gdyby usłyszał je pod swoim adresem. Cóż, gdy takim właśnie go widziała. Nie tylko pod względem fizycznym. Umiał zdobyć się na wielkie gesty i nie obawiał się czułości. Nie wstydził się miłości do matki. Nie był okrutny, choć na korcie nie znał litości. Był wybuchowy i porywczy, ale nie potrafił się długo gniewać. Asher doszła do wniosku, że w ciągu tych lat rozłąki najbardziej brakowało jej uczuciowości Taja. A jednak nigdy nie powiedział jej, że ją kocha. Nie odeszłaby, gdyby to zrobił.

- Gdzie byłeś?

Taj stał przy łóżku z butelką szampana w ręku. Asher potrząsnęła głową, starając się wrócić do rzeczywistości.

- Nigdzie. - Spojrzała łakomie na butelkę. - Cała dla nas?

Taj usiadł na krawędzi łóżka.

- Nalać ci? - spytał, wyjmując korek. Przyciągnął tacę do łóżka.

Pienisty płyn wypełnił kieliszki.

- Wyleje się.

- Więc uważaj - poradził, odstawiając butelkę do wiaderka z lodem. Uśmiechnął się, gdy zobaczył Asher siedzącą po turecku, w skupieniu balansującą kieliszkami. Piersi zasłaniało prześcieradło, którym się owinęła.

- Może weźmiesz jeden ode mnie? - Odwzajemniła uśmiech.

- No, nie wiem. - Chwycił krawędź prześcieradła i pociągnął. Ukazała się kremowa nagość.

- Przestań, bo wyleję! - pisnęła.

- Lepiej nie, bo mamy tu spać. - Zsunął okrycie jeszcze niżej. Asher bezradnie patrzyła na kieliszki.

- To wredna sztuczka - nadąsała się.

- Dlatego tak mi się podoba. Zmrużyła oczy, gotowa do kontrataku.

- Wyleję to na ciebie.

- Szkoda by było - odparł niewzruszony i nachylił się, by ją pocałować. - To dobra rzecz, chociaż i tak niewiele wypijesz. Masz za słabą głowę.

- Mojej głowie niczego nie brakuje. Taj zachichotał.

- Pamiętam pewien upojny wieczór, kiedy kupiliśmy butelkę. Wystarczyły trzy kieliszki, żebyś była podchmielona. Muszę przyznać, że nawet mi się to podobało.

- Bzdura. - Asher zadarła głowę i rzuciła mu wyzywające spojrzenie. Bez namysłu opróżniła jeden kieliszek. Taj przyglądał się jej poczynaniom z rosnącym zaciekawieniem. Gdy piła, płyn kapał na pościel.

- To był jeden kieliszek - oświadczyła, podnosząc do ust drugi. Taj wyrwał jej go z rąk.

- Nie tak ostro - poradził i opróżnił go sam, sięgając po kawior na zakąskę. - Głodna? - zagadnął, widząc, że się oblizuje. - Hm... - mruknęła i nagle poczuła głód. Obficie posmarowała tosta. Taj z kolei zajął się miseczką krewetek w ostrym sosie.

- Dobrze, spróbuj. - Podała mu kanapkę. Spróbował, ale natychmiast się skrzywił.

- Przesadzasz - powiedział. - To jest lepsze. - Włożył Asher krewetkę do ust.

- Cudowne - przyznała zachwycona. - Nie wiedziałam, że jestem taka głodna.

Taj ponownie napełnił kieliszki. Czy ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić Asher siedzącą nago w łóżku i oblizującą palce? Czy ktokolwiek wiedział, jak bardzo potrafi być swobodna? Jedząc, relacjonowała mu swój mecz. Mówiła, robiąc krótkie przerwy na kolejne kęsy. Taj nie przerywał jej, zadowolony, że znów słyszy ten głos. Chwaliła się mocnym serwisem, bolała nad bekhendem.

W towarzystwie ostrożnie dobierała słowa, wyrażała się krótko i zwięźle. Gdyby teraz zobaczył ją jakiś reporter, nie starczyłoby papieru na zapiski. Słowa cisnęły się jej na usta i ich nie hamowała. Twarz odzwierciedlała każdą emocję, dłonie ożywały gestykulacją. Nim

skończyła opowieść, drugi kieliszek był pusty. Czuła się swobodnie, nareszcie była sobą. Zadowolona i najedzona, z czystego łakomstwa podjadała resztkę kawioru.

- Obawiasz się meczu z Chuckiem? - spytała po chwili milczenia.

- Niby dlaczego miałbym się obawiać? - odparł pytaniem na pytanie, żując krewetkę.

- Zawsze był dobry. - Asher zasępiła się. - Teraz jest znakomity. Taj nalał jej jeszcze szampana.

- Sądzisz, że nie dam mu rady? - Uśmiechnął się buńczucznie.

Asher spojrzała na niego uważnie.

- Ty też zawsze byłeś dobry.

- Dzięki. - Taj odstawił miseczkę z kawiozem i wyciągnął się na łożku.

- Chuck gra jak mój ojciec - ciągnęła Asher. - Czysto i precyzyjnie. Doprowadził technikę do perfekcji.

- Nie to co ja. - Taj rzucił jej przelotne spojrzenie.

- Owszem. Twoja gra jest spontaniczna i skuteczna. Wszyscy ci tego zazdroszczą. Ojciec uważał, że masz najbardziej naturalny talent ze wszystkich znanych mu tenisistów. - Asher lekko uniosła brwi. - Jednak w pewnych momentach próbował cię poskromić, a ty stroiłeś fochy.

- Wyprowadzałem go z równowagi moimi wybrykami. - Taj oparł głowę na jej kolanie.

- Gdyby widział, jak grasz teraz, byłby z ciebie zadowolony.

- A z ciebie?

Asher opuściła głowę i zapatrzyła się w kieliszek.

- Taj, proszę.

- Asher - upomniał ją łagodnym głosem, czułym gestem biorąc ją za rękę - nie zadręczaj się.

Gdyby mogła się powstrzymać, zrobiłaby to bez wahania. Niestety słowa same cisnęły się na usta.

- Zawiodłam go. - Opuściła głowę. - Nie wybaczy mi tego.

- Asher, to twój ojciec! - I trener.

Taj, nieprzekonany, pokręcił głową.

- Co to ma do rzeczy?

- Wszystko! - wybuchnęła i natychmiast się opanowała. Chciwie pociągnęła łyk wina, żeby złagodzić ból. - Proszę, nie dziś. Nie chcę psuć tego wieczoru. - Zaciśnęła palce na jego dłoni. Taj z namaszczeniem ucałował każdy z nich.

- Nic go nie zepsuje - zapewnił. - Ani na moment nie potrafiłem wyrzucić cię z serca, wiesz? - wyznał. - Wszystko przypominało mi ciebie: piosenki, których razem słuchaliśmy, cisza. Nocą zdawało mi się, że słyszę obok twój oddech.

Słowa Taja wzruszyły ją i zasmuciły.

- To było dawno. Teraz możemy zacząć wszystko od nowa.

- Od nowa - powtórzył po chwili zastanowienia. - Prędzej czy później przeszłość i tak do nas wróci.

Asher już otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, lecz zaraz je zamknęła. Taj miał rację.

- Im później, tym lepiej - zdecydowała. - Teraz chcę myśleć tylko o przyjemnościach.

Uśmiechnął się i czubkiem nosa odsunął kosmyk z jej twarzy.

- Nie będę się spierał.

- Nie bądź taki cwany. - Asher opróżniła kieliszek. - To był trzeci - oznajmiła uroczyście. - Widzisz, nic mi nie jest.

Widział aż nadto wyraźnie. Wypieki na policzkach, błyszczące oczy i subtelny, jakby zamglony uśmiech. Mogła zaprzeczać, ale szampan uderzył jej już do głowy. Wiedział, że gdyby w tej chwili jej dotknął, przestałby panować nad sobą.

- Jeszcze? - spytał, sięgając po butelkę.

- Pewnie.

Przezornie napelnił kieliszek tylko do połowy.

- Oglądałem twój wywiad - powiedział, odstawiając butelkę. - Akurat się przebierałem.

- Tak? - Asher położyła się na brzuchu i podparła brodę rękami. - Jak wypadłam?

- Trudno powiedzieć. Nie znam francuskiego. Parsknęła śmiechem.

- Rozumiem.

- Streść mi go - poprosił.

Asher ochoczo przystąpiła do dzieła.

- Reporter zapytał: „Mademoiselle Wolfe, czy zauważyła pani zmiany w swoim stylu gry?” Odpowiedziałam, że chyba wzmocnił mi się serwis. - Zachichotała na wspomnienie poważnej miny dziennikarza. - Nie przyznałam się, że w drugim secie padałam już ze zmęczenia. Zapytał też - ciągnęła rozbawiona - jak mi się grało z „młoda” Kingston, a ja omal mu nie przyłożyłam.

- Dyplomatyczne posunięcie - przyznał Taj, wyjmując Asher kieliszek z dłoni i stawiając go na tacy.

- Jestem urodzoną dyplomatką. - Przekręciła się leniwie na plecy. Musiała nienaturalnie wygiąć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. - Zabrałeś mi kieliszek.

- Owszem. - Odepchnął tacę nogą.

- Skończyliśmy kolację? - Objęła go delikatnie za szyję.

- Zdecydowanie tak. - Co będziemy robić? Masz jakiś pomysł? - Przyglądała się twarzy Taja uniesionej tuż nad jej twarzą i objęła go za szyję. Figlarnie Skubnęła wargami jego wargi.

- Nie. A ty?

- Masz karty do gry? Zaprzeczył ruchem głowy.

- W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak się kochać - orzekła. - Przez całą noc.

- Fakt, przecież trzeba się czymś zająć. Deszczowe wieczory są takie nudne.

Asher skinęła głową.

- Wykorzystajmy ten czas jak najlepiej. - Uśmiechnęła się i cmoknęła go w nos. Taj przesunął dłoń ku jej piersi. Zamruczała jak kotka i uwolniła jego szyję.

- Kręci mi się w głowie, gdy cię tak całuję - szepnęła.

- Podobasz mi się w tej pozycji... na opak. - Dobrał się do jej szyi i smakował ją, składając wilgotne pocałunki na aksamitnej skórze. Oboje oddychali w zgodnym rytmie. Asher chciała odwzajemnić Tajowi przyjemność, jaką jej sprawiał, powstrzymała ją jednak.

- Chcę cię dotykać - szepnął. - Rozpraszasz mnie. Wrócił do przerwanych pieszczot. Śmiało korzystał ze swobody, jaką mu dawała. W powietrzu unosił się jeszcze zapach ostrego sosu. Usta Asher były przesycone aromatem szampana. Usiadła i rozwiązała pasek szlafroka. Taj był nagi, tak jak ona. Oddychając coraz szybciej, gładziła jego tors.

Nie zauważyli, że deszcz dawno przestał padać. Napięcie rosło, gdy ciała poszukiwały wzajemnej bliskości. Łączyło je to samo pragnienie. Raz po raz wrywały się im westchnienia zachwyty i pomruki zadowolenia. Pieszczoty stawały się coraz bardziej zdecydowane i niecierpliwe. A jednak nie śpieszyli się do spełnienia. Zgodnie obdarowywali się dotykiem, który rozpalał ich do nieprzytomności. Mieli tyle do nadrobienia... Oboje przeczuwali, że ta noc jest zaledwie początkiem.

Asher drżała, cała rozpalona. Nie przestawała kusić Taja. Chciała, żeby zawładnął nią całkowicie. Choć jego brzuch był umięśniony i twardy, potrafiła wprawić go w drzenie dotknięciem małego palca. Szybko przypomniała sobie słabość tego skądinąd bardzo silnego mężczyzny i nie omieszkała tej wiedzy wykorzystać.

Tymczasem Taj zsunął się wzdłuż jej brzucha i odnalazł najczulszy punkt kobiecego ciała. Tym podstępny sposobem pozbawił ją resztek rozsądku i świadomości. Nieprzytomnie wykrzyknęła jego imię na znak, by nie przestawał. Wygięła się w przypiływie rozkoszy i przycisnęła go do siebie. Z trudem łapała oddech. Wreszcie ich usta spotkały się w łąpczym pocałunku i zatarali się w dzikiej rozkoszy.

Leżeli przytuleni, mokrzy i zdyszani. Taj wyciągnął rękę, by zgasić światło.

- Wprowadzisz się do mnie - szepnął jej na dobranoc. Było to polecenie, a nie pytanie. Zanim odpowiedziała, otworzyła oczy, obserwując wyrazisty męski profil.

- Jeśli mnie pragniesz...

- Nigdy nie przestałem cię pragnąć, wiesz przecież. W oczach Asher błysnęło z wąpnie, ale Taj nie mógł go zauważyć.

ROZDZIAŁ 7

Bała się Londynu, miasta, które przywodziło wspomnienia z czasów, gdy była lady Wickerton. Na Grosvenor Square stał trzypiętrowy dom, w którym tak niedawno organizowała przyjęcia i bankiety. Chodziła regularnie do Królewskiej Opery na balet, na Drury Lane do teatru i na West End po zakupy. Grywała w brydża z członkami parlamentu, bywała na herbacie w pałacu Buckingham. Lady Wickerton była spokojną, oddaną żoną, kobietą inteligentną, dobrze urodzoną i opanowaną. Asher omal się nie udusiła w tej roli.

Gdyby nie poznała T a j a , prawdopodobnie zaakceptowałaby los angielskiej lady i próbowała sprostać nałożonym na nią obowiązkom. Ale T a j rozbudził w niej namiętność, a trudno jest ją ujarzmić, kiedy rozsadza człowieka. Asher nie miała gdzie wyładować rozpierającej ją energii. Nic dziwnego, zrezygnowała przecież z tenisa.

Decyzja powrotu do Londynu nie była więc łatwa. Nawet perspektywa meczu na Wimbledonie nie mogła przyćmić niepokoju. Na pewno spotka ludzi, którzy pamiętali zdystansowaną, szykowną lady Wickerton i którzy zarzucają pytaniami. Oczywiście w kontaktach z prasą będzie wyniosła i lakoniczna. Przynajmniej tyle jest winna Ericowi. Odmówi komentarzy na temat ich małżeństwa. Zasady wpajane przez ojca przydadzą się jak nigdy dotąd. Będzie rozmawiała z przedstawicielami prasy wyłącznie o tenisie. Z łatwością odwróci uwagę dziennikarzy od życia prywatnego, zarzucając ich informacjami na temat powrotu na korty. Coś, co rodziło się między nią a Tajem, było jeszcze zbyt wątłe, by o tym wspominać.

Pokój hotelowy stał się ich tymczasowym domem. Asher udzieliła się wyzwolona natura Taja i dobrze się z tym czuła. Dawniej poszukiwała stabilizacji i oddania, szybko jednak odkryła, że sens tym pojęciom nadaje tylko miłość. Spontaniczność Taja nieodmiennie pociągała ją i przerażała. Tym razem była zdecydowana pokonać strach i cieszyć się tym, co ma.

- Jeszcze nie gotowa?

Asher przerwała sznurowanie buta i podniosła wzrok. Taj stał w drzwiach. Ubrany do wyjścia, patrzył na nią z dezaprobatą. Kosmyki, jeszcze mokre po prysznicu, opadały mu na czoło. Na ich widok ogarnęło ją rozrzewnienie.

- Prawie - odpowiedziała pośpiesznie. - Nie każdy jest skowronkiem, zwłaszcza po sześciu godzinach snu.

Taj uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie mogłaś zasnąć? - zręcznie chwycił ciśnięty weń but. Nie przespana noc nie zostawiła na nim śladu. - Po treningu będziesz mogła uciąć sobie drzemkę.

- Widzę, że humor panu dopisuje.

- Naprawdę? - Przybliżył się do niej niebezpiecznie blisko. - Pewnie z powodu tego dzieciaka, którego rozniosłem wczoraj na korcie.

- Tak? To jedyny powód?

- A co jeszcze? - Oczy Taja zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Oddaj mi but - powiedziała spokojnie - a rzucę nim jeszcze raz.

- Czy wiesz, że poranki ci nie służą? - zapytał, podnosząc rękę z butem tak, żeby nie mogła go dosięgnąć.

- Czy wiesz, że jesteś nieznośny, odkąd wygrałeś w Paryżu? - fuknęła - Pamiętaj, że to dopiero początek Wielkiego Szlema.

Uparcie próbowała odzyskać swoją własność.

- Ty też o tym pamiętaj, Bużko - powiedział z przekąsem.

- Ja gram na trawie. - Przytrzymała go za pasek od spodni.

- O, nienasycona - westchnął. Chwycił ją wpół i razem padli na łóżko.

- Przestań natychmiast! - krzyknęła, gdy dobrał się do jej szyi. - Spóźnimy się na trening.

- Och, masz rację. - Cmoknął ją w policzek i podniósł się wreszcie.

Asher usiadła na łóżku.

- Nie trzeba cię było długo namawiać - nadała się.

Zaczęła poprawiać włosy, ale Taj znów porwał ją w objęcia. Zanim zdążyła zaprotestować, zamknął jej usta pocałunkiem. Całował ją długo, namiętnie i czule. Miała wrażenie, że zaraz rozplynie się w powietrzu. Wyzywająco odchyliła głowę. - Już się obudziłaś? - Przesunął dłonią po krągłej piersi.

- Uhm... - mruknęła leniwie.

- No, to zbieramy się. - Podniósł ją i klepnął w pośladek.

- Uwważaj, bo ci oddam - ostrzegła, grożąc palcem.

- Liczę na to. - Taj otoczył ją ramieniem. - Musisz przeciwiczyć bekhend - dorzucił.

Momentalnie się najeżyła.

- Jak to?

- Gdybyś odrobinę skróciła zamach... - zaczął.

- Skróć swój - odcięła się. - Skoro już przechodzimy na tematy zawodowe, to jak dotąd nie byłeś Speedy Gonzalesem.

- Muszę zachować trochę siły na finały.

- Okropny z ciebie zarozumialec. Twoja pycha mnie przeraża - prychnęła, gdy weszli do windy. Nacisnęła guzik.

- To pewność, a nie zarozumiałość - sprostował. Lubił Asher taką swobodną, gotową roześmiać się albo odparować mu kąśliwą uwagą. Zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę, że jest piękniejsza, kiedy przestaje się pilnować. - Co ze śniadaniem?

- Jak to co?

- Masz ochotę na kilka jajek po treningu? Asher rzuciła mu przelotne spojrzenie.

- Czy to wszystko, co masz do zaoferowania?

Nie byli sami w zatłoczonej kabinie windy, ale rozmawiali swobodnie, bez skrępowania.

- Może wrócimy do tego, na czym skończyliśmy wczoraj? - zaproponował buńczucznie, czując na plecach skonfundowane spojrzenie nobliwej pary.

- Chętnie! Wczoraj było bardzo miło. Może ma pan ochotę na szampana, panie Starbuck? Wczorajszy bardzo mi smakował.

Taj z radością podjął wyzwanie. Uśmiechnął się szeroko.

- To ty mi smakowałaś, złotko.

Drzwi otworzyły się i obca para czym prędzej opuściła windę. Asher dała Tajowi szturchańca w bok.

Godzinę później oboje koncentrowali się na piłce, śledząc jej kapryśne odbicia na trawiastym podłożu. Czy grała lepiej? Asher zastanawiała się między uderzeniami. Humor jej dopisywał, czuła się lekka i swobodna. Wydawało się, że nie może przegrać. Wimbledon pozwoli jej zapomnieć o Londynie.

Publiczność Wimbledonu była wspaniała. Cicha podczas gry, entuzjastyczna, kiedy zawodnik zdobył punkt. Nawet widzowie, którzy nie mieli miejsc siedzących, nie sprawiali kłopotów. Jeśli ktoś był zbyt hałaśliwy, natychmiast go uspokajano. Nikt nie opierał się o tablice. Mecz na Wimbledonie przypominał ceremoniałem zmianę warty przed pałacem Buckingham. Obie uroczystości były tak typowe dla Wielkiej Brytanii, jak piętrowe autobusy.

Wimbledon jest bez wątpienia stolicą światowego tenisa. Wystarczyło spojrzeć na wystrzyżoną trawę, zadbaną roślinność, budki z napojami i trybunę, która mogła pomieścić dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Wytrawni gracze wracali na Wimbledon, przyszli mistrzowie tutaj zaczynali swoją karierę. Taj opowiadał kiedyś Asher, jak pewnego lipcowego dnia oglądając turniej w telewizji, przysiągł sobie, że pewnego dnia wygra na tym stadionie.

Spełnił to marzenie już czterokrotnie. Asher pragnęła, by w tym roku oboje zeszli z kortu jako zwycięzcy.

- Masz już dość? - krzyknęła Madge.

- Co? - Asher rozejrzała się w roztargnieniu. Zorientowała się, że jest na korcie i od dłuższego czasu stoi nieruchomo z piłką w dłoni. Madge na próżno czekała po drugiej stronie siatki, w bojowej pozycji. Ten widok rozbawił Asher i przywrócił ją do rzeczywistości. - Chyba tak, bo śnię na jawie - powiedziała ze śmiechem.

Spotkały się przy ławce.

- Nawet nie muszę pytać, co u ciebie słychać - zagaiła Madge. - Jesteś nieprzytomna i chodzisz z głową w chmurach.

- Aż tak to po mnie widać?

- Aż tak, kochana. - Madge pokiwała głową. - Ty i Taj tworzycie zgraną drużynę. Czy zamierzacie zalegalizować wasz związek?

- Ja... Nie. Cieszymy się tym, co mamy. - Asher patrzyła gdzieś w dal. - Małżeństwo to tylko papierek.

- Papierek? Żarty na bok, kotku - odparła trzeźwo Madge. Asher spojrzała na nią z niepewnym uśmiechem. - Dla niektórych może tak, ale nie dla ciebie. Dlaczego aż trzy lata męczyłaś się w nieudanym małżeństwie? - Już chciała odpowiedzieć, ale Madge gestem uprzedziła jej słowa. - Bo dla ciebie małżeństwo to przysioga - ciągnęła - a ty dotrzymujesz danego słowa.

- Właśnie go nie dotrzymałam - odparła Asher.

- Uważasz, że to tylko twoja wina? Czy ty przypadkiem nie przesadzasz? - Madge, zirytowana, oparła ręce na biodrach. - Chyba nie zamierzasz się unieszczęśliwiać tylko dlatego, że raz popełniłaś błąd?

- Przecież jestem szczęśliwa - zapewniła Asher, kładąc przyjaciółce dłoń na ramionach. - Zawsze chciałam tylko Taja Nie pozwolę mu odejść po raz drugi.

Madge zmarszczyła brwi.

- Przecież to ty go zostawiłaś, a nie on ciebie.

- Straciłam go i nic tego nie zmieni - powiedziała głucho.

- Asher, nie sądzę...

- Zaczynamy od nowa. - Nie pozwoliła Madge dokończyć zdania. Wzięła głęboki oddech. - Wiem, dlaczego nam się nie udało, i dołożę starań, by nie powtarzać błędów. Kiedyś wydawało mi się, że ja powinnam być zawsze na pierwszym miejscu. - Asher

oglądała piłeczkę, obracając ją w dłoni. - Przede wszystkim ja. Próbowałam rywalizować z jego grą, z jego rodziną. To było głupie. - Wrzuciła piłkę do pudełka.

- To zabawne - zamyśliła się Madge. - Był czas, kiedy wydawało mi się, że kariera Dziekana jest najważniejsza. On z kolei myślał, że moja Żadne z nas nie miało racji.

Asher z uśmiechem zarzuciła torbę na ramię.

- Taj nigdy nie zapomni, że tenis pozwolił mu się wyrwać z biedy. Może powinien o tym pamiętać. Ta świadomość dodaje ognia jego grze.

Czasami rozumie go jak nikt, pomyślała Madge, ale gdy chodzi o niektóre sprawy, zupełnie go nie zna.

- A co dodaje chłodu twojej? - spytała.

- Strach. - Asher odpowiedziała bez zastanowienia. Spojrzała na przyjaciółkę, bagatelizując swoje stwierdzenie wzruszeniem ramion. - Strach przed klęską lub wystawieniem się na pośmiewisko. - Zaśmiała się trochę nerwowo i ruszyła przed siebie. - Całe szczęście, że nie jesteś reporterką.

Żwir trzeszczał im pod stopami. Ten dźwięk nieodparcie kojarzył się im obu ze schludnością angielskich kortów.

- Kiedyś opowiem ci, o czym myślę tuż przed meczem. - Asher wzięła Madge pod ramię. - A teraz pod prysznic.

Nie śniła. Spała jak niemowlę, bez zmartwień, bez koszmarów. Zasunięte kotary prawie nie przepuszczały światła. Gdzieś daleko toczyło się życie, którego stłumione odgłosy wpadały do pokoju. Asher miała na sobie krótką koszulę i leżała bez przykrycia na materacu. Taj obiecał ją obudzić, zanim zrobi się ciemno. Chcieli skorzystać z okazji i powiedzieć trochę, obejrzyć zabytki. Oboje mieli grać następnego dnia, więc wieczór zapowiadał się spokojnie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Półprzytomna usiadła na łóżku i przeczesała ręką włosy. Zapomniał klucza, pomyślała. Leniwie poczłapała do przedpokoju, mrużąc oczy od nadmiaru światła. Zastanawiała się, która może być godzina. Pociągnęła za kłamkę i zamarła.

- Eric - szepnęła po długiej chwili.

- Witaj. - Mężczyzna uklonił się elegancko i nie czekając na zaproszenie, wpakował się do środka. - Obudziłem cię?

- Ucięłam sobie drzemkę - odparła, gorączkowo próbując pozbierać myśli. Nic się nie zmienił, uznała. Właściwie nic w tym dziwnego. Najwyraźniej nie czuł takiej potrzeby. Był szczupły i wysoki, o posturze wojskowego. Miał typowo europejską twarz, o dość ostrych rysach. Blond włosy były schludnie przycięte i uczesane, jak przystało na zamożnego

konserwatystę. Jasne oczy na tle bladej cery wyglądały romantycznie, zdradzały inteligencję, lecz również oziębłość. Asher wiedziała, że te wąskie usta mogą być zacięte, gdy coś nie idzie po myśli Erica. Jako zalotnik był czarujący, jako kochanek - chorobliwie drobiazgowy. W roli męża stał się absolutnie nie do zniesienia.

- Nie spodziewałam się, że cię zobaczę.

- Dlaczego? - Obdarzył ją powściągliwym uśmiechem. - Dlaczego mielibyśmy się nie zobaczyć, skoro i tak jesteś w mieście? O, widzę, że schudłaś.

- To przez te zawody. - Asher wskazała krzesło. - Usiądź, proszę. Przygotuję ci drinka.

Nie powinnam psuć sobie humor tylko z tego powodu, że raczył do mnie wpaść, powtarzała sobie w myśli. Żadnego poczucia winy ani strachu. Małżonkowie po rozwodzie zwykle stają się dla siebie przyjaźni, argumentowała. Cóż, Eric potrafił być uprzejmy do bólu, przypomniała sobie z ponurą miną.

- Czy wszystko u ciebie w porządku? - Nalała mu szkockiej, a sobie wodę mineralną.

- Owszem. Au ciebie?

- Nie narzekam. Co u rodziny?

- Wspaniale. - Eric przyjął kieliszek i przyjrzał jej się uważnie. - A jak się miewa twój ojciec? - Dostrzegł, że sprawił jej tym pytaniem ból, i poczuł satysfakcję. - O ile wiem, zupełnie dobrze - odparła najspokojniej w świecie.

- Nadal ci nie wybaczył, że zrezygnowałaś z kariery? - Postanowił drażnić temat.

Oczy Asher były zimne i puste.

- Dobrze o tym wiesz.

- Myślałem, że skoro wróciłaś do gry... - Celowo nie dokończył zdania.

Asher przyglądała się bąbelkom w kieliszku. Nawet nie miała ochoty ich smakować.

W krótkiej chwili Eric odebrał jej całą radość życia.

- Nie zwraca na mnie uwagi - odpowiedziała obojętnie. - Wciąż płacę za błędy. - Popatrzyła na byłego męża. - Czy to cię zadowala?

Eric w milczeniu rozkoszował się whisky.

- Cóż, to był twój wybór - odezwał się wreszcie. - Kariera w zamian za nazwisko.

- W zamian za milczenie - sprostowała sucho. - Nazwisko już miałam.

- Podobnie jak cudzego dzieciaka w brzuchu.

Dłoń jej drgnęła, aż kulki lodu w kieliszku stuknęły o siebie. Szybko opanowała jednak emocje.

- Można by pomyśleć, że strata dziecka nie jest dostateczną karą. Przyszedłeś tylko po to, żeby mi o tym przypomnieć?

- Przyszedłem - odparł, coraz bardziej zadowolony z siebie - żeby zobaczyć, jak moja była żona sobie radzi. Odnosisz zwycięstwa i jesteś piękna jak zawsze. - Asher milczała, Eric natomiast błędnym wzrokiem po pokoju. - Szybko wróciłaś do byłego kochanka - napomknął. - Nie powinnam była go w ogóle zostawiać. Oboje o tym wiemy. Przykro mi.

Eric przeszył ją lodowatym spojrzeniem.

- Przede wszystkim nie powinnaś była podrzucić mi jego bękarta.

Asher zerwała się na równe nogi.

- Od początku byłem z tobą szczerą - przypomniała, z trudem hamując gniew. - I zapamiętaj sobie: już nigdy nie będę cię za nic przepraszała.

Eric przyglądał się płynowi w kieliszku.

- Czy on już wie?

Zbladła. Nie powiedziała nic, ale nietrudno było wyczytać odpowiedź w jej hardym spojrzeniu. Eric uśmiechnął się złośliwie.

- Widzę, że nie - syknął. - To interesujące.

- Dotrzymałam słowa, Eric. - Asher splotła palce, lecz głos pozostał stanowczy i zrównoważony. - Dopóki byłem twoją żoną, robiłam wszystko, o co mnie prosiłeś.

Eric przytaknął ledwie widocznym skinieniem głowy. Nie wystarczyła mu jej szczerść ani trzyletnia pokuta.

- Ale nie jesteś już moją żoną - powiedział obojętnym tonem.

- Wiesz dobrze, że ten związek męczył nas oboje.

- Czego się bałaś? - Eric zabłądził spojrzeniem na sufit. - O ile pamiętam, Taj to porywczy człowiek. I dość prymitywny. - Pochylił głowę i uśmiechnął się. - Mógłby cię nawet pobić. Czy właśnie tego się obawiałaś?

- Skądże. - Zaśmiała mu się w twarz, choć miała ochotę płakać. - Cóż za pewność - zadrwił. - Więc o co tak naprawdę chodziło?

Asher opuściła ręce wzdłuż tułowia.

- Nie wybaczyłby mi tego, podobnie jak ty. Straciłam dziecko, ojca i wiarę w siebie. Nigdy nie pozbędę się poczucia winy. Uraziłam też twoją dumę, Eric. Czy nie zapłaciłam już za to wszystko?

- Może. - Nagle wstał i podszedł do niej. Asher poczuła znajomy zapach wody kolońskiej. - Najlepszą karą będzie chyba niepewność, czy twój sekret jest bezpieczny. Nic ci w tej kwestii nie obiecuję, moja droga.

- Jak mogłam być taka naiwna, żeby uwierzyć w twoją dobroć? - zapytała, znów doskonale opanowana.

- Za sprawiedliwość. - Uniósł kieliszek w szyderczym toaście.
- Zemsta nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.
- To tylko twój punkt widzenia.

Asher nie zamierzała dać mu satysfakcji. Nie rozplacze się, nie będzie krzyczała ani błagała. Stała naprzeciw niego wyprostowana i chłodna.

- Skoro już powiedziałeś to, co chciałeś, idź sobie i zostaw mnie w spokoju.
- Oczywiście. - Dokończył whisky i odstawił szklaneczkę. - Spij dobrze, moja droga. Nie musisz mnie odprowadzać. - Pociągnął za klamkę i stanął oko w oko z Ta - jem. Nic nie mogło go bardziej ucieszyć niż to niespodziewane spotkanie.

Taj nie mógł nie zauważyć pełnego samozadowolenia uśmiechu Erica. Spojrzał na Asher. Stała na środku pokoju, nieruchoma jak słup soli. Dostrzegł w jej oczach cierpienie i strach. Jej twarz, biała jak prześcieradło, miała nieodgadniony wyraz. Zastanawiał się, czego się obawiała. Zmierzył ją uważnym spojrzeniem od góry do dołu. Potargane włosy i kusa, przejrzysta koszulka wprawiły go w złość. Asher czuła to mimo dzielącej ich odległości. Taj przeniósł wzrok na Erica.

- Zjeżdżaj stąd - wycedził.
- Właśnie wychodziłem - powiedział Eric potulnie, choć odruchowo się cofnął. Dopiero za drzwiami odetchnął i pomyślał z ulgą, że Taj wyładuje się na Asher. Uznał, że wizyta była tego warta.

W pokoju zapanowała cisza przed burzą. Asher nie śmiała się poruszyć. Wydawało się, że Taj będzie się jej przyglądał w nieskończoność. Pomyślała, że jeśli zbagatelizuje całe zajście, Taj zrobi to samo. Z trudem opanowała drżenie rąk.

- Co on tu robił, do cholery?
- Przyszedł z wizytą... żeby życzyć mi szczęścia - wyjąkała Kłamstwo niełatwo przeszło jej przez usta.

- To miłe z jego strony - odparł kwaśno Taj. Podszedł do niej i chwycił rąbek koszuli.

- Gości przyjmuje się zazwyczaj w bardziej kompletnym stroju. Chyba że nie dotyczy to byłych mężów.

- Och, przestań.
- Dlaczego? - rzucił napastliwie. Próbował walczyć ze sobą, powstrzymać słowa, zapanować nad zazdrością, lecz nie zdołał. Zawsze przed niepewnością bronił się atakiem. - Chyba mogliście spotkać się gdzie indziej?

Asher walczyła z poczuciem klęski.

- Wiesz, że już nic nas nie łączy. Wiesz...

- Niby co wiem! - krzyknął, chwytając ją za ramiona. - Nie pytaj, o nic nie pytaj, i nagle zastaję cię sam na sam z tym bydlakiem, dla którego mnie rzuciłaś.

- Skąd mogłam wiedzieć, że się tu zjawi? - Chwyciła się jego barków, żeby utrzymać równowagę. Taj poderwał ją w górę tak, że ledwie dotykała stopami podłogi. - Gdyby zadzwonił, powiedziałabym, że nie chcę go widzieć.

- Wpuściłaś go. - Potrząsnął nią i postawił na podłodze. - Po co?

- Byłbyś szczęśliwszy, gdybym zatrzasnęła mu drzwi przed nosem? - wybuchnęła zdesperowana.

- Tak, do cholery!

- Ale nie zatrzasnęłam. - Pchnęła go, rozzłoszczona na dobre. - Zaprosiłam go do środka i poczęstowałam drinkiem. Potraktuj to, jak chcesz, ja nie mam na to wpływu.

- Chciał cię odzyskać? - nalegał. - Czy dlatego przyszedł?

- Jakie to ma znaczenie? - Bezsilnie zadudniła pięściami w szeroką pierś Taja - Ja go nie chcę. - Odchyliła głowę.

- Więc czemu go poślubiłaś? - zapytał gwałtownie. Na próżno próbowała się wyswobodzić. Taj przyciągnął ją bliżej.

- Odpowiedz, Asher. Muszę to wiedzieć.

- Bo myślałam, że jest tym, kogo potrzebuję! - krzyknęła. W głowie miała zamęt.

- I był? - Taj trzymał ją mocno.

- Skądże! - Szarpnęła się. Nagle poczuła się samotna i bezsilna, a jednocześnie wzbierał w niej gniew. - Byłam nieszczęśliwa, czułam się jak w pułapce. Zapłaciłam za to więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Ani przez chwilę nie byłam szczęśliwa. Zadowolony?

Wbiła w niego wzrok, po czym zrobiła coś, czego Taj najmniej się po niej spodziewał. Po prostu się rozplakała. Puścił ją, wpatrując się z niedowierzaniem w spływające po policzkach łzy. Odkąd się znali, nie widział Asher tak rozbitej i udręczonej. Wyrwała mu się i uciekła do sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Potrzebowała ciszy i samotności. Łzy i dla niej były niespodzianką. Gdyby łkanie nie odebrało jej mowy, powiedziałaaby Tajowi o dziecku. Miała gotowe słowa, których nie zawahałaby się wypowiedzieć w chwili gniewu. Na szczęście nie była w stanie nic z siebie wydusić. Płacz pomógł jej wyładować emocje w bezpieczniejszy sposób.

Taj długo wpatrywał się w zamknięte drzwi. Z sypialni dochodziło urywane łkanie. Nie spodziewał się podobnej reakcji. Uważał, że jego pytania i złość są uzasadnione. Gdyby Asher odpowiedziała złością, łatwiej zrozumiałby wszystko. Słyszał jednak coś zupełnie

innego. Wychowany wśród kobiet, wiedział, czym są dla nich łzy. Miał duże doświadczenie w pocieszaniu i uspokajaniu. Płacz Asher był czymś wyjątkowym.

Jess łatwo było doprowadzić do łez. Płakała po kobiecemu, krótko. Matka roniła łzy radości lub cichego smutku. Taj umiał sobie z tym radzić. Mógł wspierać je lub rozweselać. Nie znał lekarstwa na płacz Asher.

Nękało go wiele pytań. Nadal był rozszoszczony. Jednak łkanie zza ściany kazało mu odłożyć wszystko na później. Wiedział, kiedy płacz służy jako broń. Łzy Asher wymknęły się wbrew jej woli i były łzami rozpacz. Taj przeczesał ręką włosy. Zastanawiał się, kto był ich przyczyną. Eric, on, czy też coś, o czym nie ma pojęcia. Klnąc pod nosem, podszedł do drzwi i je uchylił.

Asher leżała na łóżku, zwinięta w kłębek, wstrząsana dreszczami. Wzdrygnęła się, gdy dotknął jej ramienia. Taj bez słowa położył się obok i ją przytulił. W pierwszym odruchu usiłowała go odepchnąć, choć czuła się taka osamotniona. Nie chciała, by patrzył na jej łzy. Spokój, tylko spokój, powtarzała sobie. Taj delikatnie obejmował ją silnymi ramionami.

- Nie zostawię cię samej - szepnął.

Wreszcie przytuliła się do niego i pozwoliła łzom swobodnie toczyć się po policzkach.

Zrobiło się ciemno, gdy wyplakała wszystkie. Ogarnęła ją senność i zmęczenie. Obok słyszała mocne, regularne uderzenia serca Taja, gdy delikatnie gładził ją po karku.

Omam mu nie powiedziała. Zamknęła oczy, zbyt zmęczona, aby rozważać dobre i złe strony tego, co zaszło. Gdyby miała dość siły, pewnie cieszyłyby się, że prawda nie wyszła na jaw.

Straciłam nasze dziecko. Czy tuliłby się teraz do niej, gdyby to usłyszał? Po co w ogóle o tym mówić? - pytała samą siebie. Po co sprawiać mu ból czymś, o czym nie wiedział? Asher była pewna, że kiedy złość minie, Taj będzie cierpiał. Zdała sobie nagle sprawę, że nie tylko strach powstrzymuje ją od zdradzenia sekretu. Nie chciała narażać go na cierpienie, jakie sama przeżyła.

Przypomniała sobie krzyki, upadek i gęstą ciemność. Dziecko... jego dziecko. Panika, przerywana zapadaniem się w senną nicość. Powieki miała jak z ołowiu. Zmusiła się jednak, by je unieść, i przesunęła rękę ku brzuchowi. Przed sobą ujrzała poważną i nieczułą twarz Erica.

- Dziecko - wydusiła ochryple.

- Nie żyje.

Zapomniała o bólu fizycznym. Ogarnęła ją rozpacz.

- Nie wierzę. - Powieki opadły na oczy. - Boże, nie, tylko nie to. Taj...

- Posłuchaj mnie, Asher.

Głos Erica był suchy. Przez trzy dni czekał, aż odzyska przytomność. Straciła dziecko i wiele krwi. Raz o mało jej nie stracił. Zależało mu, żeby przeżyła. Stopniowo jednak miłość, którą ją darzył, ustąpiła nienawiści. Zdradziła go, zrobiła zeń głupca. Teraz za to zapłaci.

- Moje dziecko...

- Nie żyje - powtórzył, ujmując ją za rękę. - Spójrz na mnie. - Posłuchała. Zwróciła ku niemu twarz mokrą od łez. - Jesteś w prywatnej klinice. Powód, dla którego się tu znalazłaś, pozostanie między nami, jeśli zrobisz to, co ci każę.

- Eric... - Błysnęło światełko nadziei. Resztką sił ścisnęła jego rękę. - Czy jesteś pewien? Może zaszła jakaś pomyłka?

- Poroniłaś. Ale służba będzie dyskretna. Oficjalnie wyjechaliśmy w krótką podróż.

- Nie rozumiem. - Znów położyła rękę na brzuchu, jakby chciała się upewnić. - Spadłam ze schodów, ale...

- To był wypadek - uciał, jakby chodziło o stłuczoną szybę.

- Taj... - jęknęła, i świeże łzy napłynęły jej do oczu.

- Jesteś moją żoną i zostaniesz nią, dopóki nie zadecyduję inaczej. - Zamilkł, czekając, aż Asher na niego spojrzy. - Mam zadzwonić do twojego kochanka i powiedzieć, że wyszłaś za mnie, nosząc jego dziecko?

- Nie - szepnęła. Taj. Tęskniła za nim. Straciła go tak jak dziecko, które poczęli.

- W takim razie zastosujesz się do moich poleceń. Zrezygnujesz z gry zawodowej. Nie życzę sobie, żeby prasa szargała moje nazwisko przez ciebie i tego goryla. Zachowasz się, jak przystało na lady Wickerton. Nie tknę cię więcej - powiedział z obrzydzeniem. - Wszystko, co do ciebie czułem, przepadło. Będziemy żyć, jak uznam za stosowne, albo on dowie się o twoich gierkach. Czy to jasne?

Co za różnica? - pytała siebie w myślach. Czowała się tak, jakby już nie żyła.

- Zrobię, jak zechcesz - zgodziła się. - A teraz zostaw mnie samą.

- Jak sobie życzysz. - Eric wstał. - Kiedy wydobrzejesz, złożysz oświadczenie, że odchodzisz z zawodu. Powiesz, że nie masz już czasu na tenisa, gdyż wolisz poświęcić czas mężowi i zadomowić się w nowej ojczyźnie.

- Nie obchodzi mnie to - zachrypiała. - Zostaw mnie samą Chcę się przespać.

- Daj mi słowo, Asher.

Patrzyła na niego długo, nim zamknęła oczy.

- Masz moje słowo.

Dotrzymała go. Znosiła złe traktowanie ze strony Erica i zrezygnowała z gry, choć naraziła się tym na gniew ojca. Patrzyła przez palce na z trudem ukrywane, częste romanse męża. Miesiącami żyła jak zombie, automatycznie robiąc wszystko, co jej kazano. Kiedy otrząsnęła się z depresji, Eric szykanował ją poczuciem winy i groźbami. Gdy wreszcie zaczęła wracać do życia, upomniała się o swoje prawa. Dla Erica najważniejsza była reputacja. Asher obroniła się przed szantażem rozległą wiedzą o pozamałżeńskich związkach lorda Wickertona. W końcu zmusiła go do zawarcia umowy na swoich warunkach.

Teraz wrócił. Pewnie uznał, że zbyt dobrze jej się wiedzie, i chciał ją podręczyć. Miała jednak wrażenie, że będzie milczał, choćby po to, żeby mieć na nią wpływ. Kiedy ujawni jej sekret, już nic nie będzie ich łączyło. Jeśli go ujawni...

Przypomniała sobie wyraz twarzy Taja gdy zobaczył ich razem. Nie zadowolą go żadne wyjaśnienia. Być może któregoś dnia zaufają sobie na tyle, że wspomnienie zdrady przestanie mieć znaczenie.

Leżała w ciszy. Po oddechu można by sądzić, że śpi, ale Taj wiedział, że oczy ma otwarte i myśli. Co takiego przed nim ukrywa? To pytanie wciąż nie dawało mu spokoju. Ile czasu minie, zanim atmosfera między nimi w końcu się oczyści? Zamierzał zmusić ją do wyznań, ale powstrzymała go jej słabość. Nie chciał, żeby wyrósł między nimi mur.

- Lepiej już? - spytał czule.

Asher westchnęła i kiwnęła głową. Mogła mu powiedzieć tylko jedno.

- Taj, on nic dla mnie nie znaczy. Wierzysz mi?

- Chciałbym.

- Więc uwierz - powiedziała z mocą i przyłgnęła do jego piersi. Nic innego nie mogła mu ofiarować. - Nic nie czuję do Erica. Nawet nienawiści. Nasze małżeństwo było pomyłką, udawaniem.

- Czemu więc... - W moim sercu byłeś tylko ty. Zawsze. - Schowała głowę w zagłębieniu jego szyi i całowała go, płacząc. Namiętność rozpałała ją, mimo wyczerpania. - Przestałam żyć na tak długo. - Asher zajęła się na dobre Tajem, obsypując pocałunkami jego twarz. - Potrzebuję cię.

Ich usta połączyły się, słowa nie były już potrzebne. Tajowi udzieliła się jej namiętność. Żadnych pytań, żadnych odpowiedzi. Zdarła z niego koszulę, aby poczuć bliskość ciała. Ręce śpieszyły się, usta jakby na przekór igrały ze sobą. Sunęła językiem po nagim, męskim ciele, zostawiając na skórze wilgotny ślad.

Miał boskie ciało - umięśnione, smukłe, jędrne. Oszołomiona nim, odkrywała wciąż nowe tajemnice. Kiedy dotknęła brzucha, oddech Taja stał się płytszy, a palce wczepiły się w

jej włosy. Gdy przesunęła dłoń na wewnętrzną stronę uda, wydał niski pomruk. Wstąpiło w nią nowe życie.

Pospiesznymi ruchami rozebrał ją z koszulki. Doprowadzała go do szaleństwa, jak dawniej. Nie zwrócił uwagi, że delikatna materia rozdarła się na szwie. Asher drażniła się z nim, czyniąc zwinne uniki, które nie pozwalały mu w nią wejść. To rozpalało go jeszcze bardziej.

- No już - niecierpliwie chwycił ją za biodra. - Asher, ty potworze!

- Nie, nie, nie...

Tortura przypadła jej do gustu. Choć i jej ciało dopominało się spełnienia, chciała przedłużyć upajającą chwilę. Taj przesunął dłońmi po wilgotnej skórze i Asher wygięła się w rozkoszy. Teraz i na zawsze należała tylko do tego mężczyzny, który potrafił ją tak rozpalić.

ROZDZIAŁ 8

Asher podróżowała limuzynami przez całe życie. W dzieciństwie woził ją szofer George. Samochody zmieniały się często, ale on służył rodzinie przez długie lata. Kierowca lady Wickerton miał na imię Peter. Prowadził starego, lecz znakomicie utrzymanego daimlera. Zarówno Peter, jak i jego wóz byli cisi i niezawodni.

Przejażdżka długą, czarną limuzyną na Wimbledon nie wzbudzała w Asher większych emocji. Gdy mijali Roehampton, obojętnie patrzyła przez szybę. Wypielęgnowane drzewa, nienagannie przycięte żywopłoty, zadbane klomby kolorowych kwiatów. Za kilka godzin będzie już na Korcie Centralnym. Zmęczona, spocona i zwycięska. Stawka była wysoka. Umocnienie pozycji, prestiż, dobre notowania w prasie. Wszystko to było na wyciągnięcie ręki.

Zdarzyło się już, że Asher i Taj zdobyli mistrzostwo Wimbledonu i byli pierwszą parą na balu kończącym turniej. Ów rok był najszczęśliwszym i zarazem najokropniejszym okresem w życiu Asher. Teraz będzie grała ze swoją odwieczną rywalką, Marią Rayską. Zamierzała dać z siebie wszystko i wygrać. Dawniej sądziła, że wraz z pierwszym zwycięstwem jej życie się ułoży. Myliła się. Punktem zwrotnym będzie dzisiejszy mecz. Pojedynek na korcie, który jest symbolem tenisa, na nawierzchni, której właściwości i tajemnice znała jak mało kto. W kraju, gdzie do niedawna żyła jak w więzieniu. Wszystko się ułoży z chwilą zakończenia tego meczu.

Myślała o Taj, chłopcu, który poprzysiągł sobie, że zagra na Wimbledonie i odniesie zwycięstwo. Teraz, siedząc w miękkim fotelu limuzyny, sama złożyła podobne ślubowanie. To będzie dla niej sezon zdobywania mistrzostw. Trzeba zwrócić Asher Wolfe jej prawdziwe ja”. Tylko wtedy potrafi rozmówić się z jedynym mężczyzną, jaki liczył się w jej życiu.

Publiczność od dawna oczekiwała sportowców, witając każdego entuzjastycznie i hałaśliwie. Niektórzy popijali szampana, inni objadali się truskawkami z bitą śmietaną. Asher, nagabywana przez wielbicieli, poczuła się beztrosko jak za dawnych czasów. Odzyskała pewność siebie, była gotowa zmierzyć się z rywalką. Nic, pomyślała rażno, nie może popsuć takiego dnia. Czwarty lipca, niebo słoneczne, powietrze przesycone zapachem kwiatów.

Przypomniała sobie dawne mecze na Wimbledonie. Tak niewiele się tu zmieniło. Jak zawsze, widzowie mieszały się z tenisistami i zewsząd dochodziły ożywione rozmowy. Panowała atmosfera kameralnego spotkania przy herbacie. Jednak dało się wyczuć napięcie. Czaiło się, ukryte pod maską wzajemnej życzliwości. Emanowało od nowicjuszy, weteranów

i finalistów. Również gwiazdy kina i muzyki, bogacze i właściciele ziemscy nie pozostawali obojętni.

Przed Asher przemykały twarze znane z przeszłości, zawodnicy z pokolenia jej ojca. Dla nich turniej na Wimbledonie był powrotem do młodości, do pięknych wspomnień. Obecni byli także ci, których gościła kiedyś na Grosvenor Square. Dla nich mecz był przede wszystkim wydarzeniem towarzyskim. Panowała moda na zwiewne sukienki, pastelowe kolory i kapelusze o szerokich rondach. Nie chciała uciekać przed przeszłością, więc uprzejmie pozdrawiała dawnych znajomych.

- Jak miło cię widzieć, Asher.
- Jaką masz zgrabną spódnickę.
- Szkoda, że nie bywasz już w klubie.

We wszystkich komentarzach kryła się sztuczność i nieme domysły. Asher podchodziła do nich z rezerwą, której nauczyła się w ciągu trzech lat małżeństwa.

- Gdzie twój staruszek?

Odwróciła się i uściśnęła serdecznie dwie silne dłonie.

- Stretch McBride! Nic się nie zmieniłeś! - wykrzyknęła, uradowana.

Bzdura, zmienił się, i to bardzo. Kiedy po raz pierwszy szczypał Asher w policzek, miał trzydzieści lat i żadnych zmarszczek ani przyprószonych siwizną włosów. Po dwa razy wygrał każde liczące się zawody. Choć nadal był wysoki i szczupły, dwadzieścia lat odcisnęło na nim piętno.

- Urocze kłamstewko. - Rozpromieniony, pocałował Asher w czoło. - Gdzie Jim? - Rozejrzał się wkoło. - W Stanach. - Uśmiech Asher nie stracił blasku. - Co u ciebie, Stretch?

- Nie narzekam. Mam pięcioro wnucząt i sieć sklepów sportowych na Wschodnim Wybrzeżu. - Poklepał ją ojcowskim gestem po dłoni. - Nie mów mi, że Jim nie przyjedzie. Nie ominął żadnego meczu od czterdziestu lat.

Usiłowała ukryć żal, jaki wywoływała w niej każda myśl o ojcu.

- O ile wiem, jednak go nie będzie - odparła lekkim tonem. - Cieszę się, że cię widzę, staruszkę. Nie zapomnę, że nauczyłeś mnie upuszczanych podań.

Stretch zaśmiał się chępliwie.

- Wykorzystaj je przeciwko Marii - poradził. - Uwielbiam, kiedy Amerykanie wygrywają na Wimbledonie. I pozdrów ode mnie swojego staruszka.

Z uśmiechem wykręciła się od obietnicy, której nie mogłaby dotrzymać. Stretch cmoknął ją na pożegnanie i odszedł.

Odwróciła się i wpadła na lady Daphne Evans. Ta arystokratka była jedną z licznych przyjaciółek Erica i największym zmartwieniem Asher z czasów małżeństwa.

- Daphne, wyglądasz wspaniale - powiedziała głosem słodkim jak miód.

- Witaj, Asher. - Daphne zlustrowała ją od stóp do głów, zatrzymując na ułamek sekundy spojrzenie na kusej spódniczce i zgrabnych udach. - Ależ ty się zmieniłaś. Dziwnie jest widzieć cię w sportowym wcieleniu.

Wymieniły czujne spojrzenia.

- Dziwnie? Dlaczego, przecież zawsze uprawiałam sport. Ale powiedz lepiej, jak się miewa twój mąż? - spytała niewinnie Asher.

Atak został odparty zdawkowym śmiechem.

- Robi interesy w Hiszpanii. Dziś towarzyszy mi Eric. Asher poczuła skurcz w żołądku, lecz jej twarz pozostała pogodna.

- Eric tu jest?

- Oczywiście. - Daphne poprawiła rondo różowego kapelusza. - Chyba nie przypuszczałaś, że przegapi twój mecz? - Angielka spuściła wzrok, by po chwili znów spojrzeć na Asher spod długich rzęs. - Wszyscy są ciekawi, jak ci dziś pójdzie. Zagrasz, prawda, kochana? - dodała z udawaną troską.

- Naturalnie.

- Nie zatrzymuję cię dłużej. Zgodnie z tradycją musisz wmieszać się w tłum. Powodzenia. - Lady Evans uśmiechnęła się czarująco i odpłynęła, falując rondem kapelusza.

Asher miała ochotę zwymiotować. Głęboko nabrała powietrza i zaczęła przeciskać się przez tłum. Potrzebowała chwili ciszy i spokoju. Dzień zapowiadał się wystarczająco sensacyjnie i bez rozmów z duchami. Wymieniając kurtuazyjne ukłony z kilkoma osobami, wydostała się z tłumy. Kilka minut, myślała gorączkowo. Potrzebowała kilku minut samotności, zanim stanie przed zapełnionymi trybunami i wystawi na próbę swoje umiejętności.

Znała Erica i mogłaby przysiąc, że kazał Daphne ją odszukać. Chciał mieć pewność, że jeszcze przed meczem dowie się, iż będzie oglądał jej rozgrywki. Asher wślizgnęła się do małego pokoiku w szatni. Dopiero tutaj zauważyła, że drżą jej dłonie. Nie mogła tego tak zostawić. Przecież za pół godziny musi być całkowicie opanowana.

Gdy wychodziła na kort, starała się nie patrzeć na trybunę. Będzie lepiej, jeśli radosne twarze na widowni pozostaną anonimowe. Skupiła spojrzenie na Marii Rayskiej, próbując oczyścić umysł ze wszystkiego, co nie dotyczyło meczu. Rywalka kończyła rozgrzewkę. Truchtała w miejscu, wykrzykiwała coś do siebie i od czasu do czasu machała publiczności.

Nie ukrywała zdenerwowania. Taka jak zawsze, mruknęła do siebie Asher. Maria znana była z tego, że obgryzała paznokcie, zaciskała pięści i mówiła, co jej ślina na język przyniesie. Asher w pewnym sensie ją lubiła. Niewysoka zawodniczka, z długim zamachem, mająca zwyczaj podpuszczać przeciwnika i atakować zniecałkowanego.

Cóż, westchnęła, wybierając raketę, wybiegi Rayskiej odciągną przynajmniej jej uwagę od trybun. Od tego, kto jest zbędny, a kogo brakuje. Zerknęła obojętnie na ekran. Dzięki postępowi techniki relacja z meczu dotrze do Stanów z minimalnym opóźnieniem. Czy ojciec obejrzy ją chociaż w telewizji? Asher udała się na linię, by rozpocząć mecz.

Nie było wstępu w tej grze. Rayska puła prosto do celu. Obie były równie szybkie. Rayska grała agresywnie, Asher - strategicznie. Piłka obierała najbardziej niespodziewane kierunki, jak zwykle na Korcie Centralnym. Atak i obrona wymagały refleksu i szybkości, nie wspominając o koncentracji.

Piłka śmigała w tę i z powrotem. Czternaście tysięcy głów z zapartym tchem śledziło jej bieg. Widzowie dostali to, po co przybyli. Na krótko przystrzyżonej murawie zawodniczki zaciskały zęby, pocily się i zmagaly z własnymi słabościami. Nie robiły tego dla widzów, lecz dla samej gry. Gdy obie znalazły się blisko siatki, Rayska rzuciła uszczypliwą uwagę. Asher zignorowała ją. Wpadła w rytm i nic nie mogło jej z niego wytrącić. Uderzała z niebywałą precyzją, nie bała się podchodzić do siatki i posyłać przeciwniczce niebezpiecznych wolejów. Wydawało się, że znajduje się w szczytowej formie.

Wszystko uległo zmianie, gdy zawodniczki zeszły z kortu po trzecim secie.

Asher myślała tylko o grze, toteż jej odporność zmalała. Spojrzała odruchowo na trybunę i dostrzegła Erica. Na jego twarzy pojawił się lodowaty uśmiech. Skinął jej głową. Gest ten mógł być powitaniem lub napomnieniem.

Co z nią, do diaska? - na próżno głowił się Taj. Zbliżył się do kortu i przyglądał się Asher, mrużąc oczy. Przegrała dwa gemy pod rząd, w tym drugi przez podwójny błąd serwisowy. Rayska grała znakomicie, to fakt, ale Asher wcale nie była od niej gorsza. Aż do trzeciego seta. Zaczęła grać mechanicznie, jakby wyparował z niej cały zapal. Nie odbierała podstawowych podań, albo robiła to bez wyczucia. Serwis Rayskiej nie był jej najlepszą bronią, a jednak Asher miała problemy z returnem.

Gdyby jej nie znał, powiedziałby, że oddaje mecz. Lecz Asher Wolfe nie potrafiła przegrywać na życzenie.

Szukał oznak kontuzji. Mogła naciągnąć ścięgno lub skrzyć kostkę. To by wszystko wyjaśniło. Jednak niczego nie wypatrzył. Wyraz twarzy Asher był nijaki, jak maska. Zbyt nijaki, stwierdził Taj, gdy sędzia ogłosił wynik piętnaście do zera w trzecim gemie. Coś było

nie tak, lecz przyczyna musiała tkwić w psychice, a nie w kondycji. Zaniepokojony, zaczął przyglądać się ludziom na trybunie.

Mnóstwo mniej lub bardziej znajomych twarzy. Zauważył aktora, z którym grał na turnieju dla osobistości życia publicznego. Był to postawny facet o niewiarygodnym forhendzie. Rozpoznał też primabalerinę, którą widzieli z Asher w *Ognistym Ptaku*. Obok baletnicy siedział piosenkarz country. Wzrok Taja przesunął się dalej, na Taras Królewski.

Twarz lorda Wickertona szpecił grymas pełen złośliwej satysfakcji. Eric nie spuszczał oczu ze swojej byłej żony. U jego boku siedziała lady w różowym kapeluszu. Wydawała się bardzo znudzona.

- Sukinsyn - zaklął Taj, podnosząc się z miejsca. Zatrzymała go czyjaś silna ręka.

- Dokąd idziesz? - zdziwiła się Madge.

- Muszę zrobić coś, co powinienem był zrobić trzy lata temu.

Madge powędrowała wzrokiem za spojrzeniem Taja.

- O rany! - gwałtownie wciągnęła oddech. Mocno trzymała przyjaciela i czuła, jak bardzo jest napięty. Przelotnie wyobraziła sobie, co by się stało, gdyby pozwoliła mu pójść na górę.

- Zaczekaj - powiedziała z naciskiem. - Nie pomożesz Asher, łamiąc mu szczękę.

- Może i nie - odparł. - Wiesz, po co tu przylazł.

- Chce ją zdenerwować. - Madge starała się zachować spokój. - I dobrze mu to wychodzi. Idź i porozmawiaj, ale z Asher. Niejednemu mężczyźnie zjeżyłyby się włosy pod spojrzeniem, jakie Taj posłał Madge - lecz ona uniosła tylko brwi.

- Mój drogi, jeśli chcesz wywołać bójkę, zrób to po meczu - stwierdziła chłodno. - Będę ci sekundować. A teraz zdaj się lepiej na rozum.

Widziała, jak Taj walczy ze sobą, aż wreszcie rozsądek zaczął wygrywać z emocjami. Odprężył się nieco, choć oczy wciąż ciskały błyskawice.

- Jeśli to nie poskutkuje - powiedział groźnie - rozerwę go na strzępy.

- Chętnie popatrzę - obiecała, zanim zniknął jej z oczu.

Wiedział, że będzie miał tylko chwilę. Zdecydował się użyć niewielu słów, ale za to dobitnych. Asher przegrała gema do zera. Podeszła do ławki i usiadła ciężko, nie zauważywszy Taja.

- Co z tobą, do cholery?

Obejrzała się, urażona ostrym tonem pytania.

- Nic. - Była zmęczona. Otarła ręcznikiem pot z czoła. Przegrała.

- Podajesz jej zwycięstwo na tacy.

- Zostaw mnie w spokoju, Taj.

- Dasz mu satysfakcję oglądania twojej klęski na oczach czterestu tysięcy ludzi?

W jego głosie nie było cienia litości ani współczucia. Zauważył, że jego słowa wywołały przelotny błysk w oczach Asher. Właśnie o to mu chodziło. Grała lepiej, dużo lepiej, gdy kipiała w niej złość.

- Nie myślałem, że oddasz ten mecz.

- Idź do diabła. Asher podniosła się ociężale i wróciła na kort. Nikt, myślała, czekając, aż Rayska zajmie pozycję, nie będzie zarzucał Asher Wolfe, że oddaje mecz. Przeciwniczka stanęła w rozkroku, oczekując na serwis. Asher odbiła piłkę kilka razy, podrzuciła wysoko, wzięła zamach i uderzyła. Z płuc zawodniczki wydobył się głośny oddech - miara mocy uderzenia. Drobną białą proszek, wyznaczający granicę kortu, wzbił się w powietrze, gdy nieodebrana piłka uderzyła o ziemię. Asher bez większych emocji złożyła się do kolejnego serwu.

Gdy była zła, potrafiła pokazać pazury. W tej chwili była wściekła. Fotograf, ogniskując obiektyw aparatu na twarzy tenisistki, ujrzał spokojną, miłą buzię o chłodnych oczach. Emocje ujawniały się u Asher pod postacią wzmożonej energii. Podbiegła do piłki i uderzyła ją, jakby mała kulka ponosiła winę za całe zło świata. Jednak ta siła ani na chwilę nie wymykała się spod kontroli. Nikt nie przypuszczał, że przy każdym uderzeniu przeklinała Taja. Wiedział o tym tylko on. Zadowolony przyglądał się, jak Asher wykorzystuje złość przeciwko rywalce.

Cudownie wygląda, myślał, śledząc najdrobniejszy jej ruch. Długie, zgrabne nogi, silne i proste ramiona. Grała płynnie i precyzyjnie. Trudno uwierzyć, że kierują nią gniew, pasja i duma. Jest taka jak jej gra, pomyślał. Nagle gorąco jej zapragnął. Tylko on wiedział, jak szalona i romantyczna potrafi być w miłości. Ta świadomość wzmogła w nim pożądanie. Asher Wolfe jest kobietą, o jakiej marzy każdy mężczyzna. Trochę dama, a trochę dziwka.

I należy do mnie, wyłącznie do mnie, powtarzał żarliwie.

Przeniósł wzrok na trybuny. Na ustach Erica nie było śladu uśmiechu. Rozglądał się, jakby domyślał się przyczyny zmiany. Spojrzenia obu mężczyzn się spotkały. Patrzyli na siebie długo, podczas gdy widzowie oklaskiwali zwycięskiego gema Asher. Taj zaśmiał się zuchwale i odszedł.

Mecz zbliżał się ku końcowi. Asher grała z niesłabnącą energią, która pozwoliła jej wygrać. Spokojnie przyjęła puchar Wimbledonu, choć w istocie szalała ze złości. Radość zwycięstwa nie mogła przebić się przez niechęć i wściekłość. Taj skierował jej emocje przeciwko sobie tak, że zupełnie zapomniała o Ericu.

Miała ochotę krzyknąć, a tymczasem uśmiechnęła się wdzięcznie i uniosła puchar nad głowę. Pozwoliła fotografować się ze wszystkich stron. Nie czuła zmęczenia.

Gdy wreszcie uwolniła się od prasy i wielbicieli, ochłodziła się prysznicem i przebrała. Zmusiła się, by zostać i obejrzeć mecz Taja Przekora sprawiła, że udawała obojętność wobec jego wyczynów na korcie. Dawno zapomniała o Ericu. Myślała tylko o tym, by przy pierwszej sposobności wyrzucić z siebie złość. Musiała poczekać pięć długich setów, dwie i pół godziny, nim skończył grę i odebrał puchar.

Asher nie zwlekała. Opuściła trybuny, zanim ustały owacje.

Wiedział, że będzie na niego czekała. On też czekał. Adrenalina wciąż buzowała w jego żyłach. Prysznic ani masaż nie zdołały go uspokoić. Wimbledon zawsze tak na niego działał. Dopóki gra, jego celem będą zwycięstwa na Korcie Centralnym. Teraz, gdy mecz miał już za sobą, upajał się smakiem zwycięstwa. Czuł się jak wojownik powracający do domu ze zwycięskiej wojny. Czekala na niego kobieta. Niestety, zamiast paść mu w ramiona, rzuciła się na niego z pazurami. Mimo to nie mógł się doczekać spotkania.

Otworzył drzwi i wkroczył do holu, uśmiechając się butnie. Nie zdążył ich zamknąć, kiedy Asher zmaterializowała się tuż przed nim.

- Gratulacje, Buźka - powiedział uprzejmie. - Wygląda na to, że należy nam się pierwszy taniec na balu.

- Jak śmiesz rzucać mi w twarz podobne zarzuty i to w środku meczu? - napadła na niego. Z błyszczącymi oczami postąpiła krok naprzód. - Jak śmiesz oskarżać mnie o celowe przegrywanie?

Taj spokojnie położył torbę na krześle.

- A jak byś to nazwała?

- Po prostu przegrywałam.

- Dawałaś za wygraną - poprawił stanowczo. - Równie dobrze mogłaś w ogóle nie grać.

- Nigdy nie daję za wygraną! Taj unióśł brwi.

- Owszem, zdarza ci się to - raz na trzy lata.

- Jak śmiesz mówić podobne brednie? - pchnęła go pięściami w pierś.

Zamiast się obrazić, zaśmiał się czule. Lubił, kiedy się złościła.

- Znakomicie ci szło. Nie mogłem pozwolić, żebyś przegrała. - Uszczypnął ją w policzek. - Nie miałem ochoty tańczyć z Marią.

- Ty perfidny, zarozumiały pyszałku! - wrzasnęła. - Szkoda, że Gramaldi z tobą nie wygrał! Przydałaby ci się nauczka. - Obróciła się na pięcie z zamiarem powrotu do sypialni. Taj chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał.

- Nie pogratulujesz mi?

- Nie.

- Daj spokój - uśmiechnął się pojednawczo. - Czekam na buziaka.

Asher zacisnęła dłoń w pięść i zamachnęła się. Taj zrobił unik, pochylił się i chwycił ją wpół.

- Uwielbiam, gdy szalejesz - powiedział, choć wierciła się i ciągnęła go za włosy.

Ku swojemu zdziwieniu, musiała stłumić śmiech. Rozjuszyło ją to jeszcze bardziej.

- W takim razie zobaczysz, na co mnie stać - zagroziła, gdy rzucił ją na łóżko.

Choć miała niezły refleks, nim się obejrzała, Taj rozłożył ją na łopatki. Wierciła się i kopała, próbując podnieść kolano na strategiczną wysokość. Bez trudu ją unieszkodliwił, ale nie dawała za wygraną. Kręciła się, wiła i wierzgała.

- Zabieraj te łapy!

- Jak tylko skończę - oznajmił z błyskiem w oku. Zanurzył dłoń pod bluzkę Asher.

Broniąc się przed przyjemnością, zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Nie dotykaj mnie - ostrzegła.

- Muszę, jeśli mam się z tobą kochać. - Wzruszył bezradnie ramionami. - Nie umiem inaczej.

Nie będę się śmiała, nakazała sobie. Przecież jestem zła i obrażona. Taj zauważył, że Asher powoli mięknie. Postanowił jeszcze się z nią podrażnić.

- Masz fiołkowe oczy, kiedy się wściekasz, wiesz o tym? - Pocałował ją w usta. - No, pokrzycz na mnie jeszcze.

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia - odparła wyniośle. - Idź sobie.

- Jeszcze się nie kochaliśmy. - Potarł nosem o jej nos. Asher fuknęła jak rozdrażniona kotka i odwróciła głowę.

- Nie będę się z tobą kochać - nadąsała się.

- Założymy się? - Bez ostrzeżenia, błyskawicznym ruchem rozdarł jej bluzkę.

- Taj! - Oniemiała i patrzyła na niego okrągłymi ze zdumienia oczami.

- Ciesz się, że nie zrobiłem tego na korce. A wierz mi, miałem na to ochotę.

Zanim zdążyła zareagować, w ten sam sposób pozbawił ją spodenek. Asher znieruchomiała w obawie, że Taj postradał zmysły.

- Co się stało? - spytał, obejmując dłonią jej pierś.

- Nie możesz drzeć moich ubrań, brutalu.

- Już za późno. - Przesunął dłoń ku płaskiemu brzuchowi. - Chcesz podrzeć moje?

- Obejdzie się. - Skóra Asher zaczęła drzeć pod dotykiem męskich dłoni. Chciała się podnieść, lecz była uwięziona.

- Rozzłościłem cię. Popatrzyła na niego przeciągle.

- Tak. - Do tego stopnia, że wygrałaś mecz - dodał, całując jej szyję. - Kiedy ci się przyglądałem, omal nie eksplodowałem z pożądania. Ten ogień, buzujący tuż pod powierzchnią! Tylko ja wiem, jak to jest, kiedy się w tobie rozpala na dobre.

Asher jęknęła cicho, gdy zaczął pieścić jej sutki, lecz całym wysiłkiem woli zdołała się opanować.

- Nie musiałeś mówić, że oddaję mecz.

- Nie powiedziałem tego. To była tylko sugestia. - Podniósł głowę i spojrzał na Asher.

- Myślałaś, że będę stał i patrzył, jak on się nad tobą pastwi? Nikt nie ma do tego prawa. Nikt prócz mnie - dodał z przewrotnym uśmiechem.

Pocałował ją namiętnie. Słowa przestały mieć znaczenie, a myśli straciły sens.

Asher zawsze zdumiewał fakt, że w Taju drzemie tak zwierzęca męskość. Nawet konserwatywny, elegancki garnitur nie mógł przyćmić jego temperamentu. Materiał mógł ukryć mięśnie, lecz nie skrywał siły. Asher zastanawiała się czasami, czy właśnie te cechy tak ją w nim pociągały. Obserwując go w towarzystwie elegancko ubranych mężczyzn i szykownych kobiet, stwierdzała, że podoba jej się pod każdym względem. Był sobą i to było dla niej najważniejsze.

Bal na Wimbledonie był równie ważnym wydarzeniem jak sam mecz, choćby ze względu na piękno i splendor uroczystości. Jednak Asher niecierpliwie odliczała czas do końca imprezy. Lubiła przyjęcia, ceniła inteligentne flirty i rozmowy. Teraz jednak marzyła tylko o tym, by razem z Tajem otworzyć butelkę wina w ich apartamencie. Miała ochotę na kameralne świece zamiast reflektorów. Wymienili z Tajem spojrzenia ponad głowami gości. Wiedziała, że myśli podobnie. Przeszył ją dreszcz podniecenia.

- Jesteś znakomitą tancerką Asher.

Gdy muzyka umilkła, Asher odwzajemniła uprzejmy uśmiech.

- Dziękuję. - Skinęła głową uświadamiając sobie, że nie pamięta imienia mężczyzny, z którym tańczy.

- Byłem wielbicielem twojego ojca. - Partner podał jej ramię i zeszli z parkietu. - Złote Dziecię Tenisa - westchnął i pogładził jej dłoń. - Znałem go jeszcze przed twoimi narodzinami.

- Uwielbiał Wimbledon. Tata kocha tradycję. Jak również pompę - dodała, śmiejąc się.

- Młode pokolenie kultywuje tradycję. Miło to widzieć. - Mężczyzna nieco teatralnym gestem uniósł jej dłoń do ust. - Moje uszanowanie, Asher.

- Jerry, jak się masz?

Zbliżyła się do nich elegancka kobieta w jedwabnej sukni. To była lady Mallow, siostra Erica. Zawsze przyćmiewała inne kobiety szykiem i majestatem. Asher momentalnie spięła się na jej widok.

- Lucy, jak miło cię widzieć.

Dama podała dłoń, obrzucając Asher przelotnym spojrzeniem.

- Brian chciał się z tobą przywitać, Jerry - odezwała się do swojego towarzysza. - Jest tam - wskazała.

- Zatem wybaczenie, panie. - Jerry oddalił się pośpiesznie. Pozbywszy się Jerry'ego, Lucy zwróciła się do dawnej bratowej.

- Dobrze wyglądasz.

- Dziękuję.

Siostra Erica przyjrzała się prostej kreacji Asher w kolorze kości słoniowej. Pomyślała, że gdyby zdecydowała się coś takiego włożyć, wtopiłaby się w tapetę na ścianie. Tenisistka natomiast wyglądała olśniewająco.

- Wszystko w porządku? - zapytała, patrząc Asher uważnie w oczy.

- Naturalnie. A u ciebie?

- Nie pytam z grzeczności. - Lucy zawahała się przez chwilę, a potem rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy ktoś je słyszy. - Jest coś, o czym od dawna chciałam ci powiedzieć.

Asher zeszywniała.

- Kocham mojego brata - zaczęła Lucy. - Wiem, że ty nie. Dbaliśmy o jego opinię, choć on niczym ci się nie odwdzieczył.

Nieoczekiwane słowa szwagierki wprawiły Asher w zdumienie.

- Lucy... - zaczęła.

- Kocham go, ale nie jestem ślepa - ciągnęła lady Mallow. - Byłam i będę wobec niego lojalna.

- Rozumiem cię.

Lucy przyjrzała się twarzy Asher, wreszcie westchnęła.

- Nie wspierałam cię, kiedy byłeś jego żoną. Dziś pragnę za to przeprosić.

Asher, głęboko poruszona, ujęła dłonie Lucy w swoje.

- Nie musisz. Obie się myliłyśmy. - Często zastanawiałam się, czemu go poślubiłaś. - Lucy nadal wpatrywała się w Asher, jakby czegoś szukając. - Z początku myślałam, że chodzi o tytuł. Myliłam się. Wasze stosunki uległy zmianie zaledwie dwa miesiące po ślubie. - Oczy Asher pociemniały pod badawczym spojrzeniem byłej szwagierki. - Zastanawiałam się, czy masz kochanka. Okazało się, że to Eric jest... rozwiąży, nie ty. Wreszcie zrozumiałam, że w twoim życiu liczył się tylko jeden mężczyzna. - Odbiegła spojrzeniem w tłum. Asher wiedziała, na kim zatrzymał się jej wzrok.

- Raniło to Erica - przyznała.

- Eric, wiedząc o tym, nie powinien był ci się oświadczać. - Kobieta westchnęła współczująco. - Zawsze pragnął tego, co należy do innych. Ale zostawmy ten temat. Chcę ci życzyć szczęścia.

Asher, wzruszona słowami Lucy, ucałowała ją serdecznie w policzek.

- Dziękuję, kochana.

Dama uśmiechnęła się i spojrzała w kierunku Taja.

- Masz wyborny gust. Zazdrościłam ci go, choć nie jest w moim typie. Pójdę poszukać Briana.

Odwróciła się, by odejść, lecz Asher ją zatrzymała.

- Czy nie obrazisz się, jeśli do ciebie napiszę?

- Będzie mi bardzo miło. - Lucy uśmiechnęła się raz jeszcze i oddaliła.

Asher była uradowana. Słusznie przeczuwała, że po tym meczu jej życie zacznie układać się pomyślnie. Miała teraz o jeden ciężar mniej na sumieniu. Stopniowo dochodziła do tego, kim jest i czego potrzebuje. Poczwała czyjaś dłoń na ramieniu i odwróciła się. Taj uśmiechał się do niej.

- Kto to był?

- Dawna przyjaciółka. - Asher pogładziła go po policzku. - Zatańczymy? Tylko w ten sposób możemy się do siebie przytulić.

ROZDZIAŁ 9

Asher wiedziała, że lepiej radzi sobie z prasą, gdy nie jest zestresowana. Obawa, że powie za dużo, minęła. Miała wiele tajemnic do ukrycia. Przed wyjazdem do Australii postanowiła nie zaprzętać sobie głowy problemami. Decyzje poczekają. Na razie chciała cieszyć się chwilą, grać w tenisa i spotykać się z Tajem.

Z Australią wiązały się wspomnienia zasłużonych zwycięstw i godnych porażek. Tutejsi wielbiciele tenisa byli swobodni i przyjacielscy. Asher bardzo potrzebowała życzliwości po napiętej atmosferze, jaka panowała w Anglii. Australijczycy pamiętali Bużkę i przyjmowali jej powrót do zawodu z wielkim entuzjazmem. Tutaj przyjemność gry przewyższała radość zwycięstwa.

Zmiana, jaka dokonała się w Asher, była widoczna od pierwszych rund meczu. Częściej się uśmiechała. Grała z właściwą sobie zaciętością, lecz nie czuła już presji.

Z pierwszego rzędu Taj, który niedawno sam zszedł z kortu, obserwował jej trening. Teraz przyglądał się grze, wyciągnięty na ławce, skrywając oczy za okularami przeciwsłonecznymi.

Poprawiła się, zauważył z zadowoleniem. Nie tylko jako tenisistka. Przypomniawsobie, jak ważna dla Asher była kondycja fizyczna. Dobra strategia i umiejętności nigdy jej nie wystarczały. Robiła, co mogła, aby uważano ją za prawdziwą sportsmenkę. Udaje jej się, przyznał, gdy podbiegła do siatki, aby odebrać piłkę silnym, oburęcznym bekhendem. Wydawało się, że podczas przerwy w grze nabrała tężyzny.

Naraz pogodne myśli prysnęły. Pytania znów zaczęły się piętrzyć, nie dając mu spokoju. Coraz to nowe „dlaczego?” natarczywie domagały się odpowiedzi. Zdawał sobie sprawę, że Asher stara się żyć chwilą i cieszyć beztroską. Postanowił jej w tym pomóc. Poczekać. Kiedy sezon dobiegnie końca, wydobędzie z niej wszystkie odpowiedzi.

Z kortu dotarł śmiech Asher i błyskawicznie rozproszył ponure myśli. Był ciepły, serdeczny i... taki rzadki. Taj rozparł się na ławce i rozejrzał dokoła.

Trawa stadionu Kooyong była jego ulubioną nawierzchnią, twardą i sprężystą. Piłka odbijała się tu jak nigdzie indziej. Nawet pod koniec sezonu, gdy korty były już mocno zużyte, powierzchnia pozostawała równa jak tafla lodu. Zachowywała sprężystość nawet po najbardziej ulewnych deszczach. Kooyong to wymarzone miejsce dla graczy szybkich i agresywnych. Taj nie mógł się doczekać meczu. Obserwował Asher przez zmrużone powieki.

Niecierpliwiła się tak samo jak on. To był dla niej nie tyle mecz, ile rozrywka. Uśmiechnął się. Cokolwiek ukrywa, nic nie może zniszczyć tego, co jest między nimi.

Trening dobiegł końca i Taj zeskoczył na dół. - Popykamy trochę?

Madge, nie przestając pakować rakiety, rzuciła mu ponure spojrzenie.

- Wybij to sobie z głowy, zapaleńcu. Zabrał jej raketę i zaczął podbijać nią piłkę.

- Dam ci fory.

Madge prychnęła i odebrała mu piłeczkę, wrzucając ją do puszki.

- Pokaż mu, Asher. - Spojrzała na partnerkę. - Tajowi przyda się lekcja.

Asher zastanawiała się, ale tylko chwilę.

- Dobra - zdecydowała.

- Ty serwujesz.

Zaczekała, aż Taj zajmie pozycję. Gdy to zrobił, uśmiechnęła się do niego wyzywająco.

- Kopę lat, co, Starbuck?

- Ostatnim razem nie wygrałaś ani gema. - Skinął głową ku Madge. - Na pewno nie potrzebujesz wsparcia tej ofiary?

Nie usłyszał odpowiedzi. Dostarczył mu jej as, którym go poczęstowała. Zaskoczony, zdjął okulary i rzucił je Madge.

- Nieźle, Buźka - krzyknął, śledząc tor lotu drugiego serwisu.

Odebrał cios, posyłając piłkę w przeciwległy narożnik. Taj uwielbiał patrzeć, jak Asher biega. Zasięg bekhendu miała ograniczony, mimo to uderzenie było nad wyraz precyzyjne. W mig znalazł się przy piłce. Kiedy ostatni raz grali ze sobą, pokonał Asher bez trudu. Tym razem gra była nie lada wyzwaniem. Asher uderzyła piłkę mocno i szybko. Taj, biorąc głęboki zamach, odparował podanie. Piłka śmignęła jak błyskawica. Gdy wróciła do niego, posłał ją aż na linię końcową, a potem, cofając się, uderzył lekko. Piłka otarła się o siatkę i upadła na środek pola.

- Piętnaście do zera - ziewnął, wracając na pozycję. Asher zmrużyła nienawistnie oczy i złożyła się do serwu. Wymiana była trudna do podtrzymania, polegała na szybkości i pracy nóg. Doskonale wiedziała, że Taj się z nią bawi, posyłając piłki w narożniki. Nie dorównywała mu siłą. Zdecydowała się pokonać go sprytem. Piłka dudniła, Asher biegała, tempo rosło. Rakiety świstały, przecinając powietrze. Asher posłusznie dostosowała się do rytmu Taja, czekając, aż uśpi jego uwagę. Niespodziewanie zmieniła tempo i piłka przeleciała obok niego.

- Wyrabiasz się - zauważył protekcjonalnie.

- To ty robisz się powolny, staruszkę - odcięła się ze słodkim uśmiechem.

Taj odebrał następny serwis i posłał piłkę po skosie. Odbiła się od kortu i nim Asher się zorientowała, pomknęła na trybunę. Asher zaklęła siarczyście.

- Mówiłaś coś? - Teraz z kolei on był słodki jak miód.

- Ani mru - mru.

Zła jak osa, bojowym ruchem odrzuciła włosy. Gdy składała się do uderzenia, spojrzała przeciwnikowi w oczy. Nie patrzył na piłkę ani na raketę, tylko na jej usta.

Wszystkie chwytów dozwolone, pomyślała. Wysunęła koniuszek języka i powoli zwilżyła nim wargi. Wygięła się ponętnie i zaserwowała. Taj, rozkojarzony, ledwo zdążył podbiec do piłki. Drugiego uderzenia już nie odebrał.

- Gem - oznajmiła, posyłając mu kuszące spojrzenie spod rzęs. Odwróciła się do niego plecami i schyliła po nową piłkę. Czowała, że Taj sunie spojrzeniem po jej nogach. Wracając do pionu, przesunęła dłoń po udzie.

- Gotowy?

Kiwnął głową, z trudem odrywając oczy od kuszących, kobiecych krągłości. W jej oczach wyczytał intymne zaproszenie, które przyśpieszyło bicie jego serca. Ledwo odebrał piłkę serwisową. Wymiana nie trwała długo.

Asher, zwycięska i dumna, zbliżyła się do siatki.

- Nie popisaleś się, Starbuck - zachichotała.

Miał ochotę ją udusić za tę drwinę. Jeszcze chętniej dobrałby się do jej wdzięków.

- Oszustka - burknął, gdy spotkali się przy siatce. Asher zrobiła niewinną, zdziwioną minę.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

Ledwie wypowiedziała te słowa, gdy Taj przyciągnął ją do siebie i pocałował. Śmiech i pomruk rozkoszy zlały się w jeden dźwięk. Rakieta wysunęła się jej z rąk.

- Masz szczęście, że nie jesteśmy w hotelu, tylko na korcie - szepnął, odrywając usta.

- Co to za szczęście? - Wzrok miała jawnie pożądliwy i rozmarzony. Jak to możliwe, że od pocałunku już szumi jej w głowie?

Taj odsunął się od Asher, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

- Nie kuś mnie, kobieto - ostrzegł.

- A robię to? - spytała.

- Do diabła, Asher, przecież dobrze o tym wiesz. Głos miał nierówny i zdyszany, co sprawiło jej wielką satysfakcję. Chciała, aby był tak rozpalony jak ona.

- Nigdy nie mam pewności - szepnęła, opierając głowę o pierś partnera.

Taj próbował zwalczyć w sobie pożądanie. To nie miejsce ani pora, podpowiadał rozum. Musi odzyskać nad sobą kontrolę.

- Wystarczyło ci wypróbować kilka sztuczek, żeby mnie zdekoncentrować - powiedział z pretensją.

Asher popatrzyła na niego zdumiona.

- Zdekoncentrować? W jaki sposób?

- Nie śpieszyłaś się, podnosząc tę piłkę. Udawała, że rozważa coś w myślach.

- Chuck zrobił to samo, gdy graliście razem. Co za różnica?

Wydała krótki okrzyk, gdy nagle została uniesiona nad siatkę.

- Następnym razem tak łatwo ci nie pójdzie. - Cmoknął ją w usta i postawił na ziemi. - Nie mrugnę okiem, nawet jeśli będziesz golusienka, jak cię pan Bóg stworzył.

Asher przygryzła wargę i spojrzała na niego uwodzicielsko.

- Założysz się?

Umknęła zwinnie, zanim rakietą Taja trzepnęła ją w pośladki.

Szatnia nie była pusta, lecz tłum powoli się rozchodził. Po piątej rundzie zostało mniej zawodników. Asher nie mogła się doczekać dzisiejszego meczu. Zagra z agresywną nowicjuską, która w ciągu jednego roku awansowała ze sto dwudziestego miejsca na czterdzieste trzecie. Asher nie dążyła do zwycięstwa za wszelką cenę. Napięcie i nadzieje wobec Wielkiego Szlema nie mogły popsuć jej humoru. Jeśli kiedykolwiek miała go wygrać, to w tym roku.

Pozdrowiła owiniętą w ręcznik Conway. Obie wiedziały, że zmierzą się ze sobą, nim turniej dobiegnie końca. Asher słyszała żartobliwą sprzeczkę odbywającą się przy akompaniamencie ciurkającego prysznica. Gdy zaczęła się rozbierać, zauważyła w kącie Madge.

Siedziała oparta o ścianę, z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami. Mimo opalenizny była blada jak ściana. Na czole widać było kropelki potu. Asher podeszła do niej i uklękła obok.

- Madge - szepnęła. Przyjaciółka ociężale uniosła powieki.

- Kto wygrał?

Przez chwilę Asher nie wiedziała, o co jej chodzi.

- Ja. Oszukiwałam.

- Mądra dziewczynka.

- Co się z tobą dzieje? Masz lodowate ręce.

- To nic - wysapała Madge i z wysiłkiem uniosła głowę.

- Masz mdłości?

- Już miałam - uśmiechnęła się słabo i otarła czoło z potu. - Zaraz dojdę do siebie.

- Wyglądasz okropnie. Potrzebujesz lekarza. - Asher zerwała się na nogi. - Zawołam kogoś. - Zanim ruszyła z miejsca, Madge złapała ją za rękę.

- Byłam u lekarza. Przez głowę Asher przewinęły się najgorsze scenariusze. Z przerażeniem spojrzała przyjaciółce w oczy.

- Boże, to coś poważnego?

- Mam jeszcze siedem miesięcy. - Asher zachwiała się, lecz Madge podtrzymała ją za ramię. - Spokojnie, nie umieram. Jestem w ciąży.

- W ciąży?

- Ciii. - Madge rozejrzała się wokół. - Nie chcę, żeby ktoś się teraz dowiedział. Mdłości nachodzą mnie w najmniej odpowiednich momentach. - Wypuściła drżący oddech i na powrót oparła się o ścianę. - Na szczęście to niedługo minie.

- Madge... Nie wiem, co powiedzieć.

- Może mi pogratulujesz?

Asher potrząsnęła głową i ujęła dłonie Madge w swoje.

- Chcesz tego?

- Żartujesz? - Madge zaśmiała się i oparła głowę o ramię przyjaciółki. - Może w tej chwili nie wyglądam na zachwyconą, ale rozsadza mnie radość. Niczego w życiu nie pragnęłam bardziej. - Zamilkła na dłuższą chwilę. - Gdy stuknęła mi dwudziestka, myślałam tylko o tym, żeby być najlepszą zawodniczką. Czułam się wspaniale na Pucharze Wrightmana, Wimbledonie, w Dallas. Gdy zbliżałam się do trzydziestki, poznałam Dziekana i wciąż miałam wielkie ambicje. Nie chciałam wychodzić za mąż, ale nie mogłam bez niego żyć. Co do przedłużania gatunku, powtarzałam sobie, że mam na to mnóstwo czasu. Odkładałam to w nieskończoność. Pewnego dnia leżąc w szpitalu z pokiereszowaną nogą uświadomiłam sobie, że mam już trzydzieści dwa lata. Wygrałam wszystko, co było do wygrania, a jednak wciąż czegoś mi brakowało do pełni szczęścia. Przez większą część życia uganiałam się po kortach. Debel, turnieje, wystawy, dobrze wiesz, jak to wygląda. Dopóki nie pojawił się Dziekan, w moim życiu liczył się tylko tenis. Nawet później pochłaniał lwią część mojej uwagi.

- Jesteś mistrzynią - powiedziała Asher z uznaniem.

- Jestem, dlaczego mam zaprzeczać? Ale wiesz, kiedy zobaczyłam zdjęcie siostrzeńca Taja zrozumiałam, że wolę mieć dziecko, niż zdobyć kolejny puchar Wimbledonu. Nie wydaje ci się to dziwne?

Pytanie przez dłuższą chwilę pozostawało bez odpowiedzi. Obie kobiety się nad nim zastanawiały.

- To mój ostatni turniej. To bolesne. Mimo to nie mogę się doczekać, kiedy usiądę w fotelu i zacznę robić buciki na drutach.

- Przecież nie umiesz robić na drutach - zauważyła Asher.

- W takim razie Dziekan je wydzierga, a ja będę siedziała obok i tyła. - Madge odwróciła się do Asher z uśmiechem od ucha do ucha. Na twarzy przyjaciółki zobaczyła łzy.

- Hej, co to ma znaczyć?

- Cieszę się - bąknęła Asher. Pamiętała doświadczenia własnej ciąży. Radość, strach i oczywiście mdłości. I to, że chciała nauczyć się szyć. Wszystko skończyło się tak nagle.

- Aż za bardzo. - Madge otarła jej policzek.

- Naprawdę. - Przytuliła przyjaciółkę z niespodziewaną czułością. - Będziesz na siebie uważać, prawda? Nie będziesz się przemęczała. - Ma się rozumieć. - Ton jej głosu zastanowił Madge. - Czy... Czy coś się stało, gdy byłaś żoną Erica?

Asher przytuliła się mocniej, po czym zwolniła uścisk.

- Może kiedyś o tym porozmawiamy, ale nie teraz - powiedziała, odwracając wzrok. - A Dziekan? Co on na to? - zmieniła temat.

Madge obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. Brak odpowiedzi jest wszak odpowiedzią. Postanowiła jednak nie drażnić tematu.

- Wpadł na pomysł, żeby umieścić stosowną reklamę na całą stronę w *Świecie Sportu* - westchnęła rozpromieniona. - Przekonałam go, żebyśmy poczekali, aż ogłoszę rezygnację.

- Nie musisz czynić aż takich kroków. Możesz zrobić kilkuletnią przerwę, jak wiele kobiet.

- Nie ja. - Madge przeciągnęła się leniwie. - Odchodzę z piątą lokatą. W domu nauczę się obsługiwać odkurzacz.

- Nie uwierzę, póki nie zobaczę! - Asher uśmiechnęła się sceptycznie.

- Zapraszam ciebie i Taja na pierwszy ugotowany przeze mnie obiad.

- Cudownie. Weźmiemy węgiel na przeczyszczenie.

- Niezbyt miło z waszej strony - odparła Madge - ale za to mądrze. Buźka... - szepnęła, gdy Asher uczyniła ruch, by wstać. - Nie mów nikomu. Boję się jak cholera, wiesz? Będę miała prawie trzydzieści cztery lata, kiedy mały się pojawi. Nigdy nie trzymałam pieluchy w ręku.

Asher stanowczym ruchem ujęła Madge za ramiona i ucałowała ją w czoło. - Jesteś mistrzynią, pamiętasz?

- Ale nie mam pojęcia o ospie. - Załamała rękę. - Dzieci na to chorują, prawda? A szelki i obuwie korekcyjne?!...

- I matki, które martwią się na zapas - weszła jej w słowo Asher. - Już się mazgaisz?

- Masz rację. - Madge wstała. Bładość ustąpiła z jej twarzy i znów wyglądała kwitnąco. - Będę dzielna.

- Jasne, poradzisz sobie. Chodźmy pod prysznic. Grasz dziś debła.

Asher wracała do hotelu z mieszanymi uczuciami. Wygrała z młodą zawodniczką bez większego wysiłku. Sześć - dwa, sześć - zero. To był bez wątpienia jeden z najlepszych meczów w jej karierze. Jednak nie zawody zaprzętały jej głowę. Myślami wracała do rozmowy z Madge i do straconej ciąży.

Czy Taj chciałby zamieszczać ogłoszenia w gazecie? A może by ją przeklinał? Może, jak Eric, oskarżyłby ją o zdradę i podstęp? Czy teraz chciałby się ustatkować i mieć dzieci? Co takiego powiedziała jej Jess tamtego dnia? Asher próbowała sobie przypomnieć słowo po słowie. Taj ma cygańską duszę, żadna kobieta nie powinna spodziewać się po nim stałości.

Wtedy Asher tego właśnie oczekiwała. Miłość do Taja była tak silna i wszechogarniająca, że nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego. Niegdyś nosiła już w sobie jego dziecko i potrzeba ta odrodziła się teraz.

Czy można oswoić kometę? - zapytywała samą siebie. Czy powinna w ogóle próbować? Taj był jak kometa, świetlista gwiazda, która pędzi przed siebie. Daleko mu było do księcia, który pod koniec bajki przyjmuje królestwo i zasiada na tronie po wsze czasy. Wiedziała, że będzie wciąż poszukiwał nowych wrażeń. I nowych kobiet. Słowa Jess wracały jak refren.

Potrząsnęła głową, nakazując sobie, że nie będzie wracać do przeszłości. Teraz byli razem. Tylko kobieta, która przeżyła zawód, może zrozumieć znaczenie chwili bieżącej. Inni jej nie doceniają, ale ona tak. Ta chwila właśnie trwała.

Otworzyła drzwi apartamentu i... rozczarowała się. Nie było Taja. Wyczułaby jego obecność, nawet gdyby spał w sąsiednim pokoju. Powietrze zawsze było w ruchu, gdy znajdował się w pobliżu. Rzuciła torbę na podłogę i podeszła do okna. Było jeszcze jasno, choć słońce chyliło się ku zachodowi. Może wieczorem wybiorą się obejrzeć Melbourne. Odkryją jakiś miły klub z muzyką. Asher lubiła tańczyć.

Obróciła się tanecznym krokiem i roześmiała głośno. Miała ochotę tańczyć, cieszyć się szczęściem Madge i swoim. W końcu jest z mężczyzną, którego kocha. Teraz kąpiel, zdecydowała. Długa, odprężająca kąpiel. Potem przebierze się w coś lekkiego i seksownego. Gdy otworzyła drzwi sypialni, zamarła w zachwycie.

Balony. Czerwone, żółte, niebieskie, różowe i białe. Unosiły się pod sufitem w feerii barw, ciągnąc za sobą równie kolorowe wstążki. Było ich kilka tuzinów, o najrozmaitszych kształtach. Asher odniosła wrażenie, jakby przed chwilą przejechała przez sypialnię trupa wędrownych cyrkowców. Chwyliła za tasiemkę i przyciągnęła do siebie jeden z baloników. Jest ich co najmniej sto, oszacowała. Cieszyła się jak dziecko.

Któż inny mógł na to wpaść? Komuż by się chciało? Kwiaty i biżuteria to nie domena Starbucka! Asher o mało nie dołączyła do balonów, unosząc się ponad ziemię.

- Cześć.

Taj stał w drzwiach. Nie zwlekając, rzuciła mu się w ramiona. W dłoni wciąż trzymała balonik.

- Jesteś szalony! - zawołała, zanim ich usta zetknęły się w pocałunku. - Zupełnie pokrecony.

- Ja? Czy normalna kobieta ma sypialnię pełną balonów?

- To najwspanialsza niespodzianka, jaka mogła mi się zdarzyć.

- Lepsza niż róże w wannie?

Asher odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się gardłowo.

- Stokroć.

- Myślałem o brylantach, ale uznałem, że nie byłyby tak zabawne. - Taj postąpił ku łóżku.

- Fakt, brylanty nie unosiłyby się tak bajecznie pod sufitem - dodała, patrząc w górę na feerię barw.

- Celna uwaga. - Przyznał i pociągnął ją za sobą na łóżko. - Masz jakiś pomysł na wieczór?

- Jeden lub dwa - powiedziała, puszczając balon, który poszybował w górę.

- Zrealizujmy obydwu. - Pocałował ją, z początku delikatnie, potem łapczywie. - Cały dzień czekałem, aż będziemy sami. Jak tylko sezon się skończy, wyjedziemy na jakąś wyspę albo na inną planetę, gdzie będziemy tylko my dwoje. - Pojadę z tobą choćby na koniec świata - zgodziła się, wyswobadzając go z koszulki.

Pożądanie rosło. Taj wyczuł pobudzenie Asher. Wobec niego była zawsze delikatna i chętna. Gdyby zmysły mu pozwoliły, czciłby ją jak bóstwo. Jednak żądza nie dawała wyboru żadnemu z nich. W pośpiechu pozbywali się ubrań. Bluzka pofrunęła w górę, koszula spadła na podłogę. Ponad głowami kochanków radośnie unosiły się balony. Smakowali się nawzajem, czując oszalamiający zapach zwiędniętego, zmieszany z wonią szamponu i mydła. Usta Asher były rozgrzane i wilgotne.

Gdy już nic ich nie dzieliło, gorące ciała splotły się w uścisku. Ruchliwe dłonie Taja wkroczyły na dobrze mu znany obszar. Rozum ustępował miejsca zmysłom. Ciało Asher, miękkie i zwarte zarazem, było prawdziwą uczcą bogów. Wydała cichy pomruk, gdy zaczął ją pieścić. Widząc jej rozkosz, był bliski szaleństwa. Otwartymi ustami całował smukłe ciało, które wydawało się topnieć pod dotykiem jego warg.

Gdy wygięła się, ofiarując mu całą siebie, Taj poczuł tak przemożny przypływ siły, że niemal bał się ją posiąść, by nie zrobić jej krzywdy. Miał wrażenie, że mógłby unieść cały świat na swoich barkach. Asher przyciągała go ku sobie, szepcząc żarliwe prośby.

W tym szaleństwie nie było metody. Balony pod sufitem rozpląły się. Jaskrawe kolory ustąpiły srebrzystym blaskom, topniejącym czerwieniom i pulsującym czerniom. Kolory wirowały jak w kalejdoskopie, wciągając Taja w szaleńczy taniec. Wyszptał jej imię i wszedł w nią głęboko. Kalejdoskop rozprysnął się w feerię barwnych iskier.

Gdy oboje doznali spełnienia, Taj złożył głowę między piersiami Asher. Ona tymczasem zastanawiała się, jak to możliwe, że za każdym razem ich zbliżenie wygląda inaczej. Czasem wygłupiali się, kiedy indziej dominowała czułość i namiętność. Tym razem ich miłość miała w sobie coś z szaleństwa. Czy inni kochankowie również ofiarowywali sobie taką różnorodność?

- O czym myślisz? - przerwał ciszę. Powinien uwolnić ją od ciężaru swego ciała, lecz nie miał na to siły.

- Zastanawiałam się, czy za każdym razem będzie nam tak bosko razem.

Roześmiał się i z czułością pocałował ją w pierś.

- Oczywiście, że tak. Jestem wyjątkowym mężczyzną. Nie czytasz prasy sportowej?

W odpowiedzi zmierzwiła jego ciemną czuprynę.

- Woda sodowa uderza ci do głowy, Starbuck. Masz przed sobą jeszcze kilka meczów, zanim wygrasz Wielkiego Szlema.

Taj objął dłońmi jej talię.

- Tak samo jak ty, Bużka.

- Ja myślę wyłącznie o następnym meczu - odparła. Nie chciała zaprzętać sobie głowy Forest Hills, Stanami ani końcem sezonu.

- Madge jest w ciąży - powiedziała, jakby sama do siebie.

- Co?! - Taj poderwał się, jakby spadł na niego grom z jasnego nieba. - Madge jest w ciąży - powtórzyła. - Ale nie chce tego ogłaszać przed końcem Australian Open.

- Niech mnie diabli. - Taj jeszcze nie ochłonął. - Kochana, pocziwa Madge. Jak ona się z tym czuje?

- Jest podekscytowana i przerażona. - Asher przymknęła oczy, by nic nie odgadł z jej spojrzenia. - Ma zamiar zrezygnować z gry.

- Wyprawimy jej wspaniałe przyjęcie. - Taj przekręcił się na bok i przyciągnął ją do siebie.

Asher zwilżyła wargi.

- Czy myślisz czasem o dzieciach? - Starła się nadać pytaniu lekki ton. - Chyba trudno byłoby pogodzić nasz zawód z posiadaniem rodziny.

- Ludzie dają sobie jakoś radę, jeśli im zależy.

- A podróże, stres?

Taj przypomniał sobie dzieciństwo Asher. Nie wyczuwał w niej niechęci. Obawiał się jednak, że uważa rodzinę za przeszkodę w karierze. Fizycznie ciąża odsunęłaby ją od gry na jakiś czas. Już straciła trzy lata. Postanowił oddalić od siebie myśl o wspólnych dzieciach. Mieli na to jeszcze dużo czasu.

- Nie zwracaj sobie głowy dziećmi, kiedy masz przed sobą turniej - rzucił od niechcenia. - Lepiej uważaj na rakiętę.

Milcząco skinęła głową i zapatrzyła się w sufit.

W bladym świetle świtu Asher otarła się o coś policzkiem. Odsunęła głowę, lecz odczucie się powtórzyło. Podniosła rękę, żeby zrzucić z siebie natręta, ale ten po chwili wrócił. Zniecierpliwiona otworzyła zaspane oczy. W szarym świetle dostrzegła niewyraźne kształty. Niektóre unosiły się tuż nad podłogą, inne już na niej leżały. Kilka z nich zalegało na łóżku. Asher patrzyła na nie, nie rozumiejąc, co się stało. Z furią trzepnęła jeden z kształtów. Potoczył się leniwie i spadł na podłogę.

Wreszcie dostała olśnienia. Balony. Spojrzała w stronę Taja. Leżał zagrzebany pod tuzinem kolorowych, pękatych kul. Asher zachichotała piskliwie i zrzuciła mu z karku czerwony balon. Kula poszybowała w górę, Taj ani drgnął. Pochyliła się nad nim i zaczęła skubać go w ucho. Burknął coś i odwrócił się od niej. Potraktowała to jak wyzwanie.

Nosem odgarnęła włosy z karku mężczyzny i zaczęła go obsypywać czułymi całuskami.

- Taj - szepnęła. - Mamy towarzystwo. Mruknął coś sennie. Dała mu do ręki balon.

- Co to jest?

- Jesteśmy osaczeni - szepnęła takim tonem, jakby zawarli jakiś spisek. - Są wszędzie.

Pół tuzina balonów stoczyło się na podłogę, gdy Taj obrócił się na plecy. Otarł ręką twarz.

- Boże - wymamrotał i ponownie zamknął oczy. Asher, niezrażona, usiadła na nim okrakiem.

- Nastął już dzień, śpiochu.

- Uhm.

- O dziewiątej mam talk show.

Taj ziewnął i poklepał ją w pośladki.

- Życzę ci powodzenia. Pocałowała go w usta.

- Wychodzę dopiero za dwie godziny. - Nie będziesz mi przeszkadzać.

Chcesz się założyć? - spytała w myślach. Położyła mu dłonie na brzuchu.

- Zostanę jeszcze w łóżku.

- Uhm.

Położyła się na nim, gładząc ustami wklęsłość szyi.

- Nie przeszkadzam ci?

- Hmm?

Przylgnęła do niego mocniej, ocierając się piersiami o jego pierś.

- Zimno mi - poskarżyła się.

- To wyłącz klimatyzację - zasugerował sennie. Asher zmarszczyła brwi i podniosła głowę. Spojrzała na Taja, który tymczasem otworzył oczy. Uśmiechał się zawadiacko i nie był ani trochę śpiący. Odgarnęła włosy z twarzy, zsunęła się z niego i nadaśną schowała pod prześcieradło.

- Ciepłej? - spytał, obejmując ją ramieniem w talii. W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami.

- A teraz? - Otoczył ręką jej pierś. Kusił.

- Trzeba wyregulować klimatyzację. Zamarzam. Taj cmoknął ją w szyję.

- Jakoś temu zaradzę. - Wstał, skierował się ku urządzeniu i wyłączył je. Wiatrak zmniejszył obroty i wreszcie zamilkł. Taj odwrócił się do Asher z uszczypliwą uwagą na końcu języka.

Leżała naga w świetle poranka, w zmiętej pościeli, otoczona balonami. Włosy rozsypały się po poduszce. Była jeszcze senna, na jej twarzy pojawił się ledwie zauważalny uśmiech. Zapraszała go, wzywała. Odeszła mu ochota na żarty. Skóra Asher była gładka, o miodowym odcieniu. Pożądanie odebrało mu oddech.

Gdy do niej przyszedł, przywitała go z otwartymi ramionami.

ROZDZIAŁ 10

Od Wielkiego Szlema dzielą cię zaledwie trzy mecze. Jak się z tym czujesz?

- Staram się o tym nie myśleć.

- Pokonałaś Stacie Kingston w ćwierćfinałach. Czy dodaje ci to pewności siebie?

- Stacie to niebezpieczna przeciwniczka. Nigdy nie wiem, jak zakończy się nasz mecz.

Asher skrzyżowała ręce na piersiach. Siedziała przy długim stole naprzeciw gromady reporterów. Mikrofon roznosił po sali jej czysty, dźwięczny głos. Miała na sobie wysłużoną wiatrówkę, luźne spodnie od dresu i buty do tenisa. Wilgotne włosy wokół twarzy skręciły się w kędziorki. Po zwycięskim meczu na Forest Hills ledwie zdążyła się odświeżyć, gdy poproszono ją na konferencję prasową. Kamery rejestrowały jej najdrobniejszy gest i wyraz twarzy. Jeden z dziennikarzy zanotował nawet, że Asher nie ma na sobie biżuterii ani nie użyła szminki.

- Czy spodziewałaś się, że powrót okaże się takim sukcesem?

Asher zaszczyciła dziennikarzy krótkim uśmiechem. Jeszcze dwa miesiące temu nie byłoby mowy o podobnym gościu. - Ciężko trenowałam - powiedziała krótko.

- Nadal podnosisz ciężary?

- Codziennie.

- Czy zmieniłaś styl gry?

- Staralam się to i owo poprawić - odpowiedziała swobodnie. Ze wszystkich osób zgromadzonych w pomieszczeniu tylko ona wiedziała, że jej stosunek do prasy uległ radykalnej zmianie. Nic nie ścisnęło jej w gardle, gdy odpowiadała na pytania, w głowie nie błyskały ostrzegawcze światełka. - Przede wszystkim serwis - ciągnęła. - Mam na koncie więcej asów serwisowych niż przed trzema laty.

- Jak często grałaś podczas przerwy?

- Raczej rzadko.

- Czy ojciec znów będzie twoim trenerem? Wahanie Asher było niezauważalne.

- Oficjalnie nie - odparła wymijająco.

- Czy zgodziłaś się pozować do okładki *Elegance*? Asher wsunęła niesforny kosmyk za ucho.

- Widzę, że wieści szybko się rozchodzą. - Sala wybuchnęła śmiechem. - Jeszcze się nie zdecydowałam - powiedziała szczerze. - W tej chwili moje myśli zaprzęta US Open.

- Z kim chciałabyś zagrać w finałach?

- Najpierw chciałabym przejść przez ćwierć - i półfinały.
- Zatem kogo uważasz za najniebezpieczniejszą przeciwniczkę?
- Cię Conway - odpowiedziała bez wahania. Wspomnienie pojedynku na Kooyong było wciąż świeże. - To najlepsza zawodowa tenisistka. - Skąd to przekonanie?
- Tia ma wycucie nawierzchni, szybkość i siłę, potężny serwis.
- A jednak pokonałaś ją w tym sezonie.
- Z wielkim trudem.
- A tenis mężczyzn? Sądzisz, że na podium Wielkiego Szlema stanie dwóch zawodników ze Stanów Zjednoczonych?

Asher przyjęła pytanie uśmiechem.

- Jak ktoś słusznie zauważył, od finału dzielą nas jeszcze trzy mecze. Powiem tylko, że jeśli Starbuck nadal będzie grał na takim poziomie jak dotychczas, nikt go nie pokona. Zwłaszcza na trawie, to jego ulubiona nawierzchnia.

- Czy na twoją opinię wpływają uczucia osobiste?

- Statystyka nie zna uczuć - odparła dobitnie. - Ani osobistych, ani innych.

Wstała z miejsca, ucinając wszelkie pytania. Ktoś odezwał się jeszcze, lecz Asher zwróciła się do mikrofonu, przepaszając, że musi zakończyć konferencję. Wychodząc z pokoju, natknęła się na Chucka.

- Dobrze sobie poradziłaś, Buźka.

- Na szczęście już skończyłam - westchnęła. - Co ty tu robisz?

- Mam oko na kobietę mojego najlepszego przyjaciela - oznajmił dumnie, otaczając ją ramieniem. - Taj uznał, że będziesz mniej zakłopotana, jeśli on zniknie na czas konferencji.

- Na Boga - syknęła. - Nie potrzebuję niańki.

- Mnie tego nie mów. - Chuck błysnął zębami w nie - winnym uśmiechu. - Taj pomyślał, że prasa może cię nagabywać o szczegóły.

Asher przez chwilę wpatrywała się w słodkie oczy niezawodnego przyjaciela Taja.

- I co byś wtedy zrobił?

- Użyłbym siły. - Chuck naprężył bicepsy. - Chociaż za ten komentarz, że nikt nie pokona Taja, mógłbym się obrazić - nadał się. - Wiesz, że chcą nazwać raketę moim imieniem?

Asher objęła go w pasie.

- Wybacz, kolego. Na raketę mówię „rakieta”. Chuck zatrzymał się i położył ręce na jej ramionach.

Przyglądał się jej. Zachował powagę, nawet kiedy wytrzeszczyła oczy i pokazała mu język.

- Wiesz, Bużka, dobrze wyglądasz. Zaśmiała się.

- Dziękuję. To znaczy, że wcześniej wyglądałam gorzej?

- Zawsze byłaś piękna - wyjaśnił pośpiesznie. - Teraz wyglądasz na szczęśliwą.

Asher uścisnęła jego dłoń.

- Bo jestem.

- To widać. Po Tajui też. - Chuck zawahał się. - Nie wiem, co wcześniej między wami zaszło, ale...

- Chuck... - Asher pokręciła głową, by zaniechał pytań.

- Ale - ciągnął - mam nadzieję, że tym razem wam się uda.

- Dzięki - szepnęła wzruszona. Zamknęła oczy i przytuliła się do niego. - Ja też mam taką nadzieję. - Miałaś mieć na nią oko, a nie obściskować się z nią publicznie - rozległ się nad ich głowami głos Taja.

Chuck przytulił Asher jeszcze mocniej.

- Nie bądź takim samolubem. Druga liga też potrzebuje miłości. - Spojrzał na przyjaciółkę i uśmiechnął się. - Może skusisz się na homara z szampanem?

- Przykro mi. - Cmoknęła go w nos. - Ktoś już zaprosił mnie na pizzę i tanie wino.

- Znów dostałem kosza. - Zrezygnowany Chuck wypuścił Asher z objęć. - Potrzebuję partnera na jutrzejszy trening - zwrócił się do Taja.

- W porządku.

- O szóstej rano, na trzecim korcie.

- Stawiasz kawę.

- Rzucimy monetę - wymigał się Chuck i odszedł ze śmiechem.

Przez dłuższą chwilę panowała niezręczna cisza, którą zakłócały jedynie przelatujące samoloty. Takie momenty zaczęły się wraz z ich przylotem do Stanów. Cisza trwała krótko i żadne jej nie komentowało. Oboje uważali, że nadejdzie czas, gdy wypełni ją prawda. Jednak ta świadomość im ciążyła.

- No - odezwał się wreszcie Taj - to jak ci poszło z prasą?

- Bez problemów. - Asher stanęła na palcach i dała mu całusa. - Nie potrzebowałam ochroniarza.

- Wiem, jak reagujesz na konferencje.

- Niby jak?

- No... - Przeczesał jej włosy dłonią. - Do tej pory panikowałaś. Asher roześmiała się w głos. Wzięła Taja za rękę i ruszyli przed siebie.

- „Do tej pory” to odpowiednie określenie - przytaknęła. - Jestem zaskoczona, na jak wiele sobie dziś pozwoliłam. Był tylko jeden mankament.

- Jaki?

- Bałam się, że umrę z głodu. - Spojrzała na niego spod rzęs, robiąc przy tym smutną minę. - Ktoś obiecał mi pizzę.

- Rzeczywiście. - Taj z uśmiechem przyciągnął ją do siebie. - I tanie wino.

- Naprawdę wiesz, jak należy traktować kobiety, Starbuck - zachichotała.

- Zabawimy się - zapowiedział i zapakował ją do samochodu.

Dwadzieścia minut później siedzieli przy okrągłym stoliku. W powietrzu unosił się zapach sosu, przypraw i świec. W głośnikach dudniły rockowe przeboje. Wśród gości uwijały się kelnerki, odziane w kuse fartuszki z nadrukiem uśmiechniętej pizzy. Asher oparła łokcie na blacie i spojrzała Tajowi w oczy.

- Potrafisz wybrać miejsce.

- Trzymaj się mnie, a nie zginiesz - zalecił. - Mam już wymyślony lokal na jutro. Dostaniesz imienne saszetki z ketchupem.

Asher uśmiechnęła się w sposób, który pobudził mu zmysły. Pochylił się i pocałował ją w usta. Stół zachybotał się niebezpiecznie.

- Co zamawiacie? - spytała bez ceremonii kelnerka, strzelając gumą do żucia. - Pizzę i butelkę chianti - powiedział Taj, nawet nie spojrzawszy na dziewczynę.

- Małą, średnią czy dużą?

- Co małe, średnie czy duże?

- Pizza. - Kelnerka wzruszyła ramionami.

- Średnia wystarczy. Dzięki. - Taj posłał aroganckiej panience uśmiech, który poruszyłby góry.

- Może to poprawi jakość obsługi - skomentowała Asher.

- Co?

- Nieważne. - Machnęła ręką. - Twoje ego wie, co mam na myśli.

Taj pochylił się ku niej, by lepiej słyszeć.

- Jakie pytania ci zadawali?

- Typowe. Wspomnieli o zdjęciach dla *Elegance*.

- Zgodzisz się? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To może być zabawne, a już z pewnością nie zaszkodzi tenisistkom, jeśli jedna z nich znajdzie się na okładce znanego magazynu mody.

- Nie pierwszy raz.

Asher stłumiła uśmiech i uniosła brwi.

- Przeglądasz magazyny z modą, Starbuck?

- Lubię patrzeć na ładne kobiety.

- Myślałam, że tacy siłacze jak ty korzystają z innych publikacji.

- Jakich? - spytał tonem świętoszka.

Nie zareagowała. Wolą wrócić do pierwotnego tematu rozmowy.

- Robią tyle szumu wokół Wielkiego Szlema. - Przeszkadza ci to?

Taj bawił się jej dłonią. Kontrastowała pod każdym względem z jego potężnym łąpskiem. Często zastanawiał się, skąd w tej drobnej ręce bierze się taka siła.

- Trochę - przyznała. Lubiła dotyk szorstkiej, męskiej dłoni. - Trudno o tym zapomnieć i skoncentrować się na pojedynczej grze. Jak ty to znosisz? Wiem, że dokucza ci napięcie.

Kelnerka przyniosła wino, posyłając Tajowi dyskretny uśmiech. Ku zaskoczeniu Asher, odwzajemnił gest. Co za diabeł wcielony, pomyślała z irytacją. W dodatku robi to całkiem świadomie.

- Zawsze koncentruję się na pojedynczej grze, na jednym punkcie, który mam do zdobycia. - Napelnił kieliszki. - Trzy mecze to mnóstwo punktów.

- Ale chcesz wygrać Wielkiego Szlema. Taj podniósł kieliszek i uśmiechnął się.

- Święta prawda. Oczywiście Martin uważa sprawę za przesadzoną.

- Dziwi mnie, że go tu nie ma - powiedziała. - Analizowałby każde uderzenie.

- Przyjedzie jutro z resztą rodziny. Asher zacisnęła palce na kieliszku.

- Rodziny?

- Mama i Jess będą na pewno, co do Maca i Pete'a, nie wiadomo, czy uda im się przyjechać. - Chianti miało ciężki i dojrzały smak. Taj rozluźnił się po kilku łykach. - Polubisz Pete'a, to uroczy dzieciak.

Asher burknęła coś do siebie, zanim przełknęła wino. Martin pojawił się na mistrzostwach przed trzema laty. Były też matka i siostra Taja Asher i Taj, najlepsi zawodnicy US Open, byli wtedy ulubieńcami prasy. Jadali wspólne posiłki i dzielili łóżko. Teraz miało być niepokojąco podobnie, choć nie do końca. Coś mąciło ich spokój.

Trzy lata temu nie było małego chłopca o rysach Taja. Nikt nie przypominał Asher o tym, co straciła. Poczwała w sobie pustkę jak zawsze, gdy myślała o dziecku.

Źle interpretując jej milczenie, ujął ją za rękę.

- Nadal nie rozmawiasz z ojcem?

- Słucham? - spytała roztargniona. - Nie. Odkąd... Odkąd przestałam grać.

- Czemu do niego nie zadzwonisz?

- Nie mogę.

- To śmieszne. Przecież jest twoim ojcem. Westchnęła, marząc, by rzeczywistość nie była aż tak skomplikowana.

- Znasz go przecież. Jest bardzo surowy. Ma własny pogląd na to, co jest dobre, a co złe. Zawiodłam jego nadzieje. Ofiarował mi swoją wiedzę, a ja zmarnowałam ten dar.

Taj skomentował tę wypowiedź krótkim i dobitnym słowem, które wywołało uśmiech na ustach Asher.

- W pewnym sensie tak właśnie było - mówiła. - Jako córka Jima Wolfe'a miałam pewne zobowiązania. Małżeństwo z lordem Wickertonem i rezygnacja z kariery całkowicie je przekreśliły. Ojciec mi tego nie wybaczył.

- Skąd wiesz? - spytał. Głos miał niski, słychać w nim było lekką irytację. - Nie rozmawiałas z nim ostatnio, więc skąd możesz wiedzieć, co czuje? - Nie uważasz, że gdyby zmienił zdanie, to by się tutaj pojawił? - Wzruszyła ramionami, nie chcąc zapuszczać się dalej w temat. - Myślałam, że skoro wróciłam do gry, coś się zmieni. Myliłam się.

- Brakuje ci go.

Sprawy nie przedstawiały się tak prosto. Dla Taja rodzina była synonimem miłości i zrozumienia. Nie pojmował, że Asher potrzebowała nie tyle obecności i wsparcia ojca, ile jego przebaczenia.

- Chciałabym, żeby tu był - powiedziała wreszcie - ale rozumiem jego powody. - Zmarszczyła brwi, bo nagle zdała sobie z czegoś sprawę. - Do tej pory grałam dla niego, chciałam go zadowolić. Teraz gram dla własnej satysfakcji.

- Może właśnie dlatego tak dobrze ci idzie - stwierdził Taj.

Asher z uśmiechem podniosła jego dłoń ku ustom.

- Możliwe. Choć to chyba nie jedyny powód.

- Pizza dla państwa. - Kelnerka postawiła między nimi parujące talerze.

Jedli ze smakiem, słuchając muzyki i rozmawiając. Perspektywa ciężkich rozgrywek nie mogła zepsuć Asher humoru. Ser był gorący i ciągliwy. Taj śmiał się do rozpuku, gdy próbowała sobie z nim poradzić. Chianti szybko ubywało z butelki. Temat mistrzostw zginął wśród rozmów o wszystkim i o niczym. Do baru wpadła grupa nastolatków, krzykliwych i rozbawionych. Napelnili szafę grającą zapasem drobniaków.

Dlaczego tak dobrze się czuję w tym hałaśliwym, tłocznym miejscu? - zastanawiała się Asher ze zdumieniem. Pizza i wino były dla niej równie atrakcyjne jak szampan i kawior, który jedli w Paryżu. To zasługa Taja. Z nim wszędzie było jej dobrze. Po raz pierwszy dotarło do niej, że to także jej zasługa. Była sobą. Nie pilnowała się, nie musiała. Taj był jedyną bliską jej osobą, która niczego od niej nie wymagała.

Ojciec chciał, żeby była doskonała pod każdym względem. Przez całą młodość starała się sprostać jego wymaganiom. Eric oczekiwał od niej opanowania i manier godnych angielskiej arystokratki. Miała być zawsze na swoim miejscu, elegancka i chłodna. Musiała mieć własne, twórcze i inteligentne zdanie na każdy temat.

Taj chciał jedynie, by była sobą. Akceptował jej wady, nawet je lubił. Takim wymaganiom potrafiła sprostać bez trudu. Nigdy nie oczekiwał, że wpasuje się w jakiś schemat albo do czegoś się dostosuje. Pod wpływem chwili Asher wzięła jego rękę i przytuliła do policzka.

- Za co? - zapytał, gładząc miękką skórę.

- Za to, że nie lubisz ideału. Taj zmarszczył brwi.

- Nie zechcesz mnie wtajemniczyć w to, co masz na myśli?

- Nie. - Roześmiała się i pochyliła ku niemu. - Gzy wypiełeś już wystarczająco dużo, żebym mogła cię uwieść?

Uśmiechnął się, mrużąc oczy.

- Aż za dużo.

- Więc chodź ze mną. - To był rozkaz, nie prośba.

Leżeli obok siebie. Było już późno, lecz Taj nie czuł się jeszcze senny. Asher spała głęboko, zmęczona miłością, skulona, trzymając go za rękę. Roztaczała wokół siebie subtelną, ciepłą woń. Na stoliku po lewej tykał mały budzik. Podświetlona tarcza pokazywała dwunastą dwadzieścia siedem.

Nie chciało mu się spać. Podobnie jak Asher wyczuwał, że ich sielanka powoli dobiega końca. Znaleźli się w punkcie, w którym wszystko się kiedyś popsuło. Nie da się unikać odpowiedzi. Pożerała go ciekawość. W przeciwieństwie do Asher nie mógł się doczekać końca sezonu. Wtedy przyjdzie czas na wyjaśnienia. Nie lubił czekania i zaczynał się już niecierpliwić. Nawet dziś, pod warstwą wesołości i szczęścia, wyczuwał niemy zakaz zadawania pytań.

Problem z ojcem niepokoi ją bardziej, niż przyznaje, myślał, poprawiając śpiącej Asher poduszkę pod głową. Widać to w jej oczach. Nie pojmował, jak członkowie najbliższej

rodziny mogli tak się od siebie oddalić. Myślni znalazł się przy matce i siostrze. Nie było rzeczy, której by im nie wybaczył. Czy ojciec mógłby postąpić inaczej wobec jedynej córki?

Pamiętał, jaki Jim Wolfe był z niej dumny. Gdy Asher została początkującą profesjonalistką, Taj siadywał czasami obok jej ojca na meczach. Jim miał na trybunach stałe miejsce.

Wolfe zaakceptował związek córki z Tajem Starbuckiem. Nie, poprawił się w myślach Taj, pochwałal go. Widok ich obojga razem wyraźnie go cieszył. Raz posunął się nawet do wyrażenia swoich nadziei co do ich wspólnej przyszłości. Wtedy zaskoczyła go i zezłościła taka ingerencja w ich sprawy. Sam nie wiedział jeszcze, jakie ma plany wobec Asher. Kiedy się zdecydował, było już za późno. Taj zmarszczył brwi i spojrzał na śpiącą u jego boku kobietę.

W srebrzystym świetle księżycy jej twarz wyglądała jak z porcelany. Włosy lśniły metalicznie, tworząc poświatę wokół głowy. Zapragnął zbliżenia, lecz powstrzymał się, nie chcąc jej budzić. Żył w obec niej sprzeczne uczucia. Od drapieżnego pożądania przez czułość po strach. Nie spotkał dotąd kobiety, która wywoływałaby w nim tak silne i różnorodne emocje. Gdy patrzył, jak śpi, czuł się opiekunem i strażnikiem. Dopilnuje, by gdy otworzy oczy, była wypoczęta i radosna.

Zastanawiał się, ile jeszcze przeszkód przyjdzie im pokonać, zanim naprawdę staną się parą? Jedną z nich może usunąć sam. Pora uczynić pierwszy krok. Wstał z łóżka i poszedł do salonu.

Po chwili, dzięki kablowi telefonicznemu, znalazł się na drugim wybrzeżu. Usiadł wygodnie w fotelu i czekał na sygnał.

- Rezydencja pana Wolfe'a, słucham. Taj rozpoznał głos służącej.

- Chciałbym rozmawiać z Jimem Wolfe'em. Mówi Taj Starbuck.

- Proszę poczekać.

Czekał więc, nasłuchując, czy Asher się nie budzi. Ze słuchawki wydobyło się szczęknięcie i Taj usłyszał męski głos.

- Starbuck? - Głos był cichy, uważny i znajomy.

- Jim, jak się masz?

- Cóż... - mruknął Wolfe, nieco zaskoczony nocnym telefonem. Usiadł za biurkiem. -

Ostatnio sporo o tobie piszą w gazetach.

- Rzeczywiście mam udany rok - przyznał Taj. - Brakowało cię na Wimbledonie.

- To już pięć dla ciebie - odparł zagadkowo Jim.

- I trzy dla Asher - zauważył, domyślając się, że chodzi o zdobyte na Wimbledonie tytuły.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Twój wolej jest czystszy niż dawniej - skomentował Jim.

- Chciałem porozmawiać o Asher.

- Na ten temat nie mam nic do powiedzenia - odparł Jim Wolfe stanowczym głosem.

Bezlitosne stwierdzenie na chwilę odebrało Tajowi mowę. Wpadł we wściekłość.

- Minuta cię nie zbawi. Mam bardzo wiele do powiedzenia. Twoja córka wspięła się na szczyt. Bez twojej pomocy.

- Wiem o tym. Do rzeczy.

- Już mówię. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś pracował tak ciężko jak ona przez ostatnie miesiące. Nie było jej łatwo. Presja, reporterzy, znasz te sprawy. Najgorsze są ponawiające się pytania, dlaczego nie ma przy niej ojca.

- Asher wie, co czuję - powiedział Jim obojętnie. - Ty nie musisz.

- Sprawy Asher dotyczą również mnie.

- Ach... - Jim wziął do ręki smukłe, złoczone pióro i powoli obracał je w palcach. - Znowu to samo.

- Owszem. - Jeśli pogodziłeś się z Asher, to twoja sprawa. - Cisnął pióro z powrotem w kąt biurka. - Ja nie.

- Na Boga, Jim. - Taj westchnął zniecierpliwiony. - Przecież to twoja córka. Nie możesz odwracać się plecami do własnego dziecka.

- Jaka córka, taki ojciec - burknął Jim.

- O czym ty mówisz? - Taj podniósł się z fotela i krążył po pokoju ze słuchawką.

- Asher wymazała swoje dziecko z pamięci. Zrobiłem to samo.

Taj osłupiał, a chwilę potem poczuł, jak ogarnia go lodowate zimno. Zacisnął dłoń na słuchawce.

- Jakie dziecko? - wykrztusił zdławionym głosem.

- Zaprzepaściła wszystko, czego ją uczyłem - ciągnął Jim, puszczając mimo uszu pytanie Taja - Moja córka by tego nie zrobiła. - Dawne urazy i złość, jaką ze sobą niosły, nareszcie znalazły ujście. - Próbowałem być wyrozumiały - wybuchnął - kiedy poślubiła tego wymoczka i postanowiła zrezygnować z kariery. Są jednak rzeczy, których nie da się wybaczyć. Mam nadzieję, że życie, jakie wybrała, jest warte mojego nie narodzonego wnuka.

- Po tych słowach, zaskoczony, że pozwolił im się wymknąć, Jim z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Ponad cztery tysiące kilometrów dalej Taj stał oniemiały, patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Powoli odłożył słuchawkę. W głowie miał zamęt. Pytania i domysły nie dawały mu spokoju. Musiał się zastanowić. Najciszej jak mógł, wrócił do sypialni i się ubrał.

Miał ochotę wyrwać ją ze snu i zażądać wyjaśnień, jednak postanowił poczekać z tym, póki nie ochłonie. Osunął się na fotel pod oknem i patrzył na kształt pod pościelą. Asher spała zdrowym, głębokim snem. Oddech miała lekki i bezgłośny.

Dziecko Asher? Przecież nie było żadnego dziecka. Gdyby państwo Wickerton spłodzili potomstwo, byłaby na ten temat jakaś wzmianka w prasie. Narodzin dziedzica nie da się przemilczeć. Taj poruszył się niespokojnie, przeczesując dłonią włosy. Nawet jeśli tak, rozmyślał gorączkowo, to gdzie jest teraz? Raz po raz odtwarzał w pamięci rozmowę z Jimem. Próbował stłumić zazdrość, jaka go dręczyła na myśl, że Asher mogła nosić w sobie dziecko innego mężczyzny.

Asher wymazała swoje dziecko...

Taj zacisnął pięści. Aborcja? Emocje sięgnęły zenitu. Z wysiłkiem się uspokoił. Nie mógł znieść tego słowa. Nie umiał być tolerancyjny. Nie wtedy, kiedy chodziło o Asher, o cząstkę niej samej. Czy kobieta, którą znał, zdobyłaby się na ten krok? Z jakiej przyczyny? Czy życie towarzyskie, jakie wtedy prowadziła, było dla niej aż tak ważne?

Rozgoryczony pokręcił głową. Nie spodziewałby się tego po niej. Owszem, była opanowana, ale nigdy wyrachowana. Nie, stary Jim gadał od rzeczy, zdecydował w końcu. Nie było żadnego dziecka. Nie mogło być.

Zauważył, że Asher się poruszyła. Mamrocząc coś przez sen, przewróciła się na drugi bok i nie znajdując Taja, obudziła się.

Księżyc oświetlił jej ramię, gdy podniosła rękę, aby odgarnąć włosy. Położyła dłoń na cieplej jeszcze poduszce. - Taj?

Nie uspokoił się jeszcze, więc milczał. Oby zasnęła i dała mu czas na dojście do siebie. Gorycz przenikała go od stóp do głów.

Asher jednak wyczuła napięcie. Nie zamierzała zasypiać. Emocje Taja zawsze były na tyle wyraziste, że materializowały się wokół niego. „Coś jest nie tak, coś jest nie tak” - komunikat alarmowy raz po raz rozbrzmiewał jej w głowie.

- Taj? - zawołała z cieniem obawy w głosie. Usiadła na łóżku. W pokoju było wystarczająco jasno, by mogła dostrzec jego pociemniałe oczy. Serce waliło jej jak młotem.

- Nie możesz spać? - spytała z nadzieją, że złe przeczucia są mylne.

- Nie.

- Trzeba było mnie obudzić.

- Po co?

- Mogliśmy porozmawiać.

- Naprawdę? - Zezłościł się. - Przecież nie wolno mi zadawać pytań, na które nie chcesz odpowiedzieć - dokończył chłodno.

Oczekiwała wstrząsu, ale nie takiego. Momentalnie udzielił się jej nastrój Taja Miał rację. Zbyt długo ukrywała prawdę.

- Jeśli potrzebujesz odpowiedzi, to ci ich udzielę.

- Tak po prostu? - syknął, podnosząc się z miejsca. - Nie masz nic do ukrycia? Gramy w szczerłość?

Zaskoczona jego zachowaniem, przyjrzała się mu uważnie. - To nie kwestia ukrywania, Taj. Ja... My... Potrzebowaliśmy czasu.

- Do czego? - spytał oschle. Po plecach Asher przebiegł dreszcz. - Do czego był ci potrzebny czas? - nalegał.

- Nie byłam pewna, czy mnie zrozumiesz.

- Masz na myśli dziecko?

Gdyby wymierzył jej policzek, byłaby mniej zaskoczona. Zbladła, a jej wielkie oczy wyrażały strach i desperację.

- Skąd... - Nie mogła wydusić słowa. Myśli szalały jej w głowie, jednak nie potrafiła sformułować żadnej z nich. Jak się dowiedział? Od kogo? Kiedy?

- Eric... - wydukała, prawie się dławiąc. - Eric ci powiedział.

Ogarnęło go rozczarowanie. Miał nadzieję, że wszystko okaże się kłamstwem. Jak to możliwe, że nosiła w sobie dziecko innego mężczyzny i odrzuciła je?

- Więc to prawda - powiedział głucho.

Odwrócił się do niej plecami i patrzył w okno. Nie potrafił myśleć logicznie ani zdobyć się na obiektywizm. Co innego akceptować ideę wolnego wyboru, a co innego stosować ją w życiu. Zwłaszcza w przypadku Asher.

- Taj, ja... - próbowała się odezwać.

Wszystkie obawy nagle ożyły. Przepaść między nimi była już ogromna i z każdą chwilą rosła. Gdyby tylko mogła mu to wyznać po swojemu, w dogodnej dla siebie chwili...

- Chciałam ci o wszystkim powiedzieć - zaczęła. - Miałam powody, dla których to ukrywałam. - Zamknęła oczy. - Zaczęłam odwlekać tę chwilę. - Pewnie tłumaczyłaś sobie, że to nie moja sprawa Otworzyła oczy.

- Jak możesz tak mówić?

- To, co robiłaś, będąc żoną innego mężczyzny, nie powinno obchodzić drugiego. Nawet jeśli cię kocha.

Asher jednocześnie rozpromieniła się i spochmurniała.

- Nie kochałeś mnie - szepnęła. Taj zaśmiał się.

- Oczywiście, że nie. Dlatego nie mogłem bez ciebie wytrzymać. Wciąż o tobie myślałem.

Asher schowała twarz w dłonie. Dlaczego właśnie teraz? - pomyślała zrozpaczona. Czemu to wszystko musi dziać się akurat teraz?

- Nigdy mi tego nie mówiłeś.

- Owszem, mówiłem. Energicznie pokręciła głową.

- Ani razu, a wystarczyłby jeden, jedyny raz.

Taj zmarszczył brwi, aż zbiegły się w jedną linię nad nosem. Miała rację, przyznał. Dawał jej to do zrozumienia, ale nigdy nie zdobył się na słowa.

- Ty też nic mi nie powiedziałaś - zauważył. Jęknęła, jakby miała się za chwilę rozpłakać.

- Bałam się.

- Cholera, Asher, ja też.

Przez długi czas patrzyli na siebie w milczeniu. Jak mogła być tak ślepa? Czekala na słowa, nie zważając na to, co jej ofiaruje? Wyznanie nie było dla niego łatwe, ponieważ oznaczało wszystko. Te słowa były deklaracją na całe życie.

Asher odchrząknęła, by jej głos zabrzmiał stanowczo. - Kocham cię, Taj. Zawsze cię kochałam. I wciąż się boję. - Wyciągnęła do niego rękę. Patrzył na nią, lecz nie poruszył się. - Nie odwracaj się ode mnie. - Pomyślała o utraconym dziecku. - Nie znienawidź mnie za to, co zrobiłam.

Nie mógł zrozumieć, ale poddał się fali uczuć. Wydawało mu się, że miłość wszystko wybaczy. Zbliżył się do Asher i podniósł jej dłoń do ust.

- Porozmawiajmy o tym. Musimy sobie to wyjaśnić, zanim zaczniemy wszystko od nowa.

- To prawda. - Nakryła drugą ręką ich splecione dłonie. - Taj, tak mi przykro z powodu dziecka. - Objęła go w pasie i przytuliła głowę do jego piersi. Co za ulga, pomyślała. Nareszcie może się z nim podzielić tym, co czuje. - Nie mogłam powiedzieć ci wcześniej. Nie wiedziałam, co robić, kiedy to się stało. Nie byłam pewna, jak zareagujesz.

- Sam tego nie wiem - powiedział, otaczając ją ramieniem.

- Dręczyło mnie ogromne poczucie winy. - Zaciśnęła powieki. - Kiedy Jess pokazała mi zdjęcie twojego siostrzeńca, wydawało mi się, że tamto dziecko byłoby do niego podobne. Miałyby twoje włosy i oczy.

- Moje? - Taj znieruchomiał. Dopiero po chwili uświadomił sobie znaczenie słów Asher.

- Moje? - powtórzyła bezwiednie Asher, gdy ścisnął w dłoni jej palce.

Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, chwycił ją za ramiona i potrząsnął. W oczach miał grozę.

- To dziecko było moje? Asher otworzyła usta, lecz głos odmówił jej posłuszeństwa. Sparaliżował ją strach. Przecież wiedział, myślała gorączkowo. Nie, nie wiedział. Sądził, że chodzi o dziecko Erica.

- Odpowiadaj, do cholery! - Potrząsnął nią brutalnie.

Była miękka jak szmaciana lalka. Nie protestowała ani się nie broniła. Nic by to nie pomogło.

- To było moje dziecko? Moje?

Pokiwała głową, zbyt oszołomiona, żeby poczuć ból.

Miał ochotę ją uderzyć. Patrzył na nią i niemal czuł swoją rękę na jej policzku. Biłby, póki nie minie złość i żal. Asher poznała jego myśli po wyrazie oczu, ale nie wykonała żadnego gestu obronnego. Zaciśnął dłonie na jej ramionach i trwał tak przez moment, a potem pchnął ją z pogardą na łóżko. Asher wstrzymała oddech ze strachu.

- Nosilaś moje dziecko, kiedy za niego wyszłaś - cisnął jej w twarz oskarżenie, walcząc ze sobą, by nie użyć pięści. - Kazał ci się go pozbyć czy sama się tym zajęłaś?

Asher nie rozumiała dobrze, co Taj do niej mówi. Widziała tylko jego furię.

- Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, że jestem w ciąży, gdy wychodziłam za Erica.

- Nie miałaś prawa ukrywać tego przede mną. - Pochylił się nad nią, zrzucił z łóżka i zmusił, by klęknęła. - Nie miałaś prawa podejmować takiej decyzji!

- Taj...

- Zamknij się, do cholery. - Odepchnął ją, wiedząc, że bliskość może się źle dla nich skończyć. - Nic nie zmienisz. Już nigdy w życiu na ciebie nie spojrzę.

Wypadł z pokoju jak szalony. Trzask zamykanych drzwi odbijał się echem w jej głowie.

ROZDZIAŁ 11

Taj wygrał ćwierćfinały bez większego wysiłku. Specjaliści zgodnie uznali, że tego upalnego popołudnia zaprezentował szczyt swoich możliwości. Tylko on wiedział, że nie chodziło tak naprawdę o tenis. Prowadził wojnę. Wchodząc na kort, pałał nienawiścią i żądzą zemsty. Nie znał litości.

Nie ukrywał emocji. Twarz miał zaciętą, spojrzenie ciężkie i ponure. Nie dbał o wynik. Chciał wreszcie pozbyć się rozgoryczenia, żalu i złości, wszystkich tych uczuć, które nim targwały. Nie zatrzymywał się ani na chwilę. Wysilek fizyczny pozwalał mu je wyładować. Często nazywano go Wojownikiem. Teraz był nim bardziej niż kiedykolwiek. Jak drapieżnik, który wyczuł krew, nie dawał wytchnienia przeciwnikowi dopóty, dopóki ten nie opadł z sił.

Taj był rozczarowany, że mecz trwał tak krótko. Nie przyniósł mu ukojenia. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek je znajdzie.

Z trybun padały najróżniejsze komentarze.

- Na Boga, Ada. Nie widziałem, żeby kiedyś zagrał lepiej. - Martin Derick promieniał, jakby właśnie został ojcem. Głos ochrypl mu od krzyku i papierosów. Na ziemi leżało mnóstwo niedopałków. - Widziałas, jak zmasakrował tego Włocha?

- Trudno było nie zauważyć.

- Ho, ho. Jeszcze dwa zwycięstwa i nasz chłopiec zdobędzie puchar Wielkiego Szlema. - Martin ścisnął zniszczone i spracowane dłonie Ady w swoich, wypielęgowanych i gładkich. - Nic mu nie przeszkodzi.

Ada obserwowała grę Taja spokojnie, w milczeniu. Widziała więcej niż tylko zwycięstwo. Syn zachowywał się tak agresywnie, kiedy był urażony lub znieważony. Dobrze znała tę kombinację. Pojawiła się już u małego chłopca, którego rówieśnicy wyśmiewali z powodu odejścia ojca. Radził sobie z tym, wprowadzając w ruch pięści. Dziś użył rakiety. Martin entuzjastycznie wspominał najefektowniejsze podania. Ada w milczeniu zastanawiała się, co wprawiło syna w taki nastrój.

- Mamo, coś jest chyba z Tajem nie tak - szepnęła Jess, pochylając się ku matce.

- Coś jest zupełnie nie tak.

Jess przytuliła policzek do twarzyczki Pete'a, sądząc, że pudrowy zapach jego skóry ją uspokoi. Mały złapał ją za nos, wygiął się i wyciągnął rączki do taty.

- Nie widziałam Asher na trybunach - zauważyła. Ada spojrzała na córkę. Jess wspominała jej, że Taj odnowił znajomość z Asher. Zresztą przewidziała to, gdy tylko usłyszała o powrocie Asher do gry.

Nigdy w życiu nie widziała syna bardziej zrozpaczonego niż wtedy, gdy Asher poślubiła lorda Wickertona. Spodziewała się po nim wściekłości i gróźb, lecz Taj zaskoczył ją milczeniem. - Zauważyłam - przyznała. - Ona też chyba ma dziś mecz.

- Na korcie obok, za ponad pół godziny. - Jess jeszcze raz rozejrzała się po trybunach.
- Powinna tu być.

- Musiała mieć powód, żeby nie przyjść. Jess przeszły ciarki po plecach.

- Mamo, musimy porozmawiać w cztery oczy. Chodźmy na kawę.

Ada podniosła się z miejsca, nie zadając zbędnych pytań.

- Nie pozwólcie, żeby Pete się znudził - zarządziła, gładząc malca po czuprynie.

- Powiesz jej? - spytał Mac, przytulając żonę.

- Tak. Muszę.

Patrzył, jak dwie kobiety znikają w tłumie. Pete galopował w najlepsze na jego kolanie.

Gdy usiadły przy stoliku, Ada spojrzała na córkę z ciekawością, ale też zaniepokojoną. Widziała, że Jess próbuje odwlec rozmowę, czyniąc błahe uwagi o pogodzie. Ada nie przerywała jej. W końcu Jess przestała mieszać nerwowo kawę i podniosła oczy na matkę.

- Mamo, pamiętasz, jak byliśmy tu trzy lata temu?

Jak mogłaby zapomnieć? Ada westchnęła. Taj wygrał wtedy US Open. Chwilę potem jego świat legł w gruzach.

- Tak, pamiętam - odpowiedziała.

- Asher odeszła od Taja i poślubiła Wickertona. - Ada milczała. Jess sączyła kawę, poświęcając się temu zajęciu bez reszty. - To była moja wina! - wybuchnęła nagle.

Teraz jej matka pogrzyżyła się w smakowaniu napoju. Stwierdziła, że jak na plastikowe kubki, zawartość jest nie najgorsza.

- Jak to twoja?

- Spotkałam się z nią. - Jess zaczęła rozdzierać serwetkę na małe kawałeczki. Myślała, że będzie jej łatwiej, skoro powiedziała już wszystko mężowi. Spokojne i cierpliwe spojrzenie matki sprawiło, że znów poczuła się dzieckiem. - Poszłam do ich apartamentu, kiedy nie było Taja - Zacisnęła usta, ale nagle wyznanie wystrzeliło z niej jak pocisk. - Powiedziałam jej, że Taj się nią znudził, że ona go męczy.

- Dziwi mnie, że nie roześmiała ci się w twarz - skomentowała Ada.

Jess pokiwała głową.

- Umieć być przekonująca - powiedziała. - Zresztą uważałam, że mam świętą rację. Poza tym było mi jej żal. - Przypomniała sobie, z jaką łatwością odegrała rolę współczującej przyjaciółki. - Mamo, kiedy wracam myślami do tamtej chwili... Do tego, co mówiłam, i w jaki sposób... - Podniosła na matkę oczy szkliste od łez. - Powiedziałam jej, że Taj uważają i Erica za dobraną parę. Nie skłamałam, ale powiedziałam to tak, aby odniosła wrażenie, że Taj liczy, iż Eric pozbawi go kłopotu. Broniałam Taja, mówiąc, że nigdy by jej nie skrzywdził, że martwił się jej zaangażowaniem. Zasugerowałam, że brat pytał mnie, jak najłagodniej uwolnić się od kobiety, która już mu się znudziła.

- Jess. - Ada uspokoiła szarpiące chusteczkę, rozdygotane dłonie córki. - Czemu to zrobiłaś?

- Taj był nieszczęśliwy. Rozmawiałam z nim dzień wcześniej. Był przybity, niepewny. - Znow zaczęła przebierać palcami. - Byłam przekonana, że Asher nie jest dla niego właściwą osobą. Raniła go. Wydawało mi się, że ratuję go przed cierpieniem.

Ada odchyliła się na oparcie krzeselka i rozejrzała dookoła. West Side Tennis Club był swojski, typowo amerykański. Lubiła takie miejsca. Panował zgiełk. Obok bieżyły tory Long Island Rail, raz po raz powietrze przecinały helikoptery i samoloty. Poniżej słychać było uliczny zgiełk. Ada większość życia spędziła w centrum. Nigdy nie przyzwyczała się do podmiejskiej ciszy. Teraz wsłuchiwała się w odgłosy miasta, próbując znaleźć odpowiednie słowa. Odkryła, że rodzicielstwo nie skończyło się wraz z osiągnięciem pełnoletności przez dzieci. Chyba nie skończy się nigdy.

- Taj kochał Asher.

- Wiem. - Jess patrzyła na strzępki chusteczki. - Myślałam, że jeśli ją kocha, powinien być szczęśliwy. Ona zaś, gdyby go kochała, zachowywałaby się jak inne kobiety, które kręciły się koło niego.

- Myślisz, że pokochałby ją, gdyby niczym nie różniła się od pozostałych?

Jess oblała się rumieńcem, ku zdumieniu swojemu i matki. Poczula się nieswojo, rozmawiając o namiętnościach z tą drobną, siwą starszą panią.

- Dopiero gdy poznałam Maca, zrozumiałam, że miłość nie zawsze uskrzydla - kontynuowała Jess, nie patrząc już na matkę. - Były chwile, kiedy nie byłam pewna swoich uczuć do Maca. Wtedy przypomniała mi się rozmowa z Tajem, którą odbyłam, zanim poszłam do Asher. Zauważyłam, że jesteśmy do siebie bardzo podobni. Im bardziej nam na kimś zależy, tym większe mamy wątpliwości.

Jess wzięła głęboki oddech i odważnie spojrzała matce w oczy.

- Usprawiedliwiałam się, że gdyby się kochali, Asher nie zostawiłaby go, a już na pewno nie wyszłaby tak szybko za męża. Taj nie pozwoliłby jej odejść.

- Duma może być tak samo silna, jak miłość. Po twoich słowach Asher poczuła się odtrącona i zdradzona. Wydaje mi się, że Taj powinien się o tym dowiedzieć.

- Na jego miejscu wyłupiłabym oczy takiej siostrze i kazałabym iść do diabła.

Śmiech Ady był ciepły i młodzieńczy.

- Nie wątpię. Potem poszłabyś do kochanka i zrobiła to samo z nim. Asher jest inna.

- To prawda. - Jess westchnęła żałośnie i odsunęła kubek z ostygłą kawą. - Taj zawsze to powtarzał. Kiedy się znów spotkali, byłam kłębkim nerwów. Potem doznałam ulgi. Teraz znów mam wyrzuty sumienia, bo coś między nimi jest nie tak. - Jess spojrzała na matkę błagalnym wzrokiem. - Co powinnam zrobić?

Dziwne, pomyślała Ada. Z jednej strony dzieci rozpieszczają ją, kupując zmywarki do naczyń i biżuterię. Z drugiej, wciąż szukają u niej odpowiedzi na trudne pytania.

- Powinnaś porozmawiać z obojgiem - powiedziała stanowczo - a potem wycofać się i pozwolić im znaleźć wyjście z sytuacji. Możesz wyjaśnić, co zaszło w przeszłości, ale nic nie poradysz na to, co dzieje się teraz. - Jeśli się kochają...

- Już raz podjęłaś za nich decyzję - zauważyła trzeźwo Ada. - Nie popełniaj tego samego błędu.

Nie mogła spać. Nie mogła jeść. Obiecała sobie, że nie zrezygnuje po raz drugi z tenisa, i tylko to pchało ją na kort. Celowo została w szatni do ostatniej chwili, żeby uniknąć spotkania z wielbicielami, których wszędzie było pełno. Uśmiechy i zdawkowe rozmowy przerastały jej siły.

Gdy wyszła na kort, powietrze oblepiło ją wilgocią. Walcząc ze słabością, poszła prosto do swojej ławki. Słyszała oklaski, ale nie zwracała na nie uwagi. Wiedziała, że teraz jej największym problemem jest koncentracja.

Bolały ją ramiona, a właściwie całe ciało. Poza tym była wykończona psychicznie. Ból fizyczny mogła zignorować, ale rozpacz ją obezwładniała. Miała uczucie, że jej życie zawaliło się niczym domek z kart. Wstała i zrobiła kilka próbnych zamachów.

- Asher. - Przeklinając tego, kto śmiał jej przeszkodzić, odwróciła się i zobaczyła Chucka. Na jego twarzy malowała się troska.

- Nie najlepiej wyglądasz. Jesteś chora?

- Nic mi nie jest - burknęła.

Chuck przyjrzał się jej podkrążonym oczom i bladym policzkom.

- Właśnie widzę.

- Skoro wyszłam na kort, czuję się na tyle dobrze, żeby grać - odparła, zamieniając rakiety. - Muszę się rozgrzać. - Odwróciła się i wyszła na boisko. Chuck, zbity z tropu, odprowadzał ją wzrokiem. Było jasne, że Asher nie jest w dobrej formie. Postanowił pilnie odszukać Taja.

Zastał go pod prysznicem. Taj szybko uporał się z prąsą, jeszcze szybciej z kolegami. Mimo zwycięstwa nie miał humoru. Wysilek fizyczny nie ulżył jego cierpieniom. Potrzebował meczu sparringowego, maratonu, czegokolwiek, co wyczerpałoby go do nieprzytomności i wycisnęło z niego truciznę. Słyszał, że Chuck go woła, ale nie odpowiadał.

- Taj, posłuchaj mnie. Coś jest nie tak z Asher.

Taj cofnął twarz spod strumienia i spojrzał na kolegę.

- I co z tego?

- Co? - Chuck otworzył szeroko oczy. - Powiedziałem, że z Asher jest niedobrze.

- Słyszałem.

- Chyba jest chora - tłumaczył, pewien, że przyjaciel musiał go źle zrozumieć. - Widziałem ją przed chwilą. Nie powinna grać. Wygląda okropnie.

Taj walczył ze sobą. W pierwszej chwili chciał do niej pójść, lecz wspomnienie ich ostatniej rozmowy było zbyt żywe. Zakręcił prysznic.

- Asher wie, co robi. Musi sama podejmować decyzje. Chuck nie wierzył w to, co słyszy.

- Co tu się, u diabła, dzieje? - zapytał wzburzony. - Powiedziałem ci, że twoja kobieta jest chora, a ty udajesz, że nie słyszysz.

Taj poczuł skurcz w żołądku.

- Ona nie jest moją kobietą. - Wziął ręcznik i owinął się nim w pasie. Chuck przetarł spocone czoło. Już na porannym treningu domyślał się, że coś się stało. Nie przywiązywał do tego wagi, przyzwyczajony do humorów przyjaciela. Jednak żadne humory nie usprawiedliwiały obojętności wobec zdrowia Asher.

- Jeśli się posprzeczaliście, trudno. To nie powód, żeby...

- Powiedziałem, że ona nie jest moją kobietą. - Głos Taja zabrzmiał obojętnie. Niespiesznie wciągnął dzinsy i włożył koszulkę.

- Świetnie. - Chuck nagle się rozweselił. - W takim razie ja mogę spróbować szczęścia.

W jednej chwili znalazł się nad ziemią, z plecami wbitymi w szafkę. Taj trzymał go mocno. Chuck spojrzał tryumfalnie w ciemne oczy przyjaciela.

- Nie jest twoją kobietą, co? - Uśmiechnął się zadowolony, że coś się wyjaśniło. - Powiedz to komuś, kto cię nie zna.

Taj dyszał ciężko. Pięści go świerbiły. Na nowo przeżywał złość i żal. Bez słowa opuścił Chucka na ziemię i wyjął z szafki koszulkę.

- Pójdiesz do niej? Ktoś powinien ją powstrzymać, zanim będzie gorzej. Dobrze wiesz, że mnie nie posłucha.

- Nie przeginaj, stary. - Taj włożył koszulkę i trzasnął drzwiami szafki. Chuck zamilkł. Głos przyjaciela był drżący, pozbawiony złości. Tylko raz widział Taja w takim stanie. Wtedy przyczyną była Asher, a i teraz z pewnością nie było inaczej.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie. - Taj bezsilnie zacisnął pięści. - Nie - powtórzył. - Idź tam i miej ją na oku. Walczyła i przegrywała. Zużyła prawie całą energię, by doprowadzić pierwszego seta do *tie breaku*. Kingston była sprostregawcza. Zauważyła brak energii przeciwniczki i obróciła ją na swoją korzyść. Na nic się zdała precyzja bez siły. Asher słabła z minuty na minutę.

Hałas nie pozwalał jej skoncentrować się na grze. Nie słyszała piłki, która na trawiastym podłożu odbijała się, jak chciała. Żeby za nią nadążyć, trzeba było szybko się ruszać, a ona miała ołów w nogach.

Taj stanął u wylotu tunelu i patrzył. Chuck nie przesadzał. Asher była blada i powolna. Postąpił krok naprzód. Przeklinał ją i siebie, ale się nie zbliżał. Trudno, sama dokonała wyboru i pozbawiła go wpływu na siebie. Słyszał jej ciężki oddech. Widział, jak bardzo stara się ukryć, że coś jest nie w porządku. Rozdzierał go ból. W milczeniu obrócił się na pięcie i odszedł.

Dzięki ślepej determinacji, w której było więcej nerwów niż siły, Asher wygrała drugiego seta trzy do zera. Twarz błyszczała jej od potu. Wiedziała, że jeśli szybko nie znajdzie słabego punktu Kingston, przegra. Sama zawziętość nie mogła być bronią przeciw mocy, dokładności i umiejętnościom.

Przygotowała się do serwu. Jeśli wygra tę wymianę, nie wszystko stracone. Jeżeli tamta przełamie serwis, mecz będzie skończony.

Skoncentruj się, skoncentruj, powtarzała, na próbę odbijając piłkę od podłoża. Próbowała uspokoić nerwy. Oskarżenia Taja szumiały jej w głowie. Przed oczami miała jego twarz. Podrzuciła piłkę i uderzyła.

- Błąd. Zamknęła oczy i zakłęła. Nie trać kontroli, upomniała siebie. Jeśli stracisz kontrolę, stracisz wszystko. Długo zbierała się do drugiej próby. Trybuny szemrały, widzowie gubili się w domysłach.

- Dalej, Buźka, pokaż, na co cię stać!

Asher zacisnęła zęby i uderzyła piłkę z całej siły. Z trybun posypały się okrzyki uznania. Nie przegrała jeszcze.

Następny serwis był dużo słabszy. Kingston narzuciła szybką, wyczerpującą wymianę. Asher odruchowo biegała za piłką. Nie miała już siły. Hipnotycznie utkwiała wzrok w mknącej kuli. Zebrała się, by odebrać ścinę Kingston, lecz zaledwie musnęła piłkę czubkiem rakiety. Potknęła się i upadła na kolana. Zwinęła się z bólu.

Ktoś pomógł jej wstać. Odepchnęła go i pokuśtykała ku ławce.

- Daj spokój, Asher. - Chuck otarł ręcznikiem jej spoconą twarz. Z trudem chwyciła oddech. - Nie powinnaś dzisiaj grać. Odprowadzę cię do szatni.

- Nie. - Odepchnęła jego rękę. - Nie poddam się. - Wstała. Ręcznik spadł na ziemię. - Zaczęłam, to skończę.

Chuck przyglądał się bezradnie, jak Asher idzie walczyć o przegraną sprawę.

Spała prawie dobę, bez przerwy. Odzyskiwała siły, leżąc w łóżku, które tak niedawno dzieliła z Tajem. Przegrana i utrata pucharu niewiele dla niej znaczyły. Skończyła. Ocaliła dumę, ponieważ się nie poddała. Stawiła czoło reporterom i z właściwą sobie rezerwą odpowiadała na pytania. Gdy zainteresowali się stanem jej zdrowia, odpowiedziała, że czuła się na tyle dobrze, by wyjść na kort. Nie usprawiedliwiała się. Tylko ona ponosiła odpowiedzialność za przegraną. To podstawowa zasada tenisa.

Gdy wróciła do hotelu, rozebrała się do bielizny i padła na łóżko. Zasnęła natychmiast. Nie słyszała, gdy drzwi się otworzyły i Taj wszedł do pokoju. Zajrzał do sypialni, by na nią popatrzeć.

Asher leżała na brzuchu, w poprzek materaca. Wiedział, że kładła się tak tylko wtedy, gdy była wyczerpana do granic możliwości. Oddychała głęboko i wolno. Taj mimowolnie zacisnął dłonie w pięści.

Był zupełnie rozbity. Targały nim sprzeczne uczucia. Nie powinna była mu tego robić, pomyślał z wściekłością. Chciał ją ranić i zarazem ochraniać. Podeszedł do okna i patrzył w dal, wsłuchując się w oddech Asher. Zanim wyszedł, zasłonił okno, by nie obudziło jej słońce.

Wieczorem otworzyła wreszcie oczy. Znow wszystko ją bolało.

Wzięła gorącą kąpiel i prawie w niej zasnęła. Słyszała pukanie do drzwi, lecz nie zareagowała. Zadzwoił telefon. Nie odebrała go.

Jess odłożyła słuchawkę po dziesięciu sygnałach. Gdzie mogła być Asher? - zastanawiała się. Wiedziała, że nadal jest zameldowana w hotelu. Próbowwała zawiadomić Taja, aby wyznać mu prawdę, ale nie chciał jej słuchać.

Sumienie nie dawało Jess spokoju. Wyrzucała sobie, że niewystarczająco się starała. Obawiała się, że straci miłość Taja, i pozwoliła się spławić. Koniec z tym, zdecydowała.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że Taj właśnie przygotowuje się do meczu. Zakłęła. Postanowiła, że gdy tylko gra dobiegnie końca, pójdzie do brata i zmusi go, by jej wysłuchał.

Oczekiwanie nie było łatwe. Obserwowała mecz z trybuny. Taj grał z tą samą zapięklą złością, co poprzednio. Wygrywał.

Próbowwała cieszyć się, że tak wspaniale mu idzie. W głębi serca jednak zastanawiała się, jak zareaguje. Czy odwróci się od niej, gdy dowie się prawdy? Jess przeczekała konferencję prasową. Namówiła matkę, by nie pozwoliła Martinowi zabrać Taja do baru. Jak fanka czyhała na Taja przy wyjściu i ruszyła ku niemu, gdy tylko się pojawił.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła.

- Już się nagadałem. - Poklepał siostrę po dłoni. - Chcę się stąd wydostać, zanim dopadnie mnie następny dziennikarz.

- Nie ma sprawy. Ja prowadzę, ty słuchasz.

- Jess...

- Idziemy.

Taj nadąsał się, ale posłusznie wsiadł do samochodu. Po raz pierwszy w życiu żałował, że rodzina była na meczu. Dotąd udawało mu się ich unikać. Matka zbyt dobrze go знаła i ciążyło mu jej znaczące milczenie. Martin był w ekstazie i chciał omawiać każde uderzenie. Jednak najbardziej nieznośny stał się dla niego widok Pete'a. Mały przypominał mu o czymś, co stracił.

- Jess, jestem zmęczony.

- Wsiadaj i nie gadaj - rozkazała. - Zbyt długo już to odkładałam.

Jednocześnie zatrzasnęli drzwi. Niezbyt pomyślny znak, pomyślała Jess. Cóż, żeby skończyć, trzeba zacząć, dodała w myślach, włączając się do ruchu.

- Mam ci coś do powiedzenia i chciałabym, żebyś mnie wysłuchał, zanim coś powiesz.

- Jak widać, nie mam wyjścia - burknął. Jess spojrzała na brata z niepokojem.

- Nie znienawidź mnie tylko.

- Daj spokój, Jess. - Zawstydział się, że był wobec niej szorstki. Pochylił się i pogładził siostrę po głowie. - Nie lubię być porywany, ale daleko mi do nienawiści.

- Po prostu mnie słuchaj - zaczęła, z oczami utkwionymi w jezdni.

Na początku Taj słuchał piąte przez dziesiąte. Mówiła o lecie, gdy jeszcze byli z Asherparą. Chciał jej przerwać. Nie miał ochoty, by mu przypominała, co wtedy zaszło. Jess stanowczo go uciszyła. Zrezygnowany, pogrążył się we własnych myślach.

Gdy wspomniała, że odwiedziła Asher w ich apartamencie, zmarszczył brwi i zaczął słuchać uważniej. „Taj jest tobą znudzony... Nie wie, jak to zakończyć, żeby cię nie urazić”. Narastała w nim złość. Jess wyczuła to i starała się mówić jak najszybciej.

- Wydawało się, że to, co mówię, do niej nie dociera. Była chłodna i opanowana. Utwierdzała mnie tylko w mojej opinii o niej. - Jess zatrzymała się na światłach. - Nie rozumiałam, jak można darzyć kogoś uczuciami i ich nie okazywać. Dopiero gdy poznałam Maca... - Światło zmieniło się i gwałtownie dodała gazu. Stopa zsunęła się jej z pedału i silnik zgasł. Zdenerwowana, przekręciła kluczyk i ruszyła. Taj milczał. - Gdy do tego wracam - ciągnęła - przypominam sobie, że zbladła. To nie była obojętność, tylko szok. Słuchała każdego mojego słowa. Nie uroniła ani jednej łzy. Musiałam ją głęboko zranić.

Jess załamał się głos. Zamilkła, czekając na słowa Taja. Nie odezwał się.

- Wiem, braciszku - znów zaczęła mówić. - Nie miałam prawa. Chciałam... Chciałam pomóc. Odwdzięczyć się za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Myślałam, że mówię jej to, czego ty nie potrafiłeś albo nie mogłeś powiedzieć. Byłam przekonana, że... Już sama nie wiem. - Jess machnęła ręką, zanim zmieniła bieg. - Może nawet byłam trochę zazdrosna. Wydawało mi się, że się nie kochacie. Asher tak szybko wyszła za męża.

Łzy napływały jej do oczu, aż zmuszona była zjechać na pobocze.

- „Przepraszam” to za mało, ale nie wiem, co innego powiedzieć - szepnęła bezradnie.

Cisza, która zapadła w samochodzie, trwała trzy uderzenia serca, lecz wydawała się wiecznością.

- Skąd przyszło ci do głowy, żeby bawić się w Boga? - zaatakował tak niespodziewanie, że Jess zadrżała. - Kto ci na to pozwolił?

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Wszystko to już sobie powtarzałam, ale ty masz do tego większe prawo - powiedziała cicho.

- Masz pojęcie, co zrobiłaś? Nieświadomie wzruszyła ramionami.

- Tak.

- Tamtego wieczoru zamierzałem prosić Asher o rękę. Tymczasem zastałem tylko ciebie. Powiedziałaś mi, że odeszła do Wickertona. Jess milczała, zdruzgotana.

- Boże, Taj - załkała, opierając głowę o kierownicę. - Nie miałam pojęcia, że ona tyle dla ciebie znaczy.

- Była wszystkim, czego pragnąłem. Wszystkim! Wariowałem, bo nie byłem pewien, czy się zgodzi. - Uderzył pięścią w dach. - Nadal nie jestem pewien. Nigdy się nie dowiem. - Żalność w jego głosie sprawiła, że Jess podniosła głowę.

- Gdybyś do niej poszedł...

- Nie - uciął. Pomyślał o dziecku. Jego dziecku. - Teraz są inne przeszkody.

- Więc ja pójdę - zaproponowała z nadzieją w załamanych oczach. - Mogłabym...

- Nie! - krzyknął. Jess zamilkła. - Trzymaj się od niej z daleka.

- Dobrze - zgodziła się bez przekonania. - Jeśli tego chcesz...

- Tak, tego właśnie chcę.

- Kochasz ją?

- Kocham, ale to nie zawsze wystarczy. Nie zapomnę...

- Czego? - spytała, gdy zamilkł.

- Odebrała mi coś ważnego. - Złość powróciła na nowo. - Muszę się przejść.

- Taj - dotknęła nieśmiało jego ramienia, gdy otwierał drzwi - chcesz, żebym wyjechała? Zostawię tu Maca z Pete'em. Nie zostanę na finałach, jeśli nie chcesz mnie widzieć. - Rób, jak uważasz - odpowiedział krótko. Zamierzał zatrzaskać drzwi i odejść, lecz zobaczył wyraz oczu siostry. Dbał o nią przez całe życie. Nie może odwrócić się do niej plecami. Nie umie jej nienawidzić. - To przeszłość, Jess - powiedział spokojniej. - Zapomnij o tym.

Odwrócił się i odszedł, mając nadzieję, że uwierzy we własne słowa.

ROZDZIAŁ 12

Asher siedziała na łóżku i oglądała mistrzostwa w tenisie mężczyzn. Obserwowała każde uderzenie, puszczając mimo uszu telewizyjny komentarz. Nie mogła pojawić się na stadionie, zadowolili się więc widokiem T a j a w odbiorniku.

Gdy na ekranie pojawiło się zbliżenie jego twarzy, uważnie się jej przyjrzała. Tak, jest spięty, zauważyła, ale nie ma kłopotów z koncentracją. Jak zawsze tryskał energią, może nawet bardziej niż zazwyczaj. Mogła być pewna, że zwycięży.

Za każdym razem, gdy pokazywano powtórkę, napawała się widokiem idealnego ciała w szczytowej formie. Stopy odrywały się od ziemi, by dodać uderzeniom mocy. Dyscyplina kazała Tajowi trzymać na wodzy temperament, lecz łatwo było poznać, że jest wściekły. Grafitowa rakieta stała się przedłużeniem ramienia. Włosy, jak zwykle w nieładzie, podtrzymywała opaska na czole. W oczach miał gniew, którego wcale nie starał się ukryć. Parł naprzód jak burza. Znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że znajduje się na granicy opanowania. Oglądała mecz z zapartym tchem.

Chuck odbił podkręconą piłkę z niesamowitą siłą. Ścina, lob, wolej. Przeciwnik źle wyliczył odległość, cofnął się, ale nie zdołał dotrzeć do piłki na czas. Sędzia po chwili zwłoki ogłosił aut.

Taj obrzucił go złowróżbnym spojrzeniem. Kamera pokazała zbliżenie. Asher zadrżała, bo oczy Taja zdawały się przewiercać ją na wylot. Dostrzegła w jego wzroku dziką furję. Taj wrócił na pozycję. Przyczajony jak tygrys oczekiwał na podanie. Asher obserwowała ekran w napięciu.

Zawsze bezbłędnie oceniał odległość piłki. Gdy spodziewał się słabego uderzenia, podbiegał do niej. Kiedy podanie było mocne, cofał się. Wabił Chucka do siatki, a potem posyłał świszczącą bombę w głąb kortu. Grał bardzo agresywnie. Starbuck jest we wspaniałej formie, przyznała z dumą. Nawet wytrawnego tenisistę, jakim był Chuck, potrafił zaskoczyć szybkością uderzenia. Przy każdym podaniu słyszała świst powietrza i stęknienie. Tak bardzo chciałyby widzieć to na żywo.

Nie chciał jej. Długo będzie pamiętała pogardę, jaką dostrzegła w jego oczach tamtego wieczoru. Wobec mężczyzny pokroju Taja nie można pozostać obojętną. Kocha się go albo nienawidzi. Asher przeżywała oba stany naraz.

Została usunięta z jego życia. Ma zrezygnować? Zastanawiała się nad sytuacją. Naraz uniosła głowę. Miałaby powtórzyć swój błąd? Spojrzała na ekran. Kamera zatrzymała się na

twarży Taja Szykował się do serwisu. Uświadomiła sobie siłę uczuć, jakimi go darzy. Miłość, pragnienie i potrzeba nigdy dotąd nie dały o sobie znać tak wyraźnie.

Cholera, zaklęła, wstając z łóżka. Jeśli ma przegrać, to nie walkowerem. Będzie walczyć. Tak jak na korcie. Tym razem nie zniknie tak łatwo z jego życia. Nie dbała o to, co pomyślą inni. Nie zamierzała dłużej ukrywać emocji. Nie chce jej widzieć? Trudno. Zobaczysz i wysłuchasz.

Wyłączyła telewizor i w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Asher poszła otworzyć. Energicznie pociągnęła za klamkę. Zawziętość ustąpiła zdumieniu.

- Tato!

- Asher. - Jim spojrzał jej w oczy, ale się nie uśmiechnął. - Mogę wejść?

Nic się nie zmienił, pomyślała rozgorączkowana. Nadal był wysokim, opalonym blondynem. Nadal był jej ojcem. Oczy Asher napelniły się łzami.

- Tak się cieszę, że cię widzę - odparła. Chwyciła go za rękę i zaprowadziła do pokoju. Nagle poczuła się nieswojo. - Usiądź, proszę. - Wskazała krzesło. Zastanawiała się, co powiedzieć, by nie zapadło niewygodne milczenie. - Podać ci coś do picia? Może masz ochotę na kawę?

- Nie, dziękuję. - Jim usiadł na wskazanym miejscu i przyglądał się córce. Zauważył, że zeszcupiała i że była równie zdenerwowana jak on. Od czasu rozmowy z Tajem myślał o niej bez przerwy. - Asher - zaczął, lecz urwał. - Usiądź - poprosił wreszcie i poczekał, aż córka usadowi się wygodnie. - Chcę ci powiedzieć, że jestem dumny z twoich osiągnięć w tym sezonie.

Głos ojca był szorstki, ale i tak miło ją zaskoczył.

- Cieszę się - odparła.

- Najbardziej podobał mi się twój ostatni mecz. Asher uśmiechnęła się nieznacznie. Cały on, pomyślała.

Najpierw tenis, potem reszta.

- Przecież przegrałam. - Ale grałaś - powiedział. - Do ostatniego punktu. Nie wiem, czy ktokolwiek zauważył, że byłaś chora.

- Nie byłam chora - zaoponowała. - Jeśli wyszłam na kort, to znaczy...

- ...że byłaś w stanie grać - dokończył za nią Jim.

- Solidnie wbiłem ci to do głowy, co?

- To kwestia dumy i etyki sportowca.

Odparła słowami, które ojciec niegdyś powtarzał jej bez końca.

Jim milczał. Wpatrywał się w drobne, wypiełgnowane dłonie córki. Zawsze była jego ukochaną księżniczką, myślał. Chciał dać jej gwiazdkę z nieba i pragnął, by na nią zasługiwała.

- Nie zamierzałem przychodzić.

Stwierdzenie ojca zabolalo ją, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

- Kilka rzeczy - powiedział. - Między innymi twój ostatni mecz.

Asher wstała i w milczeniu podeszła do okna.

- Musiałam przegrać, żebyś znów się do mnie odezwał - powiedziała głosem zabarwionym goryczą. Nadal go kochała, lecz już nie wielbiła jak dawniej. - Tak bardzo cię potrzebowałam, czekałam. Miałam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Trudno przebaczyć taką rzecz, Asher.

Jim również podniósł się z miejsca. Zauważył, że córka jest silniejsza niż dawniej. Nie był pewien, jak rozmawiać z kobietą, którą się stała.

- Mnie zaś trudno jest zaakceptować fakt - odparła - że widzisz we mnie przede wszystkim tenisistkę, a dopiero potem własne dziecko.

- To nieprawda.

- Czyżby? - Asher odwróciła się do ojca i spojrzała mu w oczy. - Odwróciłeś się do mnie plecami, bo zrezygnowałam z kariery. Ani razu nie było cię przy mnie, kiedy cierpiałam i potrzebowałam twojego wsparcia. Miałam tylko ciebie, ale odwróciłeś się ode mnie, więc nie został mi absolutnie nikt.

- Próbowałem dojść z tym wszystkim do ładu. Staralem się zaakceptować twoje małżeństwo, choć znasz moje zdanie na temat Erica. - Jima ogarnęło poczucie winy. Stał się natarczywy. - Próbowałem zrozumieć, czemu zrezygnowałaś z tego, kim byłaś, i zaczęłaś udawać kogoś zupełnie innego.

- Nie miałam wyboru - uniosła się.

- Wyboru? - Głos Jima był ostry jak sztylet. - Podjęłaś decyzję. Oddałaś karierę w zamian za tytuł. To samo zrobiłaś z dzieckiem. Moim wnukiem.

- Przestań. - Zakryła uszy dłońmi i odwróciła się do okna. - Przestań, proszę. Czy wiesz, jak wiele zapłaciłam za tę chwilę nieuwagi?

- Nieuwagi? - Jim, nie wierząc własnym uszom, wpatrywał się w plecy córki. - Poczucie dziecka nazywasz nieuwagą?

- Nie, skąd! - Głos Asher drżał. - Mówię o jego stracie! Gdybym się tak nie zdenerwowała, gdybym patrzyła pod nogi, nigdy bym nie spadła. Nie straciłabym dziecka Taja - dodała ciszej.

- Co ty mówisz? - Jima przebiegł dreszcz i usiadł z powrotem na krześle. - Spadłaś? Dziecko Taja? - Przetarł twarz dłonią. Poczł się stary, słaby i bezradny. - Chcesz powiedzieć, że poroniłaś dziecko Taja?

- Tak. - Asher niechętnie odwróciła się do ojca i spojrzała mu w oczy. - Pisałam ci o tym.

- Nigdy nie dostałem listu od ciebie.

Jim był wstrząśnięty. Wyciągnął do córki rękę. Asher podeszła do niego i uścisnęła ją.

- Eric powiedział mi, że usunęłaś jego dziecko.

W pierwszej chwili sens tych słów do niej nie dotarł. Patrzyła na ojca oszołomiona i zdruzgotana.

- Myślałem, że celowo usunęłaś dziecko męża - powiedział.

Gdy Asher zachwiała się, przytrzymał ją, biorąc obie blade dłonie w swoje ręce.

- Powiedział, że dokonałaś aborcji bez jego wiedzy i zgody. Był załamany. Uwierzyłem mu. Uwierzyłem - powtórzył Jim łamiącym się głosem.

- Wielki Boże. - Oczy Asher pociemniały. Wiadomość wywołała szok.

- Zadzwoił do mnie z Londynu. Mówił jak szaleniec. Powiedział, iż przyznałaś się do ciąży, gdy było już po wszystkim. Uważałaś, że dziecko jest zbędnym ciężarem.

Asher ze zgrozą pokręciła głową.

- Nie sądziłam, że Eric może być tak mściwy. Wszystko zaczynało układać się w przerażającą całość.

Ojciec nie odpowiadał na jej listy. Eric dopilnował, by nie dotarły do adresata. Potem, gdy zadzwoniła do ojca, był oschły. Powiedział, że nigdy nie pogodzi się z tym, co zrobiła. Była przekonana, że mówił o tenisie. - Chciał mnie ukarać. - Położyła głowę na kolanach ojca. - Chciał, żebym nigdy nie przestała cierpieć.

Jim ujął w dłonie twarz córki.

- Opowiedz mi wszystko. Wysłucham cię teraz, choć powinienem to zrobić dawno temu.

Asher zaczęła od spotkania z Jess, a skończyła na feralnej rozmowie z Tajem. Gdy doszła do wypadku i postawy Erica, na twarzy Jima odmalowała się desperacja. Wyrzucał sobie, że był takim głupcem.

- Teraz Taj... - Asher zbladła, uświadomiwszy sobie prawdę. - Taj myśli... Eric musiał mu powiedzieć, że dokonałam aborcji.

- Ja mu to powiedziałem.

- Ty? - Asher popatrzyła na ojca ze zdumieniem. Rozbolała ją głowa. - Ale jak...

- Zadzwoił do mnie kilka dni temu. Chciał mnie przekonać, bym się z tobą spotkał. Powiedziałem wystarczająco dużo, żeby uwierzył w kłamstwo, podobnie jak ja.

- Kiedy zorientował się, że chodzi o jego dziecko... To wszystko, co mówił... Nie mogłam wtedy jasno myśleć. - Zamknęła oczy. - Nic dziwnego, że mnie nienawidzi.

Po chwili na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Muszę powiedzieć mu prawdę i sprawić, by mi uwierzył. - Asher zerwała się na równe nogi i pomknęła ku drzwiom. - Poszukam go w klubie. Musi mnie wysłuchać!

- Mecz dobiega końca. - Jim chwiejnie podniósł się z miejsca. Uświadomił sobie, że jego córka przeżyła piekło, a on w części się do tego przyczynił. - Nie zastaniesz go tam. Asher spojrzała bezradnie na zegarek.

- Nie wiem, gdzie się zatrzymał. - Zawahała się. Podeszła do telefonu. - Trzeba sprawdzić.

- Asher. - Jim wyciągnął niepewnie dłoń do córki. - Wybacz mi.

Powolnym ruchem odłożyła słuchawkę i padła mu w ramiona.

Taj wrócił do hotelu około północy. Przez dwie godziny uparcie próbował się upić. Świątował. Nie codziennie wygrywa się Wielkiego Szlema, powtarzał sobie, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu klucza. Nie codziennie pół tuzina kobiet oferuje mężczyźnie wspólną noc. Taj zaśmiał się cynicznie. Znalazł klucz i otworzył drzwi. Czemu nie skorzystał z propozycji żadnej z kobiet?

Bo żadna z nich nie była Asher. Natychmiast odpędził tę myśl, ledwie się pojawiła. Po prostu nie ma ochoty na kobietę, uzasadniał sobie. Jest zmęczony i pijany. Asher należy do przeszłości.

Pociągnął za klamkę i potykając się o próg, wpadł do ciemnego pokoju. Przynajmniej w jednym się nie mylił. Był pijany jak bela. Przy każdym kieliszku powtarzał sobie, że uczynił to z radości, nie z poczucia klęski. Dzieciak ze slumsów wspiął się na sam szczyt.

Do diabła z tym, mruknął do siebie, ciskając klucze pod stopy. Tępo uderzyły o podłogę. Taj zdjął koszulę i chwiejąc się, rzucił ją tam, gdzie klucze. Gdyby udało mu się trafić do łóżka bez zapalania światła, położyłby się i od razu zasnął. Tej nocy nie będzie miał problemów ze snem. Nerwy miał znieczulone przez alkohol. Nie będzie żadnych marzeń o gładkiej skórze i błękitnych oczach.

Namacał ścianę i kierował się wzdłuż niej ku sypialni. Nagle oślepiło go światło. Zaklął głośno i zakrył oczy dłonią. Drugą opierał się o ścianę, by nie stracić równowagi.

- Wyłącz tę cholerną lampę - warknął.

- Oto powrót zwycięzcy.

Znajomy głos sprawił, że Taj powoli opuścił rękę. W fotelu naprzeciw niego siedziała Asher, niewzruszona, spokojna i ponętna. Alkohol nie oszołomił go na tyle silnie, aby pozostał obojętny na ten widok. Zapragnął jej.

- Co tu, u diabła, robisz?

- Trochę pan wstawiony, panie Starbuck - odezwała się, ignorując pytanie. Wstała z miejsca i zbliżyła się do niego. - Ale wolno ci, po tym, jak zagrałeś. Mogę pogratulować?

- Wynos się. - Taj odepchnął się od ściany i próbował sam utrzymać równowagę. - Nie chcę cię tutaj.

- Zamówię kawę - powiedziała spokojnie, podchodząc do telefonu. - Porozmawiamy.

- Powiedziałem, wynos się. - Chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie. - Zanim przestanę panować nad sobą i zrobię ci krzywdę.

Asher nie ruszyła się z miejsca.

- Nie wyjdę, dopóki mnie nie wysłuchasz.

- Wiesz, co bym ci zrobił! - wrzasnął, przypierając do ściany, aż oparła się o nią plecami. - Mam ochotę bić cię do nieprzytomności. - Wiem. - Słowa Taja wydawały się nie robić na niej wrażenia. - Ale najpierw wysłuchaj mnie, proszę.

- Nie mam zamiaru cię słuchać - warknął. - Wyjdź, póki jeszcze panuję nad sobą.

- Nie mogę. - Podniosła dłoń do jego policzka. - Taj...

Nie dokończyła, bo przycisnął ją znów do ściany. Spodziewała się, że zaraz uderzy, lecz zamiast tego poczuła jego usta. Były brutalne i spragnione. Siłą rozwarł jej usta i wsunął głęboko język. Nie zważał na jej opór. Poczowała smak alkoholu. Próbowała odwrócić twarz, lecz Taj mocno przytrzymał jej głowę.

Wydała cichy, błagalny okrzyk, zanim mu się poddała. Nie zauważył, kiedy jego dłonie stały się delikatne, a usta czułe jak dawniej. Szeptał jej imię, składając pocałunki na powiekach, czole, policzkach. Uświadomił sobie, jak bardzo za nią tęsknił.

- Nie mogę żyć bez ciebie - wyznał. - Nie umiem. Klęknął na podłodze, pociągając Asher za sobą. Zatracił się w jej zapachu, smaku, poczuciu odzyskanej bliskości. Asher gładziła go, jakby chciała go jednocześnie uspokoić i pobudzić. Nie mógł jej się oprzeć. Pochylił się nad nią i jak w transie całował jej szyję, nie zaniedbując ani skrawka aksamitnej skóry. Przyśpieszony oddech Asher wyznaczał rytm.

Ogarnęło ją gorąco, gdy dłonie Taja odnalazły wrażliwe piersi. Jęknęła cicho i się wygięła. Chwyliła go za głowę, mierzwiąc włosy. Skierowała jego usta tam, gdzie jeszcze ich nie było. Po chwili spragniona jego smaku przyciągnęła go z powrotem do ust. Bawiła się rozgrzаныmi, wilgotnymi wargami, potem wsunęła język, by cieszyć się słodkim smakiem. Taj odwzajemnił pocałunek.

To, co robił, nie miało sensu, ale nie zastanawiał się już nad tym. Bez Asher czuł pustkę, której nawet wściekłość nie mogła wypełnić. Teraz odzyskiwał równowagę. Wszystko wracało na swoje miejsce.

Asher wiała się pod nim i kusila. Resztką rozsądku podpowiadała mu, by się powstrzymał, lecz było już za późno. Nim zdążył się zorientować, znalazł się w jej wnętrzu. Naraz wszystkie bodźce dotarły do niego i zaatakowały świadomość z podwójną siłą. Krzyknął z rozkoszy, ale też z żalu.

Wycieńczony osunął się na podłogę i wbił wzrok w sufit. Jak mógł pozwolić, by do tego doszło? Jak mógł kochać się i zaznać rozkoszy z kobietą, o której chciał zapomnieć? Zastanawiał się teraz, czy kiedykolwiek zdoła się od niej uwolnić. Życie bez niej będzie takim samym piekłem, jak życie z nią.

- Taj. - Asher wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

- Nic nie mów. - Wstał, nie rzucając jej nawet przelotnego spojrzenia. - Ubieraj się - mruknął, wciągając dzinsy drżącymi rękoma. Kto kogo wykorzystał? Zadręczał się. - Przyjechałaś samochodem?

Asher usiadła i odgarnęła z twarzy włosy. Te same, które przed chwilą tak czule gładził.

- Nie.

- Zamówię ci taksówkę.

- Nie trzeba. - Zaczęła się ubierać. - Widzę, że żałujesz tego, co zaszło. - Nie mam zamiaru ci się tłumaczyć - syknął.

- Nie proszę cię o to - odparła cicho. - Chcę, żebyś wiedział, że ja nie żałuję. Kocham cię, a seks jest jednym ze sposobów okazania tego. - Asher miała problemy z zapięciem guzików bluzki drżącymi palcami. Gdy podniosła głowę, zobaczyła Taja przy oknie, odwróconego do niej plecami. - Przyszłam, żeby powiedzieć ci coś, o czym powinienes wiedzieć. Kiedy skończę, dam ci czas na zastanowienie...

- Zrozum, że nie chcę się już nad niczym zastanawiać.

- To ostatnia rzecz, o jaką cię poproszę.

- Niech będzie. - Schował twarz w dłoniach i westchnął głęboko. Wytrzeźwiało. - Najpierw powinienem ci powiedzieć, że słowa, które usłyszałaś od Jess trzy lata temu, były jej wymysłem. O niczym nie miałem pojęcia. Przyznała mi się kilka dni temu. Chciała mnie chronić.

- O czym ty mówisz?

Taj odwrócił się i uśmiechnął gorzko.

- Naprawdę myślałaś, że jestem tobą znudzony? Że chcę cię rzucić? Że zastanawiam się, jak to zrobić delikatnie i po cichu? - Asher otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zrezygnowała. Wspomnienie tamtej rozmowy było wciąż bolesne. - Najwyraźniej tak - odpowiedział za nią.

- Wszystko, co mówiła, pasowało do sytuacji - broniła się Asher. - Nigdy nic dla mnie nie poświęciłeś. Nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości.

- To nie tylko moja wina - zauważył. Asher odsunęła logikę na bok.

- Gdybyś choć raz wspomniał... - Może nie byłaś pewna własnych uczuć i Jess tylko przyspieszyła twoje odejście? Uciekłaś do Wickertona, mimo że nosiłaś w sobie moje dziecko.

- O ciąży dowiedziałam się po ślubie.

Taj lekceważąco wzruszył ramionami. Asher chwyciła go za nie z całej siły.

- Mówię ci, że nie wiedziałam. Gdyby było inaczej, nie wychodziłabym za męża. Nie wiem, co bym zrobiła. Domyślałam się, że jesteś mną znudzony, zanim Jess do mnie przyszła. Potwierdziła jedynie moje przewidywania.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Wciąż miałeś zły humor. Byłeś nieobecny myślami. To, co mówiła Jess, trzymało się kupy.

- Zastanawiałem się, w jaki sposób poprosić pannę Wolfe, mistrzynię tenisa, by poślubiła Starbucka, typa spod ciemnej gwiazdy.

Asher niepewnie podeszła do Taja.

- Chciałeś mnie poślubić?

- Ciągle trzymam pierścionek, który dla ciebie kupiłem - powiedział cicho Taj.

- Pierścionek - powtórzyła, niczym echo. - Kupiłeś mi pierścionek? - Z niewyjaśnionych przyczyn kupno pierścionka zaskoczyło ją bardziej niż wszystko inne.

- Zaplanowałem bardzo tradycyjne oświadczyzny. Gdyby nie poskutkowało, ułożyłem plan porwania.

Asher wysiliła się na uśmiech, rozpaczliwie próbując powstrzymać łzy.

- Poskutkowałoby, nie musiałbyś mnie porywać.

- Gdybyś mi powiedziała o ciąży...

- Taj, do cholery! Ile razy mam ci powtarzać, że nie wiedziałam! - Uderzyła pięścią w twarde tors. - Myślisz, że poślubiłabym Erica, gdybym wiedziała? Zorientowałam się kilka tygodni później.

- Czemu mi wtedy nie powiedziałaś?

- Żebyś myślał, że chcę cię w ten sposób do siebie przywiązać? - Dumnie uniosła głowę. - Byłam żoną innego mężczyzny. Złożyłam mu przysięgę.

- Przysięga znaczyła dla ciebie więcej niż nasze dziecko - zaatakował ją. - Poszłaś do kliniki i zabiłaś coś pięknego i niewinnego. Coś mojego.

Wyobrazenie było wstrętne, prawda okrutna. Asher zaczęła okładać go pięściami. Opamiętała się dopiero, gdy złapał ją za nadgarstki.

- Mojego również!!! - wrzasnęła. - Czy to już mniej istotne?

- Nie chciałaś tego dziecka. - Chwyił ją mocniej, gdy próbowała się wyrwać. - Nie miałaś odwagi, żeby spytać mnie o zdanie. Nie zniosłabyś noszenia części mnie w sobie!

- Nie pytaj mnie, co bym zniosła, a czego nie. - Asher nie była blada, tylko purpurowa ze złości. - Nie usunęłam ciąży. Poroniłam. Omal nie umarłam. Lepiej by ci było, gdyby tak się stało? Wierz mi, że tego chciałam.

- Poroniłaś? - Taj przesunął ręce na jej ramiona. - O czym ty mówisz?

- Eric też mnie znienawidził! - krzyknęła. - Kiedy mu powiedziałam, stwierdził, że go zdradziłam. Oskarżył mnie o podrzucanie mu cudzego dziecka. Nawet nie próbował mnie zrozumieć. Kłóciliśmy się przy schodach. Krzyczał, a ja chciałam uciec jak najdalej. - Do oczu na - płynęły łzy. Pamiętała wszystko zbyt wyraziście. - Nie patrzyłam, dokąd biegnę. Potem spadałam. Uderzyłam głową... chyba o poręcz. Obudziłam się w szpitalu, a dziecka już nie było.

Taj miał całą sytuację przed oczami, jakby oglądał film.

- Boże, Asher. - Chciał ją przytulić, ale go odepchnęła.

- Wiedziałałam, że mi nie wybaczysz. To nie miało już znaczenia, zgodziłam się więc na warunki Erica. - Asher otarła oczy i próbowała się uspokoić. - Wolałam, żebyś nie wiedział, skoro mnie nie chciałeś. - Pochyliła głowę i spojrzała na niego. - Słono zapłacałam za utratę tego dziecka, Taj. Przez trzy lata żyłam jak w więzieniu, bez nikogo bliskiego. Nie chcę dłużej cierpieć.

- Nie. - Taj podszedł do okna i otworzył je, jakby potrzebował świeżego powietrza. Na zewnątrz panował upał. Nie było wiatru, który ochłodziłby jego rozpalone czoło. - Miałas

kilka lat, by się z tym pogodzić. Ja miałem kilka dni. - Lecz Asher była sama, pomyślał. Przez całe lata. Odetchnął głęboko. - Mocno się poturbowałaś?

Asher nie zrozumiała pytania.

- Co?

- Czy byłaś ranna? - Głos Taja był szorstki i drżący. Gdy nie odpowiadała, odwrócił się do niej. - Czy coś ci się stało, kiedy spadłaś ze schodów?

- Straciłam dziecko.

- Pytam o ciebie.

Asher patrzyła na niego, nie rozumiejąc. Nikt o to nie pytał. Nawet jej ojciec. Zdobyła się tylko na potrząśnięcie głową. - Asher, odpowiedz. Miałaś wstrząs mózgu, złamania? Mówiłaś, że prawie umarłaś.

- Dziecko zmarło - powtórzyła głucho.

Taj podszedł do niej i chwycił ją za ramiona.

- A ty? - krzyknął. - Jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Możemy mieć tuzin dzieci, jeśli zechcesz. Powiedz mi, co się stało tobie!

- Niewiele pamiętam. Byłam otępią. Robiono mi transfuzje. - Sens słów Taja powoli do niej docierał. Zaczynała rozumieć, że troska w jego oczach dotyczy jej samej. - Taj - powiedziała słabym głosem i przytuliła się do niego. - Już po wszystkim.

- Powiniennem być przy tobie. - Objął ją mocno. - Powinniśmy razem przez to przechodzić.

- Powiedz, że mnie kochasz. Chcę to usłyszeć.

- Wiesz, że tak. Kocham cię. - Pocałunkiem otarł łzę, która wypłynęła na policzek. - Nie płacz - poprosił. - Żadnych łez.

Przywarła do niego i czuła, jak z serca spada jej wielki ciężar.

- Zgoda - odparła.

Taj pogładził ją po policzku najdelikatniej, jak tylko umiał.

- Zraniłem cię.

- Nie dopuścimy więcej do tego - powiedziała żarliwie. - Nigdy.

- Jak mogliśmy być tacy głupi i prawie stracić dwie szanse? - zastanawiał się głośno. -

Koniec z tajemnicami, Asher.

Kiwnęła głową. - Koniec. Przed nami trzecia szansa.

- Najlepiej działałam pod presją. - Musnął ustami jej skroń. - Wtedy zawsze wygrywam.

- Powinieneś świętować...

- Już mi wystarczy.

- Chyba mi nie odmówisz? - Cmoknęła go w czubek nosa. - Moglibyśmy pojechać do mnie i otworzyć butelkę szampana.

- Moglibyśmy tu zostać - odparł Taj - i szampana odłożyć do jutra.

- Już jest jutro - zauważyła, patrząc w okno.

- Zatem przed nami cały dzień. - Taj, z Asher w ramionach, skierował się ku sypialni.

- Zaczekaj. - Oswobodziła się z jego objęć. - Chcę zobaczyć, jak wyglądają tradycyjne oświadczyzny w wykonaniu Starbucka.

- Asher. - Taj wziął ją za rękę. - No, chodź.

- Nie.

Zbity z tropu, schował ręce do kieszeni.

- Wiesz, że chcę się z tobą ożenić.

- To nie są tradycyjne oświadczyzny. - Zaplotła ręce na piersiach i stanęła w wyczekującej pozie. - Czekam. Mam ci podpowiadać? - Drażniła go. - Mówi się: „Asher...”

- Wiem, co się mówi - burknął. - Chyba wolę cię porwać.

Roześmiana podeszła do niego i objęła za szyję.

- Poproś mnie - szepnęła, ocierając usta o jego wargi.

- Wyjdiesz za mnie, Asher? Milczała, bawiąc się jego dolną wargą. - To jak? - spytał zniecierpliwiony, spoglądając to na usta, to na oczy wybranki.

- Zastanawiam się - powiedziała wreszcie. - Liczyłam na coś bardziej romantycznego.

Kwiaty, może wiersz...

Zabrakło jej tchu w piersiach, gdy Taj przerzucił ją przez ramię.

- Cóż, tak też można - stwierdziła. - Za kilka dni dam ci odpowiedź.

Taj rzucił ją na łóżko.

- Może trochę prędyj - zdecydowała, gdy zabrał się do rozpinania guziczków jej bluzki.

 HARLEQUIN®

ORCHIDEA



Gra toczyła się o spadek po wuju Jolleyu. Wysokość stawki dorównywała stopniu ryzyka. Zarówno Pandora, jak i Michael doskonale zdawali sobie z tego sprawę. I nie chodziło tylko o krewnych pominiętych w testamentcie, chociaż nie ograniczyli się oni do okazania niezadowolenia. Niebezpieczne incydenty nie były dziełem przypadku. Jednak to nie one stawiły wygraną pod znakiem zapytania, a warunek, jakim wuj obwarował przejęcie spadku. Olo Pandora i Michael musieli spędzić pół roku pod jednym dachem. Rzecz w tym, że ona miała go za egocentrycznego aroganisa, a on ją za zawiistą i upartą jędzę...

www.harlequin.pl

Nora Roberts

Skazani na siebie

ISSN 83-236-1877-7

ISSN 1509-6122



9 771509 612001

Cena 7,95 zł

 HARLEQUIN®

ORCHIDEA



Skazani na siebie

Nora
Roberts

*tak smakuje
życie*

NORA ROBERTS

SKAZANI NA SIEBIE

ROZDZIAŁ 1

Sto pięćdziesiąt milionów dolarów to nie była suma, na którą można by kichać. Żadna z osób znajdujących się w przestronnej bibliotece w Jolley's Folley by sobie na to nie pozwoliła. Żadna z wyjątkiem Pandory. Zrobiła to bez skrępowania, zasłaniając się tylko papierową chusteczką. Potem wysiąkała nos i odchyliła się, czekając, by krople, które dyskretnie zapuściła, przyniosły jej oczekiwaną ulgę. Wiele by dała, żeby nie złapać tego piekielnego przeziębienia. Co więcej, wołałaby znajdować się w tej chwili w jakimkolwiek innym miejscu na świecie.

Otaczały ją dziesiątki książek, które przeczytała, i setki, których nie poznała, choć spędziła w tej bibliotece wiele godzin. Zapach skóry, w którą były oprawione, mieszał się z lekko wyczuwalną wonią kurzu. Pandora wołała to niż duszący aromat lilii umieszczonych w trzech wazonach.

W jednym rogu pokoju stał komplet szachów z marmuru i kości słoniowej, przy którym rozegrała z wujem Jolleyem niejedną partię. Wuj uwielbiał szachy. Jego przeciwnik nie powinien dać się zwieść okrągłej dobrodusznej twarzy i niewinnemu spojrzeniu. Wuj z zapalem oszukiwał, ale Pandora za bardzo się tym nie przejmowała. Kochała wuja. Na dobrą sprawę było jej wszystko jedno, a wuj uwielbiał wygrywać - obojętne, uczciwie czy nie.

Kiedy już kogoś kochała - a uczuciem tym obdarzyła niewiele osób w życiu - kochała całym sercem i duszą. Miała w sobie niepohamowaną energię i żelazną nieustępliwość. Kochała wuja Jolleya na swój spontaniczny, impulsywny sposób, akceptując wszystkie jego dziwactwa. Liczył sobie dziewięćdziesiąt trzy lata, ale nigdy nie był ani nudny, ani gderliwy. Miał młodzieńczy sposób bycia i nietuzinkowe poczucie humoru.

Na miesiąc przed jego śmiercią poszli na ryby, prawdę mówiąc, kłusowali w stawie należącym do sąsiada. Kiedy złapali więcej pstrągów, niż zdołaliby zjeść, odesłali kilka właścicielowi - oczyszczonych i zamrożonych. Nie wiedzieli, czy sąsiad był tym zachwycony.

Będzie jej brakowało wuja Jolleya. Patrzył teraz na nią z ogromnego portretu z charakterystycznym uśmiechem, jaki przybierał niezależnie od tego, czy robił milionowy interes, czy podawał wiceprezydentowi drinka. Już za nim tęskniła. Nikt z jej rozsianej po świecie rodziny nie rozumiał jej i nie akceptował tak jak on. To jeszcze jeden powód, dla którego go uwielbiała.

Pogrążona w żalu, rozdrażniona z powodu przeziębienia, słuchała Edmunda Fitzhugh, objaśniającego monotonnym głosem szczegóły testamentu wuja Jolleya. Maximillian Jolley McVie nigdy nie był mistrzem zwięzłego wypowiedziania się. Zawsze powtarzał, że jeśli ma się coś zrobić, należy to zapiąć na ostatni guzik. Jego testament i ostatnia wola były dobitnym potwierdzeniem tego przekonania.

Nie starając się nawet ukryć znudzenia, Pandora zaczęła przypatrywać się osobom zgromadzonym w bibliotece.

Nazwanie ich żałobnikami byłoby rodzajem złośliwego żartu, który na pewno spodobałby się Jolleyowi.

Był tutaj jedyny żyjący syn Jolleya, Carlson z żoną. Jak też ona ma na imię? Lona? Mona? Zresztą, co to ma za znaczenie. Siedzieli sztywno, przyobleczeni w czerń. Skojarzyli się Pandorze z krukami, które przysiadły na przewodzie telefonicznym, czekając na jakiś smakowity kąsek.

Była też kuzynka Ginger, słodka, śliczna, zupełnie nieszkodliwa, ale nie grzesząca nadmiarem inteligencji. Tym razem ułożyła jasne włosy w stylu Jean Harlow. Ociężały, nachmurzony kuzyn Biff wyglądał w czarnym ubraniu niczym jeden z braci Brooks. Siedział rozparty w fotelu, ze skrzyżowanymi nogami, jakby obserwował grę w polo. Pandora była pewna, że śledzi każde słowo adwokata. Jego żona - czy to Laurie? - przybrała sztuczny, pełen szacunku wyraz twarzy. Pandora wiedziała, że nie odezwie się ani jednym słowem, chyba że po to tylko, by jak echo powtórzyć to, co powie Biff. Wuj Jolley uważał ją za głupią nudziarę. Pandora, choć niechętnie, przyznawała mu rację.

Wuj Monroe, jak zawsze zadowolony z siebie, palił cygaro, nie bacząc na to, że jego siostra, Patience, zawzięcie macha chusteczką. Może właśnie dlatego, pomyślała Pandora. Wuj Monroe nade wszystko lubił robić siostrze na złość.

Kuzyn Hank wyglądał jak prawdziwy macho, silny i umięśniony, w czym dorównywała mu żona o posturze atletki, Meg. W czasie miesiąca miodowego przewędrowali całe Appalache. Wuj Jolley zastanawiał się, czy przed pójściem do łóżka uprawiali gimnastykę.

Przypomniawszy to sobie, Pandora omal nie zachichotała. Szybko jednak przysłoniła usta chusteczką, po czym przeniosła wzrok na kuzyna Michaela. A może to był kuzyn z jakiejś bocznej linii? Słabo orientowała się w powiązaniach rodzinnych. Zdaje się, że jego matka była krewną wuja Jolleya poprzez drugie małżeństwo syna Jolleya. Okropnie to pogmatwane, pomyślała. Ale i Michael Donahue był skomplikowanym mężczyzną.

Wiedziała, że wuj Jolley wyróżniał go spośród innych krewnych. Jeśli o nią chodzi, ktoś, kto zamiast zająć się czymś pożytecznym, zarabia na życie pisaniem scenariuszy telewizyjnych seriali, jest pasożytem. Z przyjemnością przypomniała sobie, że kiedyś powiedziała mu to bez ogródek.

No i oczywiście nie mogło się obejść bez kobiet. Jeśli mężczyzna umawia się z dziewczynami z okładek i aktoreczkami, zapewne nie jest zainteresowany intelektualnymi dysputami. Pandora uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, jak wyraziła wprost swoją opinię, kiedy Michael ostatni raz odwiedził wuja Jolleya. Wuj się wtedy zaśmiewał.

Na dobrą sprawę ze wszystkich obecnych w tym pokoju to właśnie Michael Donahue troszczył się o starszego pana i przysparzał mu więcej radości niż ktokolwiek inny z rodziny, z wyjątkiem jej samej.

Pandora zatrzymała na nim wzrok. Wyglądał na mało zainteresowanego tym, co się wokół niego dzieje. Przybrał nieco arogancką pozę, zacisnął wargi w linijkę. Pandora uważała, że z całej twarzy Donahue właśnie usta są najbardziej pociągające.

Wujowi Jolleyowi Michael od razu przypadł do gustu, o czym zresztą powiedział Pandorze. Sam był niski i okrągły i być może dlatego smukła sylwetka i pociągła, wyrazista twarz młodego krewnego wydały mu się interesujące. Pandorze też może by się podobał Michael, gdyby nie jego spojrzenie, najczęściej nieobecne i obojętne.

W tej chwili wyglądał jak jeden z bohaterów swoich seriali. Niedbale oparty o ścianę, w eleganckim garniturze i krawacie, myślami błędzący daleko stąd. Ciemne włosy miał w nieładzie, jakby po jeździe kabrioletem zapomniał użyć grzebienia. Wyglądał na znudzonego całą tą sytuacją.

Pandora żałowała, że się nie zaprzyjaźnili. Chętnie porozmawiałyby o wuju Jolleyu z kimś, kto tak jak ona tolerował jego humory i fanaberie.

Nie ma sensu tak myśleć. Żadna z osób znajdujących się w bibliotece nie była sobie bliska. Wuj Jolley zgromadził ich tutaj, a teraz przypatrywał się im z portretu ze złośliwą satysfakcją.

Westchnęła, po raz kolejny wysiąkała nos i ponownie próbowała skupić się na słowach Fitzhugh, ale niewiele do niej docierało.

Jeszcze godzina, pomyślał Michael, a nie wytrzymam. Tkwiał tu tylko dlatego, że kochał tego zwariowanego staruszka. Jeśli ostatnią rzeczą, jaką może jeszcze dla niego zrobić, jest przebywanie w tym pokoju ze stadem sępów i słuchanie zawiłości testamentu, zrobi to. Gdy tylko ten spektakl dobiegnie końca, należy sobie brandy i wypije w samotności za spokój duszy starszego pana. Jolley uwielbiał brandy.

Kiedy Michael był jeszcze młodym chłopcem, pełnym zwariowanych pomysłów, które nie mogły liczyć na zrozumienie rodziców, wuj Jolley słuchał go cierpliwie i zachęcał do marzeń. Ilekroć Michael przyjeżdżał do Folley, znajdował w osobie wuja cierpliwego i chętnego słuchacza swoich niestworzonych opowieści. Michael nigdy tego nie zapomniał.

Kiedy otrzymał pierwszy raz Emmy Award za jeden ze swoich seriali, *Ucieczka Logana*, przyleciał z Los Angeles do Catskills i wręczył statuetkę wujowi. Wciąż jeszcze stała w jego sypialni.

Michael słuchał jednostajnego głosu adwokata i marzył o papierosie. Rzucił palenie dopiero co, a dokładnie przed dwoma dniami, czterema godzinami i trzydziestoma pięcioma minutami.

Przytłaczała go obecność ludzi, których zgromadziła śmierć Jolleya. Uważali go za starego zwariowanego, choć nieszkodliwego, nudziarza. Posiadłość warta sto pięćdziesiąt milionów dolarów to jednak zupełnie co innego. Michael patrzył, jak wodzą taksującym wzrokiem po meblach w bibliotece. Może i nie były w ich guście, ale można by je przecież spieniężyć. Wiedział, że wuj kochał te swoje stare wiktoriańskie meble.

Miał wątpliwości co do tego, czy ktoś z rodziny był w tym domu choć raz w ciągu ostatnich dziesięciu lat. No, z wyjątkiem Pandory, przyznał niechętnie. Może i jest irytująca, ale uwielbiała Jolleya.

W tej chwili wyglądała żałośnie. Michael nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem widział ją w tak opłakanym stanie. Bywała wściekła, pogardliwa, zniecierpliwiona, ale nigdy nie była nieszczęśliwa. Gdyby łączyły ich bardziej przyjacielskie stosunki, usiadłby teraz obok niej, wziął ją za rękę i spróbował pocieszyć. Jednak charakter ich znajomości go do tego nie upoważniał. Nie wiadomo, jak Pandora by zareagowała.

Jej zaskakująco niebieskie oczy były teraz zaczerwienione i opuchnięte. Była tak blada, że widać było wszystkie piegi na nosie, których, jako rudowłosa, miała bez liku. Zazwyczaj jej skóra o odcieniu kości słoniowej była lekko zaróżowiona - nie wiedział, czy było to oznaką zdrowia, czy raczej temperamentu.

W gronie ubranej na czarno rodziny wyglądała jak papuga wśród kruków. Miała na sobie sukienkę w żywym niebieskim kolorze. Podobała się Michaelowi, choć za nic by jej tego nie powiedział. Do wyrażenia żałoby nie potrzebowała czerni, krepy ani lilii. To akurat rozumiał aż nadto dobrze, choć nie potrafił porozumieć się z Pandorą.

Irytowała go czasami swoimi uwagami na temat jego stylu życia i kariery. Zresztą, nie omieszkał odpłacać jej pięknym za nadobne. Była inteligentną, utalentowaną kobietą, która

wolała zyskiwać sławę, wyrabiając biżuterię dla eleganckich butików, niż korzystać z dyplomu uniwersyteckiego.

Nazywała go materialistą, on ją idealistką. Przyczepiła mu etykietkę szowinisty, on jej pseudointelektualistki. Jolley słuchał i chichotał, ilekroć się kłócili. Teraz, kiedy odszedł, nie będzie już okazji do sprzeczek. Dziwne, ale Michael uznał to za jeszcze jeden powód, by żałować, że wuj pożegnał się z tym światem.

Prawda wyglądała tak, że z nikim z rodziny prócz Jolleya nie utrzymywał bliższych kontaktów. Jego ojciec bawił gdzieś w Europie z czwartą żoną, a matka osiadła w Palm Springs z mężem numer trzy. Nigdy nie rozumieli syna, który postanowił zarabiać na życie w czymś tak mieszczańskim jak telewizja.

Natomiast wuj Jolley pochwalał jego wybór. Więcej, akceptował to, co Michael robił, i to było najważniejsze.

Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy usłyszał, jak Fitzhugh mówi o zapisie testamentowym dla wielorybów. To w stylu Jolleya. Kilkoro zniecierpliwionych krewnych syknęło przez zęby. Przepadło właśnie sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Michael przeniósł wzrok na ogromny portret wuja Zapewniałeś, że będziesz miał ostatnie słowo - zwrócił się do niego w duchu. Problem tylko w tym, że nie możesz tego sam zobaczyć.

- „Memu synowi, Carlsonowi...” - Fitzhugh odchrząknął. Zaległa przejmująca cisza. Bez większego zainteresowania Pandora obserwowała krewnych, słuchających w napięciu adwokata. Wymieniono zapisy dla służby i na cele dobroczynne. Teraz przyszedł czas, by wytoczyć najcięższe działa. Fitzhugh na moment podniósł wzrok na zebranych. - „...którego... miernota była dla mnie zawsze zagadką - kontynuował - zostawiam kolekcję sztuczek magicznych w nadziei, że potrafi wykrzesać z siebie choć odrobinę poczucia humoru”.

Pandora zasłoniła usta chusteczką i omal się nie zakrztusiła, widząc, jak Carlson się czerwieni. Brawo, wujku Jolleyu, pomyślała, przygotowując się na niezłą zabawę. A nuż zapisał cały swój majątek ASPCA - Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt.

- „Mojemu kuzynowi Bradleyowi i jego żonie Lorraine zostawiam swoje najlepsze życzenia Niczego więcej nie potrzebują”.

Pandora otarła łzy na wspomnienie rodziców. Zadzwoń do nich wieczorem do Zanzibaru.

- „Mojemu kuzynowi Monroe, który w życiu grosza nie zarobił, zostawiam swój ostatni dolar oprawiony w ramkę.

Mojej kuzynce Patience zostawiam domek w Key West bez większej nadziei, że będzie potrafiła go użytkować”.

Monroe sięgnął po cygaro. Patience wyglądała na przerażoną.

- „Synowi mego siostrzeńca, Biffowi, zostawiam kolekcję zapalek w nadziei, że w końcu, podpali świat. Ślicznej córce mego siostrzeńca, Ginger, która kocha równie śliczne rzeczy, zostawiam srebrne lustro, które podobno należało kiedyś do Marii Antoniny. Drugiemu synowi mego siostrzeńca, Hankowi, zostawiam sumę 3528 dolarów. Sądzę, że to wystarczy mu do końca życia na nasiona pszenicy”.

Pomrukiwanie, które zaczęło się przy pierwszym zapisie, stawało się coraz głośniejsze. Zebrani z trudem opanowywali złość. Jolley nie mógłby pragnąć niczego więcej. Pandora popełniła błąd, zerkając na Michaela. Nie sprawiał już wrażenia obojętnego i wyobcowanego, wydawał się pełen podziwu dla wuja. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, nie była w stanie dłużej się powstrzymać i zachichotała. Zebrani popatrzyli na nią ze zgorzeniem.

Carlson wstał.

- Panie Fitzhugh - zaczął, tłumiąc gniew - testament mego ojca to zwykła farsa. To oczywiste, że sporządzając go, nie był przy zdrowych zmysłach i nie mam wątpliwości, że sąd go obali.

- Panie MacVie. - Fitzhugh ponownie odchrząknął. - Doskonale rozumiem pana odczucia w tej sprawie. Zapewniam jednak, że mój klient był w pełni władz umysłowych, kiedy spisywał testament. Co prawda, zredagował go nie tak, jak mu radziłem, ale testament jest legalny i ma moc prawną. Oczywiście może pan skonsultować się ze swoim prawnikiem.

- Bzdury - parsknął Monroe.

- Bzdury - powtórzyła jak echo Patience.

- Wuj Jolley lubił bzdury - włączyła się niespodziewanie Pandora. - Jeśli miałby ochotę zapisać swoje pieniądze towarzystwu na rzecz zapobiegania głupocie, miałby do tego pełne prawo.

- Łatwo ci mówić, moja droga. - Biff polerował paznokcie o klapę marynarki. Złota bransoleta od zegarka połyskiwała w promieniach słońca. - Może stary wariat zostawił ci kłębek sznurka, żebyś mogła robić więcej wisiorków.

- Jeszcze nie dostałeś zapalek, chłopie - zauważył leniwie Michael ze swego kąta i wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę. - Uważaj, co podpalisz.

- Pozwólcie czytać dalej - przerwała im Ginger, całkiem zadowolona ze swego spadku. Maria Antonina, zastanawiała się. Pomyśleć, Maria Antonina!

- Dwa ostatnie zapisy się łączą - zaczął Fitzhugh, zanim ktokolwiek zdążył jeszcze coś powiedzieć. - I są trochę... niekonwencjonalne.

- Cały ten dokument jest niekonwencjonalny - parsknął Carlson.

Kilka głów skinęło potakująco.

Pandora zawsze unikała spędów rodzinnych. Śmiertelnie ją nudziły. Z całym rozmysłem ziewnęła, przysłaniając dłonią usta.

- Czy moglibyśmy kończyć, panie Fitzhugh, zanim moja rodzina do reszty się skompromituje? - spytała.

Wydawało jej się, choć nie była tego pewna, że dojrzała w oczach adwokata błysk aprobaty.

- Tę część testamentu pan McVie napisał własnoręcznie - powiedział prawnik. - „Pandorze McVie i Michaelowi Donahue - ciągnął po krótkiej przerwie - dwóm osobom z mojej rodziny, które sprawiły mi najwięcej przyjemności swoimi poglądami na życie, radością z przebywania ze starym człowiekiem i wysłuchiwaniami jego żartów, pozostawiam resztę mego majątku na wyłączność, to jest wszystkie konta, wszystkie interesy, wszystkie obligacje, akcje, papiery wartościowe, wszystkie dobra osobiste, ruchomości i nieruchomości z całym swoim uczuciem. Do podziału w równych częściach”.

Pandora zerwała się z fotela.

- Nie mogę wziąć jego pieniędzy! - zawołała i podeszła do Fitzhugh. - Nie wiedziałabym, co z nimi zrobić. Tylko skomplikowałyby mi życie. - Uderzyła dłonią w papiery leżące na biurku. - Powinien był najpierw mnie zapytać.

- Ależ, panno McVie...

Zanim adwokat zdążył cokolwiek powiedzieć, Pandora rzuciła się do Michaela.

- Możesz sobie zabrać wszystko. Już ty będziesz wiedział, co z tym zrobić. Kup hotel w Nowym Jorku, kamienicę w Los Angeles, klub w Chicago i samolot, żeby latać tam i z powrotem. Nie obchodzi mnie to nic a nic.

Michael z całym spokojem wsunął rękę do kieszeni i popatrzył Pandorze prosto w oczy.

- Doceniam tę propozycję, kuzynko. Może zaczekamy, aż pan Fitzhugh skończy, zanim pociągniesz za spust.

Pandora popatrzyła na niego przez chwilę, po czym, tak jak ją uczono w dzieciństwie, zaczerpnęła głęboko powietrza i odliczyła w duchu do dziesięciu, by się uspokoić.

- Nie chcę jego pieniędzy - powtórzyła.

- Wyraziłaś się dostatecznie jasno. - Michael uniósł brwi w sposób, który zawsze ją irytował. Przybrał po części cyniczny, po części rozbawiony wyraz twarzy. - Zdziwiłaś rodzinę tym małym spektaklem.

Nie mógłby dobrać odpowiedniejszych słów, by odzyskała samokontrolę. Podniosła głowę, popatrzyła na niego butnie, po czym szybko spuściła z tonu.

- A więc dobrze. Przepraszam, że panu przerwałam - zwróciła się do Fitzhugh. - Proszę kontynuować.

Prawnik skorzystał z chwili przerwy, by przetrzeć okulary. Kiedy jego klient sporządził testament, wiedział, że nadejdzie w końcu dzień, gdy jako wykonawca testamentu będzie musiał stanąć twarzą w twarz z rozwścieczoną rodziną. Rozmawiał o tym z Jolleyem, przekonywał go, tłumaczył, wskazywał na absurdalność zapisu.

- „Zostawiam to wszystko - czytał dalej - pieniądze, akcje, obligacje, które są potrzebne, choć nudne, interesy, które ciążą niczym kamień u szyi, i dom wraz z całym wyposażeniem, który jest dla mnie bardzo ważny, bo wiążą się z nim wspomnienia, Pandorze i Michaelowi, ponieważ się o mnie troszczyli. Zostawiam to im, bo nie ma w rodzinie nikogo, komu mógłbym przekazać to, co jest dla mnie ważne. To, co należało do mnie, należy teraz do Pandory i Michaela. Wiem, że zawsze będę żył w ich pamięci. Stawiam tylko jeden warunek”.

Michael uśmiechnął się pod wąsem.

- No, teraz będzie niespodzianka - mruknął.

- „W ciągu tygodnia od otwarcia tego testamentu Pandora i Michael wprowadzą się do mego domu w Catskills, znanego jako Jolley's Folley. Będą tam razem mieszkać przez sześć miesięcy i żadne z nich nie spędzi więcej niż dwóch kolejnych nocy pod innym dachem. Po sześciu miesiącach nieruchomość przejdzie na ich własność do równego podziału. Jeśli jedno z nich nie zgodzi się na te warunki lub wycofa się przed upływem sześciu miesięcy, majątek przejdzie na moich żyjących spadkobierców i na Instytut Badań nad Roślinami Mięsożernymi. Macie moje błogosławieństwo, dzieci. Nie zróbcie zawodu staremu człowiekowi, którego już nie ma na tym świecie”.

Przez trzydzieści sekund panowała absolutna cisza. Fitzhugh zaczął składać papiery.

- Stary drań - mruknął pod nosem Michael. Pandora oburzyłaby się, gdyby nie to, że w tym akurat przypadku przyznawała mu rację. Atmosfera w bibliotece zagęszczała się, emocje rosły. Michael chwycił Pandorę za rękę i pociągnął ją do holu. Wbiegli do jednego z małych saloników.

- I co teraz? - Pandora po raz kolejny wysiąkała nos i opadła na fotel.

Michael zapomniał, że rzucił palenie, i sięgnął po papierosa.

- Musimy podjąć parę decyzji - oświadczył. Pandora rzuciła mu przeciągłe spojrzenie.

- Ja już zdecydowałam - oświadczyła. - Nie chcę jego pieniędzy. Po podziale i opłaceniu podatku przypadnie po pięćdziesiąt milionów. Pięćdziesiąt milionów - powtórzyła, wznosząc oczy ku niebu. - To absurd.

- Jolley też tak uważał - przyznał Michael.

- On je miał tylko po to, żeby się nimi bawić. Kłopot w tym, że ilekroć się bawił, pomnażał je. - Nie mogąc usiedzieć na miejscu, wstała i podeszła do okna. - Michael, zginę pod taką górą pieniędzy.

- Gotówka nie jest aż tak ciężka, jak sądzisz. Pandora odwróciła się i usiadła na parapecie.

- Nie masz nic przeciwko pięćdziesięciu milionom, jak mniemam - zauważyła z lekkim przekąsem.

- Cóż, mój stosunek do pieniędzy nie jest tak pogardliwy jak twój, Pandoro. Może dlatego, że kiedy dorastałem, były dla mnie mirażem, a nie rzeczywistością.

Wzruszyła ramionami. Doskonale wiedziała, że jego rodzice zawsze żyli głównie dzięki kredytom i znajomościom.

- Zabierz więc wszystkie - powiedziała.

Michael wziął błękitne jajko ze szkła i zaczął je przerzucać z ręki do ręki. Było chłodne, gładkie i warte kilka tysięcy.

- Jolley by tego nie chciał - zauważył.

- Chciał, żebyśmy się pobrali i żyli długo i szczęśliwie. Chętnie bym go zadowolili, ale... nie stać mnie na takie poświęcenie - dokończyła po chwili. - Nawiasem mówiąc, czy nie jesteś zaręczony z jakąś tancerką o blond włosach?

- Jak na kogoś, kto ze wstrętem odwraca się od telewizora, zdumiewająco dobrze orientujesz się w plotkach.

- Uwielbiam plotki - oświadczyła z takim przekonaniem, że aż się roześmiała.

- Dobrze, Pandoro, zawrzyjmy rozejm. Nie jestem z nikim zaręczony, ale to i tak nie ma znaczenia, ponieważ zawarcie przez nas małżeństwa nie jest warunkiem realizacji woli wuja. Wszystko, czego od nas żąda, to żebyśmy przez sześć miesięcy żyli pod jednym dachem.

Patrząc na Michaela, odczuła coś w rodzaju rozczarowania. Może nie przepadali za sobą, ale ceniła w nim to, że był przywiązany do wuja Jolleya.

- A więc rzeczywiście zamierzasz wziąć te pieniądze? - spytała.

Michael gwałtownie ruszył w jej kierunku, ale natychmiast się opanował. Pandora nawet nie drgnęła.

- Myśl sobie, co chcesz - powiedział obojętnie, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

- Ty nie chcesz pieniędzy, twoja sprawa. Czy zamierzasz przypatrywać się spokojnie, jak dom przechodzi w ręce tego całego klanu rodzinnego i paru nawiedzonych naukowców badających storczyki? Jolley kochał to miejsce i wszystko, co się tutaj znajduje. Odniosłem wrażenie, że ty też.

- Owszem. - Spadkobiercy sprzedadzą dom, pomyślała i przyznała w duchu rację Michaelowi. W bibliotece nie ma ani jednej osoby, która nie chciałaby spieniężyć domu. Wtedy byłby już dla niej stracony. Wszystkie te pretensjonalne pokoje, absurdalne bramy. Jolley odszedł, zostawił dom niczym marchewkę, ale kij wciąż trzymał.

- On nadal próbuje sterować naszym życiem - zauważyła. Michael uniósł brwi.

- Dziwi cię to? - spytał.

- Nie - roześmiała się.

Obeszła wolno pokój. Michael obserwował ją z niejakim podziwem. Na ekranie wyglądałaby imponująco. Zawsze był tego zdania. Ta karnacja, włosy, postawa. Wyniosłość. Parę kilogramów, które dodałaby kamera, nie zepsułyby tego zbyt kanciastego, trochę tyczkowatego ciała. Płomiennie czerwone włosy wydawałyby się na ekranie nieco bardziej stonowane niż w rzeczywistości. Zawsze się zastanawiał, dlaczego Pandora nie złagodziła trochę ich koloru.

Tak jak Pandorze, jemu też nie zależało na pieniądzach, ale nie dopuści do tego, by rodzina zgraja szakali rzuciła się i rozdrapała to, co zostawił Jolley i co było mu tak drogie. Jeśli dojdzie do starcia z Pandorą, trudno, dla dobra sprawy jest gotów i na to. Nawet sprawi mu to pewną satysfakcję.

Miliony przerażały Pandorę. Była przekonana, że tak dużo pieniędzy może ją co najwyżej przyprawić o ból głowy. Te wszystkie obligacje, akcje, lokaty, fundusze. No i podatki. Wolą życie prostsze i skromniejsze. Choć oczywiście nikt nie uznałby jej mieszkania na Manhattanie za mało reprezentacyjne lokum.

Nigdy nie musiała się martwić o pieniądze i to jej odpowiadało. Poniżej albo powyżej pewnego poziomu były już tylko kłopoty.

Niewątpliwie spadek pomógłby jej w życiu zawodowym. Mogłaby sobie pozwolić na swobodę artystyczną, której tak bardzo pragnęła, i kontynuować styl życia, który trochę nadwierał konto bankowe. Jej prace spotykały się z uznaniem krytyków, ale niewiele z tego wynikało. Poza Manhattanem uważano je za zbyt niekonwencjonalne. Musiała tworzyć wzory

bardziej popularne, aby utrzymać się na powierzchni. A już pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy pozwoliłoby jej...

Wściekła na siebie, przerwała te rozważania. Upodabnam się do Michaela, uznała Prędeż umrę. On się sprzedał, swój talent, jaki by on był, rozmienił na drobne, a teraz z obecnych okoliczności postara się wyciągnąć korzyści finansowe. Jej myśli pobiegą innym torem. Przede wszystkim weźmie pod uwagę Jolleya.

Wyglądało na to, że czeka ją masa problemów. Musi dobrze zastanowić się nad poszczególnymi ruchami, tak jak to robiła, rozgrywając z wujem Jolleyem partię szachów.

Nigdy jeszcze nie mieszkała z mężczyzną i zrobiła to z całym rozmysłem. Żyła swoim rytmem. Nie chodziło nawet o to, że nie chciała dzielić rzeczy, potrzebowała dla siebie własnej przestrzeni. Jeśli teraz przystanie na warunek wuja, będzie to jej pierwsze ustępstwo od dotychczasowego stylu życia.

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Michael jest na tyle atrakcyjny, że byłby niepokojący, gdyby nie był tak irytujący. Irytujący i łatwo wpadający w irytację, przypomniawszy sobie z rozbawieniem. Wiedziała, który guzik nacisnąć. Czyż nie szczyła się tym, że umie nad nim panować? Nie zawsze było to łatwe, był zbyt ostry. Ich kłótnie stawały się przez to bardziej interesujące. Zresztą nigdy nie przebywali razem dłużej niż tydzień.

Był jednak pewien argument niepodlegający dyskusji. Kochała wuja. Czy będzie mogła spokojnie żyć, jeśli sprzeciwi się jego ostatniej woli? A może jego ostatniemu żartowi?

Sześć miesięcy. Zastanawiała się nad tym, patrząc na Michaela. Sześć miesięcy to bardzo długo, szczególnie jeśli nie sprawia ci przyjemności to, co robisz. Jest tylko jeden sposób, by przyspieszyć czas. Postara się potraktować tę sytuację jak dobrą zabawę.

- Powiedz mi, kuzynie - zwróciła się do Michaela - czy zdołamy przez sześć miesięcy mieszkać pod jednym dachem, nie kłócąc się i awanturując?

- Nie zdołamy - odparł.

Powiedział to tak spontanicznie, że aż się roześmiała.

- Myślę, że w przeciwnym razie okropnie by mi się nudziło - rzuciła. - Za trzy dni mogę się wprowadzić. Góra za cztery - dodała.

- W porządku - odetchnął z ulgą. Sam nie wiedział, dlaczego w takim napięciu czekał, czy Pandora się zgodzi, ale nie chciał się teraz nad tym zastanawiać. - Załatwione. - Podał jej rękę.

- Załatwione - powtórzyła, zdziwiona, że jego dłoń miała zgrubiałą skórę. Spodziewała się raczej, że będzie miękka i wydelikaccona. Kto wie, jakie jeszcze niespodzianki czekają ją w ciągu nadchodzących sześciu miesięcy.

- Powiemy im? - spytała.

- Chyba nas zamordują.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Staraj się zachować spokój.

Gdy wyszli z saloniku, zastali w holu kilka osób z rodziny. Robili to, co udawało im się najlepiej, gdy się spotkali. Zażarcie się kłócili.

- Roztrwonisz pieniądze na sztangi i sok marchwiowy - mówił Biff do Hanka. - Ja przynajmniej wiem, co robić z pieniędzmi.

- Stracisz na konie - wtrącił Monroe, wypuszczając dym z cygara. - Chybione inwestycje, odroczone podatki.

- A ty mógłbyś je przeznaczyć na kurs mówienia pełnymi zdaniami - włączył się Carlson. - Jestem jedynym żyjącym synem staruszka. To ja powinienem dowieść, że nie był przy zdrowych zmysłach.

- Był bardziej przytomny niż wy wszyscy razem wzięci - włączyła się Pandora, mocno zdegustowana uwagami rodziny. - Dał każdemu z was dokładnie to, co chciał, żebyście mieli.

- Wygląda na to, że nasza Pandora zmieniła zdanie co do pieniędzy - parsknął Biff. - Cóż, dążyłaś do tego, prawda kochanie?

Michael położył dłoń na ramieniu Pandory i lekko je ścisnął.

- Może byś się wstrzymał ze swoimi insynuacjami, kuzynie.

- Wydaje się, że pisanie dla telewizji wyrobiło w tobie upodobanie do przemocy. - Biff pociągnął cygaro i uśmiechnął się. - Cóż, nie będę się wdawać w awantury - zdecydował.

- Tak będzie najlepiej - uznała żona Hanka i wyciągnęła rękę. Uścisnęła dłoń Pandory i Michaela. - Powinniście się trochę pogimnastykować, wzmocnić się. Chodźmy, Hank - rzuciła w stronę męża.

W milczeniu, napinając mięśnie pod marynarką, Hank wyszedł za żoną.

- Chodzące mięśnie - podsumował Carlson. - Idziemy, Mono - zwrócił się do żony.

- Miłej jazdy do domu, wuju Carlsonie. - Pandora posłała mu najśłodszy uśmiech, na jaki było ją stać.

Patience zamachała nerwowo rękami.

- Key West, na litość boską, Key West. Nigdy nie byłam na południe od Palm Beach.

- Och, Michael. - Ginger zatrzepotała rzęsami i położyła mu dłoń na ramieniu. - Kiedy będę mogła dostać swoje lustro?

Popatrzył na jej doskonale śliczną, trójkątną buzię. Oczy miała tak błękitne jak południowe morze. Podziękował Bogu, że wuj Jolley nie poprosił, by spędził pod jednym dachem sześć miesięcy z kuzynką Ginger.

- Jestem pewien, że pan Fitzhugh prześle ci je najszybciej, jak to będzie możliwe - zapewnił.

- Chodź, Ginger, podrzucimy cię na lotnisko. - Biff wziął ją pod rękę i posłał uśmiech Pandorze. - Martwiłbym się, gdybym cię lepiej nie znał - powiedział. - Nie wytrzymasz sześciu dni z Michaelem, a co tu mówić o sześciu miesiącach. Piekielny charakter - szepnął porozumiewawczo do Michaela. - Zamordujecie się, zanim minie tydzień.

- Nie wydawaj jeszcze pieniędzy staruszka - ostrzegł Michael. - Wytrzymamy te sześć miesięcy choćby po to, żeby ci zrobić na złość.

- Zobaczmy, kto wygra tę grę - odparował Biff, kierując się do drzwi. Żona wyszła za nim bez słowa. Od kiedy przyjechali, nie odezwała się ani razu.

- Biff, co zrobisz z tymi wszystkimi zapalkami? - spytała Ginger, gdy wychodzili.

Pandora odprowadziła ich wzrokiem.

- No cóż, Michael - zwróciła się do kuzyna - trudno powiedzieć, żeśmy się przedtem wszyscy kochali, ale teraz to już na pewno nie darzymy się sympatią.

- Martwi cię, że się im naraziłaś?

Wzruszyła ramionami i popatrzyła na niego z namysłem.

- Nie przyszło mi do głowy, by się martwić, że narażam się tobie, to czemu miałabym się martwić, iż im się narażam?

- Jolley zawsze mówił, że jesteśmy zbyt do siebie podobni - stwierdził.

- Naprawdę? - Uniosła brwi. - I znów się z nim nie zgadzam. Ty i ja, Michaelu Donahue, nie mamy ze sobą prawie nic wspólnego.

- Przez sześć miesięcy będziemy mieli okazję się przekonać, czy masz rację. - Podszedł do Pandory i odruchowo ujął ją za brodę. - Wiesz, kochanie, myślę, że z Biffem byś wytrzymała.

- Dałabym pierwszeństwo roślinom.

- Pochlebiasz mi - zachichotał.

- Bynajmniej. - Stała nieporuszona. To ciekawe uczucie stać tak blisko i nie warczeć na siebie. - Jedyne różnica między tobą a Biffem polega na tym, że ty mnie nie nudzisz.

- Wystarczy - uśmiechnął się. - Łatwo mi pochlebić. - Przesunął palec wzdłuż jej policzka. Była błada, ale patrzyła mu zdecydowanie prosto w oczy. - Masz rację, Pandoro, nie będziemy się razem nudzić. W ciągu sześciu miesięcy na pewno niejedno się wydarzy, ale nudno nie będzie.

To będzie interesujące doświadczenie, pomyślała, ale nie całkiem bezpieczne. Musi pamiętać o tym, że nie uważa jej za pociągającą, ale gdyby mu pozwoliła, na pewno udawałby, że jest inaczej, choćby dla podbudowania męskiej ambicji.

- Nikomu nie zwykłam schlebiać - powiedziała. - Nie wiem, czym ty się kierujesz, ale ja biorę udział w tej farsie tylko przez wzgląd na wuja Jolleya. Sądzę, że bez trudu zainstaluję tu mój sprzęt do pracy.

- A ja będę tu mógł z powodzeniem pisać.

- Jeśli to, co robisz, można nazwać pisaniem - zauważyła z przekąsem.

- To samo mógłbym powiedzieć o twoich błyskotkach, które nazywasz sztuką.

Policzki Pandory zaróżowiły się, co sprawiło mu wyraźną przyjemność.

- O przepraszam, moja biżuteria wyraża uczucia - obruszyła się.

- Tak? Ile w tych dniach kosztuje namiętność?

- Myślę, że to raczej ty powinieneś być zorientowany w cenach. - Kichnęła i wytarła nos. - Większość kobiet, z którymi się umawiasz, wysoko się ceni.

- Myślałem, że rozmawiamy o pracy - zauważył z lekkim rozbawieniem.

- Mój zawód jest uświęcony tradycją, podczas gdy twój... twój to zwykła komercja. A ponadto...

- Bardzo państwa przepraszam...

W drzwiach biblioteki stanął Fitzhugh. Nie pragnął niczego więcej, jak odpocząć od klanu McVie i wypić spokojnie drinka.

- Czy mogę uznać, że zaakceptowaliście warunki testamentu? - spytał.

Sześć miesięcy. To będzie bardzo długa zima, pomyślała Pandora.

Sześć miesięcy. Byle do wiosny, pomyślał Michael.

- Może pan zacząć liczyć dni od końca tego tygodnia - powiedział do prawnika. - Zgadzasz się, kuzynko?

- Zgadzam się - odparła, unosząc butnie brodę.

ROZDZIAŁ 2

Jazda od Manhattanu wzdłuż rzeki Hudson w kierunku Catskills była bardzo przyjemna. Pandora lubiła tę drogę. Miała czas, by się odprężyć i uporządkować myśli. Teraz jednak nie była zrelaksowana. Trudno jej było zaakceptować sytuację, w jakiej się znalazła. Przyzwyczajona zawsze robić to, na co sama ma ochotę, nagle musiała nagiąć się do czyjejś woli. Wuj Jolley zrobił jej nie lada kawał i postawił ją w trudnym położeniu.

Przewidział, że nie sprzeciwi się warunkom testamentu. I to nie ze względu na pieniądze. Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że jej nie skuszają. Słusznie liczył na to, że zrobi to ze względu na dom, na potrzebę kontynuowania tradycji rodzinnej. I tego właśnie od niej oczekiwał.

Musi opuścić Manhattan na sześć miesięcy. Oczywiście, że będzie wpadać do miasta od czasu do czasu na parę godzin, ale to jednak nie to samo, co w nim mieszkać. Lubiała miasto i jego atmosferę, odczuwała potrzebę przebywania w samym centrum wydarzeń, stymulował ją ruch, który ją zewsząd otaczał. Natomiast w długie weekendy wolała ciszę Jolley's Folley.

Tak została wychowana. Potrafiła cieszyć się i korzystać, ile się da, z otoczenia, w którym przebywa. Jej rodzice prowadzili cygański tryb życia. Tyle że zamiast wozami podróżowali wagonami pierwszej klasy. Było ich na to stać. I zamiast ogniska w obozie, mieli kominek w salonie.

Zanim skończyła piętnaście lat, objechała ponad trzydzieści krajów. Jadła sushi w Tokio, włóczyła się po wrzosowiskach Kornwalii, targowała się z handlarzami na tureckich bazarach. Jeździli z nimi nauczyciele prywatni, a więc, jak obliczyła, zanim poszła do college'u, zaledwie dwa lata uczęszczała do szkoły.

Egzotyczne dzieciństwo w ciągłych podróżach pozwoliło jej poznać różnych ludzi, rozmaite style życia, różne zwyczaje kulinarne. I co dziwne, to zetknięcie z różnymi kulturami sprawiło, że zapragnęła mieć dom i przynależność do konkretnego miejsca.

Choć jej rodzice lubili podróżować i wszystko, co widzieli, utrwalali na papierze i na taśmie filmowej, Pandorze brakowało stałego punktu odniesienia. Gdzie był dom? W tym roku w Meksyku, w następnym w Atenach. Jej rodzice byli znani dzięki swoim książkom i artykułom, ale Pandora pragnęła mieć korzenie. I stwierdziła, że musi je sobie znaleźć sama.

Wybrała Nowy Jork i wuja Jolleya.

A teraz, ponieważ stałym punktem odniesienia stał się wuj i jego dom, zgodziła się spędzić sześć miesięcy pod jednym dachem z irytującym mężczyzną, aby móc odziedziczyć majątek, którego ani nie chciała, ani nie potrzebowała. Życie, co stwierdziła już dawno, niestety, przebiega w sposób skomplikowany.

Ostatni żart Jolleya McVie, pomyślała, skręcając na podjazd do Folley. Cóż, mógł ich zmusić, żeby czasowo razem zamieszkali, ale nie zdoła sprawić, by się polubili.

Czułaby się lepiej, gdyby miała pewność co do intencji Michaela. Czy perspektywa przejścia milionów, czy uczucie do starego człowieka skłoniło go do zaakceptowania warunków testamentu? Wiedziała, że ostatni serial Michaela, *Ucieczka Logana*, od czterech lat cieszył się niezmiennym powodzeniem i że poza nim robił również inne programy telewizyjne. Jednak pieniądze same w sobie stanowiły pokusę. Bądź co bądź, wuj Carlson miał więcej, niż mógłby kiedykolwiek wydać, a jednak był gotów podjąć kroki, by podważyć testament.

Nie przejmowała się tym. Wuj Jolley postąpił tak, jak uważał za stosowne. Fitzhugh nadał jego woli obowiązujący kształt prawny. Jeśli cokolwiek ją martwiło, to obcowanie na co dzień z Michałem Donahue.

W związku z sytuacją, w jakiej się znalazła, dużo o nim myślała w ciągu ostatnich kilku dni. Nie była pewna, czy będzie jej sojusznikiem, czy wrogiem. Tak czy inaczej musi z nim mieszkać. W każdym razie w jego pobliżu.

Kiedy przybyła na miejsce, była zmęczona jazdą i przedłużającym się przeziębieniem. Mimo że wysłała bagaże dzień wcześniej, w samochodzie miała jeszcze dwie walizki. Otworzyła bagażnik, wyjęła jedną z nich i popatrzyła przed siebie na Jolley's Folley.

Wuj zbudował ten dom, gdy miał około czterdziestki, a więc dom liczył już sobie ponad pół wieku. Ciągnął się w różnych kierunkach, jakby wuj nie mógł się zdecydować, gdzie go zacząć i gdzie skończyć. Prawda wyglądała tak, że nigdy nie chciał go skończyć. Zawsze bardziej interesował go sam projekt, proces tworzenia niż ukończenie dzieła.

Bez skrzydeł bocznych dom sprawiałby raczej wrażenie statecznego dworu z późnych lat dziewiętnastego stulecia. Ze skrzydłami wyglądał jak płatanina ścian, narożników i wieżyczek. Nie było w tym żadnej symetrii, a Pandorze zawsze wydawał się tak mocny jak skała, na której był zbudowany.

Niektóre okna były długie i wąskie, inne szerokie, jedne z ołowianymi ramkami, inne z drewnianymi ramami. Jolley wciąż zmieniał plany, co i rusz wpadał na nowy pomysł.

Kamień pochodził z jednego z jego kamieniołomów, drewno z jednego z jego tartaków. Kiedy postanowił, że zbuduje dom, założył własną firmę budowlaną. Wkrótce McVie Construction stało się jednym z pięciu największych przedsiębiorstw w kraju.

Nagle Pandora uświadomiła sobie, że będzie właścicielką połowy udziałów Jolleya w przedsiębiorstwie, i to nie tylko w tym jednym. Wejdzie w posiadanie walcowni, fabryki silników, wytwórni oliwek dla dzieci i słodczy. W co, na Boga, się wdała?

Michael obserwował ją z okna na piętrze. Włożyła obszerny luźny żakiet w trzech żywych kolorach, niebieskim, żółtym i różowym. Tym razem nie miała czerwonych od płaczu oczu i nie była blada, ale wyglądała na ponurą i zrezygnowaną. Tym lepiej. W czasie pogrzebu wuja korciło go, by ją pocieszyć, dodać jej otuchy, ale powstrzymała go świadomość, że okazywanie zbyt dużej sympatii takiej kobiecie jak Pandora może okazać się fatalne w skutkach.

Znał ją od czasów, kiedy oboje byli dziećmi, i już wtedy zdecydował, że jest nieznośna i rozpuszczona. Chociaż, kiedy towarzyszyła rodzicom w ich wyprawach reporterskich, przez całe miesiące jej nie widywał, to jednak spotykali się na tyle często, by poczuć do siebie wzajemną antypatię. Michael ją tolerował, ponieważ wiedział, że była przywiązana do wuja Jolleya, który ją bardzo lubił. Musiał też przyznać, że była bardziej ludzka i uczuciowa niż jego krewni.

Był taki moment, przypomniał sobie, kiedy mu się podobała jako dziewczyna. Był nią zauroczony, jak to często bywa u nastolatków. Zawsze miała intrygującą twarz. W jednej chwili mogła być nijaka, w następnej wręcz fascynująca. Ale nic między nimi nie zaszło. A teraz wołał inne kobiety, delikatniejsze, bardziej wyrafinowane, wypielęgnowane, kobiece i... z mniejszymi zębami.

Niezależnie od tego, co wołał, przerwał urządzanie gabinetu, by zejść na dół.

- Charles, czy nadeszły już moje bagaże? - Pandora ściągnęła skórzane rękawiczki samochodowe i rzuciła je na stolik w holu. Charles, dawny lokaj, pracował u wuja, jeszcze zanim ona przyszła na świat.

- Nadeszły dziś rano, panienko. - Wzięłyby jej walizkę, gdyby nie odprawiła go ruchem ręki.

- Nie, daj spokój. Dokąd je zanieśli? - spytała.

- Do pawilonu na wschodnim dziedzińcu, tak jak panienska kazała.

Uśmiechnęła się i pocałowała go lekko w policzek. Starszy pan był najwyraźniej uszczęśliwiony. Jego kwadratowa twarz buldoga zaczerwieniła się lekko.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć - zapewniła. - Nie miałam jeszcze okazji ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że ty i Sweeney zostaliście. Ten dom nie byłby już taki jak dawniej bez twojej popołudniowej herbaty i bez ciasta Sweeney.

Charles wyprężył się dumnie.

- Nie moglibyśmy odejść, panienko. Nasz pan chciałby, żebyśmy zostali.

Ale umożliwił wam odejście, pomyślała Pandora, zostawiając po trzy tysiące dolarów za każdy rok służby. Charles był u Jolleya, od kiedy zbudowano dom, a Sweeney przyszła dziesięć lat później. Spadek, jaki otrzymali, wystarczyłby im aż nadto na spokojne życie na emeryturze. Pandora uśmiechnęła się. Jak widać, niektóre osoby nie są stworzone do emerytury.

- Charles, marzę o herbacie - zaczęła, wiedząc, że jeśli go coś nie zajmie, będzie się upierał, by wnieść na górę jej walizki.

- Podać w salonie, panienko? - spytał.

- Świetnie. A jeśli Sweeney ma trochę tych swoich małych ciasteczek...

- Piekła je przez całe rano. - Charles skierował się do kuchni.

Pandora pomyślała o słodkim lukrze, pokrywającym ciasteczka.

- Ciekawe, ile można przytyć w ciągu sześciu miesięcy - zastanowiła się głośno.

- Ciasteczka Sweeney na pewno ci nie zaszkodzą - odezwał się Michael. - Mężczyźni na ogół wolą trochę ciała niż same kości.

Uniosła głowę. Michael stał u szczytu schodów.

- Nie interesuje mnie, co wolą mężczyźni.

- Byłbym ostatnim, który by z tym polemizował - odparował.

Wygląda na zadowolonego z siebie, ma dobre samopoczucie, pomyślała z irytacją. A na dodatek jest przystojny. Przechylił się przez poręcz schodów i patrzył na nią z góry tak, jakby to on był tu panem. Musi jak najprędzej położyć kres tej sytuacji. Wola wuja Jolleya nie pozostawia cienia wątpliwości. Równy podział wszystkiego.

- Skoro już tu jesteś, to możesz mi pomóc - powiedziała, wskazując na bagaże.

Nie drgnął nawet.

- Zawsze mi się wydawało, że jedyną kwestią, w jakiej się zgadzamy, jest feminizm - zauważył z przekąsem.

- Niezależnie od poglądów społecznych i politycznych, jeśli mi nie pomożesz, zanim wróci Charles, on to zrobi. Jest na to za stary, a zbyt dumny, by przyznać, że nie może.

- Odwróciła się i nie była zaskoczona, gdy usłyszała za sobą kroki.

Oddechnęła głęboko świeżym jesiennym powietrzem. Tak czy inaczej dzień był piękny.

- Przyjechałeś rano? - spytała.

- W nocy.

Pandora wyprostowała się nad bagażnikiem.

- Tak ci było pilno, żeby się tu znaleźć?

Gdyby nie to, że chciał zacząć ten wspólny pobyt pokojowo, podjąłby wyzwanie.

- Chciałem już dzisiaj urządzać gabinet. Właśnie kończyłem, kiedy przyjechałaś.

- Praca, praca i jeszcze raz praca - westchnęła przeciągle.

- Musisz tyrać jak wół, żeby spłodzić godzinę scen z polowania na przestępców.

Pokojowa atmosfera nie była wszystkim, co się liczyło. Kiedy sięgnęła po walizkę, chwycił ją za nadgarstek. Później pomyśli, jaki jest delikatny, szczupły. Teraz myślał tylko o tym, jak bardzo by chciał, żeby była mężczyzną. Wtedy mógłby jej pokazać.

- Moja praca i jej rezultaty nie powinny cię obchodzić. Pandora uzmysłowiła sobie ze zdumieniem, jaką radość sprawia jej jego zdenerwowanie. Wszyscy ich krewni byli tacy uprzejmi, opanowani. Michael zawsze stanowił ich przeciwieństwo, co czyniło go bardziej interesującym.

- A sprawiłam wrażenie, że mnie obchodzi? - spytała z miną niewiniątka. - Zapewniam cię, że nic a nic nie mogłoby być dalsze od prawdy. Może damy temu spokój i napijemy się herbaty? Robi się chłodno.

Zawsze z podziwem patrzył, jak w jednej chwili potrafi przeistoczyć się w damę. Jako autor scenariuszy doceniał jej wrodzony talent. Umiał też obrócić całą sytuację na swoją korzyść.

- Świetny pomysł - przyznał, biorąc jedną walizkę. - Omówimy parę wytycznych.

- Naprawdę? - Pandora wyjęła drugą walizkę i zamknęła bagażnik. Nie mówiąc nic więcej, poszła do domu i przytrzymała mu drzwi. Walizkę zostawiła w holu. Wiedząc, jak bardzo Michael lubi Charlesa, nie miała wątpliwości, że zanieśie ją na górę.

Pokój, w którym zawsze mieszkała, przebywając u wuja, znajdował się na drugim piętrze we wschodnim skrzydle. Sama go urządziła. Utrzymany był w bieli z nielicznymi kolorowymi akcentami. Błękitne poduszki, długie malowidło olejne w kolorach zachodzącego słońca, wysoki szkarłatny dzban wypełniony strusimi piórami.

Położyła torbę na łóżku, zakiet rzuciła na krzesło. Z zadowoleniem stwierdziła, że na małym kominku z marmuru płonie ogień.

- Mam nadzieję, że herbata już czeka - rzekła, gdy Michael wniósł walizki.

Popatrzył na nią przeciągle. Miała na sobie kaszmirowy sweter wciśnięty w spodnie. Przypomnił sobie, co go w niej pociągało, gdy byli nastolatkami, i po raz drugi uznał, że wolałby, żeby była mężczyzną.

W milczeniu zeszli na dół. W salonie urządzonego przez wujka z bliskowschodnim przepychem Charles właśnie ustawiał filiżanki do herbaty.

- O, zapaliłeś w kominku. Jak miło - ucieszyła się Pandora i wyciągnęła ręce do ognia. Potrzebowała chwili, by dojść do siebie. Gdy byli w pokoju na górze, zauważyła, że Michael obrzuca ją szczególnym spojrzeniem, pod wpływem którego zrobiło się jej gorąco. Zaskoczyło ją to i wyprowadziło z równowagi. - Ja należę, Charles. Myślę, że do kolacji nie będziemy już niczego potrzebować - dodała.

Rozejrzała się uważnie po salonie, z przyjemnością stwierdzając, że kwieciste zasłony, pokryte brokatem sofy z licznymi poduchami oraz zabytkowe wazy są na swoich miejscach.

- Wiesz, to zawsze był jeden z moich ulubionych pokoi - zwróciła się do Michaela i podeszła do stolika, by nalać herbaty. - Miałam zaledwie dwanaście lat, kiedy znalazłam się w Turcji, a ten pokój zawsze mi ją przypominał. Nawet zapach jest tu podobny jak na bazarach. Cukru? - spytała.

- Nie, dziękuję. - Wziął od niej filiżankę, nałożył sobie na talerzyk ciasteczka i usiadł. On wolał mały salonik utrzymany w angielskim stylu rustykalnym, znajdujący się koło wejścia. To początek, pomyślał. Sześć miesięcy, licząc od dzisiejszego dnia, we dwoje, w towarzystwie starego lokaja i kucharki jako świadków. Oboje zdecydowali się spełnić warunki, jakimi został obwarowany testament. Problem w tym, jak w praktyce zorganizować wspólne funkcjonowanie pod jednym dachem.

- Zasada numer jeden. - Michael od razu przeszedł do konkretów. - Oboje zamieszkamy w skrzydle wschodnim, bo tak będzie łatwiej dla Charlesa i Sweeney. Ale... - zawiesił głos, by następne słowa wywarły większy efekt - będziemy przez cały czas szanować swoją prywatność i respektować terytorium drugiej osoby.

- Ależ oczywiście. - Pandora pociągnęła łyk herbaty.

- Znowu przez wzgląd na służbę, wydaje się wskazane, żebyśmy jedli o tej samej porze. I w imię naszego przetrwania powinniśmy w rozmowie unikać tematów związanych z naszą pracą.

Pandora uśmiechnęła się i Skubnęła ciasteczko.

- O, tak, pozostanmy przy tematach osobistych.

- Słyszę ton uszczypliwości w twoim głosie - zauważył.

- Skąd, cieszę się, że mamy taki udany start. A teraz zasada numer dwa. Żadne z nas, choćby nie wiem jak się nudziło, nie będzie przeszkadzać drugiemu w pracy. Ja zazwyczaj pracuję między dziesiątą a pierwszą, a po obiedzie między trzecią a szóstą.

- Zasada numer trzy - włączył się Michael. - Jeśli jedno z nas będzie miało gości, drugie się wyniesie.

Pandora uśmiechnęła się z lekka ironicznie.

- Och, a ja tak bardzo chciałam poznać twoją tancerkę. Zasada numer cztery. Pierwsze piętro jest terenem neutralnym. Użytkujemy je wspólnie, chyba że wyniknie jakaś nadzwyczajna sytuacja, ale wtedy musimy to wcześniej uzgodnić. - Stukała palcem w poręcz krzesła. - Jeśli oboje będziemy postępować fair, nie powinno być problemów.

- Nie sprawia mi kłopotów zachowywanie się fair. O ile sobie przypominam, ty lubisz oszukiwać.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała Pandora lodowatym tonem.

- O kanaście, pokerze, brydżu - wyjaśnił.

- Nonsens, nie masz żadnych dowodów. - Nalała sobie drugą filiżankę herbaty. - Zresztą karty to coś całkiem innego. - Uśmiechnęła się do niego słodko. Rozgrzana ogniem z kominka i gorącą herbatą, od razu poczuła się lepiej. Michael uświadomił sobie, że tak szczególny uśmiech nie zwiastuje niczego dobrego. - Wciąż jeszcze masz do mnie żal o te pięćset dolarów, które wygrałam?

- Nie miałbym, gdybyś je wygrała uczciwie - przyznał.

- Wygrałam je - trwała przy swoim. - I tylko to się liczy. Jeśli oszukiwałam, a ty się nie zorientowałeś, to znaczy, że oszukiwałam na tyle dobrze, że można to uznać za dopuszczalne.

- Zawsze posługiwałaś się pokrętną logiką. - Wstał i podszedł bliżej. Musiała przyznać, że podoba jej się sposób, w jaki się porusza. Lekko nonszalancki, ale zarazem zdecydowany. - Jeśli jeszcze raz będziemy grać, niezależnie od tego w co, już mnie nie oszukasz.

- Michael, zbyt długo się znamy, żebyś mógł mnie zastraszyć - uśmiechnęła się. Podniosła rękę, by delikatnie klepnąć go w policzek ale zdążył chwycić ją za nadgarstek. Po raz drugi poczuła na sobie to szczególne, niebezpieczne spojrzenie.

Teraz nie mieli między sobą bufora w osobie wuja Jolleya.

Oboje uświadomili to sobie z całą wyrazistością. To, co sprawiało, że warczeli na siebie i skakali sobie do gardeł, będzie mogło się ujawnić przez najbliższe pół roku.

Przypuszczalnie oboje nie chcieli, by tak się stało, ale byli zbyt uparci, by się wycofać.

- Może dopiero zaczynamy się poznawać - zauważył Michael.

Wiedziała, że to prawda, ale nie była z tego zadowolona. On nie był nadętym durniem jak Biff czy nieszkodliwym osiłkiem w rodzaju Hanka. Może i był krewnym tylko poprzez małżeństwo ciotki, ale oboje mieli gorącą krew i to ich łączyło. Była w nim pasja. Można to było poznać po jego spojrzeniu, sposobie poruszania się, po postawie. Jak gdyby cały czas był nastawiony na odparowanie ciosów. Pandora od razu to wyczuła, bo i w niej była gwałtowność i pasja. Może dlatego miała nieodpartą potrzebę posyłania strzał w jego kierunku, by się przekonać, czy potrafi sprawić, by do niej wróciły.

Stali przez chwilę nieporuszeni, mierząc się wzrokiem, taksując wzajemnie. Najmądrzejsze, co każde z nich mogło zrobić, to ustąpić i cofnąć się o krok. Pandora uniosła butnie brodę. Michael zrobił to samo.

- Następnym razem staniemy na ringu, Michael - powiedziała. - Jestem trochę zmęczona po podróży. Pozwolisz, że pójdę do siebie.

- Zasada numer pięć - rzekł, nie puszczając jej ręki. - Jeśli któreś z nas zaatakuje, poniesie konsekwencje. - Puścił jej nadgarstek i sięgnął po filiżankę. - Do zobaczenia na kolacji, kuzynko.

Pandora obudziła się wczesnym rankiem, wypoczęta i pełna energii. Nie wiedziała, czy to wpływ górskiego powietrza, czy sześciu godzin głębokiego snu, ale aż się rwała do pracy. Śniadanie może zaczekać, orzekła. Wzięła prysznic, ubrała się i zeszła do ogrodu. Lubiła spędzać poranki w samotności i ciszy, kiedy przebywała sam na sam ze swoimi myślami.

Dom był pogrążony we śnie. Służba będzie jeszcze spać co najmniej godzinę lub dwie, a Michael, jak pamiętała, zwykł wstawać późno, około południa.

Kolacja poprzedniego dnia upłynęła im bez zakłóceń. Może byli dla siebie uprzejmi ze względu na obecność Charlesa i Sweeney, a może byli zbyt zmęczeni, żeby się sprzeczać. Trudno jej było zdecydować.

Jedli przy dużym stole pod światłem ozdobnego żyrandola i w chwilach, kiedy nie milczeli, rozmawiali o pogodzie i jedzeniu.

O dziewiątej każde poszło do siebie. Pandora chciała poczytać, Michael zamierzał pracować. W każdym razie tak twierdził.

Na dworze było chłodno. Podniosła kołnierz żakietu. Trawnik pokrywała cieniutka warstewka lodu. Lubiła takie chwile - samotność, światło poranka, niewiarygodny zapach gór i rzeki.

Kiedyś w Tybecie o mało nie nabawiła się odmrożeń, przebywając za długo na śniegu. Uważała, że okolice Catskills są nie mniej fascynujące. Zawsze najbardziej lubiła zimę, gdy brodziło się w śniegu, a z ust wydobywały się obłoczki pary.

Zima w górach była czymś zupełnie innym niż w mieście. Tam była czasem pracy, dyskusji, spotkań. W Nowym Jorku potrafiła godzinami spierać się o związki zawodowe, politykę, prawa człowieka, bo tak naprawdę kochała spory i debaty. Potrzebowała stymulacji, pragnęła wyzwania, które rozpały jej umysł.

Bywały jednak i takie okresy, kiedy nie oczekiwała od życia niczego więcej niż widoku wschodu słońca nad górami i wypicia rozgrzewającego drinka przy kominku. Zdarzało się też, choć rzadko się do tego przyznawała nawet przed sobą, że tęskniła za silnym męskim ramieniem, na którym mogłaby się wesprzeć. Została tak wychowana, by niezależność traktować jak obowiązek, a nie wybór. Jej rodzice stworzyli partnerski związek, oparty na zasadach równości. Pandora uważała to za coś wyjątkowego w świecie, w którym szale zbyt często przechylały się to na jedną, to na drugą stronę. W wieku osiemnastu lat zdecydowała, że interesuje ją tylko pełne partnerstwo. W wieku lat dwudziestu doszła do wniosku, że nie nadaje się do małżeństwa. Całą swoją pasję, energię i wyobraźnię włożyła w pracę.

Opląciło się. Odnosiła sukcesy, była znana, osiągnęła spełnienie twórcze. Wielu ludzi nie może o tym nawet marzyć.

Otworzyła drzwi do pawilonu. Był to duży kwadratowy budynek, wielkości mniej więcej stajni, z podłogą z desek i panelami na ścianach. Wuj Jolley nie uznawał bylejakości. Włączyła światło.

Skrzynie i paczki, które przyniesiono, stały pod jedną ścianą. Do drugiej przymocowano półki, na których wuj Jolley trzymał narzędzia ogrodnicze podczas krótkiego okresu zainteresowania ogrodem. Był tu też stalowy zlew i brodzik z prysznicem. Oświetlenie i wentylacja działały bez zarzutu.

Pandora uznała, że przekształcenie tego pomieszczenia w pracownię nie zajmie jej dużo czasu.

Trwało to trzy godziny.

Na półkach ustawiła pudełka z koralikami różnej wielkości, z kamieniami szlachetnymi i półszlachetnymi. W Nowym Jorku trzymała je w sejfie. Tutaj nie było takiej potrzeby. Ponadto miała skrzynie z narzędziami, butelki z chemikaliami, najprzeróżniejsze sznurki, sznureczki, łańcuszki i żyłki.

Wydała na te materiały cały spadek, jaki otrzymała po babce, i dużą część oszczędności zgromadzonych w czasie, kiedy dopiero praktykowała w zawodzie. Oplaciło się. Z całą pewnością się oplaciło.

W swoje wyroby wkładała całą duszę. Nie zdarzyło się jeszcze, by zrobiła dwa identyczne egzemplarze. To byłoby, jej zdaniem, rzemiosło, a nie twórczość artystyczna. Czasem jej biżuteria była prosta, klasyczna w formie i ta sprzedawała się dobrze, pozwalając jej na pewną swobodę twórczą. Innym znów razem wzory były śmiałe, ekstrawaganckie, wyszukane. Pandora nigdy nie kierowała się wymogami mody, ale wyłącznie własnymi upodobaniami. Bardzo rzadko zgadzała się zrobić coś pod dyktando klienta. Zdarzało się to tylko wtedy, gdy zainteresował ją zaproponowany wzór lub sam klient.

Odmówiła prezesowi dużej firmy, bo jego pomysł wydał jej się zbyt banalny, ale wykonała pierścionek na prośbę znajomego rodziców, bo jego projekt uznała za nowatorski.

Teraz przygotowywała naszyjnik, który zamówił mąż popularnej piosenkarki. Wiedziała, że to dla niej ogromna szansa, z zawodowego i artystycznego punktu widzenia. Jeśli naszyjnik się spodoba, będzie mogła pozwolić sobie na zrealizowanie swoich fantazji artystycznych.

Przez następne dwie godziny pracowała w złocie.

Od dwóch grzejników zainstalowanych w pawilonie biło gorąco. Pandorze i z wysiłku, i z wysokiej temperatury w pomieszczeniu pot spływał po plecach, ale nie zwracała na to uwagi. Za bardzo była zajęta pracą. Kiedy złoty drucik wyglądał już jak włos anielski, zaczęła mu delikatnie nadawać taki kształt, jaki sobie wymyśliła.

Naszyjnik będzie prosty i elegancki. Blasku dodadzą mu szmaragdy. To było jedyne wymaganie męża piosenkarki. Naszyjnik miał być wysadzany szmaragdami, bo piosenkarka nosiła imię Emerald*.

Właśnie rozprostowywała zdrętwiałe ramiona, gdy nagle drzwi do pawilonu się otworzyły i stanął w nich Michael.

- Co, u diabła, tutaj robisz? - obruszyła się.

- Spełniam rozkazy. - Włożył ręce do kieszeni marynarki. - Gorąco tu jak w piecu.

- Pracuję. - Otarła czoło fartuchem. Zirykowało ją, że przerwał jej pracę, a nie to, że zastał ją, gdy wyglądała jak hutnik. - Pamiętasz zasadę numer dwa?

- Powiedz to Sweeney. - Michael wszedł do środka. - Oświadczyła, że nie dość, że nie byłaś na śniadaniu, to jeszcze nie zjawiasz się na lunch. Tego już za wiele. Mam cię przyprowadzić. - Popatrzył z zaciekawieniem na tacę pełną kamieni.

- Jeszcze nie skończyłam.

Wziął jeden z szafirów i obejrzał go pod światło.

* Emerald (j. ang.) - szmaragd (przyp. tłum.).

- Musiałem ją powstrzymać - powiedział. - Chciała koniecznie przyjść sama. Jeśli nie pójdziesz ze mną, z całą pewnością tu się zjawi. A wiesz, że z trudem chodzi. Znow dokucza jej reumatyzm.

Pandora zaklęła pod nosem.

- Odłóż to - powiedziała i zdjęła fartuch.

- Niektóre wyglądają na prawdziwe - zauważył. Odłożył szafir, ale wziął brylant.

- Niektóre są prawdziwe - syknęła.

- Jak możesz tak je tu trzymać? To nie cukierki. Powinny być w zamknięciu.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Nie udawaj głupszej, niż jesteś. Ktoś może je ukraść.

- Ktoś? - uśmiechnęła się. - Nie ma tu wielu ktosiów. Myślę, że Charlesowi i Sweeney można ufać, ale może powinnam się niepokoić twoją obecnością.

Michael odłożył brylant na tackę.

- To nie moja sprawa, kuzynko, ale byłbym ostrożniejszy, mając pod ręką parę tysięcy, które jednym ruchem można włożyć do kieszeni.

W innych okolicznościach przyznałaby mu rację. Jednak znajdowali się nie na Manhattanie, lecz na odludziu. Jeśli materiał, z którego powstawała biżuteria, będzie trzymała pod kluczem, za każdym razem, kiedy zechce wziąć się do pracy, będzie musiała na nowo wszystko wyjmować i rozkładać.

- Oto jeszcze jedna różnica między tobą a mną, Michael - powiedziała. - Myślę, że bierze się to stąd, że piszesz o różnych brudnych sprawkach.

- Piszę również o naturze ludzkiej. - Wziął do ręki szkic naszyjnika. Narysowany był z precyzją, której nie powstydzilaby się ręka architekta, a jednocześnie z lekkością i fantazją godną grafika. - Skoro cię pochłania wyrabianie bransolet i błyskotek, to czemu sama ich nie nosisz?

- Przeszkadzałyby mi w czasie pracy. Skoro piszesz o naturze ludzkiej, to dlaczego co tydzień łapią jakichś przestępców?

- Bo piszę dla ludzi, a ludzie potrzebują bohaterów. Pandora już miała otworzyć usta, by zaproponować, gdy zdała sobie sprawę, że zgadza się z tym stwierdzeniem.

- Hm - powiedziała tylko, zgasiła światło i wraz z Michaeliem opuściła pawilon.

- Przynajmniej zamknij drzwi na klucz.

- Nie mam klucza.

- A więc musimy po niego pójść.

- Nie potrzebujemy.

- Ty tak. - Zatrzasnął ze złością drzwi. Pandora tylko wzruszyła ramionami.

- Michael, czy mówiłam już, że dzisiaj zrzędzisz bardziej niż zwykle?

Wyjął z kieszeni cukierka i włożył do ust.

- Rzuciłem palenie - oświadczył.

- Zauważyłam. Dawno?

- Dwa tygodnie temu. Szału dostaję - odparł. Roześmiała się i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Przeżyjesz, kochanie. Pierwszy miesiąc jest najgorszy.

- Skąd wiesz? - zdziwił się. - Przecież nigdy nie paliłaś.

- Pierwszy miesiąc zawsze jest najgorszy. We wszystkim. Musisz przez cały czas być zajęty. Po lunchu spróbujemy pobiegać.

- My? - znowu się zdziwił.

- A wieczorem możemy zagrać w kanastę. Prychnął tylko, ale odgarnął jej włosy z policzka.

- Przecież będziesz oszukiwać.

- Widzisz, już nie myślisz o paleniu. - Roześmiała się, zwracając ku niemu twarz. Wyglądał dość gburowato, ale nie ujmowało mu to atrakcyjności. Lalusiowata uroda zawsze ją nudziła. - Nie zaszkodzi, jeśli pozbędziesz się jednego ze swoich złych przyzwyczajzeń, Michael. Masz ich tak wiele.

- Lubię je - powiedział i popatrzył jej w oczy. Obdarzyła go miłym uśmiechem, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Zapominał wtedy, jak bardzo go irytowała. Nie pamiętał, że nie pociągają go kobiety z cyganerii, rudowłose i chude. - Kobieta o twoim wyglądzie ma zapewne kilka własnych - odgryzł się.

- Jestem zbyt zajęta, by pielęgnować złe nawyki.

- Złe nawyki wydostały się z puszek Pandory.

- Razem z wszelkimi możliwymi nieszczęściami. Myślę, że dlatego jestem ostrożna z otwieraniem puszek - zauważyła.

Michael przeciągnął palcem po jej policzku. Był to ten rodzaj gestu, który łatwo mógł wejść w nawyk. Miała rację, jego umysł był zajęty.

- Prędzej czy później będziesz musiała unieść wieko. Nie cofnęła się, choć czuła dziwne napięcie. Zresztą nigdy się przed niczym nie cofała.

- Lepiej, żeby niektóre rzeczy pozostawały w zamknięciu - stwierdziła.

Skinął głowę. Nie chciał dociekać, co ukrywała, skoro sama nie zamierzała tego ujawnić.

- Niektóre zamki nie są tak mocne jak powinny - zauważył tylko.

Stali blisko siebie, czuła ciepło promieni słońca na plecach i chłodny powiew wiatru na twarzy. Gdyby zbliżył się jeszcze o krok, zrobiłoby się jej gorąco. Nigdy w to nie wątpiła i zawsze tego unikała. On nie zawaha się przed niczym, ostrzegła się w duchu. Sięgnie bez wahania po wszystko, co jest w zasięgu ręki. Tak się składa, że teraz mogłaby to być ona, Pandora. Zaczekała chwilę, żeby jej oddech się uspokoił, i położyła rękę na klamce.

- Nie pozwólmy Sweeney czekać - powiedziała.

ROZDZIAŁ 3

„Ulice są niemal wyludnione. Samochód skręca za rogiem i znika. Mży. Neony oświetlają kałuże i dziury w jezdni. To raczej podejrzana dzielnica miasta. Nędzne kluby, podniszczone samochody. Niewysoka, starannie ubrana blondynka idzie szybkim krokiem. Jest zdenerwowana, najwyraźniej czuje się nieswojo w tym otoczeniu, ale nie znalazła się tu przypadkiem. W rękę ściska wilgotną od deszczu kopertę. Odskakuje, gdy obok przejeżdża samochód. Wreszcie staje przed wejściem do jednego z klubów. Waha się. Przekłada kopertę z ręki do ręki. Wchodzi. Z ulicy padają trzy strzały”. Michael usłyszał trzykrotne niecierpliwe pukanie do drzwi swego pokoju. Zanim zdążył odpowiedzieć, Pandora już była w środku.

- Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, kochanie - powiedziała.

Uniósł głowę znad maszyny. Prawie przez całą noc myślał nad nowym odcinkiem. Była dziesiąta rano, a on zdążył zaledwie wypić kawę. Wiele by dał za papierosa.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - Sięgnął do miseczki z orzeszkami i zorientował się, że zostały już tylko dwa.

- Spędziliśmy ze sobą dwa tygodnie i jesteśmy cali i zdrowi. - Pandora podeszła bliżej i przejechała palcem po krawędzi biurka, zostawiając wyraźny ślad. - A mówili, że nam się nie uda - zaśmiała się.

Wyglądała na wypoczętą. Pachniała świeżością. Rude włosy odgarnęła do tyłu, miała na sobie sweter i luźne spodnie o dwa numery za duże. Michael nagle poczuł się tak, jakby właśnie wyczołgał się z piwnicy. Bluza od dresu rozdarła mu się na ramieniu już przed dwoma laty, ale wciąż ją nosił. Przed paroma tygodniami pomagał przyjacielowi malować mieszkanie. Plamy na dżinsach świadczyły o upodobaniu do różowego koloru. Oczy paliły go tak, jakby spał z twarzą w piasku.

Pandora uśmiechnęła się do niego jak wychowawczynie do przedszkolaka.

- Ustaliliśmy zasadę, że nie będziemy wkraczać na terytorium drugiej osoby i zakłócać jej spokoju, gdy pracuje - przypomniał jej.

- Och, nie bądź drobiazgowy. - Uśmiech nie schodził jej z twarzy. - Zresztą nie dałeś mi swego planu zajęć. A o ile zdążyłam się zorientować, to jak na ciebie wczesna pora.

- Właśnie zaczynam pracę nad nowym odcinkiem.

- Naprawdę? - Podeszła bliżej. - Hm, nie sądzę, by ci to zajęło dużo czasu.

- Dlaczego nie pobawisz się swoimi błyskotkami?

- Znowu jesteś złośliwy, a ja przyszłam, żeby cię zaprosić na wspólną wyprawę do miasta. - Przysiadła na brzegu biurka. Sama nie wiedziała, dlaczego zdecydowała się na tak przyjacielski ton. Może dlatego, że naszyjnik ze szmaragdów był już prawie gotowy, a rezultaty pracy nad tym zamówieniem przyniosły jej zadowolenie. A może dlatego, że w ciągu minionych dwóch tygodni znajdowała pewną przyjemność w przebywaniu w towarzystwie Michaela. Niewielką przyjemność, zaznaczyła w duchu. Nic ponadto. Zmrużył podejrzliwie oczy.

- W jakim celu? - spytał.

- Sweeney prosiła, żebym zrobiła zakupy. Myślałam, że może chciałbyś się na chwilę oderwać od pisania.

Trafiła w dziesiątkę. Przez dwa tygodnie siedział kamieniem w Jolley's Folley. Rzucił okiem na maszynę.

- Ile czasu nam to zajmie? - spytał.

- Och, może dwie, trzy godziny. - Wzruszyła ramionami. Korcił go pomysł wspólnej eskapady do miasta. Zapragnął mieć trochę wolnego czasu i zmienić otoczenie. Jednak w maszynie wciąż tkwiła kartka papieru zapisana tylko do połowy.

- Nie mogę - odparł. - Muszę to skończyć.

- W porządku. - Pandora podniosła się z biurka, rozczarowana. Niepotrzebnie mu to proponowałam, uznała. Uwielbiała prowadzić sama samochód, słuchając radia. - Nie nadwerż sobie palców - rzuciła.

Zaczął coś gderać pod nosem, ale po chwili przypomniał sobie o pustej miseczce.

- Kupiłabyś mi orzeszki pistacjowe? - spytał. Zatrzymała się w progu.

- Orzeszki pistacjowe? - Uniosła brwi.

- Tak. Prawdziwe. Nie farbowane na czerwono. - Wolałby paczkę papierosów. Dałby wiele za to, żeby choć raz się zaciągnąć.

Pandora patrzyła na pustą miseczkę i omal się nie uśmiechnęła.

- Myślę, że mogłabym ci je kupić - powiedziała.

- I *New York Timesa* - dorzucił.

- Czyżbyś chciał mi zrobić listę?

- Bądź tak dobra. Następnym razem ja pojedę po zakupy dla Sweeney.

Zastanowiła się przez chwilę.

- A więc orzeszki i gazeta - powtórzyła.

- I kilka długopisów - dodał. Zatrzasnęła drzwi.

Minęły dwie godziny, zanim Michael uznał, że zasłużył na następną kawę. Akcja odcinka rozwijała się po jego myśli. Miłośnicy serialu będą mieli to, co lubią.

Pisanie dla telewizji sprawiało mu przyjemność. Niezależnie od tego, co myślał o tego rodzaju produkcji, cieszyło go, że co tydzień przykuwa do ekranów miliony ludzi, którzy śledzą z zapartym tchem losy stworzonych przez niego postaci.

Michael lubił też swego bohatera, Logana, którego wyposażył zarówno w zalety, jak i wady, by stał się bliski widzom. A że mu się to udało, dowodziły listy, jakie otrzymywał, i wskaźniki oglądalności. Serial przyniósł mu uznanie krytyki i nagrody, podobnie jak jednoaktówka, którą kiedyś napisał. Jednak sztukę obejrzało w najlepszym razie kilka tysięcy widzów, z czego znakomita większość nowojorczyków, a historię Logana śledzą miliony widzów w całym kraju. I to co tydzień.

Uważał, że telewizja ma w sobie coś magicznego i że każdy ma prawo do odrobiny magii. Według niego spędzanie czasu przed telewizorem nie było bezproduktywnym zajęciem.

Zamknął maszynę. Zapadła cisza. Wiedział, że w Folley będzie mógł efektywnie pracować. Nieraz to już robił, tyle że nigdy przez tak długi czas. Nie przypuszczał tylko jednego, że pisanie będzie przebiegało tak sprawnie i że będzie z tego czerpał satysfakcję. Szczerze mówiąc, nie oczekiwał, że nadspodziewanie dobrze ułożą się jego stosunki z Pandorą. To nie żarty, zamyślił się, obracając w palcach długopis.

Ścierali się, ale unikali większych scysji. Tak czy inaczej lubił te wieczory, kiedy grali w karty, choćby dlatego, że chciał ją przyłapać na oszukiwaniu. Dotychczas jednak mu się to nie udało.

Prawdą było też, że go pociągała. Tego nie było w scenariuszu. Na razie udawało mu się ignorować to uczucie, kontrolować je i tłumić. Ale kiedyś... Kiedyś, pomyślał, wstając, by rozprostować kości, być może zamknie jej usta pocałunkiem choćby po to, by się przekonać, jak to będzie. Ciekawość ludzi, ich charakterów i reakcji należała do jego zawodu. Interesowało go, jak zachowałyby się Pandora, gdyby przyciągnął ją do siebie i całował tak długo, aż osłabłaby w jego ramionach.

Roześmiał się na samą myśl o tym. Pandora osłabła? Kobiety takie jak ona nigdy nie słabną. Może by i zaspokoił ciekawość, ale dostałby pięścią w brzuch. Jednak kto wie, czy pocałunek nie byłby tego wart...

Nie była z kamienia. Nabrał co do tego pewności pierwszego dnia, kiedy szli ramię w ramię z pawilonu do domu. Widział to w jej twarzy, słyszał w głosie. Od dwóch tygodni przepływały między nimi jakieś fluidy. A może od dwudziestu lat? - zastanowił się.

W obecności kobiet czuł się zupełnie inaczej niż w towarzystwie Pandory. Był niespokojny, spięty, jakby stał przed wyzwaniem. To prawda, nie zwykł przejmować się kobietami. Lubił je - ich kobiecość, ich szczególną siłę i słabość, styl bycia. Może w tym tkwiło źródło jego udanych związków, których jednak przezornie nigdy nie ciągnął zbyt długo.

Jeśli wiązał się z kobietą, to dlatego, że mu się akurat podobała i go pociągała. Nie myślał o tym, czym skończy się znajomość. Do niedawna uważał, że romans z Pandorą go nie interesuje. Był zaskoczony, gdy ostatnio raz czy dwa pomyślał o tym, czy by jej nie uwieść.

Uwiedzenie było oczywiście czymś zupełnie innym niż romans. Nie był jednak pewien, czy warto podejmować takie ryzyko.

Gdyby zaproponował jej kolację przy świecach lub spacer w świetle księżyca albo szaloną namiętą noc, zareagowałaby jakąś sarkastyczną uwagą. Co niewątpliwie wywołałoby jego złośliwą ripostę. I znów zaczęliby się kłócić.

W każdym razie romans nie był tym, czego chciał. Był po prostu ciekaw Pandory. Wcale nie różnili się od siebie tak bardzo, uznał. Kuzynka mogła twierdzić, że nie mają ze sobą nic a nic wspólnego, ale Jolley był bliższy prawdy. Oboje byli porywczy, uparci i obsesyjnie wyczuleni na punkcie swojej pracy. On zamykał się na całe godziny z maszyną do pisania, ona ze swoimi narzędziami, palnikami i błyskotkami. W rezultacie ich praca zapewniała ludziom przyjemności. Poza tym, było to...

Przerwał rozmyślenia, zauważając, że drzwi pawilonu są otwarte. Dziwne, pomyślał, czyżby Pandora już wróciła? Jego pokoje znajdowały się na drugim końcu domu, daleko od garażu, mógłby więc nie słyszeć samochodu. Jednak prawdopodobnie Pandora wpadłaby, żeby przynieść mu to, o co prosił.

Już miał odejść od okna, gdy nagle dojrzał koło pawilonu jakąś postać otuloną płaszczem. Od razu poznał, że to nie Pandora. Ona chodziła wyprostowana, poruszała się zdecydowanie, energicznymi ruchami. Ta postać przemykała się chyłkiem, rozglądając się trwożliwie na boki. Niewiele myśląc, zbiegł na dół.

Na parterze niemal zderzył się z Charlesem.

- Pandora wróciła? - spytał.

- Nie, proszę pana. Powiedziała, że może zostanie w mieście trochę dłużej. Nie powinniśmy się niepokoić, jeśli...

Ale Michael już go nie słuchał. Wypadł z domu. Charles westchnął tylko i poszedł zapalić w kominku w salonie.

Owiał go wiatr i wtedy uzmysłowił sobie, że nie wziął płaszcza. Mimo to pobiegł w kierunku pawilonu. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Nic dziwnego, pomyślał. Dokoła był las i mnóstwo ścieżek prowadzących w różnych kierunkach.

Czyżby jakiś dzieciak się tu plątał? - zastanawiał się. Pandora byłaby szczęśliwa, gdyby nie zgarnął jej pięknych kamieni. Znaczyłoby to, że miała rację.

Zmienił zdanie w chwili, gdy stanął w drzwiach pawilonu.

Pudełka były pootwierane. Kamienie walały się po podłodze. Wokół leżały rozrzucone kłębki łańcuszków i żyłek. Panował nieopisany wprost bałagan. Narzędzia znalazły się na podłodze.

Schylił się i podniósł jeden szmaragd. Jeśli to był złodziej, stwierdził, to musiał być niezdarny i krótkowzroczny.

- O Boże! - Pandora upuściła torbę i patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami.

Michael odwrócił się. Była biała jak ściana. Zaklął pod nosem, żałując, że nie miał czasu, by przygotować ją na ten widok.

- Nie denerwuj się - powiedział, biorąc ją za ramię. Odsunęła go i weszła do środka. Przez chwilę jeszcze stała jak skamieniała, nie wierząc własnym oczom. A potem wpadła w furję.

- Jak mogłeś?! - Jej twarz nabrała purpurowego koloru, oczy ciskały błyskawice.

Rzuciła się na niego z pięściami. Chwycił ją za rękę, zanim zdążyła go uderzyć.

- Zaraz ci... - zaczął, ale pchnęła go i przycisnęła do ściany. Chwilę trwało, zanim zdołał chwycić ją za nadgarstki i przytrzymać.

- Przestań. - Odsunął ją od siebie. - Masz prawo być wściekła, ale wyładowywanie się na mnie nic nie da.

- Zawsze wiedziałam, że potrafisz być podły - wycodziła przez zęby - ale nigdy nie sądziłam, że stać cię na coś tak okrutnego.

- Sądź sobie, co chcesz - burknął. Poczuli, że Pandora drży, i dodał łagodniejszym tonem: - Ja tego nie zrobiłem. Popatrz na mnie - poprosił. - Po co miałbym to robić?

- Sam mi to powiesz. - Była bliska płaczu, ale się opanowała.

Cierpliwość nie była jego mocną stroną, ale spróbował raz jeszcze.

- Pandoro, posłuchaj. Postaraj się myśleć trzeźwo choć przez minutę i posłuchaj. Przyszedłem chwilę przed tobą. Zobaczyłem z okna, jak ktoś wychodzi z pawilonu, i natychmiast przybiegłem. Zastałem to, co widać.

Zrobiło jej się wstyd. Poczuli łyzy napływające do oczu. Nienawidziła tego uczucia, wolałaby nienawidzić Michaela.

- Puść mnie - powiedziała tylko.

Zapewne łatwiej zniósłby jej złość niż rozpacz. Ostrożnie puścił jej ramię i odstąpił o krok.

- Nie minęło chyba jeszcze dziesięć minut od momentu, gdy widziałem kogoś wychodzącego z pawilonu. Myślę, że pobiegł do lasu.

Pandora usiłowała zebrać myśli i opanować złość.

- Możesz iść - zdecydowała wreszcie z podejrzanym spokojem. - Ja posprzątam i zobaczę, czego brakuje.

Poczuł nieoczekiwany ucisk w gardle, słysząc taką zdawkową odprawę.

- Wezwę policję, jeśli chcesz, ale nie wiem, czy coś ukradziono. - Rozwarł dłoń i pokazał jej szmaragd. - Nie wyobrażam sobie, by jakikolwiek złodziej zostawił tak drogocenne kamienie.

Pandora wzięła do ręki kamień. Poszukała wzrokiem naszyjnika, nad którym pracowała przez dwa tygodnie i po którym tyle sobie obiecywała. Delikatne złote łańcuszki były rozerwane, szmaragdy rozsypane. Do zniszczenia naszyjnika użyto jej własnych narzędzi. Pozbierała rozrzucone kawałeczki i z trudem pohamowała się, żeby nie krzyknąć.

- To ten, prawda? - Michael podniósł z podłogi rysunek.

- Był już prawie gotowy.

Pandora rzuciła resztki naszyjnika na stoi.

- Zostaw mnie samą - poprosiła i zabrała się do sprzątnia.

- Pandoro. - Michael chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Do diabła, Pandoro, chcę ci pomóc.

Rzuciła mu przeciągłe, lodowate spojrzenie.

- Zrobiłeś dostatecznie dużo, Michael. A teraz chcę zostać sama.

- W porządku, jak sobie życzysz. - Wybiegł z pawilonu i popędził przez trawnik. Był wściekły. Po chwili jednak zatrzymał się, zaklął pod nosem i po raz kolejny tego dnia zamarzył o papierosie. Nie miała prawa go oskarżać. Co gorsza, nie miała prawa czynić go odpowiedzialnym za to, co się stało. Wpędziła go w poczucie winy, a przecież na widok obcej osoby kręcącej się przy pawilonie zareagował natychmiast. Wcisnął dłonie w kieszenie i zerknął przez ramię na pawilon. Rozsadyła go złość.

Ona naprawdę myślała, że to jego sprawka. Że był zdolny do tak podłego czynu. Usiłował do niej przemówić, uspokoić ją. Odrzucała każdą propozycję pomocy. To w jej stylu, pomyślał, zaciskając zęby. Zasluguje na to, by zostawić ją samą.

Już miał się skierować do domu, gdy przypomniał sobie, jak bardzo była zaszokowana i zrozpaczona, gdy stanęła na progu pawilonu i zobaczyła, co się stało. Uznał się za głupca i zawrócił.

Kiedy otworzył drzwi pawilonu, zastał w nim taki sam rozgardiasz, jak wtedy, gdy wychodził. Na podłodze wśród rozrzuconych błyskotek i narzędzi siedziała Pandora. Płakała cicho.

Wpadł w typową dla mężczyzny panikę na widok kobiecych łez. Na dodatek był absolutnie zaskoczony, że Pandora płacze. Nie wyobrażał sobie, że cokolwiek jest w stanie sprowokować ją do łez. Bez słowa podszedł do niej i objął ją ramieniem.

Zesztywniała. Mógł się tego spodziewać.

- Powiedziałam, że chcę być sama.

- Owszem, ale dlaczego miałbym cię słuchać? - Poglądził ją po włosach.

Miała ochotę przytulić się do Michaela i płakać w nieskończoność.

- Po prostu nie chcę, żebyś tu był - powiedziała.

- Wiem. Wyobraź sobie więc, że jestem kimś innym.

- Przyciągnął ją do siebie.

- Płaczę tylko dlatego, że jestem wściekła - oświadczyła, przyciskając twarz do jego koszuli.

- Pewnie. - Pocałował ją w czubek głowy. - A więc ulżyj sobie, płacz. Jestem do tego przyzwyczajony.

Uznała, że to tylko z powodu szoku i gniewu, ale go posłuchała. Łzy popłynęły szerokim strumieniem. Kiedy płakała, płakała całym sercem. Gdy skończyła, uznała sprawę za załatwioną.

Siedziała oparta o Michaela. Czowała się przy nim bezpieczna i nie zamierzała teraz się nad tym zastanawiać. Ogarnął ją wstyd, że potraktowała go podle. A on jednak wrócił i ją pocieszył. Któż by się po nim tego spodziewał? Że potrafi być cierpliwy i troskliwy? Odetchnęła głęboko i na moment zamknęła oczy.

- Przepraszam, Michael - powiedziała łagodnie.

Czy to możliwe? Czy to naprawdę Pandora powiedziała?

- zdziwił się w duchu.

- Nie ma o czym mówić - skwitował.

- Owszem, jest. - Kiedy odwróciła głowę, jej wargi przesunęły się po jego policzku. Zaskoczyło to ich oboje. Taki rodzaj kontaktu był właściwy przyjacielom... lub kochankom. - Kiedy tu weszłam, nie mogłam zebrać myśli. Ja...

- Urwała, zafascynowana jego oczami. Czy to nie dziwne, jak mały może się stać świat, kiedy patrzysz w czyjeś oczy? Dlaczego nigdy przedtem tego nie zauważyła? - Muszę to wszystko poskładać.

- Wiem. - Przeciągnął palcem wzdłuż jej policzka. Był miękki i delikatny. Delikatniejszy, niż się spodziewał. - Zrobimy to razem.

Jakie to proste, przytulać się i czuć bezpiecznie w jego ramionach.

- Nie jestem w stanie się skupić - powiedziała.

- Nie? - Jego wargi znalazły się niedaleko jej ust, zbyt blisko, by je zignorować, zbyt daleko, by poczuć ich smak. - Nie myślmy o niczym przez chwilę - zaproponował.

Kiedy dotknął ustami jej warg, nie odsunęła się. Przyzwoliła na to powodowana taką samą ciekawością, jaką i on odczuwał. Nie była to eksplozja ani szok, lecz test dla nich obojga. Oboje przeczuwali, że prędzej czy później to nastąpi.

Miała ciepłe, słodkie wargi. Znał ją tak długo, czyż nie powinien tego wiedzieć? Jej ciało nie stawiało oporu, choć i nie było uległe. Może uległość wydałaby mu się zbyt łatwa. Kiedy wsunął język w jej usta, zareagowała podobnie. Poczł ucisk w żołądku. Bliskość sprawiła, że zapragnął czegoś więcej, znacznie więcej niż zapach tego opalonego ciała, smak delikatnych ust.

Okazał się tak tajemniczy i zuchwały, jak się tego zawsze spodziewała. Miał silne ręce, zaborcze usta. Niekiedy zastanawiała się, jakby to było, gdyby ich znajomość przybrała właśnie taki obrót. Jednak za każdym razem tłumiała takie myśli, zanim zdołała znaleźć odpowiedź na pytania. Michael Donahue był niebezpieczny po prostu dlatego, że był Michaelem Donahue. To ją pociągał, to znów odstręczał od siebie. Żaden mężczyzna tak na nią nie działał.

Teraz, kiedy ich usta się złączyły, wiedziała już, dlaczego tak było. W jego ramionach traciła pewność siebie i nie do końca nad sobą panowała. Z innymi mężczyznami było inaczej. Dotyk jego nieogolonego policzka nie sprawiał jej przykrości, choć myślała, że tak będzie. Przeciwnie, podniecał ją. Nie przeszkadzała jej twarda podłoga ani powiew chłodnego powietrza wdzierającego się przez niedomknięte drzwi.

Czuła się bezpiecznie, jak w domu. A później, kiedy skubnął zębami jej wargi, miała wrażenie, że wchodzi na nieznaną łód. Lubiła nieznaną, a jednak, mimo całego swego doświadczenia, nigdy jeszcze nie odkrywała czegoś tak wyjątkowego, egzotycznego i przyjemnego.

Chciała posunąć się dalej, choć wiedziała, że powinna się zatrzymać.

Oderwali się od siebie niemal równocześnie.

- Cóż... - Wyprostowała się i oparła ręce na kolanach. Nie może sobie pozwolić na powiedzenie czegoś, co mogłoby ją ośmieszyć w jego oczach. - Sądzę, że to stało się pod wpływem chwili.

- Tak myślę - odparł, wpatrując się w nią z ciekawością, ale i z lekkim niepokojem. Poczłł odrobinę satysfakcji, widząc, jak splata nerwowo palce. - Nie spodziewałem się tego wszystkiego.

- Na ogół nie spodziewamy się różnych rzeczy. - Zbyt dużo niespodzianek jak na jeden dzień, uznała. Podniosła się niepewnie z podłogi. Zrobiła błąd, chcąc się rozejrzeć dokoła, bo o mało znowu nie upadła.

- Pandoro.. - przestraszył się.

- Nic się nie dzieje - uspokoiła go, potrząsając głową. - Nie mam zamiaru zemdleć. - Obrzuciła wzrokiem pomieszczenie. - Wygląda na to, że miałeś rację. Należało zamknąć pawilon na klucz, a dodatkowo pochować kamienie i złoto.

Chyba powinnam być ci wdzięczna, że nie powiedziałeś „a nie mówiłem”.

- Może powiedziałbym, gdyby to coś mogło zmienić.

- Zbierał szmaragdy rozrzucone po podłodze. - Nie jestem ekspertem, kuzynko, ale myślę, że to warte parę tysięcy.

- Żaden złodziej by ich nie zostawił - przyznała. Wzięła garść kamieni. Wśród nich lśniły dwa duże brylanty. - Ani tych - dodała.

Michael z przyzwyczajenia zaczął w myślach układać scenariusz wydarzeń. Akcje i reakcje, motyw i działanie.

- Założę się, że niczego nie brakuje - zauważył. - Ktokolwiek to zrobił, nie zamierzał ryzykować niczego więcej. Tylko wejść, narobić bałaganu lub zniszczyć.

Pandora westchnęła i przysiadła na stole.

- Myślisz, że to był ktoś z rodziny? - spytała.

- Mówili, że to się nie uda, że nie wytrzymamy ze sobą.

- Michael zastanawiał się przez chwilę. - Coś musi się za tym kryć, Pandoro. Coś, na co żadne z nas nie zwróciło uwagi, gdy ustalaliśmy wytyczne. Nikt z rodziny nie wierzył, że będziemy w stanie spędzić sześć miesięcy pod jednym dachem. Faktem jest, że pierwsze dwa tygodnie minęły bezboleśnie. Ktoś z nich mógł się zdenerwować na tyle, żeby nas poróżnić. Jaka była twoja pierwsza reakcja po wejściu do pawilonu?

- Że to twoja sprawka. Że chciałeś mi zrobić na złość. Właśnie o to im chodziło. Do diabła, nie znoszę, jak ktoś mną manipuluje.

- Przechytrzyłaś ich, gdy tylko odzyskałaś przytomność umysłu.

Zerknęła ku niemu, niepewna, czy powinna mu podziękować, czy jeszcze raz go przeprosić. Najlepiej było zrezygnować i z jednego, i z drugiego.

- To Biff - zdecydowała. - Taka podła sztuczka jest w jego stylu.

- Stawiałbym na Biffa wtedy, gdyby brakowało paru kamieni - powiedział Michael. - Nie oparłby się pokusie.

- To prawda - przyznała. - Wuj Carlson...? Nie, to zbyt prostackie jak na niego. Ginger byłaby za bardzo zafascynowana brylantami, by zrobić coś więcej, niż tylko się nimi pobawić. Cóż, myślę, że nie ma większego znaczenia, czyja to sprawka - uznała. - Tak czy inaczej dwa tygodnie pracy poszło na marne. - Podniosła rozerwany łańcuszek. - Nigdy już nie będzie taki sam - dodała. - Nic nie pozostaje takie samo, jeśli się przerabia.

- Czasem jest lepsze - zauważył. Potrząsnęła głową i podeszła do grzejnika.

- Tak czy inaczej muszę zacząć od nowa - postanowiła. - Powiedz Sweeney, że nie przyjdę na lunch.

- Pomogę ci zrobić porządek.

- Nie - sprzeciwiła się kategorycznie. - Dziękuję ci, Michael, ale nie. Muszę się czymś zająć. I chcę być sama.

Nie był zachwycony, ale rozumiał ją.

- Dobrze, a więc do zobaczenia na kolacji.

- Michael...

Zatrzymał się w progu i odwrócił. Mimo zmieszania wyglądała na stanowczą i zdecydowaną. Jak zawsze. Mało brakowało, a byłby zamknął drzwi i wrócił.

- Może wuj Jolley się nie mylił - powiedziała.

- W jakiej sprawie?

- Że możesz mieć jedną lub dwie zalety.

- Wuj Jolley zawsze miał rację, kuzynko - uśmiechnął się - i dlatego wciąż pociąga za sznurki.

Zaczekała, aż Michael zamknie drzwi. Pociąga za sznurki, rzeczywiście to prawda. Zamyśliła się.

- Ale nie będziesz urządzał mi życia ani mnie swatał, wuju - powiedziała na głos. - Zostanę wolna, swobodna, niezamężna. Zapamiętaj to sobie.

Nie była przesadna, ale miała wrażenie, że słyszy wysoki, rechoczący śmiech wuja. Podwinęła rękawy i zabrała się do porządkowania.

ROZDZIAŁ 4

dokładnym sprawdzeniu okazało się, że niczego nie brakuje. Pandora zrezygnowała zatem z zawiadomienia policji. Gdyby coś skradziono, miałyby to sens, ale w tej sytuacji nie dość, że nic by to nie dało, to jeszcze zostałaby napomniana, że pozostawiła pawilon niezamknięty na klucz. Jeśli wandalen był ktoś z rodziny - a co do tego z Michaeliem się zgodzili - oficjalne dochodzenie nadałoby tylko całej sprawie niepotrzebnego rozgłosu.

O, tak, prasa miałaby o czym pisać. Oczami wyobraźni już widziała nagłówki w gazetach: „Rodzina przeciw rodzinie”, „Walka z powodu ekscentrycznej woli zmarłego”, „Absurdalny testament”. Pandora uważała, że nikt obcy nie powinien się wtrącać w ich sprawy, że należy je chronić i nie nadawać im rozgłosu.

Jeśli pojedyncza osoba z rodziny albo kilkoro krewnych obserwowało, co się dzieje w Jolley's Folley, powinni sądzić, że uznała ten incydent za głupi i mało ważny. Była zbyt dumna, by okazać komukolwiek, że otrzymała ogłuszający cios. Z praktycznego punktu widzenia zależało jej na tym, by odkryć, kto się włamał do jej warsztatu i jak mu się udało wybrać najbardziej odpowiednią porę. Nie chciała zatem sprawiać wrażenia, że cały czas ma pawilon na oku.

Michael nie nalegał na powiadomienie policji, ponieważ jego rozumowanie szło tym samym torem. Udało mu się, dzięki zręcznym manewrom i dyskrecji, całkowicie oddzielić swoje życie zawodowe od spraw rodzinnych. Był znany jako Michael Donahue, pisarz i scenarzysta zdobywający nagrody, a nie jako krewny Jolleya McVie, multimilionera. I chciał, żeby tak zostało.

Ani Michael, ani Pandora nie zdradzili, że zamierzają, każde na własną rękę, prowadzić potajemne prywatne śledztwo. Była to nie tyle kwestia braku zaufania, co przekonania, że każde z nich zrobi to lepiej. Rozmawiali więc w czasie kolacji o sprawach obojętnych, nie poruszając tematu zdemolowanego warsztatu. A co ważniejsze, starannie unikali wzmianki o tym, do czego doszło między nimi w pawilonie.

Po dwóch kieliszkach wina i dużej porcji kurczaka w Pandorę wstąpiło nieco więcej optymizmu. Uznała, że mogło być gorzej, gdyby, na przykład, skradziono jej narzędzia. Oznaczałoby to konieczność wybrania się na Manhattan i kolejną zwłokę w pracy. Za najbardziej irytujące uznała to, iż ktoś ją szpieguje. Tylko w ten sposób bowiem dało się wytłumaczyć fakt, że intruz wtargnął do pawilonu w czasie, gdy ona przebywała w mieście. Na tym przede wszystkim powinna się skupić.

- Zastanawiam się - zaczęła z pozorną obojętnością - czy Saundersonowie mieszkają w zimie w swojej posiadłości.

- Sąsiedzi znad stawu. - Michael sam pomyślał o posiadłości Saundersonów. Było tam parę miejsc, z których przez dobrą lornetkę można było bez trudu obserwować Jolley's Folley.

- O ile wiem, dużo czasu spędzają w Europie.

- Hm. - Pandora przełknęła kęs kurczaka. - Zawsze lubili wyskakiwać to tu, to tam.

- Wynajmują czasem swój dom?

- Nic o tym nie wiem. Mam wrażenie, że nawet kiedy wyjeżdżają, zostawiają część służby. Jak się teraz nad tym zastanawiam, to wydaje mi się, że nie ma ich od paru miesięcy. - Uśmiechnęła się. - Pamiętam, jak raz poszliśmy z wujem Jolleyem na ryby i Saunderson omal nas nie przyłapał. Gdybyśmy się nie schowali w chacie... - Urwała nagle, tknięta pewną myślą.

- Chata - podjął wątek Michael. - Mówisz o tej starej dwupokojowej ruderze, której Jolley używał jako domku myśliwskiego? Zupełnie o niej zapomniałem.

Pandora wzruszyła ramionami, jakby nie przywiązywała do tego wagi, ale intensywnie myślała nad różnymi możliwościami.

- Nieźle mu zalazł za skórę, zabawiając się jego kosztem - stwierdziła. - W każdym razie złapaliśmy masę pstrągów, obzarliśmy się jak świnie, a resztę posłaliśmy Saundersonowi. Nigdy nam nie raczył podziękować.

- Fatalne maniery - przyznał Michael.

- Cóż, słyszałam, że jego babka była barmanką w Chelsea. Jeszcze wina? - Pandora nachyliła się ku niemu.

- Nie, dziękuję. - Uznał, że musi zachować trzeźwość umysłu, jeśli ma zrealizować plan, który właśnie zaczaj się wykluwać w jego głowie. - Nalej sobie.

- Nie, wystarczy. - Odstawiła butelkę i posłała mu słodki uśmiech. - Jestem trochę zmęczona.

- Masz prawo. - Bardzo by mu odpowiadało, gdyby poszła wcześniej do łóżka. - Potrzebujesz przede wszystkim snu - powiedział.

- Z pewnością masz rację. - Oboje byli zbyt zajęci własnymi pomysłami, by zwrócić uwagę na to, jak nienaturalnie uprzejma stała się ich rozmowa. - Zrezygnuję już nawet z kawy. Wezmę tylko kąpiel. - Udała, że ziewa. - A ty? Masz zamiar jeszcze pracować?

- Nie, rano zabiorę się do pisania ze zdwojoną energią.

- A zatem dobranoc, Michael. - Uśmiechnęła się i wstała od stołu. Odczekam trochę i wyjdę, zdecydowała w duchu.

- Dobranoc. - Gdy tylko światło w jej pokoju zgaśnie, postanowił, przystąpię do działania.

Pandora siedziała w ciemnym pokoju i nasłuchiwała. Minęło półgodziny. Najtrudniejsze, co ją czekało, to niepostrzeżenie wymknąć się z domu. Reszta będzie prosta. Drzwi pokoju zaskrzypiały, gdy je otwierała. Wstrzymała oddech i odczekała chwilę, zamieniając się cała w słuch. Cisza. Teraz albo nigdy, uznała i otuliła się płaszczem. Do kieszeni włożyła latarkę, dwa pudełka zapalek i lakier do włosów w sprayu. Dla samoobrony, gdyby ktoś wszedł jej w drogę. Wyszła do holu i zaczęła pomału schodzić na dół, sunąc plecami po ścianie.

Ale przygoda, pomyślała, czując znajome uczucie podniecenia. Nie odczuwała go od śmierci wuja Jolleya. Wymykając się z domu, pomyślała, jak bardzo ta sytuacja bawiłaby wuja. Księżyc był jak rogalik, a niebo usiane gwiazdami. Nieliczne chmury ich nie zasłaniały. A powietrze - głęboko zaczerpnęła tchu - było chłodne i rześkie. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na okna pokoju Michaela, skierowała się do lasu.

Tutaj panowały egipskie ciemności. Choć drzewa były pozbawione liści, grube konary przysłaniały niebo, nie przepuszczając światła gwiazd. Wyjęła latarkę i świecąc na lewo i prawo, szukała ścieżki. Nie spieszyła się. Nie chciała, żeby przygoda skończyła się zbyt prędko. Szła powoli, nasłuchiwała i puszczała wodze fantazji.

Zewsząd dolatywały różne odgłosy. Wiatr unosił zeschnięte liście, szumiał wśród igieł sosen i świerków. Co jakiś czas rozlegały się bliżej niezidentyfikowane pomruki. Może to lis, może szop, a może niedźwiedź, który jeszcze nie zasnął na dobre zimowym snem. Pandora lubiła dreszczyk emocji. Jeśli idziesz sama przez las nocą i nie przepadasz za aurą tajemniczości, trudno to nazwać przyjemnością.

Pandora przepadała za wszystkim, co tajemnicze. Ponadto cieszyły ją zapachy - sosen, ziemi, mroźnego powietrza. Lubiła być sama, a co więcej, lubiła, gdy czekało ją coś, co wymagało szczególnej uwagi i napięcia.

Ścieżka skręcała w lewo. Chata znajdowała się już niedaleko. Pandora zatrzymała się nagle, pewna, że usłyszała przed sobą jakiś szelest i zobaczyła przemykający cień. Zbyt duży jak na lisa. Przez moment przemknęło jej przez myśl, że może to niedźwiedź albo rys. Zaniepokoiliła się. Co innego wyobrazić sobie spotkanie z którymś z tych drapieźników, a co innego zetknąć się z nim nos w nos. Ale szelest ucichł, a ona poszła dalej.

Co zrobi, jeśli okaże się, że chata nie jest pusta? Jeśli zastanie w niej jednego ze swych drogich krewnych? Na przykład wuja Carlsona czytającego przy kominku „Wall Street

Journal”)? Albo ciocię Patience krzątającą się koło stołu ze szmatką do kurzu w ręku? Ta myśl byłaby śmieszna, gdyby Pandora nie przypomniała sobie zdewastowanego wnętrza pawilonu.

Zebrała się w sobie i ruszyła naprzód. Jeśli ktoś tam jest, będzie musiał się wytłumaczyć. Chata zamajaczyła tuż przed nią. Wyglądała tak, jak należało się tego spodziewać - opuszczona, pusta i tajemnicza. Pandora trzymała nisko latarkę, skradając się do ganku i o mało nie krzyknęła, gdy pod jej ciężarem zaskrzypiały schody. Przyłożyła rękę do piersi, by uspokoić łomoczące serce. Potem pomału, ukradkiem podeszła do drzwi i przekręciła gałkę.

Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Odczekała dziesięć sekund, zanim odważyła się zrobić następny krok. Szybko omiotła wnętrze latarką i weszła do środka.

W tym momencie poczuła, jak ktoś oplata jej szyję ramieniem, i upuściła latarkę na podłogę. Choć nie mogła wydobyć z siebie głosu, sięgnęła do kieszeni po spray. Nie zdążyła go użyć. Ramię obróciło ją o sto osiemdziesiąt stopni i znalazła się twarzą w twarz z Michaeliem. Jego pięść zatrzymała się o parę cali od jej twarzy, jej ręka z aerozolem kilka cali od jego oblicza. Znieruchomieli.

- Do diabła! - Michael opuścił rękę. - Co ty tu robisz?

- A co ty tu robisz? - warknęła. - I z jakiej racji rzuciłeś się na mnie? Mogłeś mi zniszczyć latarkę.

- O mało nie złamałem ci nosa.

Pandora schyliła się po latarkę. Nie chciała, żeby widział, jak drżą jej ręce.

- Sądzę, że zanim zechcesz komuś zmiażdżyć szyję, powinieneś sprawdzić, kto to jest.

- Szłaś za mną - parsknął.

Rzuciła mu lodowate spojrzenie. Starła się nadrabiać miną, choć kolana wciąż się pod nią uginały.

- Nie pochlebiaj sobie. Chciałam po prostu sprawdzić, czy nikogo tu nie ma, a nie wchodzić ci w drogę.

- „Wchodzić w drogę”. Dobrze sobie! - Zaświecił jej latarką prosto w twarz, aż musiała przysłonić ręką oczy. - A co, u licha, miałaś zamiar zrobić, gdyby ktoś tu był? Walczyć?

Pomyślała o tym, jak łatwo ją zaskoczył, ale podniosła butnie głowę.

- Dałabym sobie radę.

- Pewnie. - Spojrzał na pojemnik, który trzymała w ręku.

- A to co takiego? - zdziwił się.

Pandora całkiem zapomniała o sprayu. Zerknęła w dół i z trudem stłumiła śmiech. Wuj Jolley byłby zachwycony absurdalnością tej sytuacji.

- Spray do włosów - odparła spokojnie i rzeczowo. - Prosto między oczy.

Michael mruknął coś pod nosem, po czym roześmiał się głośno. Sam nie wymyśliłby tak niewiarygodnej sceny.

- Rozumiem, że mam się cieszyć, iż nie zdążyłaś we mnie prysnąć - zauważył.

- W przeciwieństwie do ciebie najpierw patrzę, a potem atakuję - oświadczyła chłodno, wkładając pojemnik do kieszeni. - Cóż, skoro już tu jesteśmy, to może się rozejrzemy.

- Właśnie to robiłem, kiedy usłyszałem, jak się skradasz - powiedział. - Wygląda na to, że ktoś się tutaj zadomowił.

- Michael skierował latarkę na kominek, na którym jeszcze tliły się polana.

- Coś podobnego. - Pandora zaczęła krążyć po chacie, rozglądając się na wszystkie strony. Kiedy była tutaj ostatni raz, krzesło z nadłamanym oparciem stało przy oknie. Jolley siedział na nim, obserwując posiadłość Saundersona, podczas gdy ona otwierała puszkę sardynek, żeby nie umarli z głodu.

Teraz krzesło było przysunięte do kominka. - Pewno jakiś włóczęga - rzuciła.

- Może. - Michael skinął głową.

- Ale może nie. Myślisz, że wrócą? - zaniepokoiła się.

- Trudno powiedzieć. - Nic więcej nie rzuciło im się w oczy. Wszystko poza tym było na swoim miejscu. W chacie panował porządek. Było czysto. Za czysto. Podłogę i stół powinna pokrywać warstwa kurzu. Tymczasem panowała niemal idealna czystość. - Być może nie zamierzają już niczego więcej zniszczyć.

Pandora, najwyraźniej niezadowolona, usiadła na łóżku i podparła głowę.

- Miałam nadzieję, że ich złapię - wyznała.

- Jak? Spryskując ekologicznym lakierem do włosów?

- Domyślam się, że miałeś lepszy plan.

- Sądzę, że mógłbym się im dać trochę bardziej we znaki.

- Podbite oczy i złamane nosy - prychnęła zniecierpliwiona. - Naprawdę, Michael, powinieneś najpierw spróbować użyć rozumu, a dopiero potem pięści.

- Przypuszczam, że ty chciałaś rozsądnie porozmawiać z tym kimś z naszej milutkiej rodzinie, kto zniszczył twoją pracę.

Już miała go zaatakować, ale się powstrzymała.

- Nie - uśmiechnęła się. - Rozsądek nie wchodził w grę. Wydaje się, że oboje straciliśmy okazję użycia siły, co? Nawiasem mówiąc, piszesz seriale kryminalne... Czy nie powinniśmy zacząć szukać trupa, który naprowadziłby nas na rozwiązanie tej zagadki?

- Nie pomyślałem o tym, żeby przynieść szkło powiększające.

- Czasem nawet potrafisz być zabawny. - Pandora wstała i poświeciła latarką po podłodze. - Może coś upuścili.

- Wizytówkę?

- Coś - mruknęła i przyklękała, by zajrzeć pod łóżko. - Mam! - Pochyliła się jeszcze bardziej.

- Co to jest? - Michael przyklęknął obok.

- But. - Trzymała go w obu dłoniach. - Nie, nie, to nic, to but wuja Jolleya.

Nagle posmutniała. Wyglądała na zagubioną i nieszczęśliwą.

- Ja też za nim tęsknię - szepnął Michael. Klęczała przez chwilę, nie wypuszczając buta z rąk.

- Wiesz, czasem wydaje mi się, że czuję jego obecność - powiedziała. - Jak gdyby był tuż obok albo w sąsiednim pokoju, czekając, by nagle się pojawić i roześmiać głośno z kawału, jaki nam zrobił.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Michael pogładził ją po plecach.

- Może rozumiesz - mruknęła. Opanowała się i szybko podniosła się z podłogi. - Zajrzę do kredensu.

- Daj mi znać, jak znajdziesz herbatniki. - Wzruszył ramionami na widok spojrzenia, jakie mu rzuciła. - W początkowym okresie abstynencji tytoniowej musisz czymś tłumić głód papierosa.

- Spróbuj gumy do żucia. - Otworzyła kredens i omiotła latarką puszek i słoiki. Zauważyła masło orzechowe i kawior rosyjski, dwie ulubione przekąski wuja Jolleya. Obok stał słoik z keczupem i puszek, co przypomniało jej, że dziewięć - dziesięcioletni wuj miał apetyt jak nastolatek. Sięgnęła do środka i wyciągnęła jedną z nich.

- No proszę! - wykrzyknęła.

- Co takiego? - zaniepokoił się Michael.

- Tuńczyk. Puszka tuńczyka.

- Owszem. A nie ma majonezu?

- Nie udawaj głupiego, Michael. Wuj Jolley nie znosił tuńczyków.

Michael już chciał powiedzieć coś złośliwego, ale się powstrzymał.

- Naprawdę? A przecież nigdy nie trzymał niczego, czego nie lubił - zauważył.

- Właśnie.

- Gratuluję, Sherlocku. A więc który z naszych podejrzanych jest amatorem tuńczyka z puszek?

- Jesteś zazdrosny, bo to ja wpadłam na trop, a nie ty.

- To tylko trop - podkreślił, trochę poirytowany, że amatorka okazała się lepsza.

Nigdy mnie nie doceniał, pomyślała. Ani mojej przebiegłości, ani inteligencji, ani kobiecości.

- Jeśli jesteś takim pesymistą, to po co tu w ogóle przyszedłeś? - spytała zniecierpliwionym tonem.

- Miałem nadzieję, że coś znajdę. - Michael wodził latarką po ścianach. - Tymczasem wszystko, czego udało nam się dowiedzieć, to że ktoś tu był i sobie poszedł.

Pandora zdeglustowana rzuciła puszkę.

- Strata czasu - skwitowała.

- Nie powinnaś była iść za mną.

- Nie szłam za tobą. - Skierowała światło latarki prosto w jego twarz. W półmroku wyglądał zbyt męsko, nazbyt niebezpiecznie. Przez moment żałowała, że nie jest tak atrakcyjna, by sam jej widok powalił go na kolana.

- Z tego co wiem, to ty szedłeś za mną - odparowała.

- Ach, tak. I dlatego byłem tu pierwszy.

- Dajmy spokój. Ale skoro planowałeś, że tu dzisiaj przyjdiesz, to czemu mi o tym nie powiedziałeś?

Zbliżył się do niej, ale nie podszedł zbyt blisko, bo poczułby, jak już zdążył się przekonać, coś w rodzaju niepokojącego mrowienia. O, nie, nie może do tego dopuścić.

- Z tego samego powodu, dla którego ty nie podzieliłaś się ze mną swoim pomysłem. Nie ufam ci, kuzynko. A ty nie ufasz mnie.

- W końcu choć w jednej sprawie się zgadzamy. - Zrobiła ruch ręką w jego kierunku i w tym momencie poczuła, że chwyta ją za nadgarstek. Spojrzała w dół, po czym podniosła na niego wzrok. - Będziesz musiał pozbyć się tego nawyku, Michael.

- Powiadają, że jak się pozbywasz jednego, nabierasz innego.

- Czyżby? - spytała lodowatym tonem, choć zrobiło się jej gorąco.

- Łatwiej cię dotknąć, niż mi się to kiedyś wydawało - zauważył.

- Nie bądź taki pewny. - Cofnęła się o krok, ale on znów był przy niej.

- Niektóre kobiety nie radzą sobie z pociąganiem fizycznym.

Błysk w jej oczach przypomniał mu namiętność, jaka obudziła się w nich tego popołudnia.

- I znowu odzywa się twoje wygórowane ego. To poczucie dominacji może robić wrażenie na twoich dziewczynach z okładki, ale... - nie dokończyła.

- Zawsze podejrzanie fascynowało cię moje życie seksualne. - Michael uśmiechnął się, z satysfakcją odnotowując wyraz niesmaku na jej twarzy.

- Ten sam rodzaj naukowej fascynacji można mieć z powodu życia seksualnego ssaków niższego rzędu. - Serce biło jej przyspieszonym rytmem. I to nie ze złości. Była zbyt uczciwa, by udawać, że jest zła. Przyszła w poszukiwaniu przygody i znalazła ją. - Robi się późno - dodała tonem nauczycielki ze szkółki parafialnej do niegrzecznego ucznia. - Wybacz, ale już pójdę.

- Dziwne, ale nigdy cię nie pytałem o twoje życie seksualne. - Michael przysunął się jeszcze bliżej. Odstąpiła o krok, ale był tak blisko, że omal nie wcisnął jej w kąt. Wsunęła rękę do kieszeni i chwyciła pojemnik z aerozolem. - Pozwól, że zgadnę - kontynuował. - Wolisz mężczyznę ze sznureczkiem tytułów przed nazwiskiem, który rozprawia uczenie o seksie, zamiast go uprawiać.

- Dlaczego jesteś taki złośliwy, taki...

Przerwała, bo Michael zamknął jej usta, tak jak to sobie kiedyś wyobrażał.

Tym razem pocałunek był gorący, namiętny, niemal desperacki. Dopiero później Pandora przeanalizowała swoje odczucia. Na razie przyzwalała na to doświadczenie. Jego wargi były gorące, zaborcze. Całował ją tak, jakby wiedział, że tego pragnie. Z pewnością siebie, która w innym momencie by ją irytowała. Teraz poddawała jej się bez sprzeciwu.

Był silny, natarczywy. Po raz pierwszy czuła przy sobie ciało mężczyzny, który nie zamierzał traktować jej delikatnie. Żądał, oczekiwał i silnie oddziaływał na jej zmysły.

Spodziewał się innej reakcji, gwałtownej. Uległość i gotowość Pandory poraziły go. Później uzmysłowił sobie, że od lat nic nie przyprawiło go o taki zawrót głowy, jak ten pocałunek.

Zadała mu cios, ale wymierzyła go delikatnymi wargami. Czy triumfowałyby, wiedząc, jak szybko go znokautowała? Nie będzie się teraz nad tym zastanawiał. Bez chwili wahania pozwolił ponieść się namiętności.

W chacie było ciemno i zimno. Nie padał tu ani jeden promień światła księżyca. Czuć było dym. Wiatr poruszał okiennicami. Żadne z nich nie zwracało na to uwagi. Nawet gdy oderwali się od siebie, było im zupełnie obojętne, co wokół nich się dzieje.

Nie czuł się pewnie. To było coś, o czym pomyśli później. Miał przynajmniej tę satysfakcję, że i ona chwiała się na nogach. Wyglądała tak samo, jak on się czuł - ogłuszona, niezdolna do zadania następnego ciosu.

- Mówiłaś coś? - Zaśmiał się.

Chciała znowu go pocałować i całować tak długo, aż nie miałby siły się śmiać. Oczekiwał, że padnie mu do stóp, jak to przypuszczalnie robiły inne kobiety. Spodziewał się, że będzie wzdychać, że mu ulegnie, by mógł zapisać na swoim koncie jeszcze jedno zwycięstwo.

- Idiota - warknęła.

- Uwielbiam cię za zwięzłość wypowiedzi.

- Zasada numer sześć. - Pandora przeszła go wzrokiem. - Żadnych kontaktów fizycznych.

- Żadnych kontaktów fizycznych - zgodził się - chyba że obie strony tego zechcą.

Wyszła z chaty, zatrzaskując za sobą drzwi.

Jeśli dwoje ludzi jest całkowicie pochłoniętych pracą, to może przebywać pod tym samym dachem całymi dniami i prawie się nie widywać. Zwłaszcza jeśli ten dach jest duży, a ludzie uparci. Pandora i Michael spotykali się tylko przy posiłkach. Nie wynikało to z uprzejmości czy premedytacji. Po prostu każde z nich było zbyt zajęte, by tracić czas na spory i dyskusje.

Odczuli ogromną ulgę, gdy minął pierwszy miesiąc. Zostało jeszcze pięć.

W trakcie drugiego miesiąca Michael pojechał na dzień do Nowego Jorku, by omówić sprawy scenariusza. Pandora bardzo się na to cieszyła. Wreszcie będzie swobodna. Będzie robiła, co zechce, nie martwiąc się, że ktoś jej zagląda przez ramię lub czyni złośliwe uwagi. Będzie cudownie.

Po zjedzeniu kolacji zaczęła jednak wypatrywać przez okno, czy nie nadjeżdża samochód Michaela. Nie dlatego, że za nim zatęskniła, zapewniała siebie. Po prostu przyzwyczała się, że ktoś jest w domu.

Czy dlatego nigdy przedtem z nikim nie mieszkała? Chciała uniknąć wszelkiej zależności. A zależność, uznała, jest czymś naturalnym, jeśli dzielisz z kimś tę samą przestrzeń.

A więc czekała i obserwowała. Charles i Sweeney już dawno poszli spać, a ona wciąż wypatrywała Michaela. Nie niepokoiła się i na pewno nie czuła się samotna. Raczej zniecierpliwiona. Wmawiała sobie, że nie kładzie się do łóżka, bo nie jest zmęczona. Krążąc po pierwszym piętrze, weszła do gabinetu Jolleya. Bardziej właściwą nazwą byłby pokój gier. Wnętrze sprawiało wrażenie salonu gier wideo połączonego z dyskoteką.

Włączyła duży dwudziestoczerocalowy telewizor. Nie zamierzała niczego oglądać. Chciała mieć towarzystwo. Nie miała też zamiaru rozgrywać żadnej z gier ani symulować

ataku kosmitów na wideo czy rozgrywać partii szachów z komputerem. Usiadła wygodnie na szerokiej sofie przed telewizorem po prostu, żeby odpocząć.

Nawet nie zauważyła, kiedy Michael stanął w drzwiach. Miał za sobą ciężki dzień i jazdę powrotną w godzinach szczytu. Zastanawiał się, co prawda, czy nie przenocować w mieście, co byłoby najrozsądniejszym wyjściem, ale znalazł z tuzin mało przekonujących powodów, dla których powinien wrócić, zamiast przyjąć zaproszenie asystentki producenta - dobrze zbudowanej brunetki o brązowych oczach.

Chciał szybko znaleźć się w swoim pokoju, paść na łóżko i spać do południa, ale zauważył światło i usłyszał jakieś głosy. Oto Pandora, zagorzały wróg małego ekranu, rozciągnięta na sofie oglądała o pierwszej w nocy powtórki programów. A co najdziwniejsze, wyglądało na to, że sprawia jej to przyjemność.

Coś podobnego, zdumiał się Michael, poznając serial. Kiedyś przed laty napisał parę odcinków. Obserwował Pandorę, czekając, aż nastąpi przerwa na reklamę.

- Cóż, oto jak upadają potęgi - skomentował.

Omów rzeczywiście tak się nie stało, gdy gwałtownie odwróciła się do drzwi. Usiadła i szybko zaczęła się zastanawiać nad jakimś wytłumaczeniem.

- Nie mogłam spać - powiedziała wreszcie, co nie było dalekie od prawdy. Nie dodała, że z powodu jego nieobecności. - Uznałam, że telewizja ma właściwości usypiające. To takie Valium dla umysłu.

Był zmęczony, śmiertelnie zmęczony, ale uświadomił sobie, jak cieszy go reakcja Pandory. Podeszedł do sofy, usiadł obok niej i oparł nogi o stolik do kawy zrobiony z grubego pnia.

- Kto go doprowadził do bankructwa? - spytał, nawiązując do serialu, który oglądała. Dobrze być w domu, pomyślał i westchnął.

- Pazerny współnik - odpowiedziała zadowolona, że wrócił do domu. - Nietrudno było się domyślić.

- W tym serialu nie chodzi o to, kto popełnia przestępstwo, tylko jak bohater manipuluje innymi, doprowadzając ich do upadku.

Udawała, że nie jest zainteresowana dalszym ciągiem, ale przesunęła się tak, żeby móc widzieć ekran.

- A więc jak ci poszło w Nowym Jorku? - spytała.

- W porządku. - Michael ściągnął but. - Trwało to wszystko parę godzin, ale w końcu doszliśmy do porozumienia.

Wyglądał na zmęczonego. Musi być naprawdę wykończony, pomyślała.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie zadają sobie tyle trudu dla jednej głupiej godziny w tygodniu - zauważyła.

Popatrzył na nią.

- To zwyczaj Amerykanów - odrzekł.

- Ale czym tu się tak podniecać? Zwykły kryminal, dobrzy chłopcy polują na złych chłopców i ich łapią. Wydaje się proste.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny za tak klarowne ujęcie sprawy. Powiem o tym na następnym spotkaniu z producentem.

- Naprawdę, Michael, wydaje mi się, że wszystko powinno iść gładko, zwłaszcza że zajmujesz się tym od lat.

- Wiesz coś na temat ego i paranoi?

- Słyszałam o tym - uśmiechnęła się.

- A więc dodaj do tego temperament artysty, wskaźniki i rosnący budżet. Nie zapomnij o właścicielu sieci. Od czterech lat nic nie idzie gładko. Jeśli serial *Ucieczka Logana* będzie szedł jeszcze przez następne cztery lata, też nie będzie gładko. To show - biznes.

- Głupi sposób zarabiania na życie - wzruszyła ramionami.

- Masz rację - mruknął Michael i zasnął.

Obejrzała do końca odcinek, wyłączyła telewizor i ściemniła światło.

Może by go tu zostawić, zastanawiała się, patrząc, jak smacznie śpi na sofie. Wyglądało na to, że jest mu wygodnie. Odgarnęła mu włosy z czoła. Pomyślała, że z pewnością obudziłby się ze sztywnym karkiem i w złym nastroju. Lepiej, żeby poszedł do siebie.

- Michael! - Potrząsnęła go za ramię.

- Hm?

- Chodź do łóżka.

- Myślałem, że nigdy o to nie poprosisz - powiedział i wyciągnął niepewnie rękę.

Rozbawiona potrząsnęła mocniej jego ramieniem.

- Dobra, dobra, kuzynie, pomogę ci wejść po schodach.

- Reżyser to idiota - orzekł, z trudem się podnosząc.

- Na pewno. A teraz zobaczymy, czy potrafisz stawiać stopy jedna przed drugą.

Idziemy, tędy. - Objęła go w pasie i zaczęła wyprowadzać z pokoju.

- Zmienił mój scenariusz.

- Spokojnie, stopień.

- Mówił, że w drugim akcie chce więcej emocji. Pies mu mordę lizał. Co on wie o emocjach?

- Pewno, to karzełek umysłowy - zgodziła się Pandora, kierując Michaela w stronę jego pokoju. Był cięższy, niż się spodziewała. - No, jesteśmy. - Pchnęła go na łóżko. - Czyż nie przyjemnie? - Przykryła go miękkim kocem z wielbłądziej wełny.

- Zdejmiesz mi spodnie? - spytał.

- Jeszcze czego - parsknęła.

- No wiesz, a mogłoby być zabawnie.

- Gdybym pomogła ci się rozebrać, przypuszczalnie nękałyby mnie koszmary nocne.

- Wiesz przecież, że za mną szalejesz. - Czuł się w łóżku jak w niebie. Mógłby z niego nie wychodzić przez tydzień.

- Zaczynasz bredzić, Michael. Powiem Charlesowi, żeby przyniósł ci rano gorącą herbatę z miodem.

- Ani się waż, chyba że ci życie niemiłe - ostrzegł, otwierając oczy i uśmiechając się do niej. - Dlaczego nie wejdiesz pod koc? Moglibyśmy się świetnie zabawić.

Pandora pochyliła się nad nim, aż jej usta znalazły się o parę cali od jego ust. Poczekała jeszcze chwilę, włosy opadły jej na twarz i dotknęły jego policzka.

- Na pewno nie - szepnęła.

- Masz rację. - Ziewnął i odwrócił się na drugi bok. Stała jeszcze przez chwilę w ciemności. Czyżby chciał ją obrazić? Wyprostowała się dumnie i wyszła z pokoju, upewniając się, że zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 5

Kamyk po kamyku Pandora składała naszyjnik zniszczony przez tajemniczego intruza. Po ukończeniu pracy popatrzyła z satysfakcją na swoje dzieło. Satysfakcja była tym większa, że sama była swoim najbardziej surowym krytykiem. Nie zawsze podchodziła tak emocjonalnie do tego, co tworzyła. Tym razem jednak tak właśnie było. Oglądała naszyjnik pod szkłem powiększającym, patrzyła na niego w ostrym świetle i pod światło, sprawdzała milimetr po milimetrze i nie znalazła najmniejszej skazy. W pracę tę włożyła dużo serca i teraz, gdy umieszczała naszyjnik w wyściełanej jedwabiem kasetce, poczuła nagle żal, że już do niej nie należy.

Rozejrzała się bezradnie po pracowni. Nie bardzo wiedziała, co robić. Nie miała jeszcze w planach następnego projektu. Żadna pracy wzięła do ręki blok i zaczęła szkicować.

Może kolczyki, zastanawiała się. Coś śmiałego w formie, krzykliwego. Pragnęła zmiany po delikatnym eleganckim naszyjniku, któremu poświęciła tyle czasu. Koła i trójkąty, geometryczne wzory, nowoczesne, agresywne. Nic romantycznego i wysublimowanego jak ten naszyjnik.

Naszkirowała silne, zdecydowane linie. Przedtem była tak zaabsorbowana romantyczną formą, że być może dlatego omal się nie zbłądziła przed Michaeliem. Jej uczucia były nierozłącznie związane z pracą, a wykonywała coś delikatnego, kobiecego, subtelnego. Tak, tak właśnie było, uznała. Teraz zajmie się czymś mocnym, odważnym, agresywnym. W ten sposób problem sam się rozwiąże.

Przed wszystkim problem nie powinien być powstać. Zaciśnięła usta, zgmiotła kartkę i zaczęła od nowa. Jej stosunek do Michaela był zawsze jasno określony. Nietolerancja. A jeśli kogoś nie tolerujesz, to byłoby wbrew naturze, gdyby cię pociągał.

Zresztą trudno tu mówić o pociągu. Raczej o pokrętej... ciekawości. Tak, ciekawość. To właściwe słowo. Była ciekawa, jak może na nią działać seksualnie mężczyzna, którego znała od dzieciństwa. Była ciekawa, co takiego jest w Michaelu Donahue, że pociąga wszystkie te dziewczyny z okładek. I dowiedziała się.

Potrafił sprawić, że kobieta czuła się w pełni kobietą, uległą, oddaną. Nic takiego nie przytrafiło jej się przedtem i za niczym takim nie tęskniła. Jej zdaniem był to rodzaj umiejętności. Uznała, że Michael jest mistrzem w tej dziedzinie. Choć nie winiła go za to, nie miała zamiaru znaleźć się w gronie kobiet pozostających pod jego urokiem. Gdyby wiedział... gdyby chociaż podejrzewał, że reaguje na niego, podobnie jak dziesiątki innych, chodziłby

dumny niczym paw. Gdyby odgadł, że od czasu do czasu chciałaby, żeby choć przez chwilę pomyślał o niej tak jak o tuzinach innych kobiet, rozkoszowałby się tym dwa razy dłużej. Nie zrobi mu tej przyjemności.

Indywidualizm był częścią jej osobowości. Nie chciała być jedną z jego kobiet, nawet gdyby mogła się nią stać.

Teraz, kiedy już zaspokoila ciekawość, może przebrnąć przez następne pięć miesięcy bez dalszych komplikacji.

Ponieważ uznała, że od biedy może zaakceptować Michaela, jego towarzystwo też nie będzie jej wadzić. Miała nadzieję, że uda im się w miarę bezboleśnie przetrwać zimę pod jednym dachem.

Spojrzała na rysunek i z przerażeniem stwierdziła, że naszkicowała jego twarz. Dobrze uchwyciła rysy, oddała ich wyrazistość i butne spojrzenie, a równocześnie pewną wrażliwość i inteligencję. Była to interesująca twarz. Wyrwała kartkę z bloku, zmięła ją i cisnęła do kosza na śmieci. Po prostu zamyśliła się i bezwiednie to narysowała, ot i wszystko. Wzięła ołówek, odłożyła go, wyciągnęła szkic z kosza. Bądź co bądź to sztuka, powiedziała sobie, wygładzając portret.

Praca jakoś mu nie szła. Siedział przy biurku i stukał w maszynę jak oszalały przez pięć minut. Potem przez piętnaście patrzył przed siebie. To do niego niepodobne. Kiedy zaczynał pisać, pracował bez przerwy, dopóki nie skończył odcinka.

Odchylił się w krześle i wziął do ręki ołówek. Trzymał go tak, jakby to był papieros. Niezależnie od tego, co mówią statystyki, nie powinien był rzucać palenia. To dlatego nie jest w stanie się skupić. Wstał od biurka i podszedł do okna. Pawilon, w którym pracowała Pandora, był dobrze widoczny. Wyglądał swojsko, pokryty cieniutką warstewką pierwszego śniegu.

Pandora nie jest taka, jak się spodziewał. Jest delikatniejsza, subtelniejsza, cieplejsza. Rozmowa z nią sprawia mu przyjemność bez względu na to, czy się spierają i zawzięcie dyskutują, czy spokojnie wymieniają poglądy na różne sprawy. Z Pandorą nie prowadzi się banalnych rozmówek o niczym, nie wygłasza się sloganów i komunałów. Trzeba cały czas uważać i wytężyć umysł.

Niełatwo mu było przyznać się, że właściwie polubił jej towarzystwo. Tygodnie, które spędzili razem w Jolley's Folley, minęły niespodziewanie szybko, przy czym nie groziła im nuda. Odrzucił atrakcyjne zaproszenie od asystentki swego producenta, ponieważ... Ponieważ, przyznał po chwili namysłu, nie chciał spędzić nocy z kobietą, wiedząc, iż myślami byłby z inną.

W jaki sposób ma teraz przezwyciężyć ten nieoczekiwany i niepożądany pociąg do kobiety, która prędzej wybierze się z nim na eskapadę rowerową niż na spacer przy księżycu?

Romantyczne kobiety zawsze go pociągały, ponieważ sam był, nie da się ukryć, romantyczny. Lubił światło świec, cichą muzykę, długie samotne spacer. Adorował kobiety w sposób staroświecki, bo gustował we wszystkim, co trąciło myszką. Nie kłóciło się to z faktem, że od czasu studiów był zagorzałym zwolennikiem równouprawnienia. Romantyzm i poglądy społeczne to były dwa różne światy. Fakt, że był zwolennikiem jednakowej płacy za jednakową pracę niezależnie od płci, nie przeszkadzał mu w zaproponowaniu kobiecie przejażdżki po parku dorożką.

Wiedział, że gdyby posłał Pandorze tuzin białych róż, narzekałaby na kolce.

Pragnął jej. Nawet nie starał się udawać, że jest inaczej. A kiedy czegoś lub kogoś pragnął, zmierzał do tego jednym z dwóch sposobów. Planował najlepszą strategię, a potem, po zrobieniu pierwszego kroku, subtelnie manewrował. Jeśli te zabiegi nie przynosiły rezultatów, rezygnował z subtelności i sięgał po to, czego chciał, obiema rękami. Na ogół ani jedna, ani druga metoda go nie zawiodła.

O ile zdołał się zorientować, żadna z nich nie nadawała się do zdobycia Pandory. W jej przypadku należało obmyślić nową strategię.

Interesujące wyzwanie, uznał, uśmiechając się do siebie. Nic bardziej go nie podniecało niż nowe wyzwanie. Czy kiedykolwiek przyszedłoby mu do głowy, że Pandora okaże się tak fascynującą osobowością? Będzie musiał nad nią popracować jak nad scenariuszem.

Bohater i bohaterka mieszkają w jednym domu, zaczął. Pociągają się wzajemnie, choć niechętnie się do tego przyznają. Bohater jest inteligentny, czarujący. Ma ogromną siłę woli. Czyż nie rzucił palenia pięć tygodni, trzy dni i czternaście godzin temu? Bohaterka jest osobą upartą i zaciętą, często arogancję myli z niezależnością. Bohater powoli kruszy pancerz, za którym się chroni, ku ich obopólnemu zadowoleniu.

Rozparł się w fotelu i zachichotał. Mógłby zrobić z tego sztukę. Trzeba by dodać trochę akcji, ale wątek główny już ma. Oczami wyobraźni widział już swoje dzieło na deskach scenicznych, ale musiał wrócić do serialu.

Pracował bez przerwy przez dwie godziny. Niechętnie odpowiedział na pukanie do drzwi.

- Przepraszam, panie Donahue - powiedział Charles, dysząc jeszcze po wejściu na schody.

- Słucham... - Michael skończył akapit.

- Telegram do pana.

- Telegram? - zdziwił się Michael. Jeśli w Nowym Jorku wyniknęły jakieś problemy, powinni zadzwonić. - Dziękuję - odparł, biorąc telegram od Charlesa. - Pandora jeszcze u siebie?

- Tak, sir - odrzekł. - Sweeney jest zła, że panna McVie nie była na lunchu. Kolacja będzie za godzinę. Odpowiada to panu?

- Oczywiście. Powiedz Sweeney, żeby się nie martwiła.

- Dziękuję, sir, i jeśli mi wolno powiedzieć, to bardzo lubię pana serial. Ostatni odcinek był pasjonujący.

- Miło mi to słyszeć, Charles - ucieszył się Michael.

- Z panem McVie oglądaliśmy go razem. Nie opuścił ani jednego odcinka.

- Gdyby nie Jolley, prawdopodobnie nie byłoby serialu - zamyślił się Michael. - Bardzo mi brak wuja.

- Nam wszystkim. Dom wydaje się taki cichy i pusty, ale ja... - Charles zawahał się.

- Mów, Charles - zachęcił go Michael.

- Chciałbym, żeby pan wiedział, że Sweeney i ja bardzo się cieszymy, że możemy służyć panu i pannie McVie. Byliśmy zadowoleni, że pan McVie zostawił wam swój dom. Inni... - Wyprostował się i zaczerpnął tchu. - Oni by się nie nadawali do tego domu. Sweeney i ja postanowiliśmy, że odejdziemy, jeśli pan McVie zostawi Folley jednemu z pozostałych spadkobierców. - Charles skrzyżował ręce. - Będzie pan jeszcze czegoś potrzebował przed kolacją, sir?

- Nie, Charles, dziękuję.

Stary lokaj wyszedł z pokoju. Znał Michaela od czasu, gdy ten był małym chłopcem. Michael dokładnie pamiętał, kiedy Charles przestał go tytułować paniczem, a zaczął się do niego zwracać „pan”. Miał wtedy szesnaście lat i przyjechał do Folley na wakacje. Gdy Charles po raz pierwszy powiedział do niego „Pan Donahue”, Michael poczuł się tak, jakby jednym krokiem przeskoczył z dzieciństwa w dorosłość.

Nie do wiary wprost, jak bardzo jego życie było związane z Folley i ludźmi, którzy tu mieszkali. Charles podał mu jego pierwszą whisky w dniu osiemnastych urodzin. A znacznie wcześniej Sweeney po raz pierwszy wytargała go za ucho. Rodzice nie zwracali przesadnej uwagi na jego zachowanie, a nauczyciele by sobie nie pozwolili na skarcenie go. Michael pamiętał, że kiedy pieczenie ustało, poczuł, że stał się częścią rodziny.

Pandora jako młoda dziewczyna była nieznośna i kapryśna. Nie zmieniła się tak bardzo, jak przypuszczał. A Jolley był ojcem, dziadkiem i przyjacielem zarazem.

Jolley to był Jolley i Michael powiedział prawdę, mówiąc Charlesowi, że bardzo za nim tęskni. Wiedział, że zawsze już będzie odczuwał brak wuja. Nagle przypomniał sobie o telegramie, który trzymał w ręku.

„Twoja matka jest poważnie chora. Lekarze nie robią nadziei. Natychmiast przyleć do Palm Springs. L. J. Keyser”

Przez prawie minutę wpatrywał się w telegram. To niemożliwe. Matka nigdy nie chorowała. Uważała chorobę za coś zdrożnego. Przez moment nie dowierzał własnym oczom, był zaszokowany. Sięgnął po telefon.

Kiedy piętnaście minut później Pandora weszła do jego pokoju, zastała go przy pakowaniu walizki. Uniosła brwi ze zdziwienia.

- Wybierasz się gdzieś? - spytała.

- Do Palm Springs - rzucił.

- Naprawdę? W poszukiwaniu cieplejszego klimatu?

- Z powodu matki. Dostałem telegram od jej męża. Pandora natychmiast zaniechała sarkastycznego tonu.

- Jest chora? - zaniepokoiła się.

- Z telegramu niewiele wynika, ale nie wygląda to dobrze.

- Och, Michael, tak mi przykro. Czy mogę ci w czymś pomóc? Może zadzwonię na lotnisko?

- Już to zrobiłem. Mam samolot za dwie godziny. Leci okrężną drogą, ale nie mam wyjścia.

- Jeśli chcesz, odwiozę cię na lotnisko - zaproponowała.

- Nie, w każdym razie dziękuję. - Popatrzył na nią. Wyglądała na zmartwioną, choć, jak sobie uzmysłowił, spotkała jego matkę tylko raz, dziesięć, może piętnaście lat temu. Była zatroskana z jego powodu. - Pandoro, dotarcie na wybrzeże zajmie mi pół nocy. A potem sam nie wiem... - Urwał, nie będąc w stanie wyobrazić sobie, że jego matka jest poważnie chora. - Być może nie zdążę wrócić na czas, to znaczy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Nie myśl o tym. - Potrząsnęła głową. - Zadzwonię do pana Fitzhugh i wszystko mu wyjaśnię. Może coś poradzi. Tak czy inaczej to sytuacja wyjątkowa. A jeśli mu się nie uda, to trudno.

Podejmował krok, który może ją kosztować utratę milionów dolarów i domu, który kochała. Podeszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach. Była taka szczupła. Zapomniał już, jak delikatna może być silna kobieta.

- Wybacz, Pandoro - powiedział. - Gdyby istniała inna możliwość...

- Powiedziała ci, Michael, że nie chcę pieniędzy. Mówiłam poważnie.

Obserwował ją przez chwilę. Tak, były w niej siła, upór i dobroć, której dotychczas nie dostrzegał.

- Wierzę, że tak jest.

- Co do reszty, zobaczymy. A teraz idź już, żebyś się nie spóźnił na samolot. - Poczekala, żeby zamknął walizkę, i wyszła z nim do holu. - Zadzwoń, jak będziesz mógł, i daj mi znać, co z matką.

Skinął głową i ruszył ku schodom, ale zatrzymał się jeszcze. Postawił walizkę, wrócił do Pandory i przyciągnął ją do siebie. Ich pocałunek był długi, namiętny. W końcu odepchnął ją równie gwałtownie, jak przytulił.

- Do zobaczenia - rzucił.

- Do zobaczenia - wykrztusiła.

Stała nieporuszona do momentu, aż usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Miała dużo czasu na rozmyślania o tym pocałunku - w czasie kolacji, którą jadła w samotności, wtedy, gdy próbowała czytać przy kominku w salonie. Odnosiła wrażenie, że w tym krótkim zetknięciu było więcej pasji, niż doświadczyła w którymkolwiek ze swych ostrożnie dobieranych związków. Czy może dlatego, że zawsze traktowała z pasją tylko swoją pracę?

Może było tak dlatego, że Michael miał kłopoty, a ona mu współczuła. Po raz drugi poczuła się w tym domu nie tylko sama, ale ku swemu zdziwieniu samotna. A przecież na kominku płonął ogień, w ręku miała ciekawą książkę, a brandy mile ją rozgrzewało.

A jednak czuła się samotna. Po upływie ponad miesiąca przyzwyczaiła się do towarzystwa Michaela. Nawet czekała na te chwile w ciągu dnia, które spędzali razem. Lubiała siedzieć naprzeciw niego przy stole, dyskutować z nim, kłócić się. A już najbardziej lubiała patrzeć, jak się złości, ilekroć powiedziała coś uszczypliwego na temat jego pracy. Czyżby perwersja? - pomyślała i westchnęła. Może i była trochę perwersyjna, ale życie bez utarczek byłoby takie nudne. A nikt nie nadawał się do utarczek lepiej niż Michael Donahue.

Zastanawiała się, kiedy go znów zobaczy. Rozważała, czy teraz zaniechają spędzenia razem zimy. Jeśli warunki testamentu zostaną naruszone, nie będzie żadnego powodu, by mieli przebywać razem. Co więcej, nie będą mieli prawa mieszkać w Folley. Wrócą oboje do Nowego Jorku, do swoich zajęć, do swego środowiska, do życia tak różnego, że nie dawało im okazji do spotkań. Dopiero teraz, gdy ta perspektywa stała się realna, Pandora uświadomiła sobie, jak bardzo nie chce, żeby tak się stało.

Nie chciała stracić Folley. Zbyt wiele ważnych wspomnień wiązało się z tym miejscem. Czyż nie zanikną stopniowo, gdy nie będzie mogła chodzić z pokoju do pokoju i wywoływać ich z zakamarków pamięci? Nie chce też utracić Michaela. Jego towarzystwa, skorygowała szybko. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak dobrze jest mieć kogoś obok siebie, spotykać go dzień w dzień. Był to dla niej rodzaj wyzwania, którego nie chciała się wyrzec. Życie stałoby się straszliwie monotonne. Skoro Michael wnosił w nie więcej ikry, to chyba nic dziwnego, że pragnęła jego obecności?

Westchnęła, zamknęła książkę i postanowiła położyć się wcześniej spać. Wyciągnęła rękę, żeby wyłączyć lampę, ale nagle światło zgasło. Tylko ogień na kominku rozjaśniał wnętrze.

Dziwne, pomyślała, i sięgnęła do kontaktu. Nic z tego. Najwyraźniej przepaliła się żarówka. Gdy wyszła do holu, okazało się, że i ten pograżony jest w ciemnościach. Nie świeciła się żadna lampa.

Wysiadło zasilanie. Elektryczność w Folley regularnie zawodziła w czasie burzy czy śnieżycy, ale wtedy po paru minutach włączał się generator. Teraz jednak nic takiego nie nastąpiło. Dom nadal spowijały ciemności. Dotarło do niej, że do tej pory nie znajdowała się w takich ciemnościach. Nie wiedziała, że może być aż tak ciemno. Już miała zawrócić do salonu po świecę, gdy nagle uzmysłowiła sobie, że przecież dom jest ogrzewany prądem. Jeśli tak dalej pójdzie, wyziębi się. Nie może do tego dopuścić, mając w domu dwie osoby po siedemdziesiątce.

Znalazła trzy świece w srebrnym lichtarzu. Zapaliła je. Nie było sensu budzić Charlesa. Pewnie wysiadły bezpieczniki. Sama się z tym upora. Trzymając przed sobą świecznik, skierowała się ku drzwiom do piwnicy. Nie bała się iść tam sama po ciemku. W każdym razie tak sobie mówiła, stojąc z ręką na klamce. To w końcu tylko jeszcze jeden pokój. I to taki, który jest pełen pamiątek po licznych hobby wuja Jolleya. Skrzynka z bezpiecznikami tam właśnie się znajduje. Widziała ją, kiedy pomagała wujowi usunąć sprzęt fotograficzny, gdy zrezygnował z pomysłu, by zostać fotografikiem portrecistą. Zejdzie więc na dół, znajdzie zepsuty bezpiecznik i wymieni go na nowy. Jak tylko to zrobi, weźmie gorącą kąpiel i pójdzie spać.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i otworzyła drzwi.

Schody skrzypiały. Można się było tego spodziewać. Były strome i wąskie, jak zwykle schody do piwnicy z prawdziwego zdarzenia. Światło świecy rzucało mdły blask na skrzynie i pudła zgromadzone tutaj przez wujka. Będzie musiała spytać Michaela, czy pomoże jej to jakoś

uporządkować. Któregoś dnia wczesnym popołudniem, jak jeszcze będzie jasno. Żeby dodać sobie otuchy, zaczęła nucić nerwowo jakąś melodię.

Trzymała świece wysoko i sprawdzała podłogę przed sobą. Wiedziała, że myszy lubią takie miejsca, a nie czuła do tych zwierząt szczególnej sympatii. Nie zauważyła jednak żadnego podejrzanego ruchu. Klucząc między pudłami, poszła w kierunku skrzynki z bezpiecznikami. Odetchnęła z ulgą, widząc, że znajduje się w miejscu, które zapamiętała. Postawiła lichtarz na pudle, otworzyła metalową skrzynkę i zajrzała do środka. Nie było tam ani jednego bezpiecznika.

- Co, u diabła? - mruknęła Kiedy przysunęła się bliżej, stopą pchnęła coś, co poturlało się po betonowej podłodze. Stłumiła krzyk i opanowała chęć ucieczki. Wstrzymała oddech i przez chwilę czekała nieporuszona. W końcu podniosła świecznik i przykucnęła. Na podłodze leżało dwanaście bezpieczników. Podniosła jeden. W piwnicy mogło się gnieździć całe stado myszy, ale trudno przypuszczać, by opróżniły skrzynkę z bezpiecznikami.

Zadrzała i zaczęła zbierać bezpieczniki. Złośliwy kawał, pomyślała, kolejny głupi kawał. Dokuczliwy, ale na szczęście nie tak kłopotliwy, jak ten w jej pracowni. Nawet niezbyt sprytny, uznała, bo cóż prostszego jak włożyć bezpieczniki z powrotem na miejsce.

Zrobiła to, najszybciej jak potrafiła, nie oglądając się za siebie. Ktokolwiek tu był, pomyślała, naraził ją tylko na niepotrzebną stratę czasu, to wszystko.

Skończyła i pospiesznie wbiegła schodami na górę, ale westchnienie ulgi okazało się przedwczesne. Drzwi, które zostawiła otwarte, były zamknięte. Przez chwilę nie wierzyła własnym oczom. Przekręcała gałkę, pchała, naciskała, znowu przekręcała. Na próżno. Przeraziła się. Była zamknięta w ciemnym pomieszczeniu. Waliła w drzwi, krzyczała, w końcu siadła na najwyższym stopniu bliska płaczu. Nikt jej nie usłyszy. Charles i Sweeney spali w drugim skrzydle domu.

Przez pięć minut rozczulała się nad sobą. Jest sama, całkiem sama, zamknięta w ciemnej piwnicy, do rana nikt jej nie znajdzie. Już jest zimno, a robi się jeszcze zimniej. Zanim nadejdzie świt, świece się wypalą i zostanie w zupełnych ciemnościach. To najgorsze, co może ją spotkać. Brak światła.

Światło, pomyślała, ależ ze mnie idiotka. Czyż właśnie nie włączyła bezpieczników? Wstała i sięgnęła do kontaktu. Nic. Stłumiła okrzyk i podniosła świece wyżej. Żarówki u sufitu nie było.

A więc nie zapomnieli i o tym, pomyślała. Jednak byli sprytni. Opanowała uczucie paniki i spróbowała zastanowić się nad sytuacją. Chcieli, żeby wpadła w panikę, ale nie za-

mierza dać im tej satysfakcji. Jeśli tylko wykryje, kto z kochanej rodziniki bawi się w tę podłą grę...

To później. Teraz musi znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Drżała, ale powiedziała sobie, że to ze złości. Czasem warto skłamać samej sobie. Trzymając wysoko świecznik, zeszła z powrotem na dół.

Piwnica była dwa razy większa niż jej mieszkanie w Nowym Jorku, przestronna i pozbawiona wszelkich ozdób, które tak lubił wuj Jolley. Było to ciemne i trochę wilgotne pomieszczenie z betonową podłogą i kamiennymi ścianami. Nie chciała myśleć o pająkach czy innych mieszkańcach czających się po kątach. Powoli, starając się zachować spokój, zaczęła szukać jakiegoś wyjścia.

Nie było tu drzwi, ale w końcu znajdowała się parę jardów pod ziemią. Jak w grobie. Ta myśl jej nie zdenerwowała. Skoncentrowała się na innych sprawach. Była nieraz w tej piwnicy, ale nigdy nie interesowała się jej konstrukcją. Teraz musi o tym pomyśleć i udawać, że dłonie nie pocą się jej ze strachu.

Przeszła obok stosu pudeł sięgających jej do ramienia i nagle zaplątała się w pajęczynę. Stłumiła krzyk. Bardziej zdegustowana niż przestraszona, wyswobodziła się jakoś. Nie zrobi z siebie idiotki, nawet jeśli nikt jej nie widzi. Ktoś jej za to zapłaci, postanowiła, torując sobie drogę wśród skrzyń i kłopotów.

Nagle zobaczyła małe okienko, wysoko nad głową. Choć było naprawdę mikroskopijne, odetchnęła z ulgą. Postawiła lichtarz na półce i zaczęła przyciągać skrzynie. Bolały ją ręce i plecy, ale ustawiła je przy ścianie. Gdy wbiła sobie pierwszą drzazgę, zakląła, po trzeciej przestała liczyć. Zlana potem oparła się o tak skonstruowaną drabinę. Teraz musi się na nią wspiąć. Z lichtarzem w jednej ręce, pomagając sobie drugą, zaczęła się wdrapywać na piramidę. Skrzynie nie były stabilne, chwiały się niebezpiecznie. Przemknęło jej przez głowę, że jeśli spadnie, będzie do rana leżała na betonie ze złamaną nogą. Postanowiła o tym nie myśleć.

Kiedy sięgnęła okna, stwierdziła, że uchwyt jest zardzewiały i nie chce ustąpić. Udało jej się jakoś umieścić lichtarz na jednej ze skrzyń i spróbowała otworzyć okno obiema rękami. Ledwo drgnęło. Żałowała, że nie poszukała jakiegoś narzędzia, którym mogłaby je podważyć. Przez chwilę rozważała nawet, czy by nie zejść z powrotem na dół, ale szybko zarzuciła ten pomysł. Z góry piramida skrzyń wydawała się jeszcze bardziej chybota.

Odwróciła się z powrotem do okna i niemal uwiesiła na uchwycie. Drgnął. Przekręciła go. Skrzynie poruszyły się niebezpiecznie. Świecznik przechylił się. Nie zdołała go chwycić.

Spadł na podłogę. Świece zgasły. Pandorze z trudem udało się odzyskać równowagę. Znajdowała się prawie trzy jardy nad podłogą w zupełnych ciemnościach.

Nie spadnę, powiedziała sobie, chwytając obiema rękami dolną ramę okna. Szarpnęła ją i otworzyła okno. Zaczęła się przeciskać na zewnątrz. Powiew rześkiego powietrza omal nie przyprawił jej o zawrót głowy. Kiedy była już do połowy na zewnątrz, odetchnęła głęboko. Gdzieś od strony wschodu rozległo się kwilenie ptaka. Wydawało jej się, że nigdy nie słyszała czegoś równie pięknego.

Uchwyciła się krzewu rododendronu i wysunęła do połowy. Usłyszała trzask spadających pudeł. Przycisnęła twarz do zimnej trawy. Pomału wydostała się, nie bacząc na drapiące ją gałęzie krzewu. Upadła na plecy i wpatrzyła się w rozgwieżdżone niebo. Leżała tak przez chwilę zmarznięta, podrapana, wyczerpana. Oddychała ciężko. Wreszcie podniosła się i poszła do drzwi od strony tarasu.

Zaprzyjęła zemstę, ale przede wszystkim postanowiła się wykąpać.

Po trzech międzylądowaniach i dwóch przesiadkach Michael znalazł się wreszcie w Palm Springs. Nic się tu nie zmieniło od czasu jego ostatniego pobytu. Przyjeżdżał tu z najwyższą niechęcią. Ale teraz, myśląc o ciężko chorej matce, czuł wyrzuty sumienia.

Rzadko ją widywał. To prawda, że i ona nie tęskniła za jego widokiem, ale w końcu była jego matką. Nadawali na różnej długości fal od dnia, gdy przyszedł na świat, ale opiekowała się nim i troszczyła się o niego. Nawet jeśli ograniczało się to tylko do wynajmowania opiekunek. Uświadomił sobie, że nigdy nie był przywiązany do rodziców, nie rozumieli się.

Wyszedł szybko z dworca lotniczego i złapał taksówkę. Podał adres matki i skorygował czas na zegarku. Nawet uwzględniając godziny, jakie zyskał, czas odwiedzin w szpitalu prawdopodobnie się skończył. Mimo to postara się z nią zobaczyć, ale najpierw musi się dowiedzieć, w którym szpitalu leży. Gdyby się chwilę zastanowił, zadzwoniłby wcześniej i pojechał tam prosto z lotniska.

Jeśli nie zostanie w domu męża matki, ktoś ze służby go poinformuje. Może nie jest aż tak źle, jak to wynikało z telegramu. W końcu matka jest jeszcze stosunkowo młoda. Nagle uzmysłowił sobie, że nie ma pojęcia, ile ma lat. Wątpił, czy wie to jego ojciec, a już na pewno nie obecny mąż. W innych okolicznościach uznałby ten fakt za zabawny.

Obserwował mijane po drodze rezydencje tutejszej elity. Ze względów zawodowych mieszkał przez dłuższy czas w Kalifornii, ale wolał Los Angeles niż Palm Springs. Tam przynajmniej było trochę ruchu i życia. Najlepiej jednak czuł się w Nowym Jorku, wśród zatłoczonych ulic i drapaczy chmur, gdzie szaleńcze tempo odpowiadało jego temperamentowi.

Wrócił myślami do Pandory. Oboje mieszkali w Nowym Jorku, ale nigdy się nie widywali, chyba że w Folley, na północ od miasta. Miasto mogło cię połknąć albo ukryć. To kolejny aspekt, który Michael bardzo sobie cenił.

Czyż nie często się ukrywał? Przed swoim dławiącym wychowaniem, przed powracającym brakiem wiary w ród ludzki? W Folley czuł się najswobodniej, ale w Nowym Jorku najbezpieczniej. Jeśli chciał, mógł tam być zupełnie anonimowy. A bywały takie okresy, kiedy niczego bardziej nie pragnął. Na swój własny sposób pisał o zasadniczych wartościach i podstawowych prawach.

Wychowywał się w świecie iluzji i hipokryzji właściwej bogaczom, wśród wartości, które okazały się nietrwałe. Wyrwał się stamtąd, żeby żyć na własny rachunek. Nowy Jork mu to umożliwił, bo tam bez trudu oderwał się od swoich korzeni.

Taksówka kluczyła wśród palm, zbliżając się do wysokiego białego domu, który upodobała sobie jego matka.

- Proszę zaczekać - zwrócił się do kierowcy, kiedy zatrzymali się przed domem. Zastukał do drzwi. Otworzył mu lokaj, którego nie znał. Matka miała zwyczaj regularnie zmieniać służących, żeby za bardzo się nie zadomowili.

- Michael Donahue - przedstawił się. - Jestem synem pani Keyser.

Lokaj rzucił okiem na taksówkę, po czym zerknął na wygnieciony sweter Michaela i nieogoloną twarz.

- Dobry wieczór, sir - powiedział. - Czy państwo oczekują pana?

- Gdzie jest moja matka? Chcę pojechać prosto do szpitala.

- Pańskiej matki nie ma w domu. Zechce pan zaczekać, zorientuję się, czy pan Keyser może pana przyjąć.

Michael wszedł do środka, nie zważając na lokaja.

- Wiem, że matki nie ma. Chcę ją jeszcze dzisiaj zobaczyć. Może mi pan podać nazwę szpitala?

- Jakiego szpitala, proszę pana? - zdziwił się lokaj.

- Jackson, co to za taksówka? - Lawrence Keyser, ubrany w bordową marynarkę, schodził na dół. W jednej ręce trzymał cygaro, w drugiej szklaneczkę brandy.

- Cóż, Lawrence... - Michael zaczynał już wpadać w furję. - Nieźle sobie poczynasz. Gdzie moja matka?

- Ach, to... Matthew.

- Michael - skorygował.

- Oczywiście, Michael. Jackson, zapłać za taksówkę pana. .. Donavana.

- Nie, dziękuję, Jackson. - Michael powstrzymał go ruchem ręki. W innej sytuacji rozśmieszyłby go ojczym, rozpaczliwie usiłujący przypomnieć sobie jego nazwisko. - Pojadę nią do szpitala. Nie będę ci sprawiał kłopotu.

- Ależ skąd - zaprotestował Keyser. Był potężny, tęgi i łysawy. Posłał Michaelowi przyjacielski uśmiech. - Weronika ucieszy się, że przyjechałeś, choć nie wiedzieliśmy, że jesteś w mieście. Długo zabawisz?

- Tak długo jak będzie trzeba. Wyleciałem natychmiast po otrzymaniu telegramu. Nie podałeś nazwy szpitala. Ale skoro jesteś w domu, spokojny i zrelaksowany, to zakładam, że stan matki się poprawił?

- Stan? - Keyser roześmiał się jowialnie. - Cóż, nie wiem, jak ona potraktuje to określenie, ale możesz sam ją o to zapytać.

- Właśnie zamierzam to zrobić. Gdzie ona jest?

- Na brydżu u Bradleyów. Wróci mniej więcej za godzinę. Co byś powiedział na szklaneczkę brandy?

- Na brydżu! - Michael chwycił ojczyma za klapy marynarki i mocno nim potrząsnął. - Co, u licha, masz na myśli?

- Jak to? Sam nie cierpię brydża - tłumaczył się zdezorientowany - ale Weronika za nim przepada.

- Nie wysyłałeś do mnie telegramu? - Michaela nagle olśniło.

- Telegramu? - Keyser poklepał Michaela po ramieniu. - Po cóż miałbym ci wysłać telegram o grze w brydża?

- Matka nie jest chora? - dopytywał się dalej Michael.

- Zdrowa jak koń, choć wolałbym, żeby nie słyszała tego, co mówię.

Michael zaklął i obrócił się na pięcie.

- Ktoś mi za to zapłaci - mruknął.

- Dokąd idziesz? - zawołał za nim Keyser.

- Wracam do Nowego Jorku - rzucił Michael przez ramię, zbiegając ze schodów.

Keyser odetchnął z ulgą. Zrezygnował z konwencjonalnych protestów.

- Mam coś przekazać matce? - spytał jeszcze.

- Tak. - Michael zatrzymał się w progu. - Powiedz, że cieszę się, iż wszystko w porządku. I mam nadzieję, że wygra w piki. - Zatrzasnął drzwi taksówki.

Keyser odprowadził samochód wzrokiem.

- Dziwny chłopak - powiedział do lokaja. - Pisz dla telewizji.

ROZDZIAŁ 6

Pandora obudziła się o siódmej rano, gdy Michael padł na jej łóżko.

- Dranie - mruknął, wcisnął głowę w poduszkę i zamknął oczy.

Pandora usiadła, przypomniała sobie, że jest naga, i chwyciła prześcieradło.

- Michael! Miałeś być w Kalifornii. Co robisz w moim łóżku? - przeraziła się.

- Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin przyjmuję pozycję horyzontalną - odpowiedział z całym spokojem.

- Rób to we własnym łóżku - powiedziała stanowczo, ale złagodniała, widząc, jak bardzo jest zmęczony. - Twoja matka. - Chwyciła go za rękę. - Och, Michael, czy twoja matka...

- Gra w brydża - odpowiedział. - Tłukłem się przez cały kraj w puszcze z sardynkami, której przyczepiono skrzydła, po to tylko, by się dowiedzieć, że ona sący sherry i zbiera lewy.

- Jej stan się poprawił? - ucieszyła się Pandora.

- Nigdy nie był zły. Ten telegram był kiepskim żartem. - Ziewnął i przeciągnął się. - Boże, co za noc.

- Mówisz, że... - Pandora szarpnęła nerwowo prześcieradło. - Podłe kreatury!

- Owszem. Po drodze wymyślałem dziesiątki sposobów zemsty. Może nasz przyjaciel, który zniszczył ci pracownię, wyobrażał sobie, że teraz mój ruch. A więc zrobię go.

- To jeszcze nie koniec - powiedziała Pandora. - Tej nocy, kiedy cię nie było, ktoś mnie zamknął w piwnicy.

Michael natychmiast zapomniał o jej nagich ramionach i włosach spływających na plecy, które jeszcze przed chwilą pochłaniały całą jego uwagę.

- Zamknął? Jak to? - Popatrzył na nią zbity z tropu. Opowiedziała mu przebieg wydarzeń od momentu, gdy w domu zgasło światło.

- Wdrapałaś się na skrzynie? Do tego małego okienka? Przecież to prawie trzy jardy nad podłogą.

- Tak, zauważyłam.

Michael zerknął na nią z ukosa. Złość, jaką odczuwał z powodu nieprzespanej nocy i niepotrzebnej podróży, podwoiła się. Wyobrażał sobie, co mogła czuć - sama, zamknięta w ciemnej piwnicy. Co gorsza, wyobrażał ją sobie wdrapującą się na piramidę chwiejących się skrzyń i kartonów.

- Mogłaś sobie skrócić kark.

- Ale nie skróciłam. Podarłam tylko ulubioną parę rajstop, podrapałam oba kolana i uderzyłam się w ramię.

Michael z trudem, ale pohamował gniew. Da upust emocjom, gdy nadejdzie po temu czas.

- Mogło być gorzej - zauważył tylko i pomyślał, co zrobi, gdy dopadnie tego, kto ją zamknął.

- Było gorzej - odparowała urażona. - Podczas gdy ty sączyłeś whisky na wysokości trzydziestu tysięcy stóp, ja tkwiłam w zimnej, wilgotnej piwnicy w towarzystwie myszy i pajaków.

- Może jednak zawiadomimy policję?

- I po co? Nie możemy niczego dowieść. Nawet nie wiemy, kogo moglibyśmy podejrzewać.

- Nowa zasada - powiedział Michael. - Trzymamy się razem. Żadne z nas nie opuści nocą domu bez drugiego. W każdym razie dopóki nie odkryjemy, który z naszych zacnych krewnych uprawia tę grę.

Pandora już chciała zaprotestować, gdy przypomniała sobie, jak bardzo się bała i jak bardzo się czuła samotna.

- Zgoda - przytaknęła. - Teraz... - Przynęła się do niego. - Tym razem stawiam na wuja Carlsona. W końcu zna ten dom lepiej niż ktokolwiek inny. Mieszkał tu.

- Możliwe, ale tak czy inaczej to tylko domysły. - Michael utkwiał wzrok w suficie. - Biff też mieszkał tu przez sześć tygodni któregoś lata, kiedy byliśmy dziećmi.

- To prawda. - Pandora również wbiła wzrok w sufit. - Na śmierć o tym zapomniałam.

- Nigdy nie miał za grosz poczucia humoru - zachichotał Michael.

- Nie da się ukryć - przyznała Pandora. - I o ile sobie przypominam, nie lubił ciebie.

- Prawdopodobnie dlatego, że podbiłem mu oko. Pandora uniosła brwi.

- Nigdy o tym nie wspomniałeś. Dlaczego? - spytała.

- Pamiętasz żaby w swojej bieliźniarce?

- Oczywiście. To był dowcip w twoim stylu.

- A właśnie, że nie w moim, tylko Biffa - odparł triumfującym tonem.

- Biff to zrobił? - zdumiała się. - Chcesz powiedzieć, że ten mały podlec włożył mi żaby do bieliźniarki? I za to mu dołożyłeś? - Pandora najwyraźniej się ucieszyła.

- Nie było trudno.

- To dlaczego nie zaprzeczyłeś, kiedy powiedziałam, że to ty? - zdziwiła się.

- Bo sprawiło mi większą satysfakcję dołożenie Biffowi. W każdym razie on wystarczająco dobrze zna dom. Myślę, że gdybyśmy się postarali, okazałoby się, że większość członków naszej rodziny bawiła tu kiedyś przynajmniej po parę dni. Znalezienie skrzynki z bezpiecznikami w piwnicy nie wymaga specjalnego sprytu. Pomyśl, Pandora. Jest ich sześć, a dodając zapis na cele dobroczynne, siedmioro do podziału. Podziel sto pięćdziesiąt milionów na siedem, a sama zobaczysz, że każde z nich ma dostateczną motywację. Każdy ma powód, żeby uniemożliwić nam dotrzymanie warunków. Żaden, o ile się orientuję, nie byłby zdolny do tego, by nam pomóc.

- To jeszcze jeden powód, dla którego pieniądze nigdy mnie nie pociągały - stwierdziła Pandora. - Nie zrobili niczego więcej, jak tylko zniszczyli moją pracę i dokuczali nam, ale, do licha, Michael, chcę im odplacić pięknym za nadobne.

- Odplacimy im ostatecznie za pięć miesięcy. - Michael bezwiednie objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego. - Wyobrażasz sobie minę Carlsona, kiedy wola wuja zostanie spełniona, a on otrzyma czarodziejską różdżkę i magiczny kapelusz?

Ramię Michaela dawało pewniejsze oparcie, niż to sobie wyobrażała.

- A Biff zostanie z trzema kartonami zapalek - zachichotała. - Wuj Jolley wciąż się śmieje ostatni.

- My też będziemy się śmiać za parę miesięcy - dodał Michael.

- Oczywiście. Ale, ale... trzymasz buty na moim prześcieradle.

- Przepraszam. - Michael ściągnął je dwoma szybkimi ruchami.

- Niezupełnie o to mi chodziło - wyjaśniła. - Nie chcesz przypadkiem przenieść się do swego pokoju?

- Niespecjalnie. Twoje łóżko jest wygodniejsze niż moje. Zawsze sypiasz nago?

- Nie.

- A więc miałem szczęście. - Musnął ustami siniak na jej ramieniu. - Boli?

- Trochę. - Zadrżała lekko.

- Biedna mała Pandora. I pomyśleć, że zawsze mi się wydawało, że jesteś gruboskórna.

- Jestem...

- .. delikatna - dokończył i przeciągnął palcami wzdłuż jej ramienia. - Bardzo delikatna. Nie ma więcej obrażeń? - Przycisnął wargi do jej szyi. Zadrżeli oboje.

- W każdym razie nie takich, które byś zauważył.

- Jestem bardzo spostrzegawczy. - Przewrócił się na bok, tak że jego ciało stykało się z jej ciałem i spojrzał jej prosto w twarz. Był zmęczony. Tak, był zmęczony i trochę wybity z

rytmu przez zmianę czasu, ale nie na tyle, by zapomnieć, że jej pragnie. Nawet gdyby tak się stało, to sposób, w jaki jej ciało reagowało na jego dotyk, od razu przywróciłby mu pamięć. - Może bym poszukał? - Jego palce powędrowały w dół, tam gdzie prześcieradło wznosiło się kusząco na piersiach.

Wstrzymała oddech, nie chcąc dać po sobie poznać, jak bardzo poruszają najłżejszy dotyk jego ręki. Czy mogła sobie pozwolić na sięgnięcie po coś, co jest tylko złudzeniem? Nie może liczyć na to, że to będzie coś trwałego. Michael jest z nią teraz tylko dlatego, że sytuacja temu sprzyja i że oprócz niej nie ma tu żadnej innej kobiety. Dlaczego tak łatwo o tym zapomina?

Widziała jego twarz tuż obok swojej. Dostrzegała szczegóły, których starała się nie zauważać w ciągu wszystkich poprzednich lat. Szare tęczy, prosty, niemal arystokratyczny nos, który cudem jakoś ocalał z licznych bójek na pięści. Delikatny, szlachetny zarys ust. Ust gorących, zaborczych i namiętych, kiedy dotykały jej warg.

- Michael... - Zawahała się i wzięła go za rękę. Pandora nie była tak zimna i opanowana, na jaką pozowała.

A ponieważ nie była, mógł z łatwością zrobić z nią wszystko, co tylko by chciał. Zastanawiał się, czy z równą łatwością by się z tego wywinął.

- Michael, czeka nas jeszcze pięć miesięcy pod jednym dachem - przypomniawsza.

- Trafne spostrzeżenie. - Potrzebował ciepła. Pragnął kobiety. Może nadeszła chwila, by zaryzykować wszelkie konsekwencje takiego kroku. Zniżył głowę jeszcze bardziej, niemal dotykając wargami jej ust. - Nie warto ich tracić.

Pozwolę sobie na trochę swobody, pomyślała, tylko raz. Tylko przez chwilę. On jest ciepły i ma delikatne dłonie. Ta noc była długa, zimna i przerażająca. Niezależnie od tego, jak bardzo nienawidziła tej myśli, musiała przyznać, że go potrzebuje. A teraz go ma. Jest obok niej. Daje jej poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Rozchyliła wargi.

Nie robił żadnych planów, kiedy wchodził do jej pokoju. Po prostu chciał koło niej leżeć i z nią rozmawiać. Nie kierowały nim zmysły. Pragnął jedynie znaleźć się w domu i być z Pandorą. Kiedy przytuliła się do niego, było czymś naturalnym, że ogarnęła go tęsknota. Nie chciał niczego więcej, niż zostać tu, gdzie jest, przytulić się, ogrzać.

W niej też namiętność nie wrzała, ale wzmagała się powoli jak napar, który pozostawiono na wolnym ogniu, dodając po trochu przypraw. Raz skosztować, potem drugi, i smak się zmienia, wzbogaca, intensywniej. Tak właśnie było z Michaeliem. Czuła jego smak, jego zapach, upajała się nim. Miała ochotę ulec zmysłom, poddać się żądzy, która powoli

zaczynała w niej wzbierać. Jeśli to zrobi, wszystko się zmieni. Trudno jej było przewidzieć jak, mogła tylko snuć domysły. A więc oparła się sobie i jemu, i temu, co mogłoby zajść między nimi.

- Michael... - zaczęła. - To nierozsądne. Pocałował jej przymknięte oczy.

- To najrozsądniejsze, co każde z nas zrobiło w ciągu ostatnich lat.

Miała ochotę przytaknąć, ale się powstrzymała.

- Michael, sytuacja jest dostatecznie skomplikowana. Gdybyśmy zostali kochankami i jakoś by się nie ułożyło między nami, to jak zdołalibyśmy ze sobą wytrzymać? Przecież mamy zobowiązania wobec wuja Jolleya.

- Jego wola nie ma nic a nic wspólnego z tobą i ze mną w tym łóżku.

Jak mogła zapomnieć, że jeśli on czegoś chce, to nigdy nie rezygnuje? Że kiedy ma tak zawzięty i uparty wyraz twarzy, wygląda jeszcze atrakcyjniej. Teraz albo musi mu się przeciwstawić, albo ulec.

- Jego wola ma jak najwięcej wspólnego z tobą i ze mną w tym domu. Jeśli zostaniemy kochankami i nasz wzajemny stosunek się zmieni, czekają nas wszystkie problemy i komplikacje, jakie się z tym wiążą.

- Wymień jakieś.

- Nie bądź śmieszny, Michael.

- Nie miałem najmniejszego zamiaru cię rozśmieszać - obruszył się.

Podobała mu się, kiedy tak leżała obok, z włosami rozrzuconymi w nieładzie na poduszce, z zaróżowionymi policzkami, z lekko odętymi wargami. Nigdy przedtem nawet jej sobie w ten sposób nie wyobrażał. Przez myśl by mu to nie przeszło.

- Pragnę cię, Pandoro. Nie ma w tym nic śmiesznego - oświadczył.

Nie, nie było to nic, z czego mogłaby się śmiać. Ale on tak nie myśli. To niemożliwe. Chciała jednak wierzyć jego słowom. Jeśli nie może zbyć ich śmiechem, musi być czujna i nie dopuścić do tego, żeby posunęli się za daleko.

- Nie można zostać kochankami o tak, po prostu, bez chwili namysłu - powiedziała. - Jeśli to przedyskutujemy...

- Nie chcę dyskutować na ten temat. - Przycisnął wargi do jej ust. Poczł, jak jej ciało stopniowo się rozluźnia. - Nie planujemy fuzji przedsięwzięcia, Pandoro, mamy się kochać.

- Otóż to. - Odrzuciła wszelkie tęsknoty i pragnienia. Musi być praktyczna. To jej podstawowa zasada. - Jesteśmy partnerami w interesach. Co gorsza, jesteśmy partnerami w interesach rodzinnych, przynajmniej przez następne parę miesięcy. Gdybyśmy zmienili teraz ten stan, mogłoby to...

- Gdybyśmy... - przerwał jej. - Mogłoby... Czy zawsze musisz mieć gwarancje?

- Zdrowy rozsądek każe brać pod uwagę wszystkie aspekty.

- Domyślam się, że twój potencjalny kochanek będzie musiał wypełnić formularz zgłoszeniowy - zadrwił.

- Nie bądź wulgarny. - Głos jej drżał, ale musiała przyznać, że słowa Michaela były na swój sposób bliskie prawdy.

- Wolę być wulgarny, niż mieć twój zdrowy rozsądek.

- Nigdy nie miałaś za grosz zdrowego rozsądku - odparowała. - W przeciwnym razie każdy twój romans z biuściastą blondynką nie byłby od razu tajemnicą publiczną. Nie stać cię nawet na odrobinę dyskrecji.

- Trafiłaś w sedno. - Michael usiadł. - Nie zapomnij o brunetkach i rudych - dodał.

Nie zapomniała. Obiecała sobie, że nie zapomni.

- Nie chcę teraz na ten temat mówić. - Jej oczy ciskały błyskawice.

- Sama zaczęłaś, a więc skończmy. Chodzę z kobietami do łóżka, zatem zakuj mnie za karę w kajdany. Nawet to lubię.

- O, jestem tego pewna - syknęła.

- Z żadną z nich przedtem nie toczyłem długich dyskusji. Niektóre kobiety wolą romans i obopólną przyjemność.

- Romans? - zdziwiła się. - Zawsze nazywałam to inaczej.

- Nie zorientowałabyś się, że to romans, nawet gdyby ci spadł na głowę. Uważasz, że to dyskretne, że bierzesz sobie kochanka, a udajesz, że go nie masz? Przyrzekasz dożgonną wierność, a rozglądasz się za innym? To, co ty nazywasz dyskrecją, ja nazywam hipokryzją. Nie wstydzę się żadnej kobiety, którą znam, niezależnie od tego, czy byłem z nią w łóżku, czy nie.

- Nie interesuje mnie, czego się wstydzisz lub nie. Nie zamierzam być twoją następną obopólną przyjemnością. Zachowaj swój temperament dla tancerek, gwiazdek i statystek.

- Jesteś taką samą snobką jak cała nasza rodzina.

- To nieprawda - zaprotestowała urażona. - Po prostu nie mam ochoty dołączać do tego tłumu.

- Pochlebiasz mi, kuzynko - zaśmiał się.

- Na to też jest inne słowo.

- Przemyśl to. - Potrzęsnał ją nieco gwałtowniej, niż zamierzał. - Nigdy nie kochałem się z kobietą, której bym nie szanował i na której by mi nie zależało. - Wstał z łóżka i skierował się do drzwi. Pandora patrzyła na niego wzrokiem, który mógłby zabić.

- A więc nie szczędzisz szacunku - zadrwiła.

- Mylisz się. - Popatrzył na nią przeciągle. - Nie każę nikomu ciężko na niego zapracować.

Zimna wojna może nie być tak stymulująca jak otwarta bitwa, ale w przypadku równorzędnych partnerów może okazać się równie wyniszczająca. Przez kilka następnych dni Pandora i Michael nie ustawali we wzajemnych podchodach. Jeśli jedno uczyniło jakąś kąśliwą uwagę, drugie natychmiast rewanżowało mu się tym samym. Żadne z nich nie wywiesiło czerwonej flagi sygnalizującej przystąpienie do ataku, ale nie szczędzili sobie wzajemnych złośliwości i uszczypliwości. Sweeney i Charles nie mogli się nadziwić i tylko czekali, aż dojdzie do rozlewu krwi.

- Głupota, kompletna głupota - stwierdziła Sweeney, rozwałkując ciasto. Była silną kobietą o rumianej twarzy i, w przeciwieństwie do chudego Charlesa, o okrągłych kształtach. Pochowała dwóch mężów i teraz utrzymywała się z gotowania. Jej kuchnia zawsze była wysprzątana, pełna smakowitych zapachów przygotowywanych potraw. - Oto kim są. Rozpuszczone dzieciaki potrzebują silnej ręki.

- Mają przed sobą jeszcze cztery miesiące - powiedział Charles. - Nie uda im się.

- Też coś! - Sweeney obróciła ciasto na drugą stronę. - Uda im się. Są zbyt zawzięci, żeby się mieli się poddać. Ale to nie wystarczy.

- Nasz pan chciał, żeby przejęli ten dom. Jeśli tak się stanie, my też tu zostaniemy.

- Co będziemy robić w tym dużym pustym domu, kiedy wrócą do miasta? Jak często będą tu przyjeżdżać? - zastanawiała się głośno Sweeney. - Nasz pan chciał, żeby zamieszkali tutaj i byli razem. Dom potrzebuje rodziny. W pewnym stopniu od nas zależy, by tak się stało.

- Nie słyszałaś ich w czasie śniadania. - Charles wypił łyk herbaty.

- To nie ma nic do rzeczy. Widziałam, jak na siebie patrzą, kiedy myślą, że to drugie nie widzi. Trzeba ich tylko pchnąć ku sobie. Zrobimy to - dodała, wkładając ciasto do blachy.

- Jesteśmy za starzy, by mieszać się w sprawy młodych. Sweeney chrząknęła. Oparła ręce na biodrach.

- Otóż to! Starzy! Coś mi kiepsko wyglądasz ostatnio - zauważyła.

- Nie, prawdę mówiąc, czuję się lepiej niż w zeszłym tygodniu.

- A jednak wyglądasz kiepsko - powtórzyła Sweeney.

- O, idzie Pandora, trochę mizerna. Pamiętaj, rób tylko to, co ci powiem - napomniała Charlesa.

W nocy spadł śnieg. Trawnik i drzewa pokryte były białym puchem. Pandora potrząsnęła gałęzią. Była z siebie zadowolona. Praca nie mogłaby jej pójść lepiej. Kolczyki,

których projekt skończyła, były tak wyjątkowe, że natychmiast naszkicowała do kompletu naszyjnik. Śmiały, geometryczny wzór z miedzi łączonej ze złotem nie mógł nie rzucać się w oczy. Nie każdej kobiecie przypadłby do gustu, ale ta, która będzie go nosić, na pewno zwróci na siebie uwagę.

Wchodząc do kuchni, była już głodna jak wilk i w znakomitym nastroju.

- ... jeśli poczujesz się lepiej za dzień lub dwa - dokończyła Sweeney, po czym odwróciła się gwałtownie, jakby zaskoczył ją widok Pandory. - Och, straciłam poczucie czasu - tłumaczyła się. - Lunch gotowy, właśnie kończę ciasto.

- Z jabłkami? - uśmiechnęła się Pandora, podchodząc bliżej. - Zostało trochę nadzienia? - spytała, wkładając palec do miski. Sweeney klepnęła ją po dłoni.

- Nic z tego. Przed chwilą pracowałam. Najpierw umyj ręce. Zaraz podam lunch.

Pandora posłusznie podeszła do zlewu.

- Charles źle się czuje? - szepnęła do Sweeney.

- Reumatyzm mu dokucza. To przez tę pogodę. Zresztą jak człowiek się starzeje, wszystko po trochu odmawia posłuszeństwa. - Przyłożyła dłoń do pleców, jakby i ona odczuwała ból. - Cóż, posuwamy się w latach, nie młodniejemy - westchnęła, zerkając ku Pandorze. - Trudno, starość nie radość.

- Nonsens - zaprotestowała Pandora, ale poważnie się zaniepokoiła. Będzie musiała zwracać większą uwagę na Charlesa. - Po prostu bierzecie na siebie za dużo obowiązków.

- Kiedy przyjdą święta... - zaczęła Sweeney. - Cóż, udekorowanie domu to dużo roboty, ale jest potem tak przyjemnie. Charles i ja pójdziemy po południu na strych i przeszukamy pudła.

- Daj spokój, Sweeney! - Pandora zakręciła wodę i wzięła ręcznik. - Zniosę ozdoby na dół.

- Nie, nie, panienko, tych pudeł jest za dużo i są za ciężkie na taką delikatną dziewczynę. My się tym zajmiemy. Prawda, Charles?

Charles westchnął ciężko na myśl o tym, że będzie musiał kilka razy wchodzić na strych, ale na widok miny Sweeney postanowił nie protestować.

- Proszę się nie martwić, panno McVie, zajmiemy się tym ze Sweeney - zapewnił.

- Mowy nie ma. - Pandora odwiesiła ręcznik. - Zniesiemy z Michałem wszystko na dół. Pójdę po niego, żeby już zszedł na lunch.

Sweeney odczekała, aż Pandora zniknie za drzwiami. Zachichotała zadowolona.

Pandora dwa razy zapukała do pokoju Michaela, po czym weszła do środka. Siedział przy maszynie. Zapominając o dumie, zbliżyła się do biurka.

- Chciałabym z tobą pomówić - zaczęła łagodnym tonem.

- Później. Jestem zajęty.

- To ważne - nalegała, powstrzymując irytację. - Proszę - wycodziła przez zęby.

Zaskoczony, przerwał pisanie.

- O co chodzi? Czyżby znowu ktoś z rodziny zrobił jakiś kawał?

- Nie, nie to. Musimy udekorować dom na Boże Narodzenie - wyjaśniła.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby nie rozumiał, o czym ona mówi, po czym zaklął pod nosem i wrócił do pisania.

- Mam tu dwunastolatka porwanego dla okupu. Żądają miliona dolarów. To jest ważne.

- Michael, możesz choć na chwilę wrócić do rzeczywistości?

- Spytaj mego producenta - zachnął się zirytowany.

- Michael! - Zanim zdołał ją powstrzymać, wyrwała kartkę z maszyny. - Chodzi o Sweeney i Charlesa.

- A co z nimi? - Uspokoił się trochę, ale odebrał jej kartkę.

- Charlesowi znowu dokucza reumatyzm, a Sweeney też nie czuje się najlepiej. Wygląda na to, że się postarzała.

- Jest stara. - Michael rzucił kartkę na biurko. - Uważasz, że należałoby wezwać lekarza?

- Nie, byliby wściekli. Sądzę, że powinnam przez parę dni ich obserwować i pilnować, żeby się nie przemęczali. Myślę, że powinniśmy sami zająć się udekorowaniem domu na święta.

- Na pewno sobie poradzisz. Nie mam dziś czasu na takie głupstwa.

- Ja też nie - rozłożyła ręce - ale Sweeney i Charles wbili sobie do głowy, że trzeba to zrobić. Jeśli nie chcemy, żeby wchodzili po kilka razy na strych, musimy ich wyręczyć.

- Boże Narodzenie jest dopiero za trzy tygodnie.

- Wiem, kiedy jest Boże Narodzenie - zniecierpliwiła się.

- Oni są starzy i mają swoje przyzwyczajenia. Wiesz, że wuj Jolley zawsze dekorował dom po Święcie Dziękczynienia. To tradycja.

- Wiem, wiem. - Michael gwałtownie wstał od biurka.

- Dobrze, bierzmy się więc do roboty.

- Zaraz po lunchu.

Trzy kwadranse później otwierali drzwi na strych.

- Och, zapomniałam już, jakie to cudowne miejsce. - Pandora chwyciła Michaela za rękę. - Spójrz na ten stół, okropny, prawda? Albo ta klatka dla ptaków, co? - zawołała.

- Wuj Jolley mówił, że pracował nad nią sześć miesięcy, a potem nie miał serca, by zamknąć w niej jakiegoś ptaka.

- Tym lepiej dla ptaka - mruknął Michael, ale stwierdził, że sam jest pod urokiem rozległego strychu, istnego skarbcza najrozmaitszych staroci. - Patrz, kamasze - powiedział. - Widziałas, żeby kiedykolwiek miał je na nogach?

- A ten kapelusz. - Pandora wzięła do ręki słomkowy kapelusz przyozdobiony kwiatami. - Należał do cioci Katie. Zawsze żałowałam, że jej nie poznałam. Ojciec mówił, że była tak samo zabawna jak wuj.

Michael patrzył na Pandorę, przymierzającą kapelusz.

- Wierzę, jeśli nosiła takie kapelusze. A co powiesz na to?

- Znalazł czarny melonik i włożył na głowę. - No i jak?

- Do twarzy ci w nim - roześmiała się. - Brak tylko wysokiego białego kołnierzyka i laski. Zresztą sam zobacz. - Pociągnęła go przed duże lustro, które aż się prosiło o renowację. Przez chwilę przyglądali się swemu odbiciu.

- Elegancka z nas para - zażartował Michael, choć miał na sobie zbyt obszerną starą bluzę, a Pandora twarz całą w kurzu. - Potrzebujesz jeszcze tylko jednej z tych długich wąskich spódnic zamiatających podłogę i koronkowej bluzki z falbankami.

- I kamei na aksamitce - dodała, usiłując wyobrazić sobie siebie w takim stroju. - Nie, chyba nosiłabym spodnie i uczestniczyła w manifestacjach w obronie praw kobiet.

- Ładnie ci w kapeluszu. - Michael poprawił go trochę. - Zwłaszcza kiedy masz rozpuszczone włosy. Zawsze podobały mi się długie, choć wyglądałaś na wzruszająco zagubioną, kiedy je obciąłaś. Widać było tylko twoje oczy, które wydawały się jeszcze większe.

- Miałam wtedy piętnaście lat - przypomniała.

- Właśnie wróciłaś z Wysp Kanaryjskich z najdłuższymi i najbardziej opalonymi nogami, jakie widziałem w życiu. Kiedy weszłaś do salonu, omal nie połknąłem talerzyka.

- Byłeś w college'u i otaczał się wianuszek cheerleaderek.

- Ale ty miałaś lepsze nogi - zachichotał.

Pandora udawała, że nie przywiązuje wagi do tej rozmowy. Pamiętała doskonale tamto spotkanie i była mile zaskoczona, że i on je zapamiętał.

- Nie przypuszczałam, że zwróciłeś na nie uwagę.

- Mówiłem ci przecież, że jestem spostrzegawczy.

- Zajmijmy się ozdobami - odrzekła, uznając, że lepiej nie zapuszczać się na niebezpieczny grunt. - Sweeney powiedziała, że pudła są ustawione wzdłuż ściany na lewo od drzwi i podpisane. - Nie czekając na Michaela, zaczęła ich szukać.

- O matko - jęknęła. Pudła stały jedno na drugim. Było ich chyba ze dwadzieścia. Michael włożył rękę do kieszeni i spojrzał na nią z ukosa.

- Myślisz, że powinniśmy wynająć tragarzy? - spytał.

- Zakasuj rękawy i bierz się do roboty.

Zaczęli znosić pudła na dół. Pochłonięci pracą zapomnieli o wzajemnych docinkach i sprzeczkach. Byli na to zbyt zmęczeni.

W końcu wstawili do salonu ostatnie pudło. Pandora rzuciła się na fotel.

- Czyż nie będzie fajnie taszczyć je wszystkie z powrotem na górę po Nowym Roku? - zażartowała.

- Czy nie wystarczyłby jeden plastikowy święty Mikołaj?

- Może. - Resztką sił zwlokła się z fotela, przykucnęła i zaczęła otwierać pierwsze pudło. - Zaczynamy.

Wzięli się ostro do roboty. Wkrótce salon, hol główny i schody były udekorowane bombkami, lampkami i łańcuchami. Pandora stanęła w drzwiach i przyjrzała się wspólnemu dziełu.

- Nieźle - oceniła. - Naprawdę nieźle. Sweeney i Charles przystroją pomieszczenia dla służby, a to pudło zaniemiemy do jadalni. W każdym razie początek mamy już za sobą.

- Początek? - Michael usiadł na schodach. - Nie będziemy się kłócić, kuzynko.

- Jak już coś się zacznie, trzeba skończyć. Swoją drogą ciekawe, czy moi rodzice przystrajają dom na święta. Cóż...

- Urwała, zastanawiając się, czy w ogóle będą w domu. - Teraz pora na drzewko.

- Chcesz zaraz jechać do miasta? - zdziwił się.

- Skąd. - Pandora już sięgała po płaszcz. - Pojedziemy do lasu i je wykopimy.

- My?

- Oczywiście. Nienawidzę, jak ludzie wycinają drzewa, a po Nowym Roku je wyrzucają. W lesie jest pełno ślicznych małych świerków. Wykopiemy jeden, a potem posadzimy go z powrotem.

- Potrafisz posługiwać się łopatą?

- Nie psuj zabawy. - Rzuciła mu kurtkę. - Przyjemnie będzie wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem. Na tym dusznym strychu było pełno kurzu. Jak skończymy, wypijemy gorącego rumu na rozgrzewkę.

- Nie znoszę rumu.

Poszli do komórki z narzędziami. Michael wziął jedną łopatę, drugą wręczył Pandorze. Ruszyli w kierunku lasu, brnąc po kostki w śniegu. Powietrze było rześkie, pachniało sosnami.

- Uwielbiam takie dni - powiedziała Pandora. - Jest tak cicho, spokojnie. Czasem myślę, że wolałabym mieszkać tutaj i tylko od czasu do czasu jeździć do miasta.

Pomyślał o tym samym, ale zdziwił się, że ona to mówi.

- Zawsze mi się wydawało, że lubisz ruch i światła dużego miasta.

- Bo lubię. Ale ciszę i spokój też lubię. Może ten? - Zatrzymała się przy małym świerku. - Nie, pień jest krzywy. Chodźmy dalej. Wiesz - ciągnęła - zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej jeździć co tydzień do miasta, wiedząc, że ma się takie miejsce jak to, do którego się wraca. Tu mi się lepiej pracuje. O to! - Wskazała następne drzewko.

- Za wysokie. Lepiej poszukajmy całkiem młodego. A co z twoim życiem towarzyskim? - spytał. - Nie brakowałoby ci znajomych i przyjaciół, gdybyś zamieszkała tutaj?

- Co? - Przypatrywała się drzewku. - Ach, życie towarzyskie nie jest dla mnie aż tak istotne. Najważniejsza jest moja praca. Zresztą i tu mogłabym mieć jakieś rozrywki.

Wyobraził ją sobie spędzającą długie wieczory w towarzystwie uduchowionych typów pozujących na artystów, którzy czytali na głos wiersze Keatsa.

- O, ten będzie odpowiedni. - Pandora zatrzymała się przed niedużym świerkiem. - W sam raz do salonu.

- Świetnie. - Michael wbił łopatę w ziemię. - Bierzmy się do roboty.

Kiedy się pochylił, Pandora zgarnęła łopatą trochę śniegu i rzuciła mu prosto w twarz.

- O, przepraszam - uśmiechnęła się - wygląda na to, że źle wycelowałam. - Zabrała się do kopania, nucąc pod nosem.

Michael energicznie wbijał łopatę w zamarzną ziemię. Ruch dobrze mu robił. Po piętnastu minutach mogli już zabrać świerczek.

Pandora odetchnęła głęboko i oparła się na łopacie.

- Dobra robota - stwierdziła z satysfakcją.

- Musimy tylko zanieść drzewko do domu, ustawić i... do diabła, nie mamy czym owinąć korzeni. W piwnicy były worki.

Wymienili spojrzenia.

- No dobrze - powiedział po chwili. - Pójdę po nie, ale za to ty pozamiatasz w domu igły i ziemię.

- Zgoda.

Zadowolona odwróciła się, żeby popatrzeć na kolorowego ptaszka, który usiadł na gałęzi tuż nad nią, gdy nagle poczuła uderzenie. Na plecach rozprysnęła się kula śniegowa.

- Przepraszam. - Michael popatrzył na nią ze szczególnym uśmiechem. - Wygląda na to, że źle wycelowałem.

- Odwrócił się i szybko poszedł w kierunku domu.

Pandora odczekała, aż zniknął jej z oczu, i zabrała się do lepienia kul śniegowych. Kiedy Michael nadejdzie, nie będzie miał żadnych szans. Tak była pochłonięta tym zajęciem, że omal się nie przewróciła, gdy nagle usłyszała za sobą jakiś odgłos. Odwróciła się błyskawicznie, żeby rzucić kulą, ale nikogo nie było. Czekala. Czyżby jej się tylko wydawało, czy ktoś poruszał się między drzewami? To byłoby w stylu Michaela - zaskoczyć ją z ukrycia. Zobaczyła, że kolorowy ptaszek nagle odleciał, jakby go coś spłoszyło.

- No dobrze, Michael, nie bądź tchórzem - zawołała, podnosząc rękę ze śnieżką.

- Bronisz swoich pozycji? - Błyskawicznie znalazł się tuż za nią i rzucił worek.

- Ale... skąd się tu wzięłeś...? - Pandora była zdezorientowana. - Okrążyłeś mnie?

Przecież słyszałam cię z drugiej strony.

- Nie, ale powinienem był, widząc tę górę kul. Chcesz się bawić w wojnę?

- To tylko system obronny - wyjaśniła i odwróciła się.

- Myślałam, że cię słyszę. Przysięgłabym, że tam, między drzewami, ktoś był.

- Poszedłem prosto do piwnicy i z powrotem. - Podążył za jej wzrokiem. - Widziałaś tam kogoś?

- Michael, jeśli się ze mną droczysz...

- Nie - uciał i pomógł jej wstać. - Chodź, sprawdzimy. Weszli między drzewa.

- Może byłam trochę zdenerwowana - tłumaczyła się.

- Albo sądziłaś, że się podkradnę? - domyślił się.

- To też. Pewnie przebiegł zając czy jakieś inne zwierzę.

- Zając z dużymi stopami - powiedział Michael, ujrawszy nagle ślady na śniegu. - Zające nie noszą butów.

- Wciąż mamy towarzystwo - podsumowała Pandora - A już myślałam, że zrezygnowali. - Starła się zachować spokój, ale czuła się nieswojo, mając świadomość, że ktoś ich obserwuje. - Może powinniśmy porozumieć się z panem Fitzhugh.

- Może, ale na razie... - Urwał na dźwięk silnika. Rzucił się biegiem naprzód, Pandora z trudem za nim nadążała. Po pięciu minutach zdyszani znaleźli się w miejscu, gdzie ślady

były już całkiem inne. Najwyraźniej wskazywały, że stał tu samochód. - Chyba dziup - powiedział Michael. Gdyby od razu tu przybiegł, być może jeszcze by kogoś zauważył.

- Ktokolwiek to jest, tylko traci czas - zauważyła zdecydowanie Pandora.

- Nie lubię, jak mnie szpiegują - Patrzył na ślady kół. - Nie będę się bawił w kotka i myszkę przez następne cztery miesiące.

- Co zrobimy?

- Rozpuścimy za pośrednictwem pana Fitzhugh wieści, że naprzykrzają nam się jacyś intruzy. A że mamy pod opieką trochę cennych rzeczy, zdecydowaliśmy się zrobić użytek z jednej z wiatrówek Jolleya.

- Michael! Może to i męczące, ale oni są przecież naszymi krewnymi. - Spojrzała na niego niepewnie. - Nie będziesz chyba do nikogo strzelał, co?

- Raczej strzelę do kogoś z rodziny niż do obcego. Oni też dbają o własną skórę. Myślę, że każdy się zawaha, zanim zaryzykuje, że oberwie śrutem.

- Nie podoba mi się to - skrzywiła się Pandora. - Nie należy nawet grozić użyciem broni. Mogą być z tego same kłopoty.

- Masz lepszy pomysł?

- Możemy kupić dużego psa.

- Wspaniale, puścimy go wolno i pozwolimy, żeby wbił zęby w jednego z naszych ulubionych krewnych. Będą woleli to niż śrut.

- Nie musi to być aż tak zły pies - przekonywała.

- A więc pójdźmy na kompromis i zdecydujemy się na oba rozwiązania.

- Michael...

- Najpierw zadzwonimy do Fitzhugh - zdecydował.

- Żeby posłuchać jego rady?

- Pewno... jak będę chciał - prychnął.

Roześmiali się jak na komendę. Cała ta rozmowa przypominała dialog z serialu Michaela. Pandora wzięła go pod rękę.

- Najpierw zanieśmy do domu drzewko.

ROZDZIAŁ 7

Wiem, że jest Boże Narodzenie, Dario. - Michael podniósł filiżankę do ust, stwierdził, że jest pusta, i wziął dzbanek, żeby dolać sobie kawy. Same fusy. Westchnął. Problem polegał na tym, że w Folley trzeba było wędrować przez pół domu, żeby dostać się do kuchni. - Wiem, że będzie przyjęcie na cztery fajerki, ale nie mogę stąd wyjechać.

Nie do końca jest to prawda, pomyślał, słuchając szczebiotania Darli. Jeśli wierzyć jej słowom, mają być „wszyscy”. A to oznaczało huczną imprezę, z masą alkoholu i tłumem gości. Mógłby wyrwać się na dzień, żeby wypić kielicha z tym lub owym z przyjaciół. Z pracą był na bieżąco. Mógłby nawet wyjechać na dłużej, ale nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedział. - Przekaż wszystkim ode mnie życzenia świąteczne. Nie, dobrze mi się mieszka na wsi. Dziwne? Cóż, może. - Roześmiał się. Daria znakomicie tańczyła, lubiła się bawić i nie wyobrażała sobie, że poza Manhattanem też można żyć. - Spróbuję na Nowy Rok, jeśli mi się uda - dodał. - Okay, tak, to na razie.

Z ulgą odłożył słuchawkę. Daria owszem, podobała mu się, ale nie lubił, kiedy dziewczyna była natrętna, zwłaszcza jeśli spotykali się tylko od czasu do czasu, i to niezobowiązująco. Wiedział, że jest zainteresowana nim jako mężczyzną, ale jeszcze bardziej jego kontaktami z wpływowymi osobami z branży artystycznej. Nie miał jej tego za złe. Była ambitna i utalentowana, a takie połączenie dobrze rokowało, zwłaszcza jeśli dodać do tego jeszcze łut szczęścia. Postanowił, że po świętach zadzwoni do paru osób i zobaczy, co da się dla niej zrobić.

Pandora obserwowała go w milczeniu, stojąc od dłuższej chwili w drzwiach. Daria, powtórzyła w duchu. Próbowала sobie wyobrazić kobiety, które pociągały Michaela, kobiety o takich imionach jak Daria, Robin czy Candy. Zadbane, pełne słodyczy, kokieterijne i raczej niegrzeszące inteligencją.

- Popularność jest męcząca, prawda, kochanie? - powiedziała.

Michael obrócił się i spojrzał na nią przeciągle spod na wpół przymkniętych powiek.

- Podśluchiwanie jest niegrzeczne, prawda, kochanie? - odparował.

- Jeśli chciałeś się odizolować, wystarczyło zamknąć drzwi - zauważyła, ale nie weszła do pokoju.

- Tutaj, żeby się odizolować, trzeba by drzwi zabić gwoździami.

- Twoja rozmowa telefoniczna nic a nic mnie nie obchodzi. - Pandora wyglądała na lekko urażoną. - Przysłałam tu zamiast Charlesa. Czeka na ciebie na dole paczka - oznajmiła.

- Dzięki. - Nawet nie starał się ukryć rozbawienia. Na ile znał Pandorę, a znał ją nieźle, słuchała każdego słowa. - Sądziłem, że to twoje święte godziny pracy.

- Niektórzy tak sobie rozkładają pracę, że w okresie świątecznym mogą mieć trochę wolnego. Nie, nie kłóćmy się - dodała szybko, zanim zdążył zrewanżować się ciętą ripostą.

- W końcu zaraz święta, a ponadto mieliśmy trzy tygodnie wytchnienia od naszych rodzinnych żartownisiów. Ogłaszam rozejm - obwieściła z uśmiechem, w którego szczerość Michael poważnie wątpił. - Albo moratorium, jeśli wolisz.

- Dlaczego? - zaciekał się.

- Powiedzmy, że cenię sobie świąteczny nastrój. Nawiasem mówiąc, dobrze, że nie musieliśmy kupować dużego złego psa albo używać wiatrówki.

- Nie mów hop... - Michael usiadł wygodniej, nie do końca usatysfakcjonowany. - Wzmianka Fitzhugh o powiadomieniu lokalnej policji i wszczęciu śledztwa mogła zadziałać tylko czasowo. Niewykluczone, że nasi przyjaciele i rodzina wyjechali na świąteczne urlopy. Tak czy inaczej nie zamierzam uznać, że to już koniec, i spocząć na laurach.

- Prędzej złamałbyś komuś nos, niż rozwiązał problem ugodowo - zauważyła Pandora. - Zresztą nieważne. - Machnęła ręką. - Ja w każdym razie mam zamiar cieszyć się świętami i nie myśleć o naszej kochanej rodzinie. - Przerwała na chwilę. - Przypuszczam, że Daria była rozczarowana - rzuciła od niechcienia.

- Przeżyje.

Pandora bawiła się naszyjnikami, który miała na szyi. Michael wiedział, że to oznaka zdenerwowania. Nie spodziewał się takiej reakcji.

- Wiesz, że nie musisz tu zostać - powiedziała po chwili wahania. - Możesz jechać do Nowego Jorku. Dam sobie radę. Wcale mi nie będzie źle samej.

- Zasada numer sześć - przypomniał jej. - Nie rozstajemy się. Zresztą ty sama odrzuciłaś z tuzin zaproszeń.

- To moja decyzja - skwitowała. Znowu zaczęła nerwowo bawić się naszyjnikami. - Nie chcę, żebyś czuł się zobowiązany. ..

- To moja decyzja. A może nagle uznałaś, że jestem rycerski i wspaniałomyślny?

- Też coś - zachnęła się. - Wolę myśleć, że jesteś za leniwy na podróż.

- Nie wątpię. - Skrzywił wargi.

- Michael, czy pęknie z dumy, jeśli ci powiem, że cieszę się, że zostajesz?

Patrzył na nią, gdy tak stała w drzwiach, szczupła i zgrabna, w spodniach i bluzie kontrastujących z kolorem jej włosów.

- Może.

- A więc ci nie powiem. - Obróciła się na pięcie i znikła w holu.

Zdumiewająca kobieta, pomyślał, pełna sprzeczności. Mało brakuje, żeby oszalał na jej punkcie. Kusila go, musiał przyznać, albo to on wabił ją przy każdej nadarzającej się okazji. Trudno mu było wyobrazić sobie dwoje ludzi, którzy by się mniej nadawali do pokojowej koegzystencji, do harmonijnego współżycia. A jednak... jednak niewiele brakowało, a byłby oszalał na jej punkcie. Wiedział, że nie ma sensu teraz wracać do pracy, a więc wstał od biurka i poszedł za nią na dół.

Zastał ją w salonie, gdzie układała paczki pod choinką.

- Ile już przejrzałaś? - spytał.

- Wszystkie - odpowiedziała. Nie odwróciła się jednak, żeby się nie zorientował, jak bardzo się ucieszyła, że zszedł do salonu. - Problem w tym jednak - dodała, pukając w elegancko opakowane pudełko - że chyba przeoczyłam prezent od ciebie.

- A kto powiedział, że w ogóle jest?

- No wiesz, mógłbyś mi nie dać prezentu? Byłbyś aż tak okropny?

- Owszem. A swoją drogą, kto to jest Borys? - Wskazał srebrne pudełeczko przewiązane białą wstążką.

- Skrzypek rosyjski, który uciekł z Rosji. Uwielbia moje złote łańcuchy.

- Nie wątpię. A Roger?

- Roger Madison.

Michael na moment otworzył usta ze zdziwienia.

- Ten jankeski baseballista?

- Atak. Może zauważyłeś srebrną bransoletkę, którą nosi na prawej ręce. Zrobiłam ją dla niego w marcu zeszłego roku. Zdaje się, wierzy, że przynosi mu szczęście czy coś w tym rodzaju. - Podniosła niebiesko - złote pudełko i lekko nim potrząsnęła. - Jest bardzo hojny.

- Widzę. Nie dostałaś chyba zbyt wielu prezentów od kobiet?

- Czyżby? Za to ty nadrobiłaś ten brak. Czi - czi? - spytała, podnosząc pudełko przewiązane różową wstążką.

- Jest biologiem - wyjaśnił Michael.

- Fascynujące. A Magda zapewne jest bibliotekarką?

- Adwokatem.

- Hm. Ktokolwiek to przysłał, najwyraźniej nie chciał się ujawniać. - Podniosła dużą butelkę szampana przewiązaną czerwoną błyszczącą wstążką. Na kartoniku napisano tylko „Wesołych Świąt, Michael”.

- Niektórzy ludzie nie lubią chwalić się hojnością - powiedział z widocznym uznaniem.

- A ty? - Pochyliła głowę. - W końcu to ogromna buda. Podzielisz się?

- Z kim? - spytał przekornie.

- Powinam wiedzieć, że jesteś zachłanny. - Wzięła pudełko ze swoim imieniem. - W takim razie sama zjem wszystkie czekoladki - oświadczyła.

- Skąd wiesz, że to czekoladki? - zdziwił się Michael. Uśmiechnęła się.

- Henri zawsze mi daje czekoladki.

- Importowane?

- Szwajcarskie.

- A więc podzielmy się po równo - zaproponował.

- Schłodzę szampana - uśmiechnęła się Pandora.

W jakiś czas potem, gdy wzeszły już gwiazdy, a ogień w kominku przyjemnie rozgrzał ich ciała, Pandora zaświeciła lampki na choince. Podobnie jak Michael, nie żałowała, że nie bierze udziału w jednym z hucznych i hałaśliwych przyjęć w mieście. Wystarczyło kilka tygodni, by się przekonała, że nie jest tak przywiązana do miasta, jak sądziła. Jej dom jest w Folley. Czyż nie zawsze tak było? Nie, nie myślała już o powrocie wiosną na Manhattan. Ale jak będzie się jej mieszkać w Folley samej?

Michael przecież z nią nie zostanie. To prawda, za parę miesięcy będzie właścicielem połowy Folley, ale jego życie - uwzględniając ożywione kontakty towarzyskie - należy do miasta. Na pewno nie zamieszka w Folley, uznała znowu, i myśl ta napełniła ją smutkiem. Dlaczego właściwie miałby to zrobić? - zastanawiała się. Nie mogą w nieskończoność mieszkać razem. Prędzej czy później będzie musiała napomknąć mu o swojej decyzji pozostania w domu wuja Jolleya. Nie będzie to łatwe.

A jednak była wdzięczna Jolleyowi, choć początkowo, gdy adwokat odczytał testament wuja, ogarnął ją gniew. Faktem jest, że została zmuszona do przebywania z Michałem dzień w dzień, ale przez te parę miesięcy jej życie stało się bardziej interesujące i nabrało więcej kolorytu i wyrazistości niż w ciągu wielu poprzednich lat. I dlatego, mówiła sobie, nie może znieść myśli, że to miałoby się skończyć.

To prawda, że nie był w jej typie. Podobnie jak ona w jego. Z tego, co o nim mówiono, wynikało, że woli bardziej atrakcyjne kobiety, o egzotycznej urodzie. Aktorki,

tancerki, modelki. Znał ich mnóstwo. Ona z kolei wołała typ intelektualisty. Mężczyźni, z którymi się spotykała, potrafili godzinami dyskutować o awangardowych pisarzach francuskich i sztukach teatralnych dla wąskiego grona widzów. Większość z nich nie miałyby pojęcia, czy *Ucieczka Logana* jest serialem telewizyjnym, czy poczytnym kryminałem.

Nie mogła zaprzeczyć, że Michael budził w niej pożądanie. Uśmiechnęła się, bo wcale jej to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie.

Usłyszawszy hałas za sobą, odwróciła się od kominka i... nie mogła uwierzyć własnym oczom. Do pokoju wturlał się mały biały piesek, pośliznął się na posadzce i wpadł z impetem na stolik. Zatoczył się, przeokoziółkował dwa razy, wstał i popędził prosto do niej. Pochyliła się. Psiak wgramolił jej się na kolana i polizal w policzek.

- Skąd się tu wzięłeś? - roześmiała się.

Do czerwonej wstążeczki opasującej szyję pieska była przyczepiona kartka: „Nazywam się Bruno. Jestem groźnym psem szukającym pani, której mógłbym bronić”.

- Bruno? - Pandora znowu się roześmiała i podrapała pieska za uchem. - Jak bardzo jesteś groźny? - spytała, gdy polizal ją w brodę.

- Szczególnie lubi atakować dokuczliwych krewnych - poinformował Michael, który właśnie wtoczył do salonu barek na kółkach, wraz z lodem i szampanem.

Pandora nie miała pojęcia, w jaki sposób mu podziękować. Była zachwycona tym prezentem.

- Nie jest zły - mruknęła tylko.

- Obiecali, że będzie.

- Kto? - Przytuliła pieska. - Skąd go wzięłeś?

- Ze schroniska. - Michael ściągnął srebrną folię z butelki. - Kiedy w zeszłym tygodniu pojechaliśmy do miasta po zakupy, zostawiłem cię w supermarkecie, pamiętasz?

- A ja myślałam, że poszedłeś poszukać pisemek pornograficznych.

- Oto co znaczy reputacja! Tak czy inaczej udałem się do schroniska i przeszedłem się między boksami. Bruno gryzł jakiegoś psa, żeby pierwszy dopaść miski. A potem wyszczerzył do mnie zęby w psim uśmiechu i zaczął merdać ogonem. Wiedziałem, że to ten.

Korek wyskoczył z hukiem i potoczył się po podłodze. Bruno zsunął się z kolan Pandory i zaczął go ze smakiem lizać.

- Może jego maniery pozostawiają nieco do życzenia - zauważyła Pandora - ale gust ma pierwszorzędny. - Wstała i zaczęła, aż Michael napelni kieliszki. - Do diabła, nie spodziewałam się takiego prezentu - przyznała. - Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Podał jej kieliszek.

- Jakoś przyzwyczaiałam się, że jesteś nieznośny i gruboskórny.
- Staram się, jak mogę. Stuknęli się kieliszkami.
- Kiedy jesteś taki miły, trudniej mi się powstrzymać przed zrobieniem czegoś głupiego.

- Na przykład czego?

- Na przykład tego. - Postawiła kieliszek na stoliku, potem zrobiła to samo z kieliszkiem Michaela. Nie spuszczać wzroku z jego twarzy, objęła go za szyję. Bardzo powoli zbliżyła usta do jego warg, aż się zetknęły.

Były takie, jak się spodziewała. Ciepłe, wyczekujące. Położył jej ręce na ramionach, ale jej nie przyciągnął. Może zrozumiał, że na siłę jej nie zatrzyma. Kiedy Pandora stawała się uległa, oddawała się z własnej woli, a nie dlatego, że ktoś ją kusił czy tego żądał. Ofiarowała mu namiastkę intymności, ale nie uległości.

Nie chciał uległości. Nie za tym tęsknił, choć często się z nią spotykał. Nie chciał również próby sił, pragnął więzi, poczucia autentycznej bliskości. W Pandorze znalazł to, o czym marzył, choć wcale się tego nie spodziewał. Czuł jej delikatny, podniecający zapach. Miał przy sobie jej gibkie ciało.

Nie opierała się jego dłoniom, nawet gdy zsunęły się do bioder. Jeśli nadeszła chwila, by zaakceptować to, co dzieje się między nimi, Pandora była na to gotowa. Jeśli teraz nadszedł czas zbliżenia, zaakceptuje to. Na myślenie przyjdzie czas później. Ta noc będzie nocą doznań, cudownych przeżyć, nocą rozkoszy.

Odsunęła się trochę po to tylko, żeby się do niego uśmiechnąć.

- Kiedy cię całuję, zapominam, że jesteśmy kuzynami - powiedziała.

- Naprawdę? - Musnął jej wargi. Były niewiarygodnie pełne - pełne i nabrzmięte. -
A kim ci się wydaję? - zaciekawiał się.

Zmarszczyła brwi.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

- A może zastanowimy się razem - zaproponował.

- Zaczekaj. - Odsunęła się. - Skoro złamałeś tradycję i dałeś mi prezent pod choinkę już teraz, przed świętami, zrobię to samo. - Podeszła do drzewka i wzięła do ręki płaskie kwadratowe pudełko. - Wesołych Świąt, Michael - powiedziała.

Usiadł na poręczy fotela i zaczął rozpakowywać paczkę. Pandora wzięła kieliszek z szampanem. Wypiła mały łyk, czekając w napięciu na jego reakcję. W końcu to tylko upominek, powtarzała sobie. Kiedy rozerwał papier i nie odezwał się, nie wytrzymała.

- Nie jest tak pomysłowy jak pies obronny - rzuciła nieśmiało.

Michael patrzył na naszkicowany ołówkiem portret wuja i nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wiedział, że ramkę zrobiła sama. Była srebrna i bogato zdobiona, w stylu, jaki lubił Jolley. Rysunek wprost zaparł mu dech w piersi. Naszkicowała wuja tak, jak go najlepiej zapamiętał, stojącego, lekko pochylonego do przodu, jak gdyby szykował się do wyjścia. Twarz rozjaśniał mu szeroki uśmiech. Narysowała go z uczuciem, talentem i poczuciem humoru, które Jolley bardzo sobie cenił. Kiedy podniósł wzrok, Pandora wciąż niepewnie obracała w ręku kieliszek.

Dlaczego jest taka zdenerwowana? - zadał sobie w duchu pytanie. Sądził, że jest przekonana o wartości swojej pracy, o własnym talencie. Najwyraźniej miał o niej niewłaściwe wyobrażenie. Ona tymczasem wciąż czekała i nadal nerwowo obracała w ręku kieliszek.

- Pandoro, nikt nigdy nie podarował mi czegoś, co miałoby dla mnie większą wartość.

- Naprawdę? - spytała z nieklamana radością. Wyciągnął do niej rękę.

- Naprawdę. - Jeszcze raz przyjrzał się rysunkowi. - Wygląda jak żywy - uśmiechnął się.

- Takim go zapamiętałam. - Ujęła jego dłoń. Może sobie powiedzieć, że przecież właśnie Jolley pchnął ich ku sobie, to wszystko. Prawie w to uwierzyła. - Pomyślałam, że może i ty go takim pamiętasz. Ramka jest trochę...

- Pasuje. - Przyjrzał się jej dokładniej. Gdyby znalazł ją w sklepie z antykami, uznałby, że jest oryginalna. - Nie wiedziałem, że robisz takie rzeczy - rzekł z podziwem.

- Ostatnio zaczęłam. Parę wstawiłam do butików.

- To coś całkiem innego niż naszyjniki i kolczyki - stwierdził.

- Tak? - Najwyraźniej była zadowolona, że docenia jej pracę. - Myślałam o tym, czyby ci nie zrobić dużej złotej obroży z kamieniami po to tylko, żeby ci dokuczyć.

- Jasne.

- Może w przyszłym roku. A może zrobię ją dla Bruna. - Rozejrzała się po pokoju. - Gdzie on się podział?

- Pewnie jest koło drzewka, ogląda prezenty. Kiedy przez chwilę był w garażu, zabrał się do butów do golfa.

- Będziemy musieli go tego oduczyć.

- Wiesz, nie miałem pojęcia, że potrafisz tak rysować.

- Michael po raz kolejny przyjrzał się szkicowi. - Dlaczego nie zostałeś malarką?

- A dlaczego ty nie piszesz poważnych powieści?

- Bo lubię to, co robię.

- Właśnie. - Nie znalazłszy Bruna koło choinki, Pandora zaczęła szukać go pod meblami. - Niejeden malarz parał się z powodzeniem wyrobem biżuterii, choćby Salvador Dali... Och, Michael!

Odstawił kieliszek i natychmiast do niej podbiegł.

- Co się stało? - spytał. Zobaczył, że pies leży z zamkniętymi oczami, ciężko dysząc, pod kanapą. Kiedy Pandora go dotknęła, zakwilił tylko i próbował się podnieść.

- Och, Michael, on jest chory. Musimy go zawieźć do lekarza.

- Zanim dojedziemy do miasta, będzie północ. O północy w Boże Narodzenie nigdzie nie znajdziemy lekarza. - Delikatnie pogłaskała pieska. - Może złapię kogoś telefonicznie?

- Myślisz, że coś mu zaszkodziło?

- Sweeney bardzo pilnowała, co je. Zastępuje mu matkę.

- Bruno zaczął się trząść i zwymiotował. Wyczerpany tym wysiłkiem, opadł na bok i leżał bez ruchu. - Chyba coś wypił - mruknął Michael.

- Ta odrobina szampana z korka nie mogła mu zaszkodzić - zaniepokoiła się Pandora.

- Charles nie będzie zachwycony, że Bruno poplamiał mu dywan. Może powinnam...

Przerwała, gdy Michael chwycił ją za ramię.

- Ile szampana wypiałś?

- Tylko łyk. Dlaczego... - Urwała nagle, uzmysłowiwszy sobie, co się mogło stać. - Szampan. Myślisz, że coś z nim nie w porządku?

- Myślę, że jestem idiotą, bo anonimowy prezent nie wzbudził moich podejrzeń. Tylko tyle? Jesteś pewna? Jak się czujesz? - dopytywał się.

- Dobrze. Spójrz na mój kieliszek, jest pełny. - Popatrzyła na niego. - Myślisz... myślisz, że w szampanie była trucizna?

- Sprawdzimy.

- Ależ, Michael, przecież butelka była zamknięta. W jaki sposób ktoś mógłby dodać trucizny?

- Na początku mojej pracy nad *Ucieczką Logana* wypróbowałem różne sposoby, jakimi mogą posługiwać się przestępcy. - Przypomniał sobie, jak sprawdzał teorię, dodając barwnika do żywności do butelki Dom Perignon. - Zabójca wstrzyknął cyjanek przez korek.

- To fikcja. - Pandora wzruszyła ramionami, ale zadrżała. - Tylko fikcja.

- Dopóki tego nie sprawdzimy, przyjmijmy to za fakt. Oddam butelkę z resztą szampana do analizy w laboratorium Sanfielda w Nowym Jorku.

- Do analizy - powtórzyła Pandora niepewnie. - Cóż, tak będzie lepiej. Oboje się uspokojmy. Znasz kogoś, kto pracuje w tym laboratorium?

- Jesteśmy jego właścicielami, a ściślej będziemy za parę miesięcy. Może dlatego właśnie ktoś przysłał nam zatrutego szampana.

- Michael, gdyby szampan był zatruty... - Pandorze wydawało się to wprost nieprawdopodobne. - Gdyby był zatruty, to już nie byłby głupi kawał.

Pomyślał, co by się stało, gdyby wypili go więcej.

- Nie, to już nie byłby kawał - przyznał.

- To wszystko nie ma sensu. - Pandora podniosła się. - Zniszczenie naszyjnika i bałagan w pawilonie, zamknięcie mnie w piwnicy - to jeszcze jestem w stanie zrozumieć, ale nie wyobrażam sobie, żeby ktoś z rodziny mógł się posunąć do zbrodniczego czynu. Może jesteśmy przewrażliwieni. Bruno miał za dużo przeżyć. Równie dobrze mógł coś zjeść w schronisku.

- Wczoraj, zanim go tu dostarczono, byłem z nim u weterynarza. - Głos Michaela był spokojny, ale oczy błyszczały groźnie. - Był zdrowy, Pandoro, dopóki nie liznął paru kropli szampana.

- W porządku. Tak czy inaczej trzeba dać wino do zbadania, a nie spekulować. Do pojutrze i tak nic nie możemy zrobić. Na razie nie chcę się tym zajmować.

- Lepiej udawać, że nic się nie stało?

- Nie. - Podniosła pieska i przytuliła do piersi. - Ale dopóki niczego nie udowodnimy, nie chcę myśleć o tym, że ktoś z rodziny próbował mnie zabić. Zrobię mu coś ciepłego do picia, a potem wezmę go na górę i w nocy będę przy nim czuwać.

- Dobrze. - Michael stanął przy kominku, z trudem opanowując wściekłość.

Było już dobrze po północy, gdy zajrzał do Pandory. Nie mógł ani spać, ani pracować. Widział ją skuloną na szerokim łóżku, przykrytą po brodę kocami. Ogień w kominku już się dopalał. Mała lampka przy łóżku rzucała na pokój delikatne światło. Przed kominkiem spał Bruno. Pandora przykryła go pledem i postawiła obok miseczkę czegoś, co przypominało herbatę. Michael przykląkł obok pieska.

- Biedaku! - Poglaskał go delikatnie.

- Myślę, że już mu lepiej - usłyszał głos Pandory. Obejrzał się przez ramię. Włosy miała w nieładzie, twarz bladą. Wyglądała pięknie, podniecająco, zmysłowo.

- Musi się po prostu wyspać - powiedział. - Trzeba dołożyć drewna do kominka. - Wyjął parę polan ze skrzyni.

- Dzięki. Nie możesz zasnąć? - spytała.

- Nie.

- Ja też nie. - Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Pandora w swoim dużym łóżku, Michael przy kominku.

- Boję się. - Podkuliła nogi.

Nie było to proste stwierdzenie faktu. Wiedział, ile ją to wyznanie musiało kosztować. Przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w ogień.

- Możemy się stąd wyprowadzić. Jutro pojedziemy do Nowego Jorku. Zapomnimy o tym wszystkim i będziemy się cieszyć wakacjami.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Chcesz tego? - spytała po chwili milczenia.

- Pewnie. - Wzruszył ramionami. - Muszę pomyśleć o sobie - odparł butnym tonem, wiedząc, że to nieprawda.

- Jak na kogoś, kto zarabia na życie wymyślaniem historii, kiepski z ciebie kłamca. - Poczekała, aż się do niej odwróci. - Wcale nie chcesz wyjeżdżać. Zgadłam, czego chcesz. Zgromadzić tu wszystkich naszych krewnych i dać im niezłą nauzkę.

- Czy wyobrażasz sobie mnie bijącego ciocię Patience?

- Oczywiście będzie parę wyjątków - dodała Pandora. - Ale ostatnią rzeczą, jakiej byś sobie życzył, to dać za wygraną.

- Masz rację. - Wstał, wcisnął ręce w kieszenie i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. - A ty? - spytał. - Ty od początku nie chciałaś mieć z tym wszystkim nic wspólnego. To ja cię namówiłem. Czuję się winny.

Po raz pierwszy od paru godzin Pandora poczuła, że wraca jej dobry humor.

- Nie chciałabym urazić twojej miłości własnej, Michael, ale do niczego mnie nie namówiłeś. Nikt by mnie do niczego nie zmusił. Jestem w pełni odpowiedzialna za to, co robię. Nie chcę stąd wyjeżdżać - dodała, zanim zdążył wpaść jej w słowo. - Powiedziałam, że nie potrzebuję pieniędzy wuja, i to była prawda. Mówiłam też, że nie potrzebuję domu, i to też była prawda. Przede wszystkim powodowała mną duma. Jestem przerażona, owszem, ale chcę zostać. Och, przestań wreszcie chodzić w kółko. - Powiedziała to z takim zniecierpliwieniem, że nie mógł się nie uśmiechnąć. Usiadł obok niej na łóżku.

- Tak lepiej? - spytał.

Posłała mu przeciągłe, poważne spojrzenie.

- Tak, Michael, leżałam tu parę godzin i zastanawiałam się nad tą sytuacją. Uświadomiłam sobie parę spraw. Kiedyś nazwałeś mnie snobką, i może na swój sposób miałaś rację. Nie przywiązywałam zbytnej wagi do pieniędzy, bo je miałam. Kiedy okazało się, jaka była ostatnia wola wuja Jolleya, też się specjalnie nie przejęłam. Wyobrażałam sobie,

że będą trochę zrzędzić i narzekać, ale na tym się skończy. To tylko pieniądze, a każdy z nich ma ich pod dostatkiem.

- Słyszałaś kiedyś o pazerności lub żądzy władzy?

- O tym nie pomyślałam. Co, na dobrą sprawę, wiem o swoich krewnych? Od czasu do czasu mnie denerwują albo mi dokuczają, ale nigdy nie zastanawiałam się nad żadnym z nich z osobna. Nudzą mnie. - Przeciągnęła dłonią po włosach tak, że koc zsunął się jej aż do pasa.

- Ginger musi być mniej więcej w tym wieku co ja, a nic nas nie łączy. Żony Biffa przypuszczalnie nawet nie poznałabym na ulicy.

- Nie mogę zapamiętać jej imienia - wtrącił Michael.

- No właśnie. Tak naprawdę wcale ich nie znamy. Możemy się z nich śmiać, ale co o nich wiemy? Do czego są zdolni? Właśnie zaczęłam się nad tym zastanawiać. To nie żarty, Michael.

- Wiem o tym.

- Chcę z nimi walczyć, ale nie mam pojęcia jak. - Rozłożyła bezradnie ręce.

- Najpewniejszym sposobem będzie pozostanie tutaj. A może... - dodał i ujął jej dłoń, była chłodna i miękka - należy sięgnąć po inne sposoby.

- Na przykład?

- Na przykład posłać każdemu z naszych krewnych butelkę szampana - powiedział.

- Dużą - dodała.

- Oczywiście. Ciekawe, z jaką reakcją się spotkamy.

- To będzie złośliwy gest, prawda? - zaśmiała się.

- Uhm.

- Może nie zaufałam dostatecznie twojemu twórczemu umysłowi - zastanowiła się. - Myślę, że teraz powinniśmy się trochę przespać.

- Chyba tak. - Przesunął palce wzdłuż jej ramienia.

- Nie jestem bardzo zmęczona.

- Moglibyśmy zagrać w kanastę - zaproponował.

- Dlaczego nie. - Nie zrobiła najmniejszego ruchu, by go powstrzymać, gdy zsuwał jej z ramion cienkie ramiączka koszuli.

- Albo - to jej decyzja, oboje o tym wiedzieli - możemy skończyć tę grę, którą zaczęliśmy na dole.

Uniósł jej dłoń i przycisnął do ust.

- Trzeba zacząć od miejsca, w którym skończyliśmy. O ile sobie przypominam byliśmy... tu. - Przybliżył usta do jej warg. Westchnęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Wydaje mi się, że masz rację - zgodziła się. Pociągnęła go ku sobie.

Może stało się tak dlatego, że oboje dobrze siebie znali. A może dlatego, że czekali na to przez całe życie, ale nie chcieli się spieszyć. Pożądanie było czymś, co można było zaspokoić dotykiem, przelotną pieszczotą. Namiętność była bardziej zachłanna, domagała się wszystkiego.

Michael dotykał dłońmi i wargami, chciał poznać ciało Pandory cal po calu, odkryć wszystkie jego tajemnice. Zbyt długo czekał, nazbyt długo jej pragnął, by teraz się spieszyć.

Pandora była bardziej hojna, niż przypuszczał, bardziej otwarta, niepohamowana. Nie prosiła, by ją zdobywać, nie udawała, że trzeba ją namawiać i przekonywać. Przebiegała dłońmi po jego ciele z taką samą ciekawością odkrywcy, jak on po jej ciele. Przyłgnęła wargami do jego ust, a kiedy namiętny pocałunek dobiegł końca, w jej oczach ujrział niepohamowane pożądanie i bezgraniczną radość. Jesteśmy ze sobą, pomyślał i ukrył twarz w jej włosach. Zostaniemy kochankami.

Ściągnęła z niego szybkim ruchem bluzę i dotknęła jego skóry. Serce waliło mu młotem. Dotychczas się wzbraniała, teraz zaakceptowała to, co miało nastąpić, nie bacząc na konsekwencje. Na zastanawianie się nad skutkami będzie czas później.

Pochylił się nad nią. Uczył się jej ciała w sposób, którego nie spodziewałby się w najśmielszych wyobrazeniach. Czuł jej delikatny zapach, słabszy w zagłębieniu talii, silniejszy i bardziej podniecający pod piersiami.

Przywarł do niej całym ciałem, jęknęła, gdy poczuła go w sobie. Osiągnęli punkt, w którym żadne z nich nie wiedziało, co robi, zapamiętali się, zatopili w sobie, zespolili w sposób jedyny i niepowtarzalny. Nikt nigdy nie dał jej tyle co on. Nikt tyle nie ofiarowywał i tyle nie brał.

Sycili się sobą, ale wciąż im było mało. Kiedy wreszcie spojrzeli na siebie, zobaczyli na swoich twarzach niepomierne zdziwienie. To było coś nowego, coś, co nigdy jeszcze żadnemu z nich się nie przytrafiło.

Zapanowała cisza. Leżeli w milczeniu obok siebie. Znali się dobrze, zbyt dobrze, by mówić o tym, co się właśnie stało. Starali się ochłonać. Michael wtulił twarz w szyję Pandory.

- Wesółych Świąt - szepnął.

Pandora westchnęła i położyła głowę na jego ramieniu. Była spokojna i bezpieczna.

ROZDZIAŁ 8

Wyjechali z Folley o świcie w dzień po Bożym Narodzeniu. Po krótkiej sprzeczce postanowili, że Pandora będzie prowadzić do miasta, a Michael w drodze powrotnej. Przesunął do tyłu fotel i wyciągnął nogi. Pandora ostrożnie zjeżdżała wąską, górską drogą. Nie odzywali się do siebie, dopóki nie znaleźli się na autostradzie.

- A co będzie, jeśli nas nie wpuszczą? - zaniepokoiła się.

- Niby dlaczego? - Michael poprawił się na siedzeniu. Nie był przyzwyczajony do roli pasażera. Po raz pierwszy niecierpliwiła go jazda z Folley do Nowego Jorku.

- Nie mów hop, póki nie przeskoczysz. - Pandora skręciła ogrzewanie i rozpięła płaszcz. - Dom jeszcze nie jest nasz.

- Drobiazg. - Machnął ręką.

- Jak zwykle pewny siebie - rzuciła z przekąsem.

- A z ciebie jak zwykle pesymistka.

- Ktoś musi być realistą.

- Zrozum... - zaczął, chcąc powiedzieć coś złośliwego, ale zauważył, jak kurczowo ścisną kierownicę. To nerwy, pomyślał. Choć sceneria była iście bajkowa, trudno było udawać, że wybierają się na wycieczkę. On też był zdenerwowany, i to nie wyłącznie za sprawą zatrutego szampana. Nie spodziewał się, że obudzi się obok niej i poczuje się winny, a także odpowiedzialny za to, co się stało.

Przez chwilę w milczeniu obserwował krajobraz przesuwany się za oknem.

- Posłuchaj - zaczął jeszcze raz łagodniejszym tonem.

- Nie przejęliśmy jeszcze laboratorium, ale jesteśmy krewnymi Jolleya. Dlaczego jakiś technik miałby nam odmówić wykonania analizy?

- Przekonamy się na miejscu. - Przez następne parę minut prowadziła w milczeniu. - Michael, co nam właściwie da ta analiza?

- Zaspokoi moją ciekawość - odparł. - Chcę wiedzieć, czy ktoś próbował mnie otruć.

- A więc będziemy wiedzieć czy i dlaczego. Nie będziemy tylko nadal wiedzieć kto.

- To wymaga uczynienia następnego kroku - powiedział.

- Możemy ich wszystkich zaprosić do Folley na Nowy Rok i kolejno przypiekać na ruszcie.

- Nie żartuj sobie - zniecierpliwiła się.

- Nie, właściwie biorę to pod uwagę. Tyle że czas jest niezupełnie odpowiedni. - Zamilkł na chwilę. Patrzył na jej dłonie w cienkich skórzanych rękawiczkach. Nerwowo zaciskała palce.

- Pandoro, dlaczego mi nie powiesz, co naprawdę cię dręczy? - spytał.

- Nic - odrzekła. Wszystko, skorygowała w duchu. Od dwudziestu czterech godzin nie była w stanie jasno myśleć.

- Nic? - powtórzył.

- Nic ponad to, że ktoś chce mnie zabić. To mało? - rzuciła z irytacją.

- To dlatego wczoraj przez cały dzień chowałeś się w swoim pokoju?

- Nie chowałam się - zaprotestowała. - Musiałam być przy Branie. A poza tym byłam zmęczona.

- Prawie nie tknęłaś tego wspaniałego indyka, którego z takim poświęceniem przygotowała Sweeney.

- Nie przepadam za indykiem.

- Przecież nieraz jedliśmy razem kolację świąteczną - zauważył. - Nie żałowałaś sobie.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, że mi to wypominasz. - Nagle dodała gazu i wyprzedziła jadący przed nimi samochód. - A więc powiedzmy, że byłam nie w humorze.

- Jak zdołałaś tak szybko wmówić sobie, że to, co się między nami wydarzyło, nie budzi twego entuzjazmu? Dlaczego tak niechętnie o tym myślisz? - To bolało. Czuł, że to bolało, ale nie zamierzał tego okazywać.

- Skądże. To absurd - obruszyła się. Przecież o niczym innym nie myślała, tylko o tym, co się wydarzyło. Nie była w stanie skupić się nad niczym innym. Śmiertelnie się tego przeraziła. Nie spodziewała się aż takiej reakcji. - Spaliśmy ze sobą. - Wzruszyła ramionami, udając, że bagatelizuje całą sprawę. - Przypuszczam, że oboje wiedzieliśmy, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Dokładnie to samo sobie mówił. Stracił już orientację, ile razy.

- I co z tego? - spytał lodowatym tonem, ale była zbyt pochłonięta własnym stanem, by to zauważyć.

- Jak to co? - odpowiedziała machinalnie. Musi przestać wreszcie analizować sytuację. Nie może sobie pozwolić na to, by ulec sile namiętności, bo przecież to prowadzi donikąd.

- Michael, nie ma sensu nadawać temu, co zaszło między nami, zbyt dużej wagi.

- A jaka jest waga właściwa?

- Jesteśmy oboje dorośli... - zaczęła.

- No i?

- Do diabła, Michael, nie muszę ci chyba tłumaczyć - zirytowała się.

- Owszem, musisz.

- Jesteśmy oboje dorośli - powtórzyła, jeszcze bardziej zniecierpliwiona. - Mamy potrzeby dorosłych ludzi. Spaliśmy ze sobą, bo tego potrzebowaliśmy - podkreśliła.

- Bardzo praktyczne podejście - zauważył z przekąsem.

- Jestem praktyczna. - Nagle zachciało jej się płakać.

- Za bardzo praktyczna, by marzyć o mężczyźnie, który ma dziewczyn na pęczki. Za bardzo praktyczna - kontynuowała, podnosząc głos - by myśleć o zaangażowaniu się w związek z mężczyzną, z którym spędziłam jedną noc. I za bardzo praktyczna, żeby traktować jako romantyczne przeżycie to, co nie było niczym więcej niż zaspokojeniem normalnych i podstawowych potrzeb.

- Zatrzymaj się - powiedział.

- Nie.

- Zatrzymaj się albo ja to zrobię za ciebie.

Zacisnęła usta i zastanawiała się, czy blefuje. Na szosie był duży ruch, wołała więc nie ryzykować. Zjechała na pobocze. Michael przekręcił kluczyk w stacyjce, chwycił ją za kłapy płaszcza i przyciągnął do siebie. Zanim zdążyła zaprotestować, zamknął jej usta pocałunkiem.

Były w tym pocałunku żar, złość, namiętność. Trzymał ją przy sobie, nie zważając na przemykające obok samochody.

Rozwścieczyła go, podnieciła, zraniła. A to, jego zdaniem, stanowczo za dużo. Żaden mężczyzna by tego nie zniósł. Po chwili puścił ją tak samo nagle, jak chwycił.

- Zrób z tego coś praktycznego - rzucił wyzywająco. Pandora cofnęła się na swój fotel. Dyszała ciężko. Wściekłym ruchem przekręciła kluczyk i włączyła silnik.

- Idiota - warknęła.

- Tak - przyznał. - Wreszcie w czymś jesteśmy zgodni.

To była długa podróż. Wydawała się jeszcze dłuższa, bo siedzieli w samochodzie w całkowitym milczeniu. Gdy tylko wjechali na Manhattan, Michael zmusił Pandorę, by poszła z nim do laboratorium.

- Skąd wiesz, gdzie to jest? - spytała, gdy zostawili samochód na parkingu podziemnym.

- Sprawdziłem adres w notesie Jolleya. - Michael szedł bez kapelusza, w rozpiętym płaszczu, ściskając pod pachą pudełko z butelką szampana. Nie lubił marznąć, ale uznał, że po gorącej atmosferze, jaka panowała w samochodzie, chłód dobrze mu robi. Pchnął drzwi

obrotowe i znaleźli się w holu budynku ze szkła i stali. - To wszystko należało do wuja - powiedział.

- Cały ten budynek? - Pandora nie wierzyła własnym oczom.

- Wszystkie siedemdziesiąt dwa piętra.

Ile firm może się tu mieścić? - zastanawiała się. Ilu ludzi pracować? Jak zdoła wziąć na siebie odpowiedzialność za to wszystko? Gdyby miała okazję porozmawiać z wujem Jolleyem, już by mu wygarnęła, pomyślała z lekkim rozbawieniem. Dopiero by miał uciechę.

- Co miałabym zrobić z siedemdziesięcioma dwoma piętrami w środku miasta?

- Jest cała masa ludzi, którzy się tym zajmą za ciebie.

- Michael opowiedział się strażnikom przy windzie. Pojechali na czterdzieste piętro.

- A więc są tu tacy ludzie - zastanowiła się Pandora.

- Kto ich sprawdza?

- Księgowi, prawnicy, menedżerowie. To sprawa wynajęcia ludzi, którzy będą pilnować tych, których zatrudniasz.

- To rzeczywiście wszystko upraszcza.

- Jeśli się martwisz, pomyśl o Jolleyu. Posiadanie fortuny nie odbierało mu radości życia i przyjemności. W gruncie rzeczy traktował biznes jako swego rodzaju hobby.

- Hobby. - Pandora obserwowała numery pojawiające się nad drzwiami windy.

- Każdy powinien mieć jakieś hobby - zauważył Michael.

- Tenis to hobby.

- Sztuką jest utrzymanie w ruchu piłki. Jolley przebił ją na naszą połowę kortu, Pandoro.

- Nie mogę powiedzieć, że bym mu była za to wdzięczna - zaśmiała się.

- A więc spójrz na to z innej strony. - Położył jej dłoń na ramieniu i lekko ścisnął. - Nie musisz wiedzieć, jak wyprodukować samochód, by mieć własny. Wystarczy, że potrafisz prowadzić i znasz przepisy drogowe. Jeśli Jolley sądziłby, że nie znamy przepisów, nie dałby nam kluczyków.

Trochę ją pocieszyło takie ujęcie problemu. A jednak dziwnie było wjeżdżać windą, która po upływie paru miesięcy miała do niej należeć.

- Wiemy, do kogo pójść? - Spojrzała pytająco na Michaela.

- Do niejakiego Silasa Lockwortha.

- Dobrze odrobiłeś lekcje.

- Miejmy nadzieję.

Kiedy winda się zatrzymała, udali się do recepcji laboratoriów Sanfielda. Wykładziny były w kolorze bladego różu, ściany kremowe. Po obu stronach szklanych drzwi stały potężne filodendrony. Kobieta za biurkiem powitała ich szerokim uśmiechem.

- Dzień dobry państwu. W czym mogę pomóc? Michael rzucił okiem na komputer stojący na biurku. Najnowszy model.

- Chcielibyśmy się zobaczyć z panem Lockworthem - powiedział.

- Pan Lockworth ma spotkanie. Jeśli państwo zechcą podać swoje nazwiska, może asystent pana Lockwortha państwa przyjmie.

- Jestem Michael Donahue. A to panna Pandora McVie.

- McVie? - powtórzyła recepcjonistka.

- Tak, Maximillian McVie był naszym wujem - oznajmił. Recepcjonistka dotychczas bardzo uprzejma, stała się jeszcze uprzejmiej.

- Jestem pewna, że pan Lockworth osobiście by państwa przywitał, gdybyśmy wiedzieli, że państwo przyjdą. Proszę usiąść, zaraz go powiadomię.

Nie upłynęło nawet pięć minut, a w recepcji pojawił się mężczyzna, który ani trochę nie odpowiadał wyobrażeniom Pandory o naukowcu. Był wysoki, szczupły, o sportowej sylwetce, miał jasne włosy i opaloną twarz. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto lubi przesiadywać w laboratorium wśród probówek, szkiełek i mikroskopów.

- Panna McVie. - Podeszedł do nich z szerokim uśmiechem na twarzy. - Pan Donahue. Jestem Silas Lockworth. Państwa wuj był moim dobrym przyjacielem. - Wyciągnął rękę do Michaela.

- Bardzo mi miło. - Michael uściśnął mu dłoń. - Przepraszam, że wpadliśmy bez uprzedzenia.

- Nie szkodzi. Jolley robił tak samo. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy przyjdzie. Zapraszam do siebie.

Lockworth poprowadził ich do gabinetu położonego na końcu korytarza, gdzie czekała ich następna niespodzianka. Stały tu wyściełane stare meble, na ścianach wisiały litografie, na biurku piętrzyły się dokumenty. W powietrzu unosił się zapach skóry, w którą były oprawione książki umieszczone na regale sięgającym sufitu. W jedną ze ścian było wbudowane akwarium. Całość sprawiała wrażenie gabinetu prezesa dużej korporacji, a nie dyrektora laboratorium.

- Może napiją się państwo kawy? - zaproponował. - Gwarantuję, że będzie gorąca i mocna.

- Nie, dziękujemy. - Pandora nerwowo ścisnęła rękawiczki. - Nie chcemy zabierać panu zbyt dużo czasu.

- Ależ cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił ją Lockworth. - Jolley nieraz o was mówił. - Gestem dłoni zaprosił ich, by usiedli. - Nie ulega wątpliwości, że byliście jego ulubieńcami.

- I on naszym - powiedziała Pandora.

- No, ale na pewno nie przyszliście tutaj bez powodu. Czym mogę służyć?

- Chcielibyśmy oddać coś do analizy - zaczął Michael. - W miarę możliwości szybkiej i dyskretnej.

- Rozumiem. - Silas uniósł brwi. Znał się na ludziach. Widział, że Pandora z trudem ukrywa zdenerwowanie, a Michael wzburzenie. Miał wrażenie, że coś ich łączy, choć od kiedy weszli do gabinetu, nie popatrzyli na siebie ani razu.

Mógłby odmówić. Część personelu przebywała jeszcze na urlopie, a pracy było dużo. Nie miał na razie wobec nich żadnych zobowiązań, ale nie zapomniał, ile zawdzięczał Jolleyowi McVie.

- Postaramy się wam pomóc - zwrócił się do Michaela i Pandory.

Michael otworzył pudełko i wyjął butelkę.

- Musimy mieć analizę zawartości tej butelki. Jeszcze dzisiaj. To poufne zlecenie.

Lockworth obejrzał nalepkę.

- Rocznik siedemdziesiąt dwa. Bardzo dobry. Czyżbyście myśleli o założeniu winnicy?

- Chcemy wiedzieć, co oprócz szampana jest w środku - oświadczył Michael.

- A macie powody, by myśleć, że coś tam jeszcze jest?

- Lockworth nie krył zdziwienia.

- Inaczej by nas tu nie było.

- Dobrze. Sam to zaniosę do laboratorium. Niezadowolona z obcesowego zachowania Michaela Pandora szybko wstała i wyciągnęła rękę do Lockwortha.

- Przepraszamy za kłopot i bardzo panu dziękujemy - powiedziała. - Jestem pewna, że ma pan dużo pracy, ale ta sprawa jest dla nas niezwykle ważna - tłumaczyła się.

- Nie ma o czym mówić. - Lockworth postanowił, że gdy tylko wykona analizę wina, postara się dowiedzieć, dlaczego jest to aż tak ważne. - Jest u nas kawiarnia dla personelu. Zaprowadzę was. Zaczekajcie tam na mnie.

- Nie musiałeś być nieuprzejmy. - Pandora usiadła przy stoliku i zaczęła studiować zdumiewająco różnorodne menu.

- Nie byłem.

- Owszem, byłeś. Pan Lockworth poświęcił nam tyle czasu, był taki miły, a ty zachowałeś się jak prostak. Chyba wezmę sałatkę z krewetek.

- Jaki prostak?! Po prostu chciałem być ostrożny. Może uważasz, że powinniśmy o wszystkim powiedzieć komuś zupełnie obcemu?

Pandora uśmiechnęła się do kelnerki.

- Proszę sałatkę z krewetek i kawę.

- Dwie kawy - rzucił Michael. - I porcję indyka.

- Nie zamierzam, jak to sugerujesz, wszystkiego opowiadać komuś zupełnie obcemu. Natomiast jeśli nie mamy zaufania do Lockwortha, to lepiej kupić od razu zestaw „małego chemika” i próbować na własną rękę zbadać szampana.

Przez parę chwil, aż do przyjścia kelnerki, siedzieli w milczeniu.

- Pij kawę - mruknął Michael, podnosząc do ust swoją filiżankę.

- Myślisz, że to długo potrwa?

- Nie mam pojęcia. Nie znam się na tym.

- Nie wygląda na naukowca, prawda? - zauważyła.

- Na ujeżdżacza koni.

- Co?

- Wygląda na ujeżdżacza koni. Zastanawiam się, czy Carlson lub ktoś z rodziny jest w ogóle zainteresowany tym budynkiem.

- Nie myślałam o tym - przyznała.

- O ile mnie pamięć nie myli, dwadzieścia pięć lat temu Jolley włączył Tristar Corporation do firmy Monroe. Słyszałem, jak rodzice o tym rozmawiali.

- Tristar? Co to takiego?

- Plastik. Rozdawał po kawałku tego tortu to tu, to tam. Powiedział mi kiedyś, że chciał dać wszystkim swoim krewnym szansę, zanim ich skreśli z listy.

Pandora wzruszyła ramionami i wypila łyk kawy.

- Co za różnica, jeśli nawet dał komuś parę udziałów w Sanfieldzie?

- Nie wiem, do jakiego stopnia moglibyśmy wtedy ufać Lockworthowi.

- Czułbyś się lepiej, gdyby był łysy i niski, w grubych okularach i mówił z lekkim niemieckim akcentem? - zazartowała.

- Może.

- A widzisz? - zaśmiała się rozbawiona. - Jesteś zazdrosny, bo ma szerokie ramiona. - Zatrzepotała rękami. - Oto i twój indyk.

Jedli pomału, wypili jeszcze po jednej kawie i zamówili placek z jabłkami. Po półtorej godzinie nie mieli już ani sił, ani ochoty na przekomarzenie się i docinki. Siedzieli w milczeniu zdenerwowani i zniecierpliwieni. W końcu w drzwiach pojawił się Lockworth.

- Nareszcie. - Pandora odetchnęła z ulgą. Lockworth podszedł do nich, położył na stoliku komputerowy wydruk analizy i oddał pudełko Michaelowi.

- Pomyślałem, że zechcecie mieć kopię - powiedział, siadając. Skinął na kelnerkę, żeby podała mu kawę.

Pandora popatrzyła na długą listę terminów chemicznych. Nic dla niej nie znaczyły, ale wątpiła, by trichloroetylen czy inna wielosylabowa substancja należała do szampana francuskiego.

- Co to znaczy?

- Sam się nad tym zastanawiałem. - Lockworth wyjął papierosy. Michael patrzył na niego przez chwilę z nadzieją.

- Dlaczego ktoś miałby dodawać do szampana pyłek różany?

- Pyłek różany? - powtórzył Michael. - To chyba trujące.

- Teoretycznie tak - potwierdził Lockworth. - Ale ta ilość, która była w szampanie, wystarczyłaby od biedy, żebyście chorowali przez dzień lub dwa. Przypuszczam, że nie mieliście żadnych dolegliwości?

- Nie. - Pandora popatrzyła na Lockwortha. - Tylko mój piesek chorował - wyjaśniła. - Kiedy otworzyliśmy butelkę, korek upadł na podłogę i on go wylizał. Zanim zdążyliśmy sami wypić, już był chory.

- Szczęśliwie dla was, choć to ciekawe, że przyszło wam do głowy, iż szampan był zatruty, skoro pies się rozchorował - zdziwił się.

- Na szczęście dla nas. - Michael złożył wydruk i schował do kieszeni.

- Proszę wybaczyć memu kuzynowi jego zachowanie - tłumaczyła się Pandora. - Dziękujemy, że zechciał nam pan poświęcić swój czas. Obawiam się, że wyjaśnienie całej sprawy nie jest w tej chwili możliwe, ale mogę panu powiedzieć, że mieliśmy uzasadnione powody, by podejrzewać to wino.

Lockworth skinął głową. Jako naukowiec aż nadto dobrze wiedział, co to znaczy teoretyzowanie.

- Dajcie mi znać, jeśli potrzebna będzie bardziej wyczerpująca ekspertyza. Jolley był bardzo ważną osobą w moim życiu. Uznajmy to za przysługę dla niego.

- Proszę wybaczyć moje niefortunne zachowanie. - Michael wstał i wyciągnął rękę.

- Sam byłbym trochę zdenerwowany, gdyby ktoś dał mi do zde gustowania pestycydy - stwierdził Lockworth. - Proszę się ze mną skontaktować, gdybym mógł być w czymś jeszcze pomocny.

- No i co teraz? - spytała Pandora, gdy zostali sami.

- Zrobimy wycieczkę do sklepu z alkoholem - powiedział Michael. - Musimy kupić parę upominków.

Kupili po butelce takiego samego szampana dla krewnych. Michael dołączył do każdej karteczkę ze słowami: „Przysługa za przysługę”. Polecili, by wysłano je pod wskazane adresy.

- Kosztowny gest - zauważyła Pandora, gdy wyszli na ulicę.

- Traktuj to jak inwestycję - zasugerował.

Nie chodziło jej o pieniądze. Nagle zdała sobie sprawę z bezowocności tych działań.

- Właściwie co nam to da? - Zawahała się.

- Kilka butelek najpierw wzbudzi zdumienie, ale później zostanie należycie docenionych. Ale jedna będzie informacją, wręcz groźbą.

- Cenna pogroźka - parsknęła Pandora. - Przecież i tak nie zobaczymy reakcji obdarowanych.

- Rozumujesz jak amatorka.

- Co to ma znaczyć? - Chwyciła go za ramię.

- Kiedy amator robi komuś kawał, myśli, że musi być świadkiem efektu.

- Od kiedy to zatrucie szampana jest kawałem? - obruszyła się Pandora.

- Zemstą kierują te same reguły - wyjaśnił.

- Och, rozumiem. A ty jesteś ekspertem w tych sprawach.

- Może i jestem. Wystarczy mi, że ktoś popatrzy na butelkę i się zdenerwuje. Będzie wiedział, że my wiemy i że tak łatwo mu nie pójdzie. Że odpłacimy mu pięknym za nadobne. Twój problem polega na tym, iż nie dajesz upustu emocjom na tyle, by cenić sobie zemstę.

- Zostaw w spokoju moje emocje!

- Oczywiście.

Chwyciła go za rękę. Twarz miała zaróżowioną od wiatru, w głosie sły chać było tłumioną złość.

- Nie byłeś taki poirytowany z powodu szampana czy różnych poglądów na zemstę. Jesteś wściekły, ponieważ potraktowałam nasze stosunki w sposób praktyczny i racjonalny - wybuchła.

- Okay - przyznał, zatrzymał się na chwilę, po czym ruszył dalej. Pandora chwyciła go za ramię. - Chcesz to roztrząsać właśnie teraz? - zniecierpliwił się.

- Nie pozwolę, żebyś mnie traktował lekceważąco tylko dlatego, że ucięłam to, zanim ty miałeś szansę to zrobić.

- Zanim ja miałem szansę? - Chwycił ją za płaszcz. - Z trudem pogodziłem się z tym, co między nami zaszło. Pragnąłem cię. Do diabła, wciąż cię pragnę. Bóg jeden wie dlaczego.

- Cóż, ja też cię pragnę i wcale mnie to nie cieszy.

- A więc wygląda na to, że mamy kłopoty.

- I co teraz zrobimy?

Patrzył na nią i widział, że jest zła. Ale widział też, że jest zakłopotana. Ktoś musi uczynić pierwszy ruch. Uznał, że tym kimś będzie on. Wziął ją za rękę i pociągnął na drugą stronę ulicy.

- Dokąd idziemy? - zdziwiła się.

- Do Plaza.

- Do hotelu Plaza? Po co?

- Weźmiemy pokój, zamkniemy drzwi na klucz, wywiesimy kartkę „Nie przeszkadzać” i będziemy się kochać przez następne dwadzieścia cztery godziny. A potem zdecydujemy co dalej.

- Nie mamy bagażu - zachnęła się.

- Nie mamy. Moja reputacja będzie zagrożona.

Weszli do eleganckiego holu. Panujące tu ciepło rozgrzało Pandorę i pobudziło jej nerwy. To tylko impuls, powiedziała sobie. Wiedziała, że pod wpływem impulsu nie należy podejmować żadnej ważnej decyzji, która może wszystko zmienić. Chciała się wycofać, ale położył jej dłoń na ramieniu i zatrzymał ją.

- Tchórz - mruknął. Nie mógł wybrać odpowiedniejszego określenia, by ją zatrzymać.

- Dobry wieczór - uśmiechnął się do recepcjonistki. Pandora zastanawiała się przez chwilę, czy jego uśmiech byłby tak samo czarujący, gdyby w recepcji siedział mężczyzna. - Proszę o formularz zgłoszeniowy.

- Ma pan rezerwację? - spytała recepcjonistka.

- Donahue. Michael Donahue - powiedział. Urzędniczka nacisnęła parę klawiszy i spojrzała na monitor.

- Obawiam się, że nie mam takiej rezerwacji.

- Cała Katie - westchnął Michael i posłał Pandorze wymowne spojrzenie. - Nie powinienem jej powierzać załatwienia nawet tak błahej sprawy.

Pandora poklepała go po ręce, pojmując w lot, o co chodzi.

- Będziesz ją musiał zwolnić. Wiem, że pracuje u twojej rodziny od czterdziestu lat, ale kiedy ktoś dobiega siedemdziesiątki...

- Zdecydujemy po powrocie do domu - orzekł i ponownie zwrócił się do recepcjonistki. - Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie między moją sekretarką a hotelem - wyjaśnił. - Chcemy zostać w mieście tylko do jutra. Nie ma pani nic wolnego?

Urzędniczka ponownie spojrzała na monitor. W takich sytuacjach ludzie na ogół tracili samokontrolę. Spokojny ton Michaela zjednał mu jej sympatię.

- W okresie świątecznym trudno o miejsce, sam pan rozumie - tłumaczyła, naciskając kolejne klawisze. - O, jest wolny apartament.

- Świetnie - ucieszył się Michael. Wziął formularz do wypełnienia. Odbierając klucz, uśmiechnął się raz jeszcze do recepcjonistki.

- Dziękuję, że zadała sobie pani tyle trudu - powiedział. Zauważył boya hotelowego i wręczył mu banknot.

- Poradzimy sobie, dziękuję - rzucił.

Chłopak popatrzył na dwudziestodolarówkę, którą trzymał w dłoni, i zdziwiony rozejrzał się za bagażem.

- Tak, sir! - wykrzyknął uradowany.

- Myśli, że mamy potajemną randkę - powiedziała Pandora, gdy wchodzili do windy.

- Bo tak jest. - Zanim drzwi się zamknęły, przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem, który trwał przez dwanaście pięter. - Właśnie się spotkaliśmy. Nie mamy wspólnych wspomnień z dzieciństwa, nie należymy do tej samej rodziny. - Włożył klucz do zamka. - Nie obchodzi nas, jak zarabiamy na życie, nie wiemy o sobie prawie nic.

- Myślisz, że to upraszcza sprawę? - spytała powątpiewająco.

- Przekonamy się.

Nie dał jej czasu na zastanawianie się czy roztrząsanie tego tematu. Po zamknięciu drzwi wziął Pandorę w ramiona. Przyłgnęli do siebie z furją, desperacko, jakby to spotkanie miało być pierwszym i ostatnim. Zapomnieli o otaczającym ich świecie, o tym, gdzie są, skąd przybyli, co zamierzają. Zatopili się w sobie bez reszty.

Zrzucili na podłogę płaszcze jeszcze zimne od wiatru. Za płaszczami poszły swetry i koszule. Nie uszli nawet kilku kroków od drzwi i osunęli się na dywan.

- Cholerna zima - złorzeczył Michael, zmagając się z butami.

Pandora walczyła ze swoimi. Jęknęła, gdy przyłgnął wargami do jej piersi.

Kochali się gwałtownie, pospiesznie, z zapamiętaniem, nie dając sobie chwili wytchnienia. Były to całkiem nowe doznania, nie przypominające w niczym uniesień pierwszej nocy. Palce dotykały ciała inaczej niż przedtem, usta inaczej całowały.

Serce Pandory nigdy jeszcze nie biło tak szybko. Jej ciało jeszcze nigdy nie było tak rozpalone. Chciała coraz więcej i więcej, wszystkiego, co mógł jej dać. Całowała gorączkowo jego twarz, szyję, piersi.

Nigdy by nie podejrzewał, że może być tak dzika i niepohamowana. Domagała się pieszczot w sposób, o jakim mężczyzna mógł tylko marzyć. Jego ciało ją fascynowało, ekscytowało, podniecało. Sprawiała, że niemal zatracił świadomość, i w końcu zespolił się z nią w akcie jedynym i niepowtarzalnym.

Nigdy nie przypuszczała, że mężczyzna może dać kobiecie tak wiele. On wiedział, że może brać od niej wszystko, co zechce, żądać, czego tylko zapagnie, a ona mu nie odmówi. Ale nie brał i nie żądał. Dawał. To było więcej, niż zdołała sobie wyznaczyć, więcej niż mogła znieść, nieprawdopodobnie więcej.

Zostali tam, gdzie byli, na dywanie, wśród rozrzuconych ubrań. Pandora powoli wracała do rzeczywistości. Widziała pastelowe ściany, promienie słońca wpadające przez okno. Czowała połączone zapachy ich ciał, włosy Michaela na swoim policzku, słyszała bicie jego serca.

Tak szybko się to stało, pomyślała. A może upłynęły godziny? Jedyne, czego była pewna, to że nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego. Nigdy na coś podobnego sobie nie pozwoliła, skorygowała samą siebie. Dziwne rzeczy mogą się przytrafić kobiecie, która da upust swojej namiętności. Zanim znów otrzeźwieje, mogą w niej zajść zdumiewające zmiany. Może się w jej serce na przykład zakraść uczucie, przywiązanie, ba, nawet miłość.

Złapała się na tym, że głaszcze włosy Michaela, i opuściła rękę. Nie może sobie pozwolić na miłość, nawet na krótko. Miłość nie tylko daje, również bierze. Od dawna o tym wiedziała. I nie zawsze to dawanie i branie odbywa się w jednakowych proporcjach. Michael nie był mężczyzną, którego kobieta mogłaby kochać w sposób praktyczny, a już z całą pewnością nie rozsądny. Zdawała sobie z tego sprawę. On nie podporządkowałby się żadnym regułom.

Będzie jego kochanką, ale nie będzie go kochać. Z Michaelem przeżyje zwykłą przygodę bez konsekwencji. Przygoda to brzmi znacznie praktyczniej niż romans.

Westchnęła jednak tęsknie.

- Obmyślasz to? - spytał.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - zdziwiła się.

- Zastanawiasz się nad zasadami naszego związku? - Uniósł nieco głowę i popatrzył na nią z góry. Nie uśmiechał się, ale Pandorze wydawało się, że jest rozbawiony.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Słyszę niemal, jak pracują zwoje twego mózgu, Pandoro. Widzę, co się dzieje w twojej głowie.

- Podobno właśnie się spotkaliśmy.

- Jestem dobrym psychologiem. Myślisz - delikatnie skubnął zębami jej wargi - że należy utrzymać nasze... stosunki na racjonalnej płaszczyźnie. Zastanawiam się, jak zachowasz dystans emocjonalny, kiedy będziemy ze sobą sypiać. Zdecydowałaś, że w nasz związek nie wkradnie się nawet cień romantyzmu.

- W porządku. - Poczula się głupio. Przesunął dłonią wzdłuż jej biodra i sprawił, że zdrząła. - Skoro jesteś taki mądry, zrozumiesz, że tylko posłużyłam się zdrowym rozsądkiem.

- Wolę, jak twoje ciało się rozpala i wyzbywasz się wszelkiego rozsądku. Ale - pocałował ją, zanim zdążyła odpowiedzieć - nie możemy nie wychodzić z łóżka. Nie wierzę w związku wyrozumowane, Pandoro. Nie wierzę w dystans emocjonalny między kochankami.

- Masz w tej dziedzinie spore doświadczenie.

- Zgadza się. - Usiadł. I coś ci powiem. Możesz tłumić emocje, ile tylko chcesz. Możesz nazywać to, co zachodzi między nami, w sposób tak prozaiczny i praktyczny, jak tylko potrafisz. Możesz kręcić nosem na kolację przy świecach i nastrojową muzykę. I tak będzie to bez znaczenia i niczego nie zmieni. - Odgarnął jej do tyłu włosy i przechylił głowę. - Mam zamiar doprowadzić do tego, kuzynko, że będziesz myślała tylko o mnie, wyłącznie o mnie. Gdy obudzisz się w środku nocy, a mnie przy tobie nie będzie, zapragniesz, żebym był. A kiedy cię dotknę, zapragniesz mnie natychmiast.

Zdrząła. Wiedziała aż nadto dobrze, że on ma rację. Wiedziała też, że będzie się opierała do końca.

- Jesteś arogancki, egocentryczny i naiwny - stwierdziła.

- Nieźle. A ty jesteś zawzięta, uparta i perwersyjna. W tej sprawie możemy być jedynie pewni tego, że jedno z nas wygra.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Następna gra? - mruknęła Pandora.

- Może. Może to tylko gra. - Wstał i wziął ją na rękę.

- Michael, nie trzeba mnie nosić - zaprotestowała.

- Owszem, trzeba.

Przeszedł z nią do sypialni. Najpierw usiłowała się wyrwać, ale w końcu się poddała.
Może tylko ten jeden raz, pomyślała.

ROZDZIAŁ 9

styczeń był mroźny i wietrzny, padał śnieg, niebo zasnuwały szare chmury. Każdy dzień był tak samo zimny jak poprzedni. Był to miesiąc zamarzających i pękających rur, buchających pieców i unieruchomionych silników. Pandora uwielbiała taką pogodę. Mróz osiadał na szybach pawilonu, a w środku zawsze panował chłód, nawet jeśli ogrzewanie było włączone. Pracowała, dopóki nie skostniały jej palce, i cieszyła się każdą chwilą.

W ciągu tego miesiąca droga prowadząca do Folley często była nieprzejezdna. Pandorze wcale nie przeszkadzało, że nie może się stąd wydostać. Spizarnia i zamrażarka były pełne, a w komórce piętrzył się stos drewna do kominka. Uważała, że mają tu wszystko, co jest im potrzebne do życia. Dnie były krótkie i pracowite, noce długie i cudowne. Od czasu incydentu z szampanem nic zaskakującego się nie wydarzyło. Zima była spokojna i monotonna.

Monotonia to nie było właściwe słowo, uznała. Wykańczała właśnie grubą miedzianą bransoletę. Nie można powiedzieć, by nic się nie wydarzyło. Co prawda, nikt z zewnątrz ich nie niepokoił, ale... Kłopoty, jak dobrze wiedziała, to była specjalność Michaela Donahue.

Co chciał wskórać, zostawiając jej na poduszce bukietek fiołków? Była pewna, że zdobycie w styczniu tych małych liliowych kwiatków wymagało posłużenia się czarodziejską różdżką. Kiedy go o to zagadnęła, odparł z uśmiechem, że fiołki nie mają kolców. Co to za odpowiedź? - zastanawiała się. Co on chce przez to powiedzieć?

Któregoś dnia po wyjściu z łazienki zastała sypialnię rozświetloną tuzinem świec. Na jej pytanie, czy wyłączono prąd, roześmiał się tylko i pociągnął ją na łóżko.

Zdarzało się, że przy kolacji brał ją za rękę, a o świcie szeptał jej do ucha czułe słówka. Kiedyś, nie pytając, wszedł z nią pod prysznic i nie zważając na protesty, umył jej sam każdy cal ciała. Nie myliła się. Michael Donahue nie przestrzegał żadnych reguł. I on się nie mylił. Zawładnął nią bez reszty.

Pandora zabrała się do polerowania bransoletki. W ciągu minionych dwóch tygodni zrobiła ich sześć. Wierzyła swojej intuicji, a intuicja mówiła jej, że sprzedaje bardzo szybko, szybciej, niż nadąży z produkcją następnych. I że pojawią się imitacje.

Nie miała nic przeciwko imitacjom. W końcu tylko jeden egzemplarz był oryginalny i rozpoznawalny jako dzieło Pandory McVie. Kopiom brakowało czegoś szczególnego, znamion talentu.

Zadowolona ze swojej pracy obracała w rękę bransoletkę. Nikt nie wzięłby żadnego z jej dzieł za imitację. Często używała szkiełek zamiast kamieni szlachetnych czy półszlachetnych, ponieważ szkło wyrażało jej nastrój w danej chwili. Każdy egzemplarz jednak, który wyszedł spod jej ręki, był jedyny i na swój sposób niepowtarzalny. Nigdy nie zastanawiała się nad ceną, kiedy tworzyła. Najważniejsza była dla niej sztuka, a zysk pozostawał sprawą marginesową. Jej twórczość była za każdym razem inna, ale nie kłamała. Zawsze wyrażała szczerze jej uczucia i nastroje.

Popatrzyła na bransoletkę i westchnęła. Jej sztuka nie kłamała, a ona? Czy może być pewna, że jej uczucia są tak samo autentyczne jak jej biżuteria? Uczucia można imitować. Emocje mogą wprowadzić w błąd. Ile razy w ciągu minionych tygodni udawała? Nie udawała, że czuje; udawała, że nic nie czuje. Zawsze była dumna ze swojej uczciwości. Prawda i niezależność szły ręką w rękę z jej systemem wartości. Ale wciąż się okłamywała, a to najgorsza forma oszukiwania.

Najwyższy czas z tym skończyć, powiedziała sobie. Czas spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać się do swoich uczuć, choćby tylko przed sobą samą.

Od kiedy jest zakochana w Michaelu? Od tygodni? Miesiący? Lat? Nie potrafiłaby odpowiedzieć na to pytanie, bo sama dobrze nie wiedziała. Ale była pewna swoich uczuć. Kocha. Tego była pewna, bo kochała tylko parę osób w życiu, a kiedy już kochała, to bezgranicznie. Może to był jej największy problem. Czy kochanie Michaela bezgranicznie nie jest rodzajem samounicestwienia?

Lepiej się do tego przyznać. Żaden problem nie rozwiąże się sam, jeśli będzie się stosować uniki. Najpierw trzeba go rozpoznać, a potem się z nim uporać. Niezależnie od wszystkiego, kochała Michaela. Potarła zaparowaną szybę w oknie i wyjrzała na dwór. Dziwne, naprawdę sądziła, że jeśli zaakceptuje ten fakt, poczuje się lepiej. Ale tak się nie stało.

Jakie ma możliwości? Może mu to wyznać. I pozwolić mu napawać się tą świadomością, pomyślała ze złością. Na pewno tak będzie, zanim nie przerzuci się na swoją następną zdobycz. Nie jest taka głupia, żeby się łudzić, iż zależy mu na dłuższym związku. Oczywiście, ona też nie jest tym zainteresowana, powiedziała sobie i zaczęła składać narzędzia.

Inna możliwość to skończyć z tym i wyjechać. To, czego nie udało się dokonać jej krewnym podstępą złośliwością, zrobi sama z własnej woli. Wsiądzie w samochód, pojedzie na lotnisko, a stamtąd dokądkolwiek. Najbardziej właściwe określenie to „ucieczka”. Wtedy

okaże się nie tylko tchórzem, ale i zdrajcą. Nie, nie zrobi zawodu wujowi Jolleyowi, dobrowolnie nie ustąpi pola. A więc pozostaje jej tylko jedno wyjście.

Niczego nie zmieniać. Niech wszystko zostanie tak, jak jest. Będzie mieszkała z Michaeliem, będzie się z nim kochała i spędzała czas. W tajemnicy zachowa miłość, jaką go darzy. Wykorzysta te dwa miesiące, które im jeszcze pozostały, żeby przygotować się do rozstania bez żalu i łez.

Zawładnął nią, to fakt. Wyzwolił w niej namiętność. Ukazał możliwości, o istnieniu których nie miała pojęcia. Uzależnił od siebie i rozkochał. W jej głowie panował nieopisany chaos.

- Idzie - powiedziała Sweeney, odwracając się od okna i dała znak Charlesowi. Miała już przygotowany następny plan działania.

- To się nie uda - westchnął Charles.

- Oczywiście, że się uda. Musimy pchnąć te dzieciaki ku sobie dla ich własnego dobra. Dwoje ludzi, którzy się tak często kłóca, musi się pobrać.

- Niepotrzebnie mieszamy się w nie swoje sprawy - obruszył się Charles.

- Bzdura! - Sweeney usiadła przy stole. - A kto jak nie my ma się mieszać? No, proszę, powiedz. Kto będzie się tłukł po tym dużym, pustym domu jak nie my, kiedy oni wrócą do miasta? A teraz weź tę ściereczkę i wachluj mnie. Pochyl się trochę i sprawiaj wrażenie, że jesteś słaby.

- Jestem słaby - mruknął Charles, ale wziął ściereczkę.

Kiedy Pandora weszła do kuchni, zobaczyła Sweeney rozłożoną na krześle, z zamkniętymi oczami, i Charlesa wachlującego jej twarz.

- Boże, co tu się stało? - spytała przerażona. - Czy Sweeney zemdląca? - Zanim odpowiedział, już była przy niej. - Zawołaj Michaela - poleciła. - Szybko. - Odsunęła Charlesa i przykucnęła przy Sweeney. - To ja, Pandora. Coś cię boli? Słabo ci? - dopytywała się.

Tłumiąc radość z udanej sztuczki, Sweeney powoli uniosła powieki. Miała nadzieję, że jest blada.

- Och, panienko, proszę się nie martwić. Zaraz mi przejdzie. Od czasu do czasu serce zaczyna mi kołatać i kręci mi się w głowie.

- Zawołam lekarza. - Pandora zdążyła zrobić zaledwie krok, gdy Sweeney chwyciła ją za rękę.

- Nie trzeba - powiedziała zmęczonym głosem. - Byłam u lekarza parę miesięcy temu. Powiedział, że w moim wieku mogę mieć takie dolegliwości, ale to nic groźnego.

- Nie wierzę. - Pandora była najwyraźniej zdenerwowana. - Po prostu za dużo pracujesz, czas z tym skończyć.

- Nie denerwuj się, proszę. - Sweeney poczuła wyrzuty sumienia, że uciekła się do takiego podstępu.

- Co się stało? - Michael wpadł do kuchni. - Sweeney? - Ukłękł obok starszej pani i wziął ją za rękę.

- Ojej, po co tyle zamieszania - zaprotestowała Sweeney.

- To tylko niewielki atak. Doktor mówi, że mogą się powtarzać. Trochę to nieprzyjemne, ale nic groźnego. - Popatrzyła surowo na Charlesa, który właśnie wszedł do kuchni. Bała się, żeby nie zapomniał swojej roli.

- Wiesz przecież, co ci powiedział. - Charles dobrze wywiązał się ze swego zadania.

- Daj spokój - zaproponowała słabo.

- Masz dwa lub trzy dni zostać w łóżku.

- Przestań - zachnęła się Sweeney. - Za parę minut będę jak nowa. Muszę przygotować kolację.

- Niczego nie będziesz przygotowywać. - Michael podniósł ją z krzesła. - Zaprowadzę cię do łóżka.

- A kto się teraz wszystkim zajmie? - zaniepokoiła się Sweeney. - Charles tylko narobi bałaganu.

Michael już wychodził z Sweeney z pokoju, gdy Charles przypomniał sobie o następnym ruchu. Kaszlnął, spojrzał przepaszająco i kaszlnął jeszcze raz.

- Sami posłuchajcie! - Sweeney oparła - głowę na ramieniu Michaela i popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie chcę iść do łóżka. On mi zainfekuje całą kuchnię.

- Od kiedy tak kaszlesz? - spytała Pandora. Charles zaczął coś bąkać pod nosem. Podeszła do niego. - Dość tego - orzekła. - Oboje macie się położyć do łóżka. Ja z Michaelem wszystkim się zajmiemy. - Wzięła pod rękę Charlesa i poprowadziła go w kierunku skrzydła dla służby. - Do łóżka i koniec. Zrobię wam herbatę. Michael, dopilnuj Charlesa, ja się zajmę Sweeney.

W ciągu pół godziny było tak, jak zaplanowała Sweeney. Pandora i Michael zostali sami.

- No, w porządku. - Pandora naląła sobie herbaty. - Myślę, że za kilka dni wydobrzeją. Potrzebują tylko trochę odpoczynku i opieki. Herbaty?

Michael skrzywił się i sięgnął po kawę.

- Możemy na zmianę się nimi zajmować - powiedział.

- Uhm. - Pandora otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. - A co z posiłkami? Umiesz gotować?

- Pewno. Kiepsko, ale umiem. Moja specjalność to hamburgery - pochwalił się. - A ty?

- spytał, kiedy jego słowa nie spotkały się z entuzjastyczną reakcją.

- Gotować? Umiem zrobić stek z grilla i jajecznicę. Wszystko inne to duże ryzyko.

- Czym byłoby życie bez ryzyka? - Michael podszedł do lodówki. - Jest placek z jabłkami - stwierdził.

- Trudno to nazwać posiłkiem - zauważyła Pandora.

- Zjem trochę. - Wyjął placek i wziął łyżeczkę. - Chcesz? - spytał.

Już miała odmówić dla zasady, ale zaniechała tego. Podeszła do szafki i wyjęła talerzyk.

- A co z naszymi chorymi? - zatroskała się.

- Damy im zupę - powiedział Michael. - Nie ma nic lepszego niż zupa. Najpierw niech trochę odpoczną.

- Michael... - Pandora usiadła naprzeciwko. Zastanawiała się, jak zacząć. Nadszedł czas, żeby poruszyć temat ich pobytu w Folley. Wkrótce dobiegnie końca. - Myślałam o tym, że za dwa miesiące wola Jolleya zostanie wypełniona. W ostatnim liście Fitzhugh pisał, że prawnicy stanowczo radzili wujowi Carlsonowi, żeby dał sobie spokój z podważaniem testamentu.

- Tak?

- Dom i cała reszta przypadnie w połowie tobie, w połowie mnie.

- To prawda. Ugryzła kawałek ciasta.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytała.

- Miło na ciebie patrzeć. Dobrze mi się tak tutaj z tobą siedzi.

To tylko słowa, pomyślała. Spojrzała mu w oczy, po czym odwróciła wzrok.

- Wolałabym, żebyś nie mówił takich rzeczy - powiedziała.

- Nie, nie wolałabyś. A więc myślałaś o tym... - wrócił do podjętego tematu.

- Właśnie. Będziemy mieli wspólny dom, ale nie będziemy tu razem mieszkać. Sweeney i Charles zostaną sami. Martwi mnie to, a teraz, po tym co się stało, jeszcze bardziej. Są starzy i coraz słabsi. Nie mogą tu zostać sami.

- Zgoda, masz jakiś pomysł?

- Wspomniałam ci już, że zastanawiam się, czyby tu nie przemieszkiwać. - Odsunęła talerzyk z ciastem. Nagle straciła apetyt. - Teraz myślę, że zamieszkać tu na dobre.

- Z powodu Sweeney i Charlesa?

- Częściowo. - Wypiła łyk herbaty. Nie była przyzwyczajona do tego, by z kimkolwiek omawiać swoje decyzje. Ale tym razem musiała to zrobić. Więcej, uświadomiła sobie, że potrzebuje tej rozmowy i że musi być wobec Michaela szczerą. - Zawsze czułam, że w Folley jest mój dom, ale nie zdawałam sobie w pełni sprawy, do jakiego stopnia, potrzebuję tego domu. Widzisz, nigdy tak naprawdę domu nie miałam. - Popatrzyła na Michaela. - Tylko ten.

Jej słowa wprawiły go w osłupienie. Przez całe życie uważał ją za pieszczoszkę rodziców, której jedynie ptasiego mleka mogło brakować.

- Ale przecież twoi rodzice... - zaczął.

- Są cudowni - szybko wpadła mu w słowo. - Uwielbiam ich. Chciałabym, żeby zawsze byli tacy, jacy są, ale...

- Jak mu to wytłumaczyć? - Nigdy nie mieliśmy takiej kuchni jak ta, miejsca, do którego przychodzi się dzień w dzień, wiedząc, że zawsze jest takie samo. Nawet jeśli zmienisz tapety, ono i tak będzie wciąż takie samo. Głupio to brzmi...

- zawahała się. - Nie rozumiesz, o co mi chodzi.

- Może zrozumiem. - Chwyił ją za rękę. - Może chciałbym zrozumieć.

- Chcę mieć dom - powiedziała po prostu. - Folley było moim domem. Chcę tu zostać po upływie terminu wyznaczonego przez wuja.

- Dlaczego mi to mówisz, Pandoro? - spytał, nie wypuszczając jej dłoni.

Jest wiele powodów. Zbyt wiele. Zdecydowała się podać mu tylko jeden, najbezpieczniejszy.

- Za dwa miesiące ten dom będzie należał zarówno do ciebie, jak i do mnie. Zgodnie z warunkami testamentu...

Zaklął pod nosem i puścił jej rękę. Wstał od stołu i podszedł do okna. Przez krótką chwilę myślał, że jest gotowa dać mu więcej. Na Boga, tak długo czekał! Było coś w jej głosie, co pozwalało mu żywić taką nadzieję. A może tylko to sobie wyobrażał, bo chciał to usłyszeć. Warunki testamentu, pomyślał rozgoryczony.

- Czego chcesz, mego pozwolenia? - spytał.

- Chciałam, żebyś to zrozumiał i się zgodził.

- W porządku.

- Nie musisz być taki szorstki. W końcu nie masz żadnych konkretnych planów co do tego domu.

- Nie robiłem planów - burknął. - Może bym miał.

- Nie chciałam cię zdenerwować - tłumaczyła się.

- Nie, na pewno nie. Wiesz, kiedy mnie irytujesz z premedytacją.

Było w jego głosie coś, co ją niepokoiło, ale czego nie była w stanie sprecyzować.

- Naprawdę przeszkadzałoby ci tak bardzo, gdybym tu mieszkała? - spytała.

Podeszła do niego z wyciągniętą ręką. Zaskoczyła go. Takie gesty nie były w jej stylu.

- Nie, a dlaczego?

- Bo dom będzie w połowie twój - wyjaśniła.

- Możemy narysować linię przez środek - zaproponował.

- Powstałaby niezręczna sytuacja. Mogłabym cię spłacić - zawahała się.

- Nie - zaprotestował zdecydowanie.

- To była tylko propozycja. - Pandora szybko się wycofała.

- Zapomnij o tym. - Odwrócił się, by poszukać zupy. Obserwowała go przez chwilę.

Widziała, że jest spięty.

- Michael. - Westchnęła i objęła go w pasie. Zesztywniał. - Wszystko, co mówiłam, było nie tak - tłumaczyła się.

- Chyba łatwiej mi się z tobą kłócić, niż dyskutować.

- Może obojgu nam łatwiej - zauważył. Ujął w dłonie jej twarz. Przez chwilę wyglądali jak przyjaciele i kochankowie.

- Pandoro... - Czy może jej powiedzieć, że nie wyobraża sobie, by mógł ją opuścić lub by ona jego opuściła? Czy ona zrozumie, jak jej powie, że chce nadal z nią mieszkać, być z nią? Jak przyjąłaby wyznanie, że jest w niej zakochany od lat, skoro on dopiero teraz sam to zrozumiał i zaakceptował? Pocałował ją w czoło. - Ugotujmy tę zupę - powiedział.

W ciągu następnych dni nie obywało się wprawdzie bez utarczek, ale stwierdzili, że są w stanie współpracować. Przygotowywali wspólnie posiłki, zmywali, sprząтали, podczas gdy Sweeney i Charles leżeli w łóżkach albo owinięci w koce popijali w fotelach herbatę. Co prawda, zdarzały się chwile, kiedy Sweeney korciło, by wrócić do swoich obowiązków, a Charlesa dręczyły wyrzuty sumienia, ale szybko przypominali sobie, że spełniają swój obowiązek. Gdy słyszeli rozlegający się w domu radosny śmiech, utwierdzali się w przekonaniu, że postępują słusznie.

Michael nabrał pewności, że jeszcze nigdy nie był równie szczęśliwy. Można powiedzieć, że bawił się w dom, na co nigdy nie miał ani czasu, ani specjalnej ochoty. Pisał godzinami w swoim gabinecie, otoczony postaciami rodem z własnej wyobraźni, by następnie przenieść się w świat realny, w którym unosił się zapach potraw i pasty do polerowania mebli. Miał dom i kobietę i zdecydowany był to zachować.

Późnym popołudniem zawsze rozpalał ogień w kominku w salonie. Po kolacji pili kawę. Wydawało się to czymś normalnym.

Właśnie podkładał drwa, gdy do pokoju wpadł Bruno i potrącił stolik.

- Chyba cię wyślemy do szkoły dobrego wychowania - powiedział Michael, zbierając rozsypane herbatniki. Minął zaledwie miesiąc pobytu Bruna w ich domu, a piesek był już dwa razy większy niż na początku. Rósł jak na drożdżach. Michael zauważył, że Bruno wciska się pod kanapę. - Co tam masz? - zwrócił się do pieska.

Bruno zyskał sobie już sławę sprytnego złodziejaska. Poprzedniego dnia zniknął z kuchni kawałek wieprzowiny.

- No dobrze, jeśli tym razem to kawałek kurczaka, to zamieszkas w garażu - pogroził mu Michael i ukląkł, żeby zajrzeć pod kanapę. Okazało się, że Bruno ogryza jego but.

- Do diabła! - Michael szarpnął but, ale Bruno nie wypuszczał go z zębów. - On jest wart pięć razy tyle co ty, kundlu. - Chwycił but, ale Bruno szarpał z coraz większym zapalem, ciesząc się z tej nowej zabawy.

- O, jak miło! - zawołała Pandora na widok Michaela nurkującego pod kanapę. - Bawisz się z psem czy ścierasz kurze?

- Mam zamiar zrobić z niego wycieraczkę.

- Ojej, jesteśmy dzisiaj nie w humorze. Bruno, piesku, chodź do pani.

Bruno wypełził spod kanapy i niosąc but w zębach niczym trofeum, stanął dumnie przed Pandorą.

- To tego szukałeś? - Pandora podniosła but. - Jak to dobrze, że uczysz Bruna aportować.

Michael wziął but. Był wilgotny i widniały na nim ślady zębów.

- To już drugi, który zniszczył. I nawet nie był na tyle uprzejmy, żeby wziąć od pary.

- Przecież i tak nosisz tylko adidas albo wysokie buty.

- Wyślemy go do szkoły - orzekł.

- Ależ, Michael, nie możemy pozbywać się naszego dziecka. To tylko okres dorastania. Przejdzie mu.

- Ale ten okres dorastania kosztował mnie dwie pary butów, utratę kolacji i sweter, który gdzieś zniknął.

- Nie powinienes rozrzucać swoich rzeczy po podłodze - powiedziała Pandora z całym spokojem. - A sweter i tak był zniszczony. Jestem pewna, że Brano myślał, że to zwykła szmata.

- Jakoś dziwnym trafem nigdy nie gryzie twoich rzeczy.

- Nie, prawda? - uśmiechnęła się słodko.
- Coś taka rozradowana? - spytał podejrzliwie.
- Miałam dziś po południu telefon.

Michael zobaczył błysk podniecenia w jej oczach i uznał, że sprawa butów może zaczekać.

- No i? - spytał.
- Od Jacoba Morisona - powiedziała.
- Tego producenta?
- Właśnie tego producenta - powtórzyła z naciskiem. Obiecywała sobie, że zachowa spokój, ale nie była w stanie się opanować. - Będzie niedługo kręcił nowy film. Z Jessicą Wainwright.

Jessicą Wainwright, powtórzył w myślach Michael. Wielka dama teatru i filmu. Jej kariera trwała przez dwa pokolenia.

- Przecież już się wycofała. Jest na emeryturze. Od pięciu lat nie zagrała w filmie.
- Ale teraz zagra. Reżyseruje Billy Mitchell.
- Wygląda na to, że sięgają do rezerw - zauważył Michael.
- Gra na wpół obłąkaną, samotnie żyjącą księżnę, która wraca do rzeczywistości, gdy odwiedza ją wnuczka. W tej roli ma wystąpić Cass Barkley.
- Materiał na Oscara. A teraz czy możesz mi wreszcie powiedzieć, dlaczego Morison do ciebie dzwonił?

- Bo Wainwright zachwyca się moimi pracami. Chce, żebym to ja zaprojektowała dla niej biżuterię do filmu. Oto dlaczego! - Roześmiała się i obróciła na pięcie. - Morison powiedział, że jedynym sposobem, by ją namówić do powrotu na ekran była obietnica, że dostanie samych najlepszych. A ona chce mnie.

Michael przyciągnął ją do siebie.

- Uczujmy to - zaproponował. - Szampan i kurczak.
- Czuję się jak idiotka - wyznała Pandora.
- Dlaczego?
- Uważam, że jestem profesjonalistką, i kiedy rozmawiałam z Morisonem, uznałam, że to dla mnie wspaniała okazja, by się zaprezentować na szerszym forum. Tymczasem po odłożeniu słuchawki zaczęłam myśleć tylko o tym, że w mojej biżuterii będzie grała wielka Jessica Wainwright. I że producentem będzie sam Morison! Czuję się jak pierwsza lepsza fanka ogłupiała na punkcie gwiazd.

- Dowodzi to tylko, że nie jesteś nawet w połowie taką snobką, za jaką się uważasz - skomentował Michael i pocałował ją w usta. - Jestem z ciebie dumny - dodał po chwili.

Nie spodziewała się takiego wyznania. Cała radość z propozycji Morisona wydała się niczym przy tym jednym stwierdzeniu. Nikt nigdy nie był z niej dumny z wyjątkiem Jolleya. Rodzice ją kochali, głaskali po głowie i pozwalali robić, na co miała ochotę. Duma to był cenny dodatek do uczucia.

- Naprawdę? - Nie wierzyła własnym uszom. Michael zdziwiony jej reakcją pocałował ją po raz drugi.

- Oczywiście.

- Ale nigdy szczególnie nie ceniłeś mojej pracy.

- Nie, to nieprawda. Nie rozumiałem, dlaczego ludzie mają potrzebę obwieszania się błyskotkami albo dlaczego satysfakcjonuje cię projektowanie na tak małą skalę. Ale ślepy nie jestem. Niektóre twoje wyroby są wyjątkowo piękne, inne unikalne, jeszcze inne oryginalne i ekstrawaganckie. Nie wszystkie mi odpowiadają, lecz wszystkie świadczą o twórczej wyobraźni i profesjonalizmie.

- Cóż... - Odetchnęła głęboko. - To dla mnie pamiętny dzień. Sądziłam, że uważasz, iż bawię się paciorkami, bo nie chce mi się pracować. Nawet kiedyś coś takiego powiedziałaś.

- Tylko po to, żeby cię rozdrażnić - roześmiał się. - Lubię na ciebie patrzeć, kiedy się złościś.

Zastanowiła się chwilę.

- Myślę, że to najodpowiedniejsza chwila, by ci powiedzieć.

- Co mi powiedzieć? - Zesztywniał, ale zmusił się do zachowania spokoju.

- Oglądałam transmisję z wręczania nagród Emmy za każdym razem, kiedy byłeś nominowany.

- Co? - Nie mógł się nie roześmiać, z takim poczuciem winy to oznajmiła.

- Za każdym razem - powtórzyła Pandora. - Cieszyłam się, jak wygrywałeś. I wiesz... - zawahała się. - Obejrzałam parę odcinków *Uciezki Logana*.

- Niemożliwe! Co cię do tego skłoniło?

- Wuj Jolley nie przepuścił żadnego odcinka. Czasami słyszałam też, jak rozmawiano o tym serialu przy różnych okazjach. Pomyślałam więc, że obejrzę parę odcinków z ciekawości. Oczywiście tylko z towarzyskiego obowiązku, żeby wiedzieć, co to takiego.

- Oczywiście. I...? Wzruszyła ramionami.

- To rodzaj... - zaczęła. Chwycił ją za ucho i lekko ścisnął.

- Niektórzy ludzie mówią prawdę tylko pod presją - ostrzegł.

- Masz rację. - Roześmiała się i złapała go za rękę. - To dobre! - zawołała, kiedy nie chciał jej puścić. - Podobało mi się.

- Dlaczego?

- Michael, to boli! - Wykręciła głowę.

- Znamy sposoby, żeby cię zmusić do mówienia.

- Podobało mi się, bo postaci są autentyczne, a fabuła inteligentna. I... to jest w dobrym stylu - dokończyła.

Puścił jej ucho i pocałował ją.

- Jeśli komukolwiek to powtórzysz, wyprę się - zapowiedziała.

- To będzie nasz mały sekret - zgodził się. Przysunęła się do niego. Czowała bicie jego serca. Rozchyliła wargi, gdy ponownie dotknął ich ustami.

Co będzie dalej? Jakie będą konsekwencje tego związku? Czyż już ich nie zaakceptowała? Pozostanie żal i ból. Była na to przygotowana. Nie jest w stanie przeszkodzić temu, co wydarzy się w najbliższych tygodniach, ale ma wpływ na to, co zdarzy się wieczorem i może jutro. Wszystkie jej uczucia, lęki, potrzeby skoncentrowały się w tym pocałunku.

Zakręciło mu się w głowie. Nieraz już była namiętna i nieokiełznana. Żądająca, zmysłowa. Ale nigdy jeszcze aż tak nie poddała się emocjom. Pod siłą kryła się łagodność, pod ponaglaniami prośba. Przytulił ją mocniej, czulej niż zazwyczaj, i pozwalał, by brała to, czego pragnie.

Odchyliła głowę. Kusząco, zapraszająco, uwodzicielsko. Ogarnęła go przemożna żądza, przywarł do niej całym ciałem i poczuł, że Pandora poddaje mu się całkowicie. Nigdy nie była uległa i aż do tej pory nie wiedział, że może oddawać mu się całą sobą. Opadli na kanapę.

Był czuły i delikatny. Kochali się spokojnie, bez nerwowości, ekscytacji, pośpiechu. Kochali się w sposób, jakiego nie doświadczyli nigdy przedtem. Dawali sobie wszystko. Uczyli się swoich ciał palcami, wargami, pomału stopniując napięcie. Byli kochankami od tygodni, ale po raz pierwszy kochali się w sposób tak dojrzały.

Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Jeśli nawet Pandora nigdy nie pragnęła romansu, to znalazła go teraz w ramionach Michaela. Znalazła spokój, ukojenie i rozkosz, jakiej nie знаła przedtem.

Nasyciwszy się sobą, leżeli w milczeniu, pragnąc, by ta chwila trwała wiecznie. Ciszę przerwał nagły dzwonek telefonu. Michael zaklął pod nosem i podniósł słuchawkę.

- Halo.

- Mogę mówić z Michaeliem Donahue? - usłyszał kobiecy głos.

- Jestem przy telefonie.

- Michael, to ja, Penny.

Potał dłońią oczy, jakby chciał skojarzyć imię z twarzą. Penny... to ta mała blondyneczka, która była jego sąsiadką. Chciała zostać modelką. Przypomnił sobie jak przez mgłę, że zostawił jej numer do Folley na wypadek, gdyby otrzymał jakąś ważną przesyłkę albo gdyby działo się coś w mieszkaniu, co by wymagało jego obecności.

- Michael, musiałam zadzwonić. Zawiadomiłam już policję, są w drodze - mówiła.

- Policję? - Michael natychmiast oprzytomniał. - Co się stało?

- Włamano się do twego mieszkania.

- Co? - Zerwał się na równe nogi. - Kiedy?

- Nie jestem pewna. Przyszłam do domu parę minut temu i zauważyłam, że twoje drzwi nie są zamknięte. Myślałam, że może wróciłeś i zapukałam. Uchyliłam drzwi. Mieszkanie było przewrócone do góry nogami. Od razu zadzwoniłam po gliniarzy. Powiedzieli, żebym się z tobą skontaktowała.

- Dzięki. - Do głowy cisnęły mu się dziesiątki pytań, ale nikt i tak by mu na nie nie odpowiedział - Posłuchaj, postaram się przyjechać jeszcze dziś wieczorem.

- Okay, Michael, naprawdę bardzo mi przykro.

- Cóż, do zobaczenia.

- Michael? - Pandora chwyciła go za rękę.

- Ktoś włamał się do mieszkania.

- O, nie. - Wiedziała, że spokój nie może trwać długo. - Myślisz, że to...

- Nie mam pojęcia. Może. A może ktoś, kto zauważył, że mieszkanie od pewnego czasu stoi puste.

- Musisz jechać.

- Jedź ze mną - poprosił.

- Michael, jedno z nas powinno zostać ze Sweeney i Charlesem.

- Nie możesz być tu sama.

- Musisz jechać - powtórzyła. - Jeśli to był ktoś z rodziny, może znajdziesz coś, co pozwoli to udowodnić. Tak czy inaczej musisz spróbować. Damy sobie radę.

- Tak jak ostatnim razem, kiedy wyjechałem.

- Poradzę sobie - upierała się.

- Ale będziesz sama.

- Mam Bruna. Nie patrz tak na mnie - zachnęła się. - Może on nie jest srogi, ale na pewno umie czekać. Będę zamykać wszystkie drzwi i okna.

- To nie wystarczy - odparł, potrząsając głową.

- No dobrze, zadzwonimy na komisariat. Mają raport Fitzhugh o incydentach, jakie tu się wydarzyły. Wyjaśnimy, że będę przez noc sama, i poprosimy, żeby mieli dom na oku.

- To już lepiej. Jeśli to było zaplanowane... - Podniósł ostrzegawczo w górę palec.

- To tym razem nie damy się zaskoczyć - dokończyła. Michael zawahał się chwilę, po czym skinął głową.

- Zadzwonię na komisariat - powiedział.

ROZDZIAŁ 10

Po wyjściu Michaela Pandora zasunęła ciężką zasuwę na drzwiach do domu. Przedtem jeszcze przez ponad pół godziny sprawdzali razem wszystkie drzwi i okna. Była mu za to wdzięczna. Czowała się teraz bezpieczna mimo jego nieobecności.

W domu panowała cisza. Było aż za cicho.

Poszła do kuchni i zaczęła trzaskać garnkami i patelniami. To, że jest sama, nie znaczy, że pozostanie bezczynna. Wolałaby teraz być z Michaelem, dodać mu otuchy, gdy stanie na progu mieszkania zdewastowanego przez włamywacza. Ciekawe, czy on też chciałby, żeby mu towarzyszyła, zastanawiała się. Oboje zdawali sobie jednak sprawę, że nie jest to możliwe. W domu było dwoje starych ludzi, którzy nie mogli zostać sami. I którym trzeba było przygotowywać posiłki.

Nie było to ich najmocniejszą stroną, ani jej, ani Michaela. We dwoje jakoś sobie radzili, teraz musiała się uporać z gotowaniem sama. Zdecydowała się na kurczaka. A że brakowało jej towarzystwa, włączyła radio i poszukała stacji nadającej muzykę country. Z głośnika popłynął głos Dolly Parton. Zdjęła z półki jedną z książek kucharskich Sweeney i zajrzała do spisu treści. Kurczak piknikowy, przeczytała. Ciekawe, czy to bardzo pracochłonne, zastanawiała się.

Była bez reszty pochłonięta pracami kulinarnymi, gdy nagle zadzwonił telefon. Szybko wytarła ręce i podniosła słuchawkę. Nogą wystukiwała rytm piosenki płynącej z radia.

- Słucham - odezwała się.

- Czy to pani Pandora McVie? - usłyszała nieznany głos.

- Tak - odparła, przytrzymując brodą słuchawkę. Nie przerwała swego zajęcia. Kroiła kurczaka na mniejsze porcje.

- Proszę uważnie słuchać - ciągnął rozmówca z drugiej strony linii.

- Może pan mówić głośniej? - poprosiła. - Kiepsko pana słyszę. - Wydawało jej się, że słyszy męski głos, choć nie była tego na sto procent pewna.

- Muszę panią ostrzec, nie ma dużo czasu. Jest pani w niebezpieczeństwie.

Pandora wypuściła z rąk nóż do drobiu.

- Co? Kto mówi? - dopytywała się.

- Proszę posłuchać. Jest pani sama, bo zostało to zaaranżowane. Dziś w nocy ktoś ma się do pani włamać.

- Ktoś? - Wzięła słuchawkę do ręki. Wyczuwała, że osoba po drugiej stronie linii jest zdenerwowana. Co najmniej tak samo jak ona. - Jeśli stara się pan mnie zastraszyć... - zaczęła.

- Staram się panią ostrzec - zawahał się. - Nie powinna pani posyłać tego szampana - dokończył. - Nie podoba mi się to wszystko, ale nic już nie da się zrobić. Nikomu nie miała stać się krzywda, rozumie pani? Ale boję się tego, co teraz może nastąpić.

Pandora poczuła, jak żołądek kurczy się jej ze strachu. Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno. Była w domu sama z dwójką starych służących.

- Jeśli się pan boi, to niech mi pan powie, kim pan jest. Niech mi pan pomoże.

- Już i tak ryzykuję, ostrzegając panią. Nie rozumie pani. Proszę natychmiast wyjść z domu.

To podstęp, powiedziała sobie. Podstęp, żeby wywabić ją na dwór. Wyprostowała się, ale przesunęła spojrzenie z jednego okna na drugie.

- Nigdzie nie pójde - odrzekła zdecydowanym tonem. - Jeśli chce mi pan pomóc, proszę powiedzieć, kogo powinnam się bać.

- Niech pani po prostu wyjdzie z domu - powtórzył rozmówca i przerwał połączenie.

Pandora stała jeszcze przez chwilę ze słuchawką w ręku. Wciąż wpatrując się w okno, odwiesiła słuchawkę. To był podstęp, upewniła się. Podstęp, który mają zmusić do opuszczenia domu i tak przestraszyć, żeby nie wróciła.

A poza tym Michael już zawiadomił policję. Wiedzą, że jest sama. Wystarczy, że podniesie słuchawkę telefonu.

Ręce jej się trochę trzęsły, ale zabrała się z powrotem do gotowania. Włożyła do piekarnika kurczaka, wstawiła ziemniaki i postanowiła wypić kieliszek wina przed kolacją. Właśnie zaczęła nalewać, gdy do pokoju wpadł Bruno i zaczął się do niej łąsić.

- Bruno. - Ucieszyła się i przytuliła pieska. Od razu poczuła się różnie. - Jak to dobrze, że tu jesteś - szepnęła. Nagle rozpaczliwie zapagnęła, żeby był przy niej Michael.

Bruno lizał ją po twarzy, ale nagle zerwał się i pobiegł do drzwi. Zaczął w nie drapać i szczekać.

- Już chcesz wyjść? - zdziwiła się. - Myślałam, że zaczekasz do rana.

Bruno wrócił, pokręcił się i oglądając się na Pandorę, znowu pobiegł do drzwi. Gdy powtórzyło się to trzy razy, skapitulowała. Ten ostrzegawczy telefon musiał być znowu jakimś głupim kawałem, uznała. Zresztą, pomyślała, przekręcając klucz w zamku, co szkodzi otworzyć drzwi i zobaczyć, co się dzieje na dworze.

Gdy tylko to zrobiła, Bruno wypadł z domu jak strzała i rzucił się przed siebie. Biegł z nosem przy ziemi. Pandora stała w otwartych drzwiach, wyężając wzrok. Nie zauważyła nic, co by mogło budzić jej niepokój.

W końcu drżąc z zimna, doszła do wniosku, że i tak nie spodziewała się zobaczyć czegokolwiek czy kogokolwiek. Śnieg przestał sypać, niebo było pogodne i rozgwieżdżone, las usypiony. Było tak, jak powinno być. Zwykły wieczór na wsi. Głęboko zaczerpnęła powietrza i zaczęła nawoływać Bruna. W tej samej chwili oboje zauważyli jakiś poruszający się na skraju lasu cień. Wydawało się, jakby odrywał się od drzewa.

Ktoś tam musi być. Zanim zdążyła zareagować, Bruno zaczął szczeleć i rzucił się naprzód, z trudem przebijając się przez wysoki śnieg.

- Nie, Bruno! Bruno! Wracaj! - wołała przerażona. Nie namyślając się wiele, chwyciła starą kurtkę, która wisiała przy drzwiach, i narzuciła ją na siebie. Sięgnęła jeszcze po dużą żelazną patelnię i pobiegła za psem. - Bruno! Bruno! - wołała raz po raz.

Tymczasem pies dobiegł już do lasu i z nosem przy ziemi szukał śladów. Zbierając się na odwagę, ruszyła za nim. Ktokolwiek to był, najwyraźniej uciekł na widok niezdarnego, wyrosniętego szczeniaka. Choć sama podszyta strachem, uznała, że nie da się zastraszyć. Zarażona entuzjazmem Bruna wbiegła między drzewa. Zdyszana przystanąła, by rozejrzeć się i posłuchać, co się dzieje dokoła. Przez chwilę panowała zupełna cisza, aż nagle z jej prawej strony rozległo się wściekle ujadanie.

- Bruno! Bruno! Zostaw! - wołała. Podniecona pobiegła w stronę, z której dobiegało szczelecie. Śnieg sypał się z gałęzi, które poruszyła, ujadanie było coraz bardziej zajadłe. Brnąc przez śnieg, nie zauważyła leżącego pnia. Upadając, uderzyła się dotkliwie w kolano. Zaklęła pod nosem i wstała z trudem. Bruno wyskoczył zza drzew i znowu przewrócił ją na ziemię.

- Zostaw mnie. - Odpychała psa. - Do diabła, Bruno, jak nie przestaniesz... - Urwała, bo pies nagle zeszywniał i zaczął warczeć. Rozciągnięta na śniegu podniosła głowę i zobaczyła cień przemykający między drzewami. W jednej chwili zapomniała, że jest za dumna, by bać się tchórza.

Mimo że ręce miała zgrabiałe z zimna, chwyciła znowu patelnię, podniosła się i zaczęła się skradać w kierunku najbliższego drzewa. Usiłując zachować spokój, zbierała się do ataku i obrony. Nieważne - krewny czy obcy, zrobi co do niej należy. Kolana uginały jej się ze strachu. Bruno rzucił się naprzód. Pandora podniosła patelnię i czekała.

- Co się tu, do diabła, dzieje?

- Michael! - Patelnia wylądowała w śniegu, a ona rzuciła się naprzód za Brunem. Szczęśliwa okrywała pocałunkami twarz Michaela. - Och Michael! Jak się cieszę, że to ty.

- Taaak. Wyglądałaś rzeczywiście na uszczęśliwioną z tą patelnią. Skończył ci się lakier do włosów?

- Była pod ręką - warknęła i odstąpiła o krok. - Do Ucha, Michael, o mało nie umarłam ze strachu. Miałeś już być w połowie drogi do Nowego Jorku, a nie czaić się w lesie.

- A ty miałaś siedzieć zamknięta w domu - odparł.

- I siedziałabym, gdybyś nie czaił się w lesie. Co tu robisz?

Strzepał śnieg z jej twarzy.

- Ujechałem dziesięć mil, ale nękało mnie złe przeczucie. Nie mogłem sobie dać rady. Postanowiłem się zatrzymać na stacji benzynowej i zadzwonić do sąsiadki, że nie przyjadę.

- Ale twoje mieszkanie... - zaniepokoiła się Pandora.

- Rozmawiałem z policją, podałem im listę wartościowych rzeczy, które znajdowały się w mieszkaniu. Pojedziemy razem do Nowego Jorku za dzień lub dwa. - Michael patrzył na nią, na jej włosy przyprószone śniegiem, zaśnieżoną kurtkę. Pomyślał, co mogłoby się stać, gdyby.. - Nie mogłem cię zostawić samej - powiedział.

- Zaczynam wierzyć, że jednak jesteś rycerski. - Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. - To wyjaśnia, dlaczego nie jesteś w Nowym Jorku, ale co robisz w lesie?

- Coś podejrzewałem - odparł i podniósł patelnię. Przyjrzał jej się. No, miałem szczęście, że mnie nie trzasnęła, pomyślał.

- Następnym razem jak będziesz coś podejrzewał - powiedziała Pandora - nie stercz pod lasem i nie wpatruj się w dom.

- Nie robiłem tego. - Michael zaczął iść w kierunku domu. Chciał, żeby Pandora była już w środku, za drzwiami zamkniętymi na klucz.

- Widziałam cię - upierała się.

- Nie wiem, kogo widziałeś. - Michael popatrzył na psa.

- Gdybyś nie puściła Bruna, wiedzielibyśmy. Chciałem rozejrzeć się trochę, zanim wejdę do domu, i zauważyłem ślady butów. Poszedłem za nimi aż do lasu. Właśnie podchodziłem do tego kogoś, kogo próbował zaatakować Bruno, kiedy ten kundel wpadł mi pod nogi i przewrócił mnie twarzą w śnieg. Wtedy ty zaczęłaś na niego krzyczeć. I ten, na kogo polowałem, ktokolwiek to był, miał dość czasu, żeby się ulotnić.

- Gdybyś mi powiedział, co się dzieje, mogliśmy działać razem - zauważyła Pandora.

- Ale sam nie wiedziałem, co się dzieje. Tak czy inaczej umowa była taka, że nie wychodzisz z domu i drzwi są zamknięte na klucz.

- Pies musiał wyjść - broniła się. - No i otrzymałam ten telefon. - Obejrzała się za siebie i westchnęła. - Ktoś zadzwonił, żeby mnie ostrzec.

- Kto? - spytał Michael.

- Nie wiem. To był męski głos, choć... nie jestem na sto procent pewna.

- Groził ci? - Michael ścisnął jej ramię.

- Nie, nie, to nie była groźba. Ktokolwiek to był, najwyraźniej wiedział, co się kroi, i nie był z tego powodu szczęśliwy. To było aż nadto jasne. On... może ona... powiedział, że ktoś będzie próbował włamać się do Folley i że ja powinnam wyjść z domu.

- I ty oczywiście posłuchałaś i wybrałaś się do lasu z patelnią dla obrony. Pandoro - potrząsnął nią - dlaczego nie zadzwoniłaś na policję?

- Bo myślałam, że to kolejny kawał, i się wściekłam.

- Popatrzyła butnie na Michaela. - Tak, najpierw się przestraszyłam, ale potem po prostu się wściekłam. Nie lubię, jak ktoś usiłuje mnie zastraszyć. Kiedy wyjrzałam na zewnątrz i zobaczyłam kogoś pod lasem, chciałam tylko dać mu nauczkę.

- Cudownie - powiedział. - Co za głupota.

- Robiłeś to samo.

- Nie to samo. Masz klasę, bystry umysł, powiem nawet, że jesteś odważna. Ale, kuzyneczko, nie jesteś wagi ciężkiej. Co by było, gdybyś dopadła tego kogoś, a on bynajmniej nie miałby ochoty na żarty?

- I ja nie potraktowałabym tego jako żartu.

- No dobrze. - Błyskawicznym ruchem podciął jej nogi tak, że wylądowała na śniegu. Nie miała nawet możliwości zaprotestować, gdy stanął nad nią z patelnią w wyciągniętej ręce. Bruno uznał to za dobrą zabawę i skoczył jej na piersi. - Mógłbym wrócić jutro i zastać cię nieprzytomną w lesie, zagrzebaną w śniegu. - Podniósł ją. - Nie zamierzam podejmować takiego ryzyka.

- Przewróciłeś mnie... - zaczęła.

- Cicho. - Po raz drugi nią potrząsnął, ale tym razem o wiele gwałtowniej. - Jesteś zbyt ważną osobą, Pandoro, nie zamierzam więcej ryzykować. Zadzwonimy na policję i wszystko im opowiemy.

- Co oni mogą zrobić?

- Zobaczymy.

Odetchnęła głęboko i oparła się o Michaela. To polowanie może i było podniecające, ale nogi nadal miała jak z waty.

- No dobrze, może i masz rację. Nie posunęliśmy się ani o krok naprzód od czasu, gdy się zaczęły te kawały.

- To, że zawiadomimy policję, nie oznacza, że sami zrezygnujemy z poszukiwań. Tyle tylko, że zwiększy to nasze szanse. Mogłem dzisiaj nie wrócić, Pandoro. Pies mógł nikogo nie wystraszyć. Byłabyś sama. - Ujął jej rękę i przycisnął do ust. - Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało.

Zakłopotana z powodu przyjemności, jaką sprawiły jej te słowa, próbowała cofnąć rękę.

- Dam sobie sama radę, nie martw się. Uśmiechnął się, ale jej nie puścił.

- Może, ale nie będziesz miała okazji się przekonać. Chodźmy do domu. Jestem głodny.

- Typowe. Przede wszystkim myślisz o swoim żołądku... O mój Boże, kurczak! - Pomknęła do domu jak strzała.

- Nie o takim głodzie myślałem. - Michael pobiegł za nią i chwycił ją w ramiona. Znowu poczuł ulgę. Kiedy w lesie usłyszał jej wołanie i uświadomił sobie, że wyszła z domu i że coś może się jej stać, zmartwił ze strachu. - Prawdę mówiąc - nie wypuszczał jej z objęć - myślałem o rzeczach pilniejszych niż jedzenie.

- Michael - broniła się ze śmiechem - jeśli mnie nie puścisz, nie będziemy mogli nawet wejść do kuchni.

- To zjemy gdzie indziej.

- Ale zostawiłam w piecyku kurczaka. Pewno są już tam tylko spalone kości.

- Zawsze jest jeszcze zupa - powiedział, otwierając drzwi.

Zamiast dymu, swądu i bałaganu zastali półmisek z kawałkami chrupiącego kurczaka i idealny porządek.

- Sweeney! - Pandora wyrwała się z ramion Michaela. - Co ty tutaj robisz? Miałas leżeć w łóżku.

- Robię, co do mnie należy - odparła żwawym głosem Sweeney i popatrzyła na nich z ukosa. O ile mogła się zorientować, wszystko przebiegało zgodnie z jej planem. Pandora i Michael nabrali ochoty na zaczerpnięcie powietrza i, jak to z młodymi ludźmi bywa, zapomnieli o bożym świecie, a tym bardziej o kurczaku w piekarniku.

- Ale przecież obiecałaś, że nie będziesz wstawać - przypomniała jej Pandora.

- Och - zachnęła się Sweeney. - Dostatecznie się należałam. - Kiedy nie miała zajęcia, nudziła się śmiertelnie. Ale warto było, skoro zobaczyła Pandorę w ramionach Michaela.

- Jestem już zdrowa jak ryba, zapewniam was. Zaraz podam kolację.

Michael i Pandora przypatrywali się jej uważnie. Miała twarz zaokrągloną i rumianą, oczy jej błyszczały. Krzątała się koło zlewu i kuchenki ze zwykłą sobie energią.

- Mimo wszystko chcielibyśmy, żebyś się oszczędzała - powiedział Michael. - Nie forsuj się.

- Michael ma rację - włączyła się Pandora. - Pozmywamy po kolacji, a ty odpoczniesz.

- Zauważyła, że Michael skrzywił się lekko, i klepnęła go po ramieniu. - Bardzo to lubimy - dodała.

Za namową Michaela i Pandory zjedli wszyscy czworo w kuchni. Charles siedział obok Sweeney i nie bardzo wiedział, jak często powinien kaszleć i na ile jeszcze udawać chorego. Pandora i Michael zgodnie uznali, że sprawę niepokojących incydentów zachowają dla siebie. Nie musieli nawet porozumiewać się co do tego. Informacja, iż ktoś obserwuje dom, byłaby dla dwojga starych ludzi zbyt stresująca.

Kolacja pozornie przebiegła w pogodnej atmosferze, ale Pandora przez cały czas się zastanawiała, kiedy uda im się zapędzić Charlesa i Sweeney do łóżek, żeby móc zadzwonić na policję. Kilkakrotnie przyłapała Sweeney, jak spogląda to na nią, to na Michaela z widocznym zadowoleniem. Pocziwa staruszka, pomyślała, wierząc naiwnie, że Sweeney cieszy się, iż wróciła do swoich zajęć. Tym bardziej postanowiła chronić ją i Charlesa przed wszelkimi przykrościami. Wreszcie udało jej się namówić ich, żeby opuścili kuchnię. Posprzątała w kuchni i krótko przed dziewiątą przyszła do salonu.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Usłyszała znajome zniecierpliwienie w głosie Michaela i skinęła głową. Nalała sobie kieliszek brandy.

- Trochę jak z dziećmi. Nie mogłam ich zmusić, żeby wyszli z kuchni, ale w końcu udało mi się znaleźć film z Cary Grantem, który ich zaciekawił. - Wypiła łyk brandy i westchnęła z ulgą. - Sama bym go chętnie obejrzała.

- Innym razem. - Michael sięgnął po szklanekę. - Dzwoniłem na policję, zaraz tu będą.

- Wciąż mi nie daje spokoju, że inni mogą się o wszystkim dowiedzieć. W końcu to tylko nasze domysły.

- A więc niech się teraz policja domyśla. Pandora usiłowała się uśmiechnąć.

- Twój Logan zawsze załatwia wszystko sam - zauważyła.

- Ktoś mi kiedyś powiedział, że to zwykła fikcja. - Dolał sobie brandy i unióś kieliszek w jej kierunku. - Stwierdziłem, że nie lubię, jak znajdujesz się w centrum akcji.

- Czyżbyś wykształcił w sobie syndrom opiekuńczości wobec kobiet, Michael? To do ciebie niepodobne.

- Może i nie - zgodził się. - Sytuacja się zmienia, gdy chodzi o moją kobietę.

Pandora uniosła brwi i popatrzyła mu prosto w oczy. To śmieszne, by odczuwać przyjemność, słysząc tak głupie i zaborcze określenie.

- Twoją?

- Moją - potwierdził. Objął ją za szyję. - W czym problem?

Być może naprawdę tak myślał - w tej chwili. Za kilka miesięcy, kiedy wróci do swego świata, do swoich znajomych, ona będzie już tylko jego trochę irytującą kuzynką. Ale teraz może rzeczywiście tak myślał.

- Sama nie wiem - zająknęła się.

- A więc zastanów się nad tym - powiedział, zbliżając usta do jej warg. - Wrócimy jeszcze do tej sprawy.

Zostawił ją rozgrzawkowaną i poszedł otworzyć drzwi. Gdy wrócił, siedziała już spokojnie na krześle przy płonącym kominku.

- Porucznik Randall, Pandora McVie - powiedział, przedstawiając jej policjanta.

- Witam panią. - Porucznik ściągnął wełniany szalik i włożył go do kieszeni płaszcza. Pandora uznała, że wygląda jak typowy dziadek. Grubawy, pocziwy, swojski. - Paskudny wieczór - stwierdził i stanął nieopodal kominka.

- Napije się pan kawy, poruczniku? - spytała.

- Z rozkoszą. - Randall popatrzył na nią z wdzięcznością.

- Proszę, niech pan siada. Zaraz wracam.

Chciała zyskać trochę na czasie, parząc kawę i ustawiając na tacy filiżanki. Po prostu przygotować się psychicznie do tej rozmowy. Nigdy dotychczas nie miała okazji do kontaktów z policją, nie licząc tych sporadycznych wypadków, gdy zdarzyło jej się nie zapłacić za parking. A teraz na dodatek będzie musiała mówić o swojej rodzinie i stosunkach z Michaeliem.

Stosunki z Michaeliem, zastanowiła się. Właśnie z tego powodu kryła się w kuchni i zwlekała z powrotem do salonu. Wciąż jeszcze nie mogła ochłonąć z wrażenia, gdy nazwał ją swoją kobietą. Nie zachowuj się jak nastolatka, upomniała siebie. To absurdalne, żebyś straciła głowę tylko dlatego, że jakiś mężczyzna namiętnie na ciebie popatrzył.

No tak, ale tym mężczyzną był Michael.

Wyjęła z szafki serwetki, złożyła je w trójkąt i położyła na tacy obok filiżanek i cukiernicy. Nie chce być niczyją kobietą, jest panią samej siebie. To po prostu napięcie i podniecenie związane z wydarzeniami tego wieczora sprawiło, że reaguje jak szesnastolatka. Jest dorosła i samowystarczalna. Jest zakochana. Muszę to sobie wybić z głowy, postanowiła. Odetchnęła głęboko, wzięła tacę i wyszła z kuchni.

- Panowie - uśmiechnęła się, stawiając tacę na stoliku. - Oto i kawa. Z mleczkiem i cukrem, poruczniku? - zwróciła się do policjanta.

- Serdeczne dzięki, tak - odparł. Pandora podała mu filiżankę. - Pan Donahue już mi zreferował, w czym rzecz. Wygląda na to, że macie drobne kłopoty.

Uśmiechnęła się, słysząc takie określenie.

- Drobne - przytaknęła.

- Nie chcę państwa pouczać - powiedział porucznik, patrząc na nich surowo - ale po pierwszym incydencie należało sprowadzić tu policję.

- Myśleliśmy, że jak zignorujemy ten akt wandalizmu, zniechęcimy tego, kto to zrobił, do ponownych - tłumaczyła Pandora. - Najwyraźniej byliśmy w błędzie.

- Muszę zabrać butelkę z szampanem. - Porucznik znów spojrzał na nich karcąco. - Mimo że daliście go do analizy, zbadamy go w naszym laboratorium.

- Zaraz przyniosę. - Michael wstał z krzesła.

- Panno McVie, z tego co opowiada pani kuzyn, wynika, że warunki testamentu pana McVie były trochę niekonwencjonalne.

- Trochę - zgodziła się.

- Powiedział mi również, że nakłonił panią do przyjęcia ich - ciągnął porucznik.

- To już fantazja Michaela, poruczniku - zaprotestowała Pandora. - Robię to, na co się sama zdecydowałam.

- Zgadza się pani z panem Donahue, że te incydenty wiążą się ze sobą i są sprawką kogoś z państwa rodziny? - spytał.

- Trudno byłoby się nie zgodzić.

- Czy może jest ktoś, kogo podejrzewa pani bardziej niż innych? - dopytywał się Randall.

Pandora już wcześniej się nad tym zastanawiała.

- Nie - odparła. - Wie pan, nie utrzymujemy zbyt bliskich stosunków rodzinnych. Prawdę mówiąc, nikogo nie znam za dobrze.

- Z wyjątkiem pana Donahue - zauważył Randall.

- To prawda. Michael i ja często odwiedzaliśmy wuja, więc spotykaliśmy się tutaj. - Czy chcieliśmy tego, czy nie, dodała w duchu. - Poza nami krewni odwiedzali wuja Jolleya sporadycznie.

- Oto i szampan, poruczniku. - Michael podał policjantowi pudełko. - I wynik analizy z laboratorium Sanfielda.

Randall schował wydruk do kieszeni.

- Adwokat państwa wuja - Randall zajął do notatek - Fitzhugh, parę tygodni temu powiadomił o tym, że ktoś tu się kręci. Patrolujemy okolicę, ale w tej sytuacji zechcą państwo wyrazić zgodę na patrolowanie tutejszego terenu codziennie.

- Oczywiście - rzekł Michael.

- Skontaktuję się z Fitzhugh. - Pandora dołała kawy porucznikowi. - Będę również potrzebował listę krewnych wymienionych w testamencie i trochę informacji na ich temat.

Pandora zmarszczyła brwi. Starali się najlepiej, jak potrafili, wypełnić polecenie porucznika. Gdy skończyli, Pandora popatrzyła na niego przepaszająco.

- Mówiłam, że nie utrzymujemy zbyt bliskich stosunków - usprawiedliwiała się.

- Poproszę adwokata, żeby uzupełnił te dane. - Randall wstał niechętnie z fotela. Starał się nie myśleć o powrotnej jeździe. Na dworze panował przejmujący chłód. - Obiecuję, że zachowamy jak najdalej posuniętą dyskrecję - powiedział.

- Jeśli cokolwiek się zdarzy, proszę do mnie zadzwonić. Jeden z moich ludzi będzie znał sprawę.

- Dziękujemy, poruczniku. - Michael podał policjantowi płaszcz.

- Myśleliście kiedyś o zainstalowaniu alarmu? - Randall rozejrzał się po pokoju.

- Nie.

- To pomyślcie - poradził, wychodząc.

- Znowu nas poucza - mruknęła Pandora. - Wiesz - zwróciła się do Michaela - myślę, że są dwie szkoły działania policji: albo zamknie sprawę, albo rozdmucha. Ty liczysz, że uda im się coś znaleźć? - Spojrzała na niego pytająco.

- Dziś wieczorem sam już byłem blisko. - Nalał sobie brandy. - Prawie już miałem coś w rękę. Albo kogoś. Lubię otwartą walkę, twarzą w twarz.

- Lepiej, żebyśmy to traktowali jak partię szachów, a nie jak mecz bokserski. - Podeszła do niego, objęła go w pasie i przytuliła policzek do jego ramienia. Takiego gestu się po niej nie spodziewał. Gdy dotknął twarzą do jej włosów, uświadomił sobie, jak bardzo się z tego cieszy. Czy kiedykolwiek uważał, że ona nie pasuje do jego wyobrażenia ideału kobiety?

- Nigdy nie miałem cierpliwości do szachów - powiedział.

- A więc zostawmy to policji. - Objęła go mocniej. Potrzeba ochrony go była równie silna, jak pragnienie, by być chronioną. - Myślałam o tym, co może dziś w nocy się wydarzyć. Nie chcę, żeby ci się coś stało.

- Dlaczego?

- Bo... - Popatrzyła mu w oczy i poczuła, że ogarniają ją fale czułości. Ale nie chciała się wygłupić, nie chciała narazić na szwank swojej dumy. - Bo wtedy musiałabym sama zmywać - dokończyła.

Uśmiechnął się. Nie, nie miał w sobie zapasów cierpliwości, ale kiedy okoliczności będą tego wymagały, zdobędzie się na cierpliwość. Musnął wargami jej usta. Prędzej czy później otrzyma od niej jeszcze więcej. I wtedy będzie musiał zdecydować, co robić.

- Tylko dlatego? - spytał.

- Gdyby coś ci się stało, nie mógłbyś pracować - ciągnęła Pandora. - Musiałabym znieść twój paskudny charakter.

- Myślałem, że już go znosisz.

- Byłbyś jeszcze bardziej nieznośny, gdybyś się nudził. Pocałował ją zmysłowo, prowokacyjnie.

- Z tobą bym się nie nudził. Tylko że ty nie chcesz tego zauważyć.

Tym razem pocałował ją gwałtownie, niecierpliwie.

- W końcu należysz do rodziny... - zaczęła. Zaśmiał się i skubnął zębami koniuszek jej ucha.

- Nie wycofuj się.

- Nigdy się nie wycofuję - zachnęła się.

- Chyba że zaczniesz wszystko racjonalizować. - Znowu zbliżył wargi do jej ust. - Związki w naszej rodzinie są bardzo luźne - szepnął. - Ten związek nie.

- Nie wiem, czego ode mnie chcesz - usiłowała się bronić.

- Zwykle jesteś taka bystra.

- Nie żartuj, Michael.

- Nie żartuję. - Odsunął ją na odległość wyciągniętych rąk. Przesunął dłonie wzdłuż jej ramion. - Nie, nie zamierzam tego zgadywać za ciebie, Pandoro. Nie zamierzam ci niczego ułatwiać. Sama musisz przyznać, że oboje pragniemy tego samego. I zrobisz to.

- Zarozumialec - warknęła.

- Tylko pewny siebie - skorygował. - Pragnę cię.

- Wiem - szepnęła.

- Tak. - Ujął jej dłonie. - Myślę, że wiesz.

ROZDZIAŁ 11

W lutym zima pokazała, co potrafi. Przyszedł taki dzień, kiedy Pandora musiała przekopywać drogę do pawilonu, w którym pracowała. Wcale nie była z tego powodu niezadowolona. Przeciwnie, była za to wdzięczna losowi. Ruch na świeżym powietrzu dobrze jej zrobił.

Pandora doszła do pewnych niewygodnych dla siebie wniosków. Jej życie nigdy już nie będzie takie samo jak dotychczas. Jeśli chodzi o pracę, miesiące, jakie spędziła w posiadłości Folley, tworząc nowe projekty biżuterii, tylko wyszły jej na korzyść. Prawdę mówiąc, często traktowała swoją twórczość jako odskocznię od tego, co dzieje się wokół niej i co bezpośrednio jej dotyczy.

Nagle uzmysłowienie sobie, że jej zdrowie, nawet jej życie może być wystawione na niebezpieczeństwo, spowodowało, że zmieniła trochę swój tak zwykle praktyczny i racjonalny pogląd na świat. Zaczęła doceniać to, co dotychczas uważała za oczywiste i naturalne. Choćby to, że budzi się rano w ciepłym łóżku, że patrzy na płatki śniegu za oknem. Nauczyła się cieszyć każdą chwilą.

Rozważała, czyby nie pojechać na dzień do Nowego Jorku i nie zabrać trochę rzeczy, które chciałyby mieć ze sobą w Folley. Głównie chodziło jej o to, że mogłaby podjąć pewne decyzje. To, co chciałyby zatrzymać, i to, czego wolałyby się pozbyć, byłoby w jakimś stopniu odzwierciedleniem zmian, jakie w sobie zaakceptowała.

Musi załatwić sprawę wynajmu mieszkania i pracowni. Nie będzie mieszkała sama, lecz ze starymi służącymi wuja, za których czuje się odpowiedzialna. Choć kiedyś postanowiła, że będzie odpowiedzialna tylko za siebie i swoją sztukę, dokonała wyboru bez wątpliwości i skrupułów. Mimo że mieszkała w mieście, wśród ludzi, ruchu i zgiełku ulic, izolowała się. Z tym już koniec.

Wszystko to jakoś splatało się z osobą Michaela.

Za parę tygodni ich wspólny pobyt w Folley dobiegnie końca. W czasie następnych zim będzie wspominała tę, którą spędzili razem. Przygotowując się do nowego, odmiennego od dotychczasowego życia, przyrzekła sobie, że nie będzie żałować. Jednak nie mogła sobie zabronić marzeń. Wszystko przecież w jej życiu się zmieniło.

Po wizycie policji musiała po zmroku zamykać swoją pracownię na klucz, skończyły się też samotne spacerunki po lesie. Rytuałem stał się wieczorny obchód Folley i sprawdzanie wszystkich drzwi i okien, czego przedtem nigdy nie robiono. Nieraz wracając z pawilonu do

domu, widziała w oknie pokoju obserwującego ją Michaela. Powinno ją to napawać spokojem i dawać poczucie bezpieczeństwa, ale wiedziała, że on czeka na coś, co może się wydarzyć. Bezczynność mu nie służyła.

Od czasu gdy pojechali do Nowego Jorku, żeby zająć się sprawą włamania, stał się jakby bardziej obcy, z trudem hamował zniecierpliwienie. Choć oboje rozumieli konieczność patrolowania terenu przez policję, czuli się nieswojo, jakby ktoś wdzierał się w ich prywatne życie.

Śledztwo policyjne nie wniosło niczego nowego. Każdy z krewnych miał alibi. Od kiedy zwrócili się o pomoc do policji, nic nowego się nie wydarzyło. Tak jak przewidywała Pandora, w rodzinie zawrzało. Otrzymała telefon od Carlsona, który z oburzeniem stwierdził, że wszczęli policyjne dochodzenie, żeby uniemożliwić mu podważenie testamentu.

Wkrótce potem przyszedł list od Ginger, której przyszło do głowy, że w Folley straszy. Michael odbył dwuminutową rozmowę telefoniczną z Morganem, który rozhisteryzowany plótł coś o sprawach rodzinnych, a Biff ujął całą sytuację na swój zwykły lakoniczny sposób. „Gliny i rabusie? Wygląda na to, że bawicie się w złodziei i policjantów”.

Tylko Hank się nie odezwał.

Laboratorium policyjne potwierdziło wynik analizy szampana Randall prowadził dochodzenie z właściwą sobie precyzją i rozważą Michael i Pandora znajdowali się w tym samym punkcie co przed paroma tygodniami: czekali na rozwój sytuacji.

Michael nie wiedział, jak Pandora to wytrzymuje. Idąc ścieżką którą przekopała, zastanawiał się, jak może być tak spokojna, skoro on wprost kipiał. Najgorsze, że nic się nie działo. Czekanie, aż ktoś zrobi następny ruch, było torturą nie do wytrzymania Nie będzie w stanie się rozluźnić, dopóki nie nabierze pewności, że Pandora jest całkowicie bezpieczna. Nie będzie usatysfakcjonowany, póki jego ręce nie zacisną się na czyimś gardle. Tkwiąc w bezczynności, był bliski obłędu. Zatrzymał się obok pawilonu i rozejrzał dokoła.

Dom, pokryty czapą śniegu, ze zwisającymi z dachu soplami lodu, wyglądał bajkowo. Stanowiłby idealną scenerię jakiejś tajemniczej, trochę niesamowitej opowieści. Ale teraz jest po prostu ich domem.

Weisnął ręce do kieszeni i obserwował dym unoszący się z kominów. Może to głupie, ale zawsze lubił to miejsce. Im dłużej tu mieszkał, tym bardziej się upewniał, że właśnie tutaj przynależy. Nie wiedział tylko, jak Pandora przyjąłaby jego decyzję o pozostaniu w Folley po upływie terminu wyznaczonego przez wuja.

Skończył właśnie ostatni scenariusz na ten sezon. Mógłby, jak to często czynił, wziąć parę tygodni urlopu wczesną wiosną i udać się gdzieś na gorące, hałaśliwe plaże. Mógłby

łowić ryby, odpoczywać i przyglądać się dziewczynom w o dwa numery za małych bikini. Mógłby... ale wiedział, że nigdzie nie pojedzie.

Przez parę ostatnich dni bawił się wymyślaniami scenariusza pełnometrażowego filmu fabularnego. Już przedtem się nad tym zastanawiał, ale wciąż coś mu stawało na przeszkodzie. Wiedział, że tutaj mógłby go napisać. Miałby świadomość, że Pandora pracuje obok i że krytycznie potraktuje jego pomysły, co tylko dodałoby mu bodźca do wydajniejszej pracy. Ale czekał. Cekał na coś, co jeszcze może się stać; na to, by wykryć, kto chciał ich zastraszyć na tyle, by odstąpili od planów i zrezygnowali z dotrzymania warunków testamentu wuja Jolleya. Ale przede wszystkim czekał na dzień, w którym Pandora mu zaufa i odda mu swoje serce.

Przekręcił gałkę w drzwiach i ucieszył się, że Pandora dotrzymuje słowa i zamyka się od wewnątrz na klucz.

- Pandorol - zawołał.

Otworzyła drzwi, trzymając w ręku dłuto. Obrzucił ją wzrokiem i podniósł obie ręce do góry.

- Nie mam broni - powiedział.

- Ale ja mam robotę - odparowała, unosząc lekko w uśmiechu kąciki warg. Jej spojrzenie mówiło, że cieszy się z jego wizyty. Nauczył się już rozpoznawać takie drobne znaki.

- Wiem, że naruszam twoje godziny pracy, ale mam ważne powody - tłumaczył się.

- Wpuszczasz zimne powietrze - zwróciła mu uwagę. Kiedyś, niewiele myśląc, zatrzaskałaby mu drzwi przed nosem. Teraz zatrzaskała je za jego plecami.

- Do diabła, tu wcale nie jest dużo ciepłej.

- Jest w sam raz, kiedy pracuję. A właśnie to robię - odpowiedziała.

- Możesz mieć pretensje do Sweeney. Wysłała mnie po zakupy i nalega, żebym cię ze sobą zabrał. - Popatrzył na nią porozumiewawczo. - „Ta dziewczyna za dużo przesiaduje w pawilonie” - powiedziała. „Potrzebuje trochę słońca”.

- Mam masę słońca - zaprotestowała Pandora. A jednak podobał jej się pomysł wyjazdu do miasta. Nie zaszkodzi porozmawiać z jubilerem z małego centrum handlowego. Zaczynała myśleć o tym, by wyjść ze swymi wyrobami poza duże miasta. - Myślę, że powinniśmy jej ustąpić, tylko najpierw to skończę.

- Nie spieszy mi się.

- Dobrze, a więc za godzinę. - Odeszła od drzwi, ale nie usłyszała, by trzasnęły. Odwróciła się zatem i zobaczyła, że Michael przygląda się jej narzędziom. - Michael - napomniała go lekko poirytowanym tonem.

- Nie przeszkadzaj sobie.

- Nie masz nic do roboty? - zdziwiła się.

- Nic a nic - odparł z uśmiechem.

- Żadnego pościgu samochodowego? - dopytywała się.

- Nie, a poza tym nigdy nie widziałem cię przy pracy.

- Nie lubię publiczności.

- Więcej wyobraźni, kochanie. Powiedzmy, że jestem praktykantem.

- Nie jestem pewna, czy jest mi potrzebny.

- Co to jest? - spytał, wskazując przedmiot leżący na stole.

- To jest breloczek. Jeszcze nie skończony. Zrobiłam go z mosiężnego drucika i opłków srebrnych, które zostały mi z naszyjnika.

- Nic się nie zmarnuje. Praktyczna jak zawsze. Co robisz?

Po chwili namysłu uznała, że prościej będzie odpowiedzieć na jego pytanie, niż się go pozbyć. Wyjaśniła mu pokrótce kolejne czynności.

- Wydaje się to dość proste - zauważył.

- Pięcioletnie dziecko potrafiłoby przymocować takie łożki.

- A jednak jest w tym coś niebywałego. Zwykły kawałek metalu zmienił się w intrygujący ornament. Ozdobny i egzotyczny.

- Taki właśnie miałam zamiar - przytaknęła Pandora. - Ten naszyjnik będzie nosiła na planie filmowym Jessica Wainwright. Ma to być prezent od dawnego kochanka. Filmowa hrabina twierdzi, że był tureckim księciem.

Michael jeszcze raz uważnie przyjrzał się naszyjnikowi.

- Bardzo odpowiedni - przyznał.

- Będzie sięgał niemal do talii, kończąc się perłową łożką. - Pandora pokazała mu rysunek. - Pani Wainwright jest osobą szczególną. Nie chce niczego zwyczajnego, nawet klasycznego. Wszystko, co nosi, powinno dodać jej postaci tajemniczości.

Odłożyła szkic i poskładała narzędzia. Umocuje zapięcie po powrocie z miasta. A jeśli zostanie jeszcze trochę czasu do kolacji, zacznie następny projekt. Praca nad pozłacaną, ozdobną zapinką w kształcie pawia z rozłożonym ogonem zajmie jej co najmniej dwa tygodnie.

- Ten przedmiot mógłby stanowić zabójczą broń. - Michael podniósł przyrząd do polerowania.

- Że co proszę? - Uniosła w górę brwi.

Lubił, gdy tak mówiła i patrzyła na niego z bezgranicznym zdumieniem połączonym z powątpiewaniem.

- Pasowałoby mi do scenariusza - dodał.

- Zostaw moje narzędzia w spokoju. - Pandora odłożyła na bok pilnik. - Zaprosisz mnie w mieście na lunch? - Zdjęła fartuch roboczy i włożyła płaszcz.

- Chciałem cię spytać o to samo.

- Ale ja spytałam pierwsza. - Zamknęła pawilon i otuliła się szczelniej płaszczem. - Śnieg zaczyna topnieć - zauważyła.

- Za parę tygodni pięć tuzinów cebulek, które zasadził Jolley, kiedy bawił się w ogrodnika, zacznie kwitnąć.

- Żonkile - powiedziała Pandora. W tej chwili wydawało się to wręcz nieprawdopodobne. Wokół leżał śnieg, powietrze było przenikliwie zimne i wilgotne. - Zima minęła jakoś dziwnie szybko - dodała.

- Masz rację. - Objął ją ramieniem. - Nigdy nie przypuszczałem, że te sześć miesięcy tak szybko upłynie. Myślałem, że do tego czasu jedno z nas popełni morderstwo.

- Mamy na to jeszcze cały miesiąc - roześmiała się.

- Ale teraz musimy się dobrze sprawować - przypomniał jej. - Porucznik Randall ma nas na oku.

- Zaprzepaściliśmy szansę. - Objęła go za szyję. - Były takie momenty, kiedy miałam ochotę trzasnąć cię jakimś tępym narzędziem w głowę.

- I wzajemnie. - Pochylił się i dotknął ustami jej warg. Były chłodne i lekko spierzchnięte.

W oknie bocznego skrzydła Sweeney uchylila zasłonę.

- Patrz tylko! - powiedziała do Charlesa. - Mówiłam, że się uda. Za parę tygodni będę piekła weselny tort.

W chwili gdy Charles również zbliżył się do okna, Pandora nabrała całą garść śniegu i rzuciła go Michaelowi prosto w twarz.

- No, no, nie ciesz się na zapas - mruknął Charles. Pandora, chcąc uniknąć rewanzu, pomknęła do garażu.

Zdażyła się pochylić na sekundę przed tym, nim śnieżka uderzyła w drzwi.

- Wciąż chybiasz, kuzynie. - Wpadła do środka i wskoczyła do jego samochodu. Zadowolona wtuliła się w siedzenie. Była pewna, że Michael nie zechce zabrudzić

nieskazitelno wnętrza śniegiem. Otworzył drzwi, wsunął się do środka i rzucił śniegiem w jej głowę. Zapiszczała. Przekręcił kluczyk.

- Lepiej celuję z bliska - powiedział.

- Ktoś mógłby sądzić, że mężczyzna, który jeździ tak okazałym samochodem, będzie na niego chuchał i dmuchał. - Zgarnęła śnieg z włosów i twarzy.

- Jest okazały, jeśli kupujesz go jako wyznacznik swego statusu społecznego.

- Co oczywiście nie dotyczy ciebie.

- Kupiłem go, bo ma optymalne zużycie paliwa. I dlatego, że znakomicie się prezentuje z rudymi włosami w środku - dodał.

- I jasnymi, i ciemnymi - do dała Pandora.

- Rudymi - powtórzył, zawijając na palcu pukiel jej włosów. - Mam swoje preferencje.

Nie powinna się uśmiechać, słysząc te słowa, ale uśmiechała się jeszcze, kiedy wyjeżdżali na długą, krętą drogę.

- Nie możemy się skarżyć na służby drogowe - zauważyła. - Z wyjątkiem tych dwóch tygodni w zeszłym miesiącu szosy były dobrze oczyszczone. - Patrzyła przez okno na pryzmy śniegu odsuniętego z drogi.

- Ale podjazd był zaśnieżony.

- Przypomniało mi się, jak jeździłeś na tym małym traktorze do odśnieżania. Uwielbiałeś to. A wuj Jolley mówił, że prowadząc ten pojazd, czuje się jak prawdziwy macho.

- Pędził jak wariat przez dziedziniec - roześmiał się Michael.

Dojeżdżając do zakrętu, Michael zwolnił. Pandora pochyliła się i włączyła odtwarzacz płyt kompaktowych.

- Większość ludzi taki sprzęt ma w swoim gabinecie - zauważyła.

- Nie mam gabinetu.

- Nie masz też stereo - roześmiała się. - Ani telewizora, o ile pamiętam.

Wzruszył ramionami, ale w myślach liczył, ile rzeczy mu ukradziono.

- Ubezpieczenie wszystko pokryje - rzucił.

- Policja potraktowała to jak zwyczajne włamanie. Może i tak było - zamyśliła się.

- A może to była tylko zasłona dymna. Chciałbym, żebyśmy. .. - Urwał, bo zbliżali się do następnego zakrętu. Znowu nacisnął hamulec, ale tym razem nie dało to żadnego efektu.

- Michael, jeśli chcesz się przede mną popisywać, to nic z tego. - Pandora odruchowo złapała się uchwytu nad oknem.

Trzymając kierownicę jedną ręką, Michael drugą sięgnął do hamulca ręcznego. Samochód pędził w dół. Chwycił kierownicę obu rękami, usiłując pokonać następny zakręt.

- Hamulce nie działają - rzucił tylko. Licznik szybkości wskazywał, że jadą ponad siedemdziesiąt mil na godzinę.

Pandora kurczowo ścisnęła uchwyt.

- Nie uda nam się zjechać bez hamulców - wyszeptała przerażona.

- Nie - odparł, nie zamierzając kłamać. Koła piszczały przeraźliwie, gdy brał następny zakręt.

Pandora wpatrywała się w szosę wijącą się przed nimi. Serce podeszło jej do gardła. Znak przed ostrym zakrętem nakazywał zwolnić do trzydziestu mil na godzinę. Michael wziął go z prędkością siedemdziesięciu pięciu. Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła i zobaczyła przed sobą zaspę śnieżną, krzyknęła. Jakimś cudem Michaelowi udało się ją ominąć.

Wpatrywał się w szosę, starając się przewidzieć kolejny zakręt. Pot wystąpił mu na czoło. Znał tę szosę i dlatego właśnie był przerażony. Jeszcze trzy mile, ostry spadek i gwałtowny podjazd pod górę. Rozpędzony samochód wjedzie w balustradę, przerwie ją i rozbije się na skałach na dole.

- Jest tylko jedna szansa - powiedział Michael. - Musimy skręcić w drogę prowadzącą do starej gospody. To za tym zakrętem. - Nie mógł oderwać wzroku od szosy, żeby spojrzeć na Pandorę. Palce kurczowo zaciskał na kierownicy. - Trzymaj się - rzucił.

Umrę, pomyślała. Nie mogła myśleć o niczym innym. Słyszała pisk opon. Samochód przechylił się na bok. Miała wrażenie, że za sekundę się przewróci, że będą dachować. Widziała gałęzie ocierające się o karoserię, gdy wpadli na wąską drogę. Przez moment wydawało się, że uda im się utrzymać na drodze. Ale zakręt był za ostry, szybkość za duża. Samochód pędził wprost na drzewa.

- Kocham cię - szepnęła i wyciągnęła rękę do Michaela. A potem zapadła ciemność.

Michael powoli dochodził do siebie. Czuł ból, ale nie wiedział dlaczego. Słyszał jakiś hałas. W końcu odwrócił głowę w kierunku, z którego dobiegał. Kiedy otworzył oczy, zobaczył ciemnowłosego chłopca zagląającego przez okno.

- Proszę pana, proszę pana! Nic panu nie jest? Michael oszołomiony pchnął drzwi.

- Wezwij pomoc - wyszeptał, walcząc z ogarniającą go znowu ciemnością. Głęboko zaczerpnął powietrza, usiłując zebrać myśli. Chłopiec pomknął przez las.

Pandora, przemknęło Michaelowi przez myśl. Ogarnął go strach. Pochylił się nad nią.

Ręce mu drżały, gdy usiłował wymacać puls. Był. Krew spływała jej po twarzy z rozciętego czoła. Palcami ścisnął ranę i sięgnął po podręczną apteczkę. Zatałował

krwawienie i zaczął sprawdzać, czy nie ma złamań. Jęknęła. Musiał się siłą powstrzymać, by jej nie przytulić.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzał. - Nie ruszaj się. - Kiedy otworzyła oczy, zobaczył, że ma szklisty i błędny wzrok. - Nic ci nie będzie. - Ujął delikatnie w dłoń jej twarz. Powoli odzyskiwała jasność spojrzenia. W końcu chwyciła go za rękę.

- Hamulce - szepnęła.

- Tak. - Przytulił policzek do jej twarzy. - To była piekielna jazda, ale wygląda na to, że się nam udało - powiedział.

Pandora rozejrzała się dokoła. Samochód zatrzymał się na drzewie. Tylko dzięki temu, że śnieg był tu bardzo głęboki, auto zwolniło i uderzenie nie zakończyło się tragicznie.

- My... tobie nic nie jest? - Pandorze łzy napłynęły do oczu, gdy dotknęła twarzy Michaela. - Dobrze się czujesz?

- Wspaniale. - Nadgarstek mu pulsował, jakby miał w nim młot pneumatyczny, a głowa pękała z bólu, ale żył. Kiedy Pandora chciała się poruszyć, powstrzymał ją. - Nie, nie ruszaj się. Nie wiem, jakie masz obrażenia. Był tu jakiś chłopiec. Poszedł po pomoc.

- Tylko głowa - powiedziała. Wzięła go za rękę i zobaczyła krew. - O Boże, ty krwawisz - przeraziła się. - Skąd? - Zanim zaczęła szukać zranionego miejsca, chwycił ją za obie ręce.

- To nie ja, to ty. Jesteś ranna w głowę - wyjaśnił. - Możesz mieć wstrząśnienie mózgu.

Pandora dotknęła drżącą ręką bandaża. Rana bolała, ale nie zwracała na to uwagi. Skoro boli, to znaczy, że żyje. I to jest najważniejsze.

- Myślałam, że umarłam - powiedziała. Zamknęła oczy, ale spod rzęs popłynęły łzy. - Myślałam, że oboje umarliśmy.

- Oboje żyjemy i nic nam nie jest - zapewnił ją. Od szosy dobiegł dźwięk syreny policyjnej. Pandora znowu otworzyła oczy. - Wiesz, co się stało? - spytał.

Głowa ją bolała, ale odzyskała jasność umysłu.

- Ktoś usiłował nas zabić - powiedziała. Skinął głową.

- Mam zdecydowanie dość czekania, Pandoro.

Porucznik Randall zastał Michaela w poczekalni pogotowia ratunkowego. Rozpiął płaszcz i usiadł obok niego na drewnianej ławce.

- Wygląda na to, że macie trochę kłopotów - zaczął. - Trochę.

Randall wskazał bandaż na nadgarstku.

- Coś poważnego? - spytał.

- Tylko zwichnięcie - odparł Michael. - Parę draśnień, zadrapań i cholerny ból głowy. Kiedy go ostatni raz widziałem, mój samochód wyglądał jak akordeon - zażartował.

- Odholujemy go. Czy jest coś, na co powinniśmy zwrócić uwagę?

- Hamulce. Wygląda na to, że nie działały.

- Kiedy ostatni raz używał pan samochodu? - spytał Randall.

- Dziesięć dni temu, może dwa tygodnie. - Michael potarł czoło. - Jechałem do Nowego Jorku w związku z włamaniem do mieszkania.

- Gdzie trzyma pan samochód? - ciągnął dalej Randall.

- W garażu.

- Zamkniętym na klucz?

- Garaż? - zdziwił się Michael. Wpatrywał się w korytarz, którym odwieziono Pandorę. - Nie. Mój wuj zainstalował jedno z tych zdalnie sterowanych urządzeń alarmowych parę lat temu. Nigdy nie działało. Tak czy inaczej, rozmontował je i nie założył zamka. Samochód Pandory tam stoi - przypomniał sobie nagle. - Jeśli...

- Sprawdzimy - powiedział porucznik. - Panna McVie była z panem?

- Tak, jest teraz u lekarza. - Po raz pierwszy od tygodni Michael zamarzył o papierosie. - Zraniła się w głowę. - Spojrzał na swoje dłonie, na których jeszcze przed chwilą była jej krew. - Zamierzam wykryć, kto to zrobił, poruczniku, a potem...

- Proszę nie mówić niczego, co mógłbym wykorzystać przeciwko panu - ostrzegł Randall. Spotykał ludzi, którzy rzucali takie groźby tylko po to, by rozładować chwilowe napięcie. Michael Donahue do takich nie należał. - Niech mi pan pozwoli wykonywać moje obowiązki, panie Donahue.

Michael patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- Ktoś tu prowadzi grę, zabójczą grę - wycodził przez zęby - narażając osobę bardzo dla mnie ważną. Czy będąc na moim miejscu, siedziałby pan z założonymi rękami i czekał na ciąg dalszy?

Randall uśmiechnął się pod wąsem.

- Wie pan, nigdy nie opuściłem żadnego odcinka. Znakomita rozrywka. Ta cała sprawa mogłaby się znaleźć w pańskim serialu.

- Mogłaby się znaleźć w moim serialu - powtórzył Michael.

- Problem tylko w tym, że w życiu wszystko przebiega inaczej niż na ekranie. Otóż i pańska kuzynka.

Michael natychmiast podbiegł do Pandory. Patrzył na nią pełen niepokoju.

- Wszystko w porządku - uprzedziła jego pytanie.

- Niezupełnie - włączył się młody lekarz, który jej towarzyszył. - Panna McVie ma wstrząśnienie mózgu.

- Doktor założył mi parę szwów na głowie i chce mnie tu uwięzić. - Uśmiechnęła się słodko do lekarza i ujęła Michaela pod ramię. - Wracajmy do domu.

- Chwileczkę. - Michael zwrócił się do lekarza: - Chce ją pan zatrzymać w szpitalu? - spytał.

- Michael - zaczęła Pandora.

- Cicho - ofuknął ją.

- Każdy pacjent ze wstrząśnieniem mózgu musi zostać poddany rutynowemu badaniu. Panna McVie powinna zostać na noc pod fachową opieką.

- Nie zostanę w szpitalu tylko dlatego, że mam guza na głowie - zaprotestowała. - Dobry wieczór, poruczniku.

- Dobry wieczór, panno McVie.

- A teraz, doktorze...

- Barnhouse - przedstawił się lekarz.

- A więc, doktorze Barnhouse - ciągnęła - wezmę sobie pańską radę do serca. Chcę odpocząć, uniknąć stresu. Gdy tylko poczuję nudności czy zawroty głowy, zjawię się w szpitalu. Mogę pana zapewnić, że teraz, kiedy przekonał pan Michaela, że jestem inwalidką, będę miała należytą opiekę. Nie musi się pan martwić.

- Nie mogę pani zmusić do pozostania, to jasne - odrzekł lekarz, wyraźnie niezadowolony.

- Jeśli myśli pan, że ja mogę, to niewiele pan wie o kobietach - zauważył Michael.

Lekarz zrezygnowany zwrócił się do Pandory.

- Chcę panią widzieć za tydzień, a jeśli wystąpią objawy, o których mówiliśmy, to wcześniej. Musi pani teraz przed dwadzieścia cztery godziny odpoczywać. To znaczy leżeć.

- Tak, panie doktorze. - Podała mu rękę. Uścisnął ją niechętnie. - Był pan bardzo miły, dziękuję - dodała.

- Gdybym nie wiedział, że jest inaczej - zauważył po chwili Michael - powiedziałbym, że chce cię tu zatrzymać tylko po to, żeby na ciebie patrzeć.

- Oczywiście - prychnęła. - Wyglądałam olśniewająco z krwią na twarzy i dziurą w głowie.

- Tak myślałem. - Pocałował ją w policzek, ale wykorzystał to, by bliżej przyjrzeć się ranie. Szwy były ładne i małe, gubiły się na linii włosów. Policzył, że było ich sześć. - Chodź, jedziemy do domu, żebyśmy mógł zacząć cię pielęgnować.

- Zawiozę was - zaproponował Randall. - Przy okazji trochę się rozejrzę.

Gdy tylko weszli do domu, Sweeney zajęła się Pandorą z prawdziwie matczyną troską. Ułożyła ją w łóżku i otuliła kołdrą. Pandora nie miała siły, żeby protestować. Zjadła zupę i wypila gorącą słodką herbatę. Choć lekarz twierdził, że powinna spać, wzięła szkicownik i ołówek i zajęła się rysowaniem. Kiedy poczuła się zmęczona, zaczęła rozmyślać.

Morderstwo. Nic, tylko morderstwo. Morderstwo dla pieniędzy - dla niej rzecz wprost niepojęta. Już przedtem wiedziała, że jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie, ale mimo wszystko wydawało jej się to mało realne. A teraz wystarczyło, że dotknęła zranionego czoła, by uświadomić sobie, iż rzeczywiście ktoś nastaje na jej zdrowie i życie.

Wuj, ciotka, kuzyn? Kto aż tak bardzo pożądał majątku Jolleya, by posunąć się do zabójstwa? Nie po raz pierwszy pożałowała, że nie poznała lepiej swojej rodziny. Wysłuchiwała jedynie uwag wuja Jolleya, nawiasem mówiąc, niezbyt pochlebnych, z których wywnioskowała, że jej krewni są po prostu nudni.

Raz czy dwa uczestniczyła w przyjęciu dla rodziny. Monroe wciąż się złościł, Biff się przechwalał, Ginger nieustannie szczebiotała. Ale nudni czy nie, jedno z nich przekroczyło dopuszczalne granice. Gotowe było posunąć się aż do wyeliminowania jej, żeby osiągnąć swój cel. Zaczęła szkicować z pamięci portrety krewnych. Może przynajmniej w ten sposób wpadnie na właściwy trop.

- Galeria łobuzów - orzekł Michael, wchodząc do pokoju. Wracając z garażu, gdzie razem z Randallelem znaleźli na betonowej podłodze jeszcze wilgotne ślady płynu hamulcowego. Ktoś, kto to robił, zostawił tylko tyle płynu, żeby przez pierwsze parę mil samochód zachowywał się normalnie. W samochodzie Pandory dokonano tej samej szkody.

Nie chciał mówić Pandorze, że ten, kto próbował ich zabić, był dzień czy dwa temu tak blisko, bo w garażu. Popatrzył na szkice.

- Co widzisz? - spytała.

- Że masz ogromny talent i powinnaś się poświęcić malarstwu.

- Chodzi mi o ich twarze. - Poruszyła się niecierpliwie. - Nic w nich nie ma. Żadnych rysów, żadnych oznak, że są zdolni do zabójstwa.

- Każdy jest zdolny do zabójstwa. Tak, tak - dodał Michael, gdy otworzyła usta, by zaprzeczyć. - Każdy. Tyle że motyw może być różny, zależny od osobowości, okoliczności, potrzeb. Jedni zabijają wtedy, gdy ich życie jest w niebezpieczeństwie, inni, gdy zagrożony jest ktoś, kogo kochają.

- To zasadnicza różnica.

- Nie. - Usiadł na łóżku. - To sprawa różnego systemu wartości. Jedni zabijają, bo ich dom jest zagrożony, inni - bo zagrożony jest ich styl życia, dobrobyt, władza.

- A więc bardzo zwyczajna osoba może zabić, jeśli poczuje się zagrożona.

- Jedna z nich próbowała - Wskazał na jej rysunki. - Na przykład ciocia Patience ze swoją okrągłą buzią i krótkowzrocznymi oczami.

- Chyba nie wierzysz, że...

- Jest bezgranicznie oddana bratu. Nigdy nie wyszła za mąż - powiedział. - Dlaczego? Bo zawsze się nim opiekowała.

Wziął do ręki następny rysunek.

- Albo choćby sam Monroe. Uważał Jolleya za zwariowanego nudziarza.

- Jak oni wszyscy.

- Masz rację - zgodził się Michael. - Carlson, pruderyjny, wyprany z poczucia humoru, jedyny syn Jolleya, który jeszcze żyje.

- Próbował obalić testament.

- Wiedział, że jego ojciec był inteligentny. Kto wie, czy nie zechce użyć bardziej niegodziwych środków, żeby dopiąć swego. Biff... - Michael nie mógł się nie roześmiać, patrząc na rysunek. Pandora naszkicowała go dokładnie takim, jaki był. Egocentryk, zajęty wyłącznie własną osobą.

- Jakoś nie widzę go z rękami splamionymi krwią.

- Za część ze stu pięćdziesięciu milionów? Ja widzę. Śliczna mała Ginger. Ciekawe, czy potrafi być taka słodka, na jaką wygląda I Hank. - Pandora narysowała go z rozluźnionymi mięśniami. - Czy zadowolili się kilkoma tysiącami, skoro mógłby mieć miliony?

- Sama nie wiem - zamyśliła się. - Nawet jeśli mam ich ustawionych w szeregu przede mną, nie wiem.

- Ustawieni w szeregu - powtórzył Michael. - Może tu kryje się odpowiedź. Najwyższy czas, by zorganizować miłe rodzinne przyjęcie - powiedział.

- Przyjęcie? Nie myślałam o tym, by ich tutaj wszystkich zapraszać.

- Dlaczego? Będzie wspaniale.

- Nie przyjadą.

- Ależ przyjadą. - Michael już wybiegał myślą w przód. - Mogę się założyć. Lekki sygnał, że nie dzieje się tu za dobrze, a zlecą się jak na skrzydłach. Za tydzień będziesz u lekarza. Jeśli uzna, że jesteś zdrowa, zaczniemy naszą grę.

- Jaką?

- Za tydzień - powtórzył i ujął w dłonie jej twarz. Nie była piękna, ale było w niej coś niezwykłego. Długo trwało, zanim to sobie uświadomił. - Jesteś trochę blada - zauważył.

- Zawsze jestem blada, kiedy mam wstrząśnienie mózgu. Chcesz mnie rozpieszczać?

- Troszeczkę. Boże, myślałem, że cię straciłem. - Spowaźniał nagle.

- Oboje byśmy się stracili, gdybyś tak dobrze nie panował nad samochodem. - Przytuliła się do jego ramienia. Było silne, dawało oparcie i poczucie bezpieczeństwa. Postara się udawać, że Michael zawsze będzie przy niej. - Cudem wyszliśmy z tego cało.

- Ale wyszliśmy. - Popatrzył na nią. Wyglądała na słabą i wycieńczoną, ale wiedział, że jej wola pozostała niezłomna. - A teraz porozmawiamy o tym, co mi powiedziałaś bezpośrednio przed wypadkiem.

- Krzyczałam? - spytała.

- Nie.

- Jeśli krytykowałam twój sposób jazdy, to przepraszam.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz. - Zauważył, że otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Niejeden mężczyzna poczułby się dotknięty taką reakcją, ale Michael potraktował to z właściwym sobie poczuciem humoru. - Można by to nazwać wyznaniem na łożu śmierci.

Naprawdę tak powiedziała? Pamiętała tylko, że chwyciła go za rękę w tych ostatnich sekundach, sądząc, że za chwilę oboje zginą.

- To była histeria - zaczęła, starając się odsunąć.

- Nie brzmiało to jak bredzenie.

- Michael, słyszałeś, co mówił doktor Barnhouse. Mam unikać stresów. Jeśli chcesz w czymś pomóc, to zrób mi jeszcze herbaty.

- Mam coś lepszego na uspokojenie nerwów i rozluźnienie mięśni. - Położył się obok niej na łóżku i zaczął delikatnie obsypywać pocałunkami twarz Pandory. - Chcę to jeszcze raz usłyszeć, teraz, tutaj.

- Michael - próbowała oponować.

- Nie, leż spokojnie. Będę cię dotykać, tylko dotykać, nic więcej. Na resztę będziemy jeszcze mieli dużo czasu.

Był cierpliwy i czuły. Nie po raz pierwszy dziwiła się, że tak uparty, wybuchowy i pewny siebie mężczyzna może mieć tak delikatne dłonie. Ściągnął buty i wśliznął się pod kołdrę obok niej. Trzymał ją w ramionach i gładził ją, dopóki nie usłyszał, jak wzdycha z ulgą.

- Będę się tobą opiekować - wyszeptał. - A kiedy wyzdrowiejesz, będziemy się sobą opiekować nawzajem.

- Jutro będę zdrowa - powiedziała sennym głosem.

- Oczywiście - przytaknął. - Ale jeszcze mi tego nie powiedziałaś po raz drugi - przypomniał. - Kochasz mnie, Pandoro?

Była tak zmęczona i wyczerpana, że nie miała już siły do walki.

- A jeśli tak? - odpowiedziała pytaniem. Z trudem przekrzywiła głowę, by popatrzeć mu w oczy. - Ludzie zakochują się i odkochują, to normalne.

- Ludzie. - Pochylił głowę tak nisko, że dotykał wargami jej ust. - Nie Pandora. Denerwuje cię to, prawda?

Chciała spiorunować go wzrokiem, ale oczy same się jej zamknęły.

- Tak. Robię, co mogę, żeby odwrócić sytuację - odrzekła.

Przytulił się do niej, na razie usatysfakcjonowany tą odpowiedzią. Kocha go. Ma jeszcze czas, żeby skłonić ją, by polubiła tę sytuację.

- Pozwól mi się dowiedzieć, jak to się skończy - powiedział i utulił ją do snu.

ROZDZIAŁ 12

Michael przypatrywał się ciemnym plamom na podłodze garażu ze swego rodzaju ponurą fascynacją. Wypuszczenie płynu hamulcowego z samochodu przyszłej ofiary było sposobem zabójstwa, często spotykanym w filmach i powieściach kryminalnych. Widzowie i czytelnicy lubili te znane sobie, niezawodne chwytły, podobnie jak ciekawi byli pomysłów nowych i oryginalnych.

Michael wykorzystywał te metody w swoich scenariuszach, tak samo zresztą jak pomysł z zatrutym szampanem. Fałszywy telegram też mu się czasem zdarzał, nie mówiąc już o bohaterce zamkniętej w ciemnej piwnicy. To wszystko należało do klasyki kryminału. Każda z tych sztuczek wymierzonych w niego i Pandorę mogła zostać zaczerpnięta z któregoś z jego scenariuszy. To Randall zwrócił mu na to uwagę, choć oczywiście żartował. Michaelowi jednak nie wydawało się to szczególnie zabawne.

Powinien był przewidzieć taki scenariusz. Może dlatego tak się nie stało, że był to schemat aż nadto tuzinkowy i banalny, nawet jak na standardy hollywoodzkie. Niezależnie od wszystkiego, uznał, że nie pozwoli, by wyłączono go z tej gry. Zrobi następny ruch według klasycznych schematów.

Wszedł do domu, podniósł słuchawkę telefonu i zaczął realizować własny scenariusz.

Właśnie kończył ostatnią rozmowę, gdy do pokoju weszła Pandora.

- Michael, musisz coś zrobić ze Sweeney - powiedziała. Odwrócił się i popatrzył na nią uważnie. Wyglądała cudownie - wypoczęta, zdrowa, lekko poirytowana.

- Czy to nie pora twojej poobiedniej drzemki? - zdziwił się.

- Właśnie o tym mówię. - Zmarszczyła brwi. - Nie potrzebuję poobiedniej drzemki. Od wypadku minął już tydzień. - Wyjęła z włosów skórzaną przepaskę i zaczęła się nią bawić. - Byłam u lekarza, powiedział, że nic mi nie jest.

- Nie wiedziałem, że masz głowę z kamienia - zażartował. - Nie wyglądało to najlepiej.

- Lekarz był zły, bo doszłam do siebie bez jego pomocy - powiedziała. - Jestem zdrowa, tylko Sweeney nie chce tego przyjąć do wiadomości. Jak dalej będzie tak koło mnie skakać, to dopiero się rozchoruję. - Stała przed nim z butnie podniesioną głową. Wyglądała, jakby nie przechorowała ani jednego dnia w życiu.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytał.

- Ona ciebie posłucha. Z jakichś powodów uważa, że jesteś nieomylny. Pan Donahue to, pan Donahue tamto. Co powiesz, jest święte. - Uderzyła nerwowo przepaską w dłoń.

- Przez cały ubiegły tydzień słyszałam, jaki to ty jesteś wspaniały, przystojny, mądry. To cud, że w ogóle wyzdrowiałam.

Skrzywił się, ale rozumiał, że gadanina Sweeney może zniweczyć to, co już udało mu się osiągnąć.

- Przesadza, zwykle babskie gadanie - skwitował krótko.

- Ale - dodał po chwili - ponieważ nigdy ci niczego nie odmawiam... i ponieważ przesadza również z nadskakiwaniem mnie, zajmę się tym.

- Jak? - Pandora przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z ukosa.

- Sweeney będzie przez następne dni za bardzo zajęta, by móc się koło nas krzątać. Musi przygotować przyjęcie.

- Przyjęcie? - zdziwiła się Pandora.

- Tak, przyjęcie, które wydajemy w przyszłym tygodniu dla wszystkich naszych krewnych.

Pandora rzuciła okiem na telefon, przypomniawszy sobie, że właśnie kończył rozmowę, gdy wchodziła do pokoju.

- Co ty właściwie zamierzasz? - spytała.

- Układam następną scenę tego spektaklu, kuzynko. Poprosimy Sweeney, żeby wyjęła najlepszą porcelaną, choć wątpię, czy będzie czas, by jej użyć.

- Michael... - Nie chciała wyjść na tchórza, ale wypadek nauczył ją ostrożności. - Przecież jeden z nich próbował nas zabić.

- I mu się nie udało. Sądzisz, że już nie spróbuje? Policja nie może w nieskończoność patrolować naszego terenu. A poza tym - zacisnął pięść - nie zamierzam puszczać tego w niepamięć. - Przesunął wzrok w miejsce, w którym włosy pokrywały bliznę na czole Pandory. Lekarz powiedział, że z czasem zblednie. - Załatwimy to na mój sposób - dodał.

- Wcale mi się to nie podoba.

- Pandoro! - Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek. - Zaufaj mi.

Fakt, że już mu zaufała, tylko jeszcze bardziej ją zdenerwował. Westchnęła i wzięła go za rękę.

- A więc powiedzmy Sweeney, żeby zabrała się do roboty.

Aż do chwili przyjazdu pierwszego samochodu Pandora myślała, że nikt się nie zjawi. Dyskutowali godzinami nad planem Michaela, spierali się, kłócili, wymieniali argumenty, aż w końcu się poddała. Teatr, uznała, ale miała w sobie sporo z charakteru wuja Jolleya,

wyczekiwała więc tego spektaklu, zwłaszcza że była jedną z głównych postaci, które w nim miały wystąpić. Im bliższy był wieczór, w który miało się odbyć przyjęcie, tym była spokojniejsza.

Ubrała się na tę okazję w dopasowaną czarną suknię bez ramiączek. Ozdobiła szyję srebrnym naszyjnikiem własnej roboty, w uszach miała kolczyki sięgające ramion. Skoro Michael chce przedstawienia, niech je ma.

Kiedy zobaczył ją na szczycie schodów, zaniemówił. Czy naprawdę był przez te wszystkie lata przekonany, że nie jest piękna? Czy tylko sobie to wmawiał? W tym momencie w każdym razie wiedział jedno. Przyćmiłaby urodą każdą kobietę, którą znał. Ale gdyby jej to powiedział, nie uwierzyłaby. Pokiwał więc tylko głową z uznaniem i obserwował ją, kiedy schodziła na dół.

- Doskonale - powiedział.

W ciemnym garniturze wyglądał imponująco, stwierdziła w duchu.

- Prawdziwa bohaterka dramatu. - Wziął ją za rękę. - Chłodna i zmysłowa zarazem. Hitchcock zrobiłby z ciebie gwiazdę.

- Nie zapominaj, co się przytrafiło Janet Leigh.

- Zdenerwowana? - Roześmiał się i dotknął jednego z jej kolczyków.

- Nie tak bardzo, jak przypuszczałam. Jeśli się nie uda...

- Nie będzie gorzej niż teraz. Wiesz, co masz robić.

- Powtarzaliśmy to do znudzenia. Jeszcze mam siniaki. Pochylił się i pocałował ją w oba ramiona.

- Zawsze uważałem, że jesteś urodzoną artystką. Kiedy będziemy mieć już wszystko za sobą, dokończymy przedstawienie sami. Nie, nie wycofuj się - ostrzegł. - Już za późno. - Stali blisko siebie, ich usta niemal się stykały. - Od początku było za późno.

Starła się nad sobą panować, ale jej zdenerwowanie nie miało nic wspólnego z ich planem na ten wieczór.

- Dramatyzujesz - powiedziała.

Skinął głową i zagłębił palce w jej włosach.

- Ja mam wycucie dramatu, ty zmysł praktyczny. Interesujące połączenie.

- Niełatwe.

- Jeśli życie byłoby zbyt łatwe, przespałabyś je - stwierdził Michael. - O, chyba są już pierwsi goście - dodał. Z podwórza dobiegł odgłos zajeżdżającego samochodu. Pocałował ją szybko. - Połamania nóg - rzucił.

- Właśnie tego się boję - mruknęła.

W ciągu pół godziny w bibliotece zebrali się ci, którzy uczestniczyli w ceremonii otwarcia testamentu, z wyjątkiem mecenasa Fitzhugh. Wszyscy wydawali się tak samo spięci jak przed sześcioma miesiącami. Z portretu spoglądał na nich Jolley. Od czasu do czasu Pandora zerknęła na obraz, jakby spodziewała się, że wuj da jej jakiś znak. Wreszcie uznała, że nadszedł czas, by rozpocząć grę.

Carlson stał wraz z żoną obok regału. Wyglądał na poirytowanego, rzucił Pandorze groźne i zniecierpliwione spojrzenie.

- Wujku Carlsonie - powiedziała, podchodząc do niego.

- Tak się cieszę, że przyjechałeś. Nie mieliśmy wielu okazji, żeby się bliżej poznać.

- Nie podlizuj się - warknął. Obracał w dłoni kieliszek brandy, ale nie pił. - Jeśli ci się wydaje, że przekonasz mnie, żebym nie kwestionował tego absurdalnego testamentu, to się mylisz.

- Nawet o tym nie myślę. Pan Fitzhugh zapewnił, że nie masz najmniejszych szans. - Uśmiechnęła się słodko. - Przyznaję, że testament jest absurdalny, zwłaszcza teraz, kiedy byłam zmuszona mieszkać pod jednym dachem z Michaeliem przez tyle miesięcy. - Przerwała na chwilę. - Muszę powiedzieć, że były takie dni, kiedy chciałam się poddać - ciągnęła.

- Robił, co mógł, żeby obrzydzić mi życie. Raz udawał, że jego matka zachorowała i musi jechać do Kalifornii. I wtedy zamknął mnie w piwnicy. Dziecinada - prychnęła, rzucając Michaelowi spojrzenie pełne pogardy. Kątem oka zauważyła, że Carlson nerwowo wypił łyk brandy. - Cóż, termin mego wyjścia na wolność tuż - tuż. - Roześmiała się. - Tak się cieszę, że mogliśmy się spotkać na tej skromnej uroczystości. Michael otworzył wreszcie butelkę szampana, którą przechowuje od Bożego Narodzenia.

Żona Carlsona upuściła kieliszek na perski dywan.

- Nic nie szkodzi. - Pandora uśmiechnęła się wyrozumiale. - Zaraz to zetrzemy. Nalać ci drinka?

- Nie trzeba. - Carlson chwycił żonę za łokieć i odprowadził ją na bok. - Przepraszam za kłopot - rzucił w stronę Pandory.

Kiedy odchodzili, poczuła lekki dreszcz podniecenia. Tak, to musiał być Carlson.

- Sześć miesięcy temu rzuciłem palenie - oznajmił Michael Hankowi i jego żonie. Skinęli głowami z wyraźną aprobatą.

- Nie będziesz tego żałował - powiedział Hank. - Jesteś odpowiedzialny za swoje zdrowie i kondycję.

- Ostatnio dużo się nad tym zastanawiałem - powiedział Michael. - Życie z Pandorą pod jednym dachem nie ułatwiało mi wytrwania w tej decyzji. Robiła, co mogła, żeby dać mi

się we znaki. Kazała komuś wysłać do mnie sfingowany telegram, żebym poleciał do Kalifornii przekonany, że moja matka zachorowała. - Zerknął przez ramię na Pandorę.

- Jeśli wytrzymałeś sześć miesięcy bez papierosa... - wtrąciła Meg, sprowadzając rozmowę ponownie na temat jego zdrowia.

- To cud, że wytrzymałem z tą kobietą, że jestem zdrow i cały. Ale to się już kończy. - Popatrzył na Hanka i zachichotał.

- Mamy do kolacji szampana zamiast soku z marchwi. Co ty na to? Trzymałem tę butelkę od świąt na specjalną okazję.

Palce Hanka zaciśnięte na szklance wody mineralnej zbiełały, Meg pobladała.

- My... - zająknął się Hank, patrząc bezradnie na Meg - ...my nie pijemy alkoholu.

- Szampan to nie alkohol. - Michael poklepał go po ramieniu. - Przepraszam na chwilę. - Podeszedł do stołu, żeby dolać sobie brandy i zaczął na Pandorę. - To Hank - powiedział.

- Nie. - Dolała sobie wermutu. - To Carlson. - Zgodnie ze scenariuszem rzuciła mu wściekle spojrzenie. - Nudziarz z ciebie, Michael, potworny. Przebywanie z tobą nie jest warte żadnych pieniędzy.

- Snobka, udająca intelektualistkę - odciął się. - Liczę już dni do końca.

Pandora obróciła się na pięcie i podeszła do Ginger.

- Nie wiem, jak zdołałam wytrzymać z tym typem - westchnęła.

- A ja myślałam, że on jest miły. - Ginger przejrzała się w srebrnym lusterku.

- Nie przebywałam z nim pod jednym dachem. Nie upłynął nawet tydzień, jak włamał się do pawilonu, w którym pracowałam, i wszystko mi zniszczył. A potem twierdził, że zrobił to ktoś z zewnątrz.

Ginger zeszywniała. Szybko przypudrowała nos.

- Nie posądziłabym go o złe intencje. Mówiłam... - Urwała, popatrzyła na Pandorę i uśmiechnęła się nieśmiało. - Śliczne kolczyki - dodała.

Michael zmuszał się, by słuchać wywodów Monroe na temat rynku papierów wartościowych.

- Kiedy wszystko zostanie załatwione - udało mu się wpaść Monroe w słowo - będę musiał poprosić cię o radę. Myślałem o tym, czy by się bardziej nie zaangażować w jedną z firm chemicznych wuja Jolleya. Tam tkwi masa forsy w nawozach i pestycydach. - Zauważył, że Patience rozpaczliwie macha rękami, ale uspokoiła się pod wściekłym spojrzeniem, jakie rzucił jej Monroe.

- Pogadamy - mruknął Monroe. Michael uśmiechnął się.

- Dobra.

Pandora bezskutecznie usiłowała wyciągnąć coś z Ginger. Pięciominutowa rozmowa zasiała w niej podejrzenia. Była zdezorientowana i zaczynała ją już boleć głowa. Postanowiła spróbować szczęścia z Biffem.

- Dobrze wyglądasz - stwierdziła, uśmiechając się do niego i jego żony.

- Za to ty jesteś trochę blada, kuzynko - odparł.

- Minione sześć miesięcy nie należało do przyjemnych. - Ruchem głowy wskazała Michaela. - Oczywiście, ty zawsze go nie znosiłeś.

- Masz rację - potwierdził uprzejmie Biff.

- Nie udało mi się odkryć, dlaczego Jolley tak za nim przepadał. Mało, że jest nudny, to na dodatek uwielbia idiotyczne żarty. Raz, na przykład, zwabił mnie podstępnie do piwnicy i zamknął w ciemnościach.

- Nigdy tak naprawdę nie należał do naszej klasy - uśmiechnął się Biff.

Pandora ugryzła się w język i skinęła głową.

- Wiesz, że kiedyś nawet do mnie zadzwonił, zmieniając głos. Próbował mnie zastraszyć, mówiąc, że ktoś chce mnie zabić.

Biff zmarszczył brwi i popatrzył jej prosto w oczy.

- Zastanawiające - stwierdził.

- Cóż, teraz właściwie jest już po wszystkim. Nawiasem mówiąc, smakował wam szampan ode mnie?

Biff zacisnął palce na szklance.

- Szampan? - powtórzył.

- Wysłałam zaraz po świętach.

- Ach, tak. - Podniósł szklanekę i wypił parę łyków, nie spuszczać z niej wzroku. - A więc to od ciebie.

- Wpadłam na ten pomysł, kiedy ktoś przysłał Michaelowi butelkę na Boże Narodzenie. Obiecał, że dziś ją otworzy. Przepraszam, ale muszę sprawdzić, co z kolacją.

Kiedy wychodziła z pokoju, wymienili przelotne spojrzenia z Michaeliem. Dotychczas wszystko przebiegało zgodnie ze scenariuszem. Oboje odgrywali swoje role tak, jak to zostało uzgodnione. Teraz ona musi przejąć pałeczkę. W kuchni Sweeney kończyła właśnie przygotowywać posiłek.

- Jeśli są głodni - zwróciła się do Pandory - będą musieli poczekać jeszcze dziesięć minut.

- Sweeney, czas wyłączyć prąd - powiedziała Pandora.

- Wiem, wiem, tylko skończę.

Sweeney została poinstruowana, że na sygnał Pandory ma zejść do piwnicy i wyłączyć prąd, odczekać dokładnie minutę i włączyć zasilanie z powrotem. Sceptycznie odnosiła się do tego pomysłu, ale w końcu zgodziła się wziąć udział w przedstawieniu.

Wytarła ręce i zeszła do piwnicy. Pandora głęboko zaczerpnęła powietrza i wróciła do biblioteki.

Michael stał przy biurku. Niemal niezauważalnie skinął głową, gdy weszła do pokoju.

- Kolacja będzie za dziesięć minut - oznajmiła Pandora.

- Tyle czasu nam wystarczy - powiedział Michael. - Pewno dziwicie się, dlaczego zaprosiliśmy was na dzisiejszy wieczór - zaczął, wznosząc w górę kieliszek. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu. - Jedno z was jest mordercą - oznajmił nagle.

W tym momencie zgasło światło. Kobiety zaczęły krzyczeć, ktoś przewrócił stół, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Kiedy światło ponownie rozbłysło, zmartwieli. Koło biurka, twarzą do podłogi, leżała Pandora. Obok leżał nóż do otwierania kopert z zakrwawionym ostrzem. Michael błyskawicznie znalazł się przy Pandorze i wziął ją na ręce, zanim ktokolwiek zdołał zareagować. W śmiertelnej ciszy wyniósł ją z pokoju. Po paru minutach wrócił sam. Kolejno mierzył wzrokiem zebranych.

- Morderca - powtórzył. - Ona nie żyje.

- Co to znaczy: nie żyje? - Carlson wysunął się do przodu. - Co tu jest grane? Chodźmy zobaczyć, co się z nią dzieje.

- Nikt jej nie dotknie. - Michael zastąpił mu drogę. - Nikt niczego nie dotknie ani nie opuści tego pokoju, dopóki nie przyjedzie policja.

- Policja? - Carlson, błąd z przerażenia, rozejrzał się dokoła. - Nie życzymy tu sobie policji. Zajmiemy się tym sami. Ona po prostu zemdlą.

- Na tym jest jej krew. - Michael wskazał nóż.

- Nie! - krzyknęła Meg. - Nikomu nic nie miało się stać. Chodziło tylko o to, żeby was przestraszyć. Nikt nie planował morderstwa. Och, Hank. - Przycisnęła twarz do piersi męża.

- Chcieliśmy tylko zrobić parę kawałów - mruknął Hank.

- Morderstwo pierwszego stopnia to nie kawał.

- My nigdy... - Patrzył zaszokowany na Michaela. - Nie morderstwo - tłumaczył, tuląc do siebie żonę.

- Nie chcesz szampana, prawda, Hank?

- Właśnie wtedy chciałam już z tym skończyć - szlochala Meg. - Nawet zadzwoniłam i próbowałam ją ostrzec. Uważałam, że to nie ma sensu, że nie powinniśmy, ale potrze-

bowaliśmy pieniędzy. Wydaliśmy wszystko na nasz klub sportowy. Myśleliśmy, że jak uda nam się was skłócić, to nie dotrzymacie warunków testamentu. To wszystko. Hank i ja przyczailiśmy się w chacie i czekaliśmy. A potem on poszedł do pawilonu i przewrócił wszystko do góry nogami. Jeśli ona pomyślałaby, że to zrobiłeś ty...

- Nigdy nie myślałam, że do tego dojdzie - zapiszczała Ginger. Dwie łzy spływały jej po policzkach. - Naprawdę, to wszystko wydawało się głupie i... takie podniecające.

Michael spojrzał na swoją śliczną, słodką kuzyneczkę z buzią aniołka.

- A więc i ty brałaś w tym udział? - zdziwił się.

- Ja naprawdę nie chciałam. Ale kiedy ciocia Patience mi wyjaśniła...

- Ciocia Patience? - Układanka zaczęła powoli tworzyć całość.

- Morgan zasługuje na swoją część. - Starsza pani ścisnęła dłonie i potoczyła po wszystkich wzrokiem. Uważała, że postąpiła słusznie. To wszystko wydawało się tak naturalne.

- Myśleliśmy, że zmusimy jedno z was do wyjazdu, i wtedy wszystko będzie tak, jak powinno być.

- Telegram - włączył się Monroe - ale nie morderstwo.

- Zwrócił się do Carlsona. - To był twój pomysł.

- To niedorzeczne. - Carlson otarł czoło białą jedwabną chusteczką. - Prawnicy okazali się niekompetentni. Nie byli w stanie nic zrobić. Ja tylko broniłem swoich praw.

- Morderstwem.

- Nie gadaj głupstw. Chodziło o to, żeby cię wywabić z domu. Nie zrobiłem niczego więcej ponad to, że zamknąłem ją w piwnicy. Kiedy się dowiedziałem o szampanie, miałem trochę wątpliwości, ale w końcu nic złego się nie stało.

- Dowiedziałeś się o szampanie? - Michael tylko na to czekał. - Od kogo?

- Od Biffa - odparła Meg. - To Biff wszystko obmyślił, obiecywał, że nic się nikomu nie stanie.

- Cóż... - Biff wzruszył ramionami. - Każdy w tym pokoju maczał w tym palce. - Podniósł do góry ręce i dokładnie im się przyjrzał. - Na moich nie ma śladów krwi. Stawiam na ciebie. - Posłał Michaelowi lodowaty uśmiech. - W końcu to nie tajemnica, że nie możecie się znieść.

- Ty to zorganizowałeś. - Michael postąpił krok bliżej.

- Pozostaje jeszcze sprawa mego samochodu.

Biff wzruszył ramionami, ale nad jego górną wargą pojawiły się kropelki potu.

- Każdy w tym pokoju był w to zamieszany - powtórzył.

- Czyżby ktoś chciał temu zaprzeczyć? - Oddychał coraz szybciej. - Ktoś wpadł w panikę i to zrobił. Nie znajdziecie moich odcisków palców na nożu do kopert.

- Jeśli ktoś raz próbuje dokonać morderstwa, to nietrudno udowodnić, że próbował po raz drugi - powiedział spokojnie Michael.

- Niczego nie udowodnisz. Każdy z nas mógł ci spuścić płyn hamulcowy. Nie dowiedziesz, że to ja.

- Nie muszę. - Michael błyskawicznie znalazł się przy nim i chwycił go za kłapy. - Nawet nie wspomniałem o płynie hamulcowym - wycedził przez zęby.

Złapany w pułapkę, Biff kompletnie stracił głowę. Rzucił się na Michaela z pięściami. Obaj wylądowali na podłodze. Strącili lampę Tiffany'ego, omal nie przewrócili stołu. Zebrani cofnęli się, pozostawiając im miejsce do walki.

- Michael, wystarczy! - Pandora weszła do pokoju szybkim krokiem. - Jest już porucznik.

Michael wstał i pociągnął Biffa. Charles, ubrany w liberię, stanął w drzwiach biblioteki.

- Podano do stołu - oznajmił.

Dwie godziny później Pandora i Michael siedzieli przed kominkiem w bibliotece, racząc się smakołykami przygotowanymi przez Sweeney.

- Nigdy nie przypuszczałam, że to się uda - powiedziała Pandora, nakładając sobie kolejny plasterek szynki.

- Im bardziej przewidywalne ruchy, tym bardziej przewidywalne zakończenie.

- Porucznik Randall nie wyglądał na zachwyconego - zauważyła.

- Chciał to załatwić na swój sposób. - Michael wzruszył ramionami. - Kiedy już odkrył, że Biff odwiedzał pozostałych członków rodziny i telefonował do nich, czuł się zobowiązany do wyśledzenia czegoś więcej.

- Wiesz, jak niewygodnie odgrywać martwą? - zmieniła temat Pandora. Potarła obolały kark.

- Byłaś doskonała. - Pocałował ją w policzek. - Prawdziwa gwiazda.

- Ta sztuczka z zakrwawionym nożem była niezła - przyznała. - A jednak, gdyby się trzymali razem...

- Zorientowaliśmy się po tym telefonie do ciebie, że jedno z nich się załamało. Okazało się, że to Meg miała dość. Dziwne, że jej nie poznałaś.

- Umiejętnie zmieniła głos. Wzięłam ją za mężczyznę - przyznała Pandora. - Ale, ale... wiesz, myślałam, czyby nie doinwestować ich klubu - powiedziała Pandora.

- Niezły pomysł - zgodził się Michael.

- Jak myślisz, co będzie teraz?

- Och, Carlson dogada się jakoś z pozostałymi, z wyjątkiem Biffa. Nie sądzę, byśmy musieli iść do sądu z powodu testamentu. Co do naszego drogiego kuzyna Biffa - Michael wzniosł w górę kieliszek szampana - będzie musiał stawić czoło poważniejszym oskarżeniom niż złośliwe kawały czy włamanie. Może ja nie odzyskam swego telewizora, ale on będzie musiał zamienić ciemny garnitur na więzienny błękit.

- Na dodatek podbiłeś mu oko - zachichotała Pandora.

- Tak. - Michael wypił jeszcze trochę szampana. - Teraz pozostaje nam już tylko wytrwać ostatnie dwa tygodnie.

- I wszystko się skończy - dodała.

- Nie. - Ujął ją za rękę. - Dopiero się zacznie. - Pochylił się nad nią. - Od kiedy?

- Co od kiedy? - spytała.

- Od kiedy jesteś we mnie zakochana?

- Nie siedzę tu po to, żeby podbudowywać twoje męskie ego - zachnęła się.

- W porządku, a więc zacznijmy ode mnie. - Objął ją ramieniem. - Myślę, że się w tobie zakochałem, kiedy po powrocie z Wysp Kanaryjskich weszłaś do salonu. Miałaś nogi do samej szyi i patrzyłaś na mnie z góry. Potem już nigdy nie byłem taki jak przedtem.

- Mam dość gierki, Michael - ucięła.

- I ja. - Przeciągnął palcem po jej policzku. - Powiedziałaś, że mnie kochasz, Pandoro.

- Pod presją.

- A więc będę nadal wywierał presję, bo już z ciebie nie zrezygnuję. Dlaczego nie mielibyśmy się od razu pobrać?

- Co? - wykrztusiła z trudem.

- Tutaj, w bibliotece. - Rozejrzał się dokoła. - Byłby niezły epilog.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- To proste. Oto fabuła. Ty kochasz mnie, ja kocham ciebie.

- To wcale nie jest proste - przekonywała. - Teraz byłam tutaj tylko ja, byłam pod ręką. Kiedy wrócisz do swoich tancerek o blond włosach i biuściastych statystek, to...

- Jakich tancerek? Nie znoszę tancerek o blond włosach.

- Michael, nie czas na żarty.

- Zaczekaj. Kupisz sobie białą suknię, może i welon. W welonie ci będzie do twarzy. Zamówimy masę kwiatów, zaprosimy pastora i urządzimy tradycyjną ceremonię ślubną. A potem zamieszkamy na stałe w Folley i każde z nas zajmie się swoją karierą. Postaramy się,

żeby za rok, najwyżej za dwa, Sweeney i Charles mogli się zająć niemowlęciem. Co ty na to?

- Pocałował ją w koniuszek ucha.

- Życie to nie scenariusz... - zaczęła.

- Szaleję na twoim punkcie, Pandoro. Spójrz na mnie. Jako artystka, umiesz dojrzeć to, co kryje się pod powierzchnią. Nie powinnaś mieć z tym kłopotów, skoro zawsze mówiłaś mi, że jestem płytki.

- Myliłam się; Michael, jeśli to jakaś gra, uduszę cię gołymi rękami.

- Gry się skończyły. Kocham cię, to wszystko.

- To wszystko - mruknęła. - Chcesz się ożenić?

- A jak myślisz? Wiem już, czego się spodziewać po wspólnym życiu.

- Czyżby? - zdziwiła się.

- Owszem. - Przytulił się do niej i pocałował, wkładając w to całą swoją miłość.

Otoczyła go ramionami. Może rzeczywiście wszystko jest proste.

- Kocham cię, Michael - szepnęła.

- A więc się pobierzemy - podsumował.

- Na to wygląda.

- Nie wiesz jeszcze, co cię czeka - ostrzegł i roześmiał się. - Zamierzam ci utrudniać życie, jak się da, dlatego, że jesteś najbardziej irytującą kobietą, jaką zna historia. Rozumiemy się?

- A jak? Zawsze się rozumieliśmy. Pocałował ją w czoło, czubek nosa, usta.

- On rozumiał nas oboje. - Spojrzał na portret Jolleya. Podążyła za jego wzrokiem.

- Osiągnął to, co sobie zaplanował. Wyobrażam sobie, że dobrze się bawi. - Potarła policzkiem o policzek Michaela. - Chciałabym, żeby mógł być na naszym ślubie - westchnęła.

- A kto powiedział, że nie będzie? - Michael podniósł się i wziął kieliszki. Podał jej jeden. - Za Maximilliana Jolleya McVie.

- Za wuja Jolleya - powiedziała Pandora, stukając w jego kieliszek - i za nas.